Najlepsze Teksty Polskiej Prawicy

KONSERWATYZM

Biblioteka Wolności

Konserwatyzm

Najlepsze teksty polskiej prawicy

Konserwatyzm

Najlepsze teksty polskiej prawicy

Warszawa 2010

© Copyright by 3S MEDIA Sp. z o.o.

Skład:
Robert Lijka
Projekt graficzny okładki:
Radosław Watras
Korekta:
Maciej Jaworek
Redakcja:
Tomasz Sommer, Maciej Kajetan Sołdan, Marek Skalski

ISBN: 978-83-7673-012-7

Wydawca:
3S MEDIA Sp. z o.o.
ul. Mickiewicza 20/53
01-552 Warszawa
Zamówienia: tel. 22-8316238, 606888882

Wydanie I
Warszawa 2010
Seria: Biblioteka Wolności

Spis treści

Wstęp – Tomasz Sommer 9
Jacek Bartyzel
Demokracja jako religia państwa laickiego 14
Maurras contra Michnik 21
Jacek Czabański
Mit inwestycji zagranicznych 25
Jacek Dębski
Polscy Liberałowie 28
Krzysztof Dzierżawski
Dochodowy musi odejść 32
Jan Engelgard
„Mein Kampf" czyli marksizm á rebours 40
Tomasz Gabiś
Kilka przepowiedni 44
Między nami, dworakami (z Andrzejem Maśnicą) 48
Robert Gwiazdowski
Pragmatyczna czekolada 54
Ks. Henryk Jankowski
Antysemityzm 60
Lech Jęczmyk
Dwie Europy i zaścianek 66
Piotr Kaim
Hieny chcą dobrze 72
Janusz Korwin-Mikke
Wchodzimy do biurokratycznego molocha 77

Spis treści

5-lecie 83
Prawo JKM 85

Waldemar Łysiak

Dekalog klęski 88
Oskarżam 96

Andrzej Machnik

Śmiertelne w czasie pokoju 110

Ks. Stanisław Małkowski

Agresja czarna, biała i różowa 122

Andrzej Maśnica

Geopolityczna nirwana 128

Stanisław Michalkiewicz

Pierwsza setka 134
Po dziewięciu miesiącach czas na rozwiązanie 136

Przemysław Mieloch

Kamień Pomorski w rękach UPR 138

Marian Miszalski

„Chamy" i „Żydy" dzisiaj 144
Na pożądany wybór Jacka Kuronia na prezydenta Polski 150
Więc pijmy piwo „liberałowie" 153
W stronę cezaryzmu euro nomenklatury? 156

Stefan Niesiołowski

5=16 162

Jerzy Robert Nowak

Rehabilitacja „białego" dyktatora 166
W kleszczach Trzeciej Rzeszy 172

Sławomir Olejniczak

Państwo opiekuńcze wrogiem rodziny 178

Stefan Oleszczuk
Nie przyłożę ręki do okradania podatników..... 184
Krzysztof Ostaszewski
System świadczeń zdrowotnych dla każdego jako zdrada narodowa 188
Jan Parys
Prawica, Kościół, „Solidarność”..... 196
Aleksander Rozenfeld
Być Żydem w Polsce..... 202
Andrzej Sielańczyk
Przypowieść plażowa – prawie filozoficzna..... 206
Jacek Sierpiński
Feminizm na manowcach..... 210
Tomasz Sommer
Mechanizm prywatyzacji..... 216
Jadwiga Staniszkis
Dojrzeć ciągłość w sytuacji zmiany..... 220
Lech Stępniewski
NOP czy Berlin..... 226
Spiskowa teoria sprawiedliwości..... 230
Janusz Szlęzak
W jaki sposób finansować zobowiązania emerytalne?..... 233
Konrad Szymański
Tytoń a wolność..... 238
Piotr Wierzbicki
Aleksander Hall..... 243
Poseł Józefa Hennelowa..... 245
Leszek Kołakowski..... 247
Adam Michnik..... 249

Jan Winiecki
„Fabryki-robotnikom" czyli mitologizacja własności pracowniczej 254
Michał Wojciechowski
Słowo przenicowane..... 260
Antoni Zambrowski
Czy walczymy z Żydokomuną?..... 266
Andrzej Zięba
Chichot Lucyfera..... 272
Rafał Ziemkiewicz
Atak na mózg..... 276
Echa manifestu PKWN..... 284
Podszepty..... 288
Indeks nazwisk..... 291

Tako rzecze polska prawica

Rok 1989, mimo wszystkich mankamentów związanych z nim przemian, z całą pewnością przyniósł jedno – możliwość wyrażania otwartym tekstem idei dotychczas zakazanych. Po raz pierwszy od 1939 roku, można było, bez obawy o wolność, a przynajmniej konfiskatę majątku, zaprezentować poglądy niekomunistyczne, niesocjalistyczne, nieetatystyczne, nierewizjonistyczne.

Oczywiście tę możliwość trzeba było jeszcze umieć ubrać w jakieś szaty instytucjonalne. Bo w tych zamierzchłych czasach nie było jeszcze, co dziś trudno sobie nawet wyobrazić – Internetu. Trzeba było więc znaleźć jakiś sposób, który te prześladowane przez dziesięciolecia idee uprzystępni odbiorcom. Podjął się tego Janusz Korwin-Mikke, który wraz z grupą współpracowników postanowił zorganizować pierwszą w Polsce prawicową gazetę.

Szybko okazało się jednak, że, jak zwykle, trzeba było dzielić siły na zamiary. Wydawanie dziennika okazało się ponad siły środowiska, które nie dostało, jak było to w przypadku grupy Adama Michnika koncesji na wydawanie pierwszego „niezależnego" pisma, niejako oficjalnie namaszczonego na „oficjalną tubę opozycji" – za czym poszło określone uprzywilejowanie biznesowe. Nie dostało nawet, jak to było z kolei w przypadku Jarosława Kaczyńskiego, za darmo któregoś z PRL-owskich wysokonakładowych dzienników. Trudno to może dziś zrozumieć, ale partia Jarosława Kaczyńskiego po prostu dostała „Express Wieczorny" wraz z budynkiem w centrum Warszawy! Inna sprawa, że szybko i sprawnie jego ludzie doprowadzili ten tytuł na granicę upadku.

Dzielenie sił na zamiary i niechęć do grabienia należącego do podatników majątku, doprowadziło do decyzji o wydawaniu nie dzien-

nika, tylko tygodnika prawicowego. Janusz Korwin-Mikke, nawiązując do tradycji chciał go nazwać „CZAS". Tytuł ten, wprawdzie tylko administracyjnie, ale był jednak zajęty. W efekcie JKM dodał przymiotnik „najwyższy" i wkrótce słowo stało się ciałem – wyszła do druku pierwsza w Polsce od 1939 wydawana oficjalnie gazeta prawicowa.

Od tego czasu mija w marcu 2010 roku równo dwadzieścia lat.

Ja sam pojawiłem się w redakcji „Najwyższego CZAS!" po raz pierwszy w 1994 roku. Tak się losy potoczyły że po jakimś czasie zacząłem w nim pracować, a w końcu zostałem jego redaktorem. Z okazji rocznicy wpadłem na pomysł, by wydać antologię najlepszych tekstów, które w ponad tysiącu wydanych numerów zaprezentowaliśmy publiczności. Gdy zasiadłem do lektury pożółkłych zszywek starych roczników „NCz!" szybko jednak sobie uświadomiłem, że wobec ogromnej ilości materiału – tysiąc numerów, a w każdym po 20-40 tekstów, co, licząc średnio daje co najmniej 30 tys. tekstów – żal robić z nich tylko jedną, z natury niezbyt dużą antologię. Doszedłem do wniosku, że należy wydać trzy tomy – prezentujące trzy etapy rozwoju pisma i tym samym myśli prawicowej.

W rękach mają Państwo tom pierwszy obejmujący lata 1990-1996. Nadałem mu podtytuł „Konserwatyzm", bo prezentuje on gamę tekstów zwłaszcza tych autorów, którzy w naszym konserwatywno-liberalnym świecie, szczególny akcent kładli i kładą na konserwatyzm właśnie, a którzy w dużej części, w skutek środowiskowego przesilenia, do którego doszło w 1995 roku, od „NCz!" odeszli. Choć oczywiście są tu też teksty ludzi, którzy właśnie rozpoczynają trzecią dekadę współpracy z nami.

Chyba nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że w okresie pierwszego pięciolecia „NCz!" pojawiły się w nim teksty wszystkich najważniejszych autorów polskiej prawicy, którzy zdolność myślenia i umieszczania swych myśli na papierze posiadają. Opisując zjawiska, próbując znaleźć dla nich wyjaśnienia, stworzyli swego rodzaju prawicowy elementarz, czy może raczej prawicową siatkę pojęciową, która do dziś jak najbardziej zachowuje aktualność. To zresztą lekko powiedziane – czytając te teksty powiedziałbym nawet, że są one szokująco profetyczne i wielu sprawach nic ciekawszego i głębszego ponad nie w zasadzie powiedzieć się nie da.

Budując tę antologię zwracałem uwagę na to, by przekrój gatunkowy prezentowanej publicystyki był możliwie jak najszerszy. W efekcie znajdą Państwo na dalszych stronach zarówno teksty dość techniczne, jak i polemiki, przemówienia sejmowe, homilie, felietony a nawet

jeden wiersz. Cóż różnicowanie formy to jedna z metod na to, by nie zanudzić czytelnika.

Zapraszam do lektury naszej Prawicowej Trylogii. Kolejna część – już za rok.

Tomasz Sommer – listopad 2009

JACEK BARTYZEL *(ur. 16 stycznia 1956 r. w Łodzi) – studiował filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 70. XX wieku działał w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz współpracował przy wydawaniu podziemnych pism. Był współzałożycielem (1979 r.) i rzecznikiem Ruchu Młodej Polski, kierowanego przez Aleksandra Halla. 27 września 1981 został jednym z sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubów Służby Niepodległości.*

Podczas stanu wojennego internowany. W latach 1983-1989 publikował w „Polityce Polskiej". Doktoryzował się w 1986 r. Działał także w Klubie Inteligencji Katolickiej w Łodzi oraz w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie.

W latach 1993-2004 był adiunktem na Uniwersytecie Łódzkim. Pełni funkcję prezesa Klubu Konserwatywnego w Łodzi; działał w latach 1989-1994 w ZChN. Od 2004 r. jest profesorem w Instytucie Politologii (od 2009 r. na nowym Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych) Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Jest honorowym członkiem Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego (do kwietnia 2007 r. także przewodniczącym Straży Klubu) oraz członkiem honorowym Organizacji Monarchistów Polskich. Do 2009 r. publikował w kwartalniku „Pro Fide, Rege et Lege" – współpraca z pismem została zakończona po opublikowaniu przez redaktora naczelnego, Adama Wielomskiego, wywiadu z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Jego teksty zamieszczają również miesięczniki „Zawsze wierni" i „Opcja na Prawo". W kręgu jego zainteresowań znajdują się: teatrologia, historia doktryn politycznych i filozofia polityczna.

Odznaczony 11 listopada 2006 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. 11 listopada 2007 r. jednogłośnie dokooptowany do Kapituły Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza.

Demokracja jako religia państwa laickiego

Zadziwiające, że podczas tak burzliwej dyskusji nad zagadnieniem tzw. rozdziału Kościoła od Państwa żadna ze stron konfliktu nie podniosła tego oto argumentu, że, w gruncie rzeczy, nie ma, nie było nigdy i być nie może państwa bezreligijnego (bezwyznaniowego). Ściślej mówiąc, trudno się aż tak bardzo dziwić stronie antykościelnej, iż wolała nie zauważyć tej okoliczności, tak bardzo dla niej niewygodnej, bo unicestwiającej same podstawy i formy narzuconego przez jej język „dialogu". Musi natomiast budzić zdumienie fakt niedostrzeżenia tej oczywistości przez obrońców chrześcijańskich fundamentów państwa, czyli przez ludzi określających się na ogół jako prawica - jak widać nie zawsze dość „uświadomiona".

Przeoczenie to można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Każda prawica, która za dobrą monetę przyjmuje narzucone jej demokratyczne reguły gry, niepostrzeżenie zaczyna zarażać się także demokratyczną aparaturą mentalno-pojęciową, a zatem fikcjami ideologicznymi, która wprowadzili w obieg prestidigitatorzy POSTĘPU. Jedną z tych mistyfikacji jest wytrwale wbijany do poddanych „kracji' Demosu głów

– pogląd o zasadniczej jakoby, można rzec ontologicznej, różnicy pomiędzy „nowoczesnym" państwem demokratycznym a państwem tradycyjnym. Tymczasem, nic podobnego. Istota państwa i władzy musi w każdym ustroją pozostać ta sama, bo inaczej utopia zniszczy państwo. Udowodnił to nawet (niechcący) eksperyment bolszewicki, który właściwie „od zaraz" musiał „samoograniczać się" (co nie ma nic wspólnego z kwestią terroru). Nowy, demokratyczno-rewolucyjny reżim, jeśli tylko zdoła przetrwać, nie zlikwiduje pierwiastka władzy; przeciwnie - niebywale ją skoncentruje. Jak zauważył Bertrand

de Jouvenel – „Kompleks uprawnień i środków nie rozpadł się, tylko przeszedł w inne ręce. To, co zwie się nadejściem demokracji, jest właściwie przeniesieniem ustanowionej już władzy na nowych jej posiadaczy, bądź (...) podbojem ośrodka władzy przez nowych okupantów" (Du Pouvoir, 1945).

Jeżeli powyższe jest prawdą (co niewątpliwe), to szaleństwem ze strony zwycięskiej, demokratycznej oligarchii byłoby podcinanie gałęzi na której zasiadła, czyli odpiłowywanie pierwotnego i bezwzględnie potrzebnego spoiwa każdej organizacji społecznej, jakim jest religia. Nie trzeba być człowiekiem wierzącym, w potocznie przyjętym sensie tego słowa, (a ten utożsamia się z wyznawstwem religii objawionej), żeby wiedzieć, iż „religia" w etymologicznym znaczeniu „więzi" (od „religare" – łączyć), zbudowanej wokół doświadczenia swoistego sacrum, utrwalonego w micie reaktualizowanym przez rytuał - stanowi kościec każdej organizacji państwowej, jaka kiedykolwiek istniała. Dostrzegł to już dawno i opisał Emile Durkheim – zresztą pozytywista i ateista. Każde państwo ma swoją religię, to znaczy celebruje jakiś kult i podaje w ten czy w inny sposób – obywatelom do wierzenia określony zespół prawd. W przeciwnym razie zanika więź społeczna, czyli – jak powiada Platon – przyjaźń między obywatelami a państwem ginie.

Pewnik ten w niczym natomiast nie przesądza kwestii treści i charakteru owej religii państwowej, a także sposobu jej ustanowienia. Co więcej, jest rzeczą zrozumiałą, że zaprowadzenie demokracji, która pod innymi względami ma skutki rewolucyjne, jako iż wywraca dotychczasowy ustrój społeczny i polityczny, musi być równie rewolucyjną zmianą na gruncie religijnym. Ustrój tradycyjny, hierarchiczno-arystokratyczny, którego cnotami głównymi były honor i wolność, trwał w doskonałej symbiozie z religią chrześcijańską (bo też tylko dzięki chrześcijańskiemu eschatonowi tamte, świeckie cnoty mogły zaistnieć i rozwinąć się). Nic więc dziwnego, że demokracja, która obaliła ten ustrój, musiała obrócić się przeciwko „zaprzyjaźnionej" z nim religii oraz wytworzyć własną. Najaskrawiej widoczne było to podczas pierwszej rewolucji demokratycznej – francuskiej, nie tylko w świetle jawnego prześladowania Kościoła katolickiego, ale także w próbie instalacji republikańskiego kultu Istoty Najwyższej. Ta próba ośmieszyła się doszczętnie skutkiem zbyt jawnie groteskowego jej charakteru. Ale demokraci też potrafią się uczyć i po serii prób i błędów pojęli, że ich religia musi być bardziej „zrównoważona", co najlepiej osiągnąć skrywając się za zasłoną LAICYZMU. W końcu okazało się, że najlepiej będzie, jeśli nową religię państwową nazwać po

prostu DEMOKRACJĄ. I w ten sposób od ponad 200 lat rozrasta się w całym tego słowa znaczeniu totalitarne imperium zwane oficjalnie państwem laickim, neutralnym i pluralistycznym, a w rzeczywistości narzucające demokratyczny kult i dogmaty metodami wręcz niewyobrażalnymi dla najbardziej teokratycznie zorientowanych wyznawców religii tradycyjnych.

Czymże bowiem jest ukamienowanie czy spalenie na stosie, wobec stworzenia sytuacji, w której niemożliwe staje się nawet zakomunikowanie własnej niewiary w demokratyczną religię – bo demokratyczna semantyka takiej ewentualności nie przewiduje. Oto dowód, dla powątpiewających: niedawno któryś z instytutów badania opinii publicznej zadał pytanie tyczące oceny „postępów demokratyzacji" w Polsce. Możliwe odpowiedzi brzmiały: „wystarczające", „niewystarczające", „nie mam zdania". Jednowektorowa intencjonalność tego pytania nie może chyba budzić wątpliwości. Oznacza ono zaprogramowane skazanie na polityczny niebyt wszystkich tych, którzy skłonni byliby uważać, że „postępy demokratyzacji" są, powiedzmy delikatnie nadmierne. Każdy demokracji musi chcieć i basta, co najwyżej wolno mu odczuwać niedosyt. Akurat tyle i po to, żeby demokratom z profesji umożliwić prowadzenie - pasjonujących głównie ich - licytacji, który z nich jest bardziej demokratyczny.

Spróbujmy opisać, choćby najpobieżniej, fenomen demokratycznej religii. Jej usprawiedliwieniem i sensem - jak każdej religii - jest oczywiście przedmiot wiary: bóstwo. Bóg religii demokratycznej to lud, DEMOS. Demokracja, jak głosi znany slogan, to władza Ludu, dla Ludu i przez Lud. Owa triada wcieleń stanowi z całą pewnością bluźnierczą replikę tajemnicy Trójcy Świętej. Widać z tej quasi-teologicznej definicji również, te Demos jest „bogiem zazdrosnym" i nie chce z nikim dzielić swej władzy ani należnej mu adoracji. Nie chce znać żadnej ‚konstytucji" ani podziału władz, niczego, co by ograniczało jego samodzierżawie. Tak przynajmniej jest w doktrynie. Ale, rzecz ciekawa, dzieje demokracji realne, ujawniają zjawisko znane skądinąd dobrze historykom religii „pierwotnych" - o charakterze kosmicznym. W religiach tych regułą nieomal było, iż najwyższe bóstwo - zwykle był to bóg nieba - po stworzeniu świata traciło zainteresowanie losem ludzi i wycofywało się w najodleglejszy rejon nieba, stając się „deus otiosus" („bogiem dalekim"). Ludzie zaś poczęli odwzajemniać to zobojętnienie i, ograniczając się do werbalnego uznania jego pierwszeństwa, zwracali się w stronę bóstw bliższych ich codziennemu życiu, np. ku bogom płodności.

I tak właśnie dzieje się dziś z religią demokratyczną. Nominalny suweren – Demos teoretycznie cieszy się pełnią czci, ale tak naprawdę mało kto poważnie wysłuchuje jego (domniemanych) wyroków i – po oddaniu mu rytualnych hołdów – uwaga „poddanych" spoczywa na, niby to podrzędniejszych, ale za to pełnokrwistych bożków piorunów i burzy; pośród nich nasza nadwiślańska odmiana demokracji wyhodowała, jako swoją specjalność, licznych bossów związkowych. Nie ma co ukrywać: bóg-Demos niczym, pod względem realnej władzy, nie różni się od greckiego Uranosa – jak informuje Hezjod w „Teogonii" – zabity złotym sierpem przez własnego syna, Kronosa.

Łatwo zgadnąć, jaki jest najważniejszy rytuał w demokratycznym kulcie: to oczywiście wybory. Przy wyborach mamy do czynienia z ogromną rozpiętością form poszczególnych rytów, w zależności od zwyczaju miejscowego: od jaskrawo nieokiełzanych i bakchicznych, gdzie roznamiętnieni stronnicy któregoś z idoli rozszarpują, w rytm orgiastycznych melodii, przeciwników niczym menady z orszaku Dionizosa (patrz: wybory w największej, jak głosi znany slogan, demokracji - indyjskiej), po ryty łagodne, apollińskie, właściwe dekadencko znużonym społeczeństwom Zachodu.

Nad przebiegiem czynności rytualnych czuwają kapłani demokratycznej religii, czyli lewicowi intelektualiści - kasta bardzo gorliwa w demokratycznej dewocji, a zarazem silnie... zhierarchizowana. Podrzędniejszą rolę - powiedzmy: sług świątynnych - pełnią dziennikarze odpowiedzialni za uprzystępnianie tzw. masom demokratycznego katechizmu. To jakby kurs uzupełniający dla dorosłej części populacji, właściwą katechezą jest publiczna („świecka") szkoła, wpajająca maluczkim demokratyczne abecadło.

Bylibyśmy niesprawiedliwi zauważając tylko rytualny wymiar religii czcicieli Demosu i takąż funkcję jej kapłanów. Są oni bowiem nie tylko mistagogami, ale również teologami, jako iż demokracja posiada bez wątpienia wyrazistą substancję dogmatyczną. Kluczowe dogmaty tej religii objawione zostały przez bezsprzecznie największego z Proroków, czyli Jana-Jakuba Rousseau'a, a mianowicie: 1* dogmat o naturalnej dobroci człowieka oraz 2* dogmat o suwerenności Ludu i o kontrakcie społecznym jako źródle władzy publicznej.

Spory teologiczne toczone, jak to zwykle bywa, z powodu pewnych niejasności Pisma, jszybko - nie bez wpływu rewolucyjno-millenarystycznej gorączki u co radykalniejszych demokratów - doprowadziły do licznych schizm i herezji w obrębie Kościoła Demokratycznego. Nie mając miejsca na wchodzenie w szczegóły powiedzmy tylko, że naj-

większa schizma powstała z chwilą, kiedy heterodoksyjny teolog demokracji nazwiskiem Karl Marx, wyciągnąwszy radykalne wnioski z obu podstawowych dogmatów, uznał, że do usunięcia zła, a tym samym - urzeczywistnienia demokratycznej teodycei, konieczne jest całkowite zniszczenie cywilizacji opartej o „starą" religię, a w pierwszym rzędzie rodziny i własności prywatnej. Ogłoszenie tego celu oraz uzasadniającego go, nowego dogmatu o walce klas jako konieczności dziejowej, dało początek schizmatycznemu Kościołowi Demokracji Socjalnej (rychło, jak wiemy, rozproszkowanemu na ogromną ilość sekt).

Druga schizma była łagodniejsza, bo opierała się o herezję mniej odrażającą niż socjalistyczna. Polegała ona bowiem na „rozwodnieniu" dogmatu o suwerenności ludu. a więc na kompromisie z parlamentaryzmem przeddemokratycznego typu. Ta pragmatyczna i „rewizjonistyczna" herezja dała początek Kościołowi Demokracji Liberalnej.

Spektakularny upadek w ostatnich latach najradykalniejszej sekty komunistycznej, wzmógł ogromnie w obu kościołach „siostrzanych" nadzieje ekumeniczne, a nawet pewien rodzaj mesjanistycznej wiary w nadejście upragnionego końca historii, spełnienia jej eschatonu (*expressis verbis* obwieścił to wybijający się prorok nowej generacji, Francis Fukuyama). Apokatastaza czyli zbawienie powszechne nastąpić ma tedy z chwilą zapanowania nad całym globem Zjednoczonego Kościoła Demokracji Socjal-Liberalnej.

W wymiarze doktrynalnym niejaki kłopot teologom demokracji sprawiała zawsze kwestia pierwszorzędnej wagi w każdej religii, a mianowicie tzw. mit założycielski. Pół biedy z aspektem transhistorycznym nurtu, tu zawsze można było powołać się na wykoncypowaną przez Proroka umowę społeczną jako zdarzenia mającego miejsce „in illo tempore" („przed wszystkimi wiekami") i reaktualizowanego w każdorazowym akcie wyborczym. Gorzej z historycznym aspektem mitu, a przecież demokracja jest religią par excellance historycystyczną. Kusiła zawsze myśl wskazania na demokrację ateńską jako na pierwotną epifanię (objawienie boskości Demosu). Niestety, jest to wzorzec zupełnie skompromitowany i to pod każdym względem. Moralnie dyskwalifikuje ateńską demokrację ostracyzm zastosowany wobec najsprawiedliwszego – Arystydesa i najdzielniejszego – Temistoklesa, a zwłaszcza mord na najcnotliwszym i najmędrszym – Sokratesie. Do tego dochodzi pierwsze w dziejach ludobójstwo motywowane ideologicznie - na mieszkańcach Korkyry, którzy nie chcieli wyrzec się ustroju arystokratycznego (patrz Tukidydes, „Wojna penopeleska"). Politycznie kompromituje tę demokrację zrujnowanie w przeciągu jednego pokolenia

świetności Aten - budowanej pod arystokratycznymi rządami Solona, Miltiadesa i Kimona - wskutek egalitarnych reform Peryklesa i ich nieuchronnego następstwa: wywołania ideologicznej wojny ze Spartą dla zaspokojenia rozbudzonych apetytów „ludzi nowych".

Te niepowodzenia skłoniły kierowników demokratycznego kościoła do wygodnego rozwiązania polegającego na tym, że odtąd każda demokracja ma prawo świętować swój lokalny mit założycielski. W naszym wypadku jest to oczywiście nowoproletariacki mit Solidarności, a jego święto w demokratycznym kalendarzu przypada 4 czerwca.

Bardzo rozbudowanym działem teologii demokratycznej jest etyka. Głowna jej teza w zakresie moralności indywidualnej to hedonistyczny permisywizm (czyli przekładając ,.na nasze" – „hulaj dusza bez kontusza"), a zbiorowej – kolektywizm. Ma etyka ta swoje kamienne tablice z wyrytymi przykazaniami w postaci Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela oraz takichże Paktów. (Jak pamiętamy, w kontrakcie „okrągłego stołu" obie, demokratycznie umawiające się strony ustaliły, że ideologia praw człowieka będzie podstawą edukacji; z tego punktu widzenia przywrócenie nauczania religii nie postępowej części ludu wprowadza oczywisty dysonans.)

Z demokratycznej religii wypływa niezmiernie bogata działalność i literatura pedagogiczna oraz hagiograficzna. Najbardziej rozbudowaną postać demokratycznej dewocji skierowanej ku urzędowemu kultowi proroków, świętych i eksplodujących mocą szamanów widzimy tradycyjnie we Francji (Panteon z Voltaire`m, Gambettą, Jauresem i in.)

Do, jakiej takiej, pełności obrazu dodajmy jeszcze, że - zwykłą koleją rzeczy - pośród liku demokratycznych państw istnieją bardziej gorliwe w celebrowaniu kultu, czy wręcz prozelickie jak również dotknięte pewnego rodzaju religijnym zobojętnieniem (te drugie są, oczywiście, dla innowierców znośniejsze).

Dla wyznawców religii tradycyjnych, osobliwie dla chrześcijan, powstaje niesłychanej doniosłości egzystencjalnej pytanie: jak żyć i zachować się w państwie, które swoją religią panującą ustanowiło demokrację? Pytanie to tym demokratyczniejsze, że w miarę postępów demokracji coraz więcej chrześcijan zdradzało i zdradza objawy nadmiernej, powiedzmy tak, kompromisowości. Nieraz w dobrej wierze, nieraz po prostu z oportunizmu tworzy się hybrydy w rodzaju „demokracji chrześcijańskiej" (nie wspominając już o „chrześcijańskim socjalizmie"), nie bacząc na przestrogę wielkiego papieża, Leona XIII, aby pojęciu temu nie nadawać pod żadnym pozorem sensu politycznego, niwelującego wartość hierarchii społecznej, a jedynie widzieć w

niej rodzaj dobroczynnej akcji socjalnej warstw wyższych wśród ludu (*„Graves de communi”*).

Skrajny przykład kapitulacji przed religią naturalnego przeciwnika dane nam było usłyszeć niedawno z ust b. premiera Rzeczypospolitej, Tadeusza Mazowieckiego, który oznajmił był (podczas wizyty w Holandii u tamtejszych chadeków), iż w zbitce słów „demokracja chrześcijańska” termin chrześcijańska oznacza wyłącznie aspiracje polityczne (*sic!*) chrześcijan, natomiast demokracja jest wartością uniwersalną i nadrzędną. Cóż, Ten, który wręczył Mojżeszowi tablice z Dekalogiem jest również „Bogiem zazdrosnym”, więc chyba nie można mieć wątpliwości co do tego, iż p. Mazowiecki składając tak niski pokłon bałwanowi Demosu wprost zaprzeczył przykazaniu „nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. Reprymendę, jakiej autor wspomnianej definicji doczekał się od Jego Świątobliwości Jana Pawła II można uznać za bardzo łagodną w porównaniu z sankcjami przewidzianymi w Prawie Mojżeszowym...

Co zatem wolno czynić chrześcijaninowi w państwie popierającym religię wrogą do cna wyznawanej przezeń prawdzie? Wydaje się, że doskonałej wskazówki dostarczają w tym względzie wyważone i roztropne zalecenia Ojców Kościoła żyjących w pogańskim cesarstwie. Głosili oni niezmiennie, że chrześcijanin ma obowiązek być dobrym obywatelem ziemskiej ojczyzny, a to oznacza udział w takich formach życia publicznego, jakie wytwarza dane państwo. Nie wolno mu jednak posuwać się do oddania czci boskiej cesarzowi ani bożkom z pogańskiego panteonu. Płynie stąd wniosek i dla nas, że powstrzymywanie się od wyjścia na agorę byłoby uchylaniem się od spełnienia obowiązków stanu, choćby panujące tam obyczaje raziły nasz gust i poczucie przyzwoitości. Ale za żądną cenę nie wolno palić kadzidła na ołtarzu Demosu, bo to grzech idolatrii i apostazji. Zaś takim samym grzechem jest przyjmowanie za dobrą monetę kłamstwa o rzekomej alternatywie „świeckości i neutralności światopoglądowej” dla państwa o cywilizacji chrześcijańskiej. Trzeba nazywać rzeczy takim, jakimi są w istocie: mówić głośno, że jesteśmy podmiotem i przedmiotem wojny obustronnie religijnej (zresztą wszystkie wojny są religijne). Chodzi o to, czy cywilizacja nasza będzie wsparta o fundament religii objawionej, czy raczej religii wymyślonej przez marnych filozofów więc... byle jakiej.

Nr 25/1991

Maurras contra Michnik

Ulubionym dziś tematem publicystyki neolewicowej (lub, jeśli kogo to razi, demokratycznej) jest przeciwstawianie bardzo osobliwie pojętej „europejskości" horrorowi nacjonalizmów. Wiadomo również, że za eksperta w dziedzinie egzorcyzowania nacjonalistycznego Draculi uchodzi – nie tylko u nas, ale i za granicą – p. Adam Michnik. Tymczasem, właśnie nad tak, zdawać by się mogło, życzliwą szefowi „Gazety Wyborczej" Sekwaną, jego ekspertyzy zostały ostatnio bardzo stanowczo, acz w tonie spokojnym, zakwestionowane. Dowodnie przekonywa o tym lektura polemiki z artykułem Michnika w „Nouvel Observateur" pióra Jana-Rotra Deschod ta, którą znaleźć można w pierwszym zeszycie nowego periodyku prawicy „Reaction".

Autor polemiki, wywodzący się - trzeba to koniecznie zaznaczyć – ze szkoły konserwatywnego nacjonalizmu Karola Maurrasa, przekonywująco odsłania źródła antynacjonalistycznej idiosynkrazji, niekiedy aż furiackiej, której stałe dowody dają intelektualiści tej, co Adam Michnik, formacji ideowej. Wrogość ta wypływa przeto ze skrajnie subiektywistycznego myślenia o narodzie, charakterystycznego dla osób, które są – z różnych powodów – jak mawiał Barres „deracincs" (wykorzenione), a co za tym idzie – ze źle pojętego moralizmu. Deschodt, powołując się na deklarację Michnika o gotowości wiary w naród pod warunkiem uprzedniego przyjęcia zobowiązania do wyrażania wstydu za tegoż narodu przewiny, zauważa, iż ten sposób myślenia jest na wskroś sofistyczny. Wprowadza on bowiem jako warunek patriotyzmu czynnik niemożliwy do spełnienia, to znaczy wymóg doskonałości etycznej narodu jako całości i wszystkich z osobna. Rzecz jasna - powinniśmy dodać - czyny narodu i jego członków pod-

legają moralnemu osądowi, co innego jednak z pomyślnego zdania egzaminu etycznego przez naród robić warunek „stowarzyszenia się" z nim przez „egzaminatora", czyli jednostkę. Z postulatem Michnika jest tak, jak ze znanym wezwaniem, aby w życiu publicznym działać nie jako chrześcijanin, tylko jak chrześcijanin. A przecież – przypomina Deschodt spostrzeżenie towarzysza prac Maurrasa, Henryka Vaugeois – „nie jesteśmy ludźmi moralnymi". Także narody są grzeszne (i to jak...), a mimo to mają prawo do bronienia własnej identyczności i wymagania od swych członków wypełniania obowiązków wobec wspólnoty. (W tym miejscu można by przypomnieć uwagi ks. Czartoryskiego o „legitymizmie narodów" danym im niezależnie od spełnienia jakiegokolwiek ideału powszechnego, choć niewykluczającym takowego).

Natomiast „patriotyzm moralistyczny" Michnika, czyli totalny subiektywizm w postawie wobec narodu, wywodzi Deschodt z etyki kantowskiej. Według Immanuela Kanta moralność jest tym, co świadomość jednostkowa odnajduje w sobie, w autonomicznie pojętym obowiązku. Najważniejsze to mieć świadomość czynienia rzeczy dobrych dla czystej satysfakcji moralnej „ego". Jest to obowiązek spełniany dla samego siebie, pozwalający indywiduum kontemplować własną moralność. Trudno zaprzeczyć, że może być to moralność wysoka, ba – nawet sięgająca szczytów heroizmu, jest w niej jednakowoż pewna skaza, która odsłania się właśnie w zetknięciu ze społeczną realnością „nie-ja", a którą można nazwać odmową podporządkowania aktów etycznych jednostki względem naturalnego porządku. W moralności naturalnej bowiem, dedukcja obowiązków szczegółowych nie istnieje inaczej, jak tylko poprzez rozpoznanie społeczeństwa i relacji przez nie implikowanych. Konsekwencją przeszczepienia subiektywizmu na grunt etyki społecznej (narodowej) jest przeto rozważanie narodu nie z punktu widzenia jego dobra wspólnego, do którego jednostka winna się przyczyniać, ale w perspektywie swobodnie obranego i umiłowanego przez indywiduum konceptu, którego realizacji rzeczony naród winien się poświęcić, za co będzie przez wydające sądy etyczne jednostkę – z mocy subiektywnego prawa „rozliczany". (Na marginesie polemiki Deschodta zauważmy, że opisywana przezeń postawa nie ma również, wbrew pozorom, bliższego związku z nacjonalizmem romantyczno-mesjanistycznym, jako że tam idea posłannictwa wyłania się z sensu jego dziejów odczytywanego, nie zaś wybieranego, przez jednostkę, a nadto rozpoznanie tej idei nie poprzedza identyfikacji z narodem, tylko ją pogłębia).

Moralizatorski subiektywizm w kwestii narodu to jednak tylko „pół biedy" – twierdzi Deschodt. Drugie „pół" ukrywa się za jakością tego ideału uniwersalnego, który Michnik nakazuje wcielać narodowi pod rygorem odmowy „uznania" go. Ten nieszczęsny ideał to sławetne „prawa człowieka", oczywiście też wyabstrahowane, na oświeceniową modłę, z całokształtu prawa naturalnego i nie liczące się z obyczajami i tradycją danego narodu, z warunkami realizacji dobra publicznego. W ten sposób, podobni Michnikowi wrogowie nacjonalizmu, malowanego najczarniejszymi barwami, a będącego w istocie wolą obrony różnorodności form egzystencji narodu, popadają sami w rzeczywistą dewiację jakobińskiego nacjonalitaryzmu, który - podług Maurrasa, o czym wspominał niedawno na łamach „NCz!" Marian Miszalski - oznacza dążność do całkowitego zglajszachtowania narodu, również – pod jednym strychulcem – obywateli.

Adam Michnik, konkluduje Deschodt, błądzi przede wszystkim intelektualnie. Jego analizy przesycone są licznymi fobiami, a jego koncept „narodu moralnego" wplątany jest w błędne koło subiektywistycznej logiki, która - pozbawiona styczności z realnością nacjonalizmu „ziemskiego" – grzęźnie na lotnych piaskach.

Nr 25/1991

MIT INWESTYCJI ZAGRANICZNYCH

JACEK CZABAŃSKI

Jednym z obecnie panujących haseł jest „otwarcie na Europę". Oznaczać to ma głównie dostosowanie polskich instytucji do standardów europejskich. Niektórzy standardom europejskim pragną podporządkować wszystko, inni tylko gospodarkę, jednak „wejście do Europy" stało się powszechnym hasłem. Jan Paweł II podczas ostatniej pielgrzymki ocenił to następująco: „Polska nigdzie nie musi wchodzić, Polska zawsze była w Europie". Również wielu autorów na łamach tego pisma z niejakim przerażeniem pisało o planach podporządkowania Polski socjalistycznemu rządowi w Brukseli. „Wejście do Europy" jest jednak nadal obowiązującym zawołaniem polskich elit. Jednym zaś z przejawów tej mody jest sprawa inwestycji zagranicznych.

Liberałowie zawsze wypowiadali się za równością szans. W tym wypadku również tak być powinno – nie dlatego, że jest to jakiś złoty środek, ale dlatego, że istnieje wiele argumentów za takim właśnie rozwiązaniem.

Handel i inwestycje opierają się na zaufaniu. Po pierwsze – do tego, że warunki prawne nie ulegną zmianie. Jeśli jednak zostaną uchwalone przywileje dla obcego kapitału, równie dobrze miesiąc później mogą zostać odwołane. A za następny miesiąc kapitał obcy może być dyskryminowany. Może tak się stać choćby z powodu faktu, że jakiekolwiek przywileje wzbudzają zawiść wymierzoną przeciw ich beneficjentom.

Po drugie – rząd jest po to, aby opiekować się swoimi obywatelami. Swoimi, a nie cudzymi. Byłoby co najmniej dziwne, gdyby stwarzał preferencje dla obcych.

Po trzecie – kapitalizm jest ustrojem naturalnym. To jest bardzo ważne. Nie narodził się w głowach kilku brodatych ludzi, lecz powstał jakby sam z siebie. Oznacza to, że każdy kraj może oprzeć się na ustroju kapitalistycznym bez pomocy z zewnątrz. Kapitalizm jest sil-

ny siłą wolnych obywateli. Obywateli prężnych i przedsiębiorczych. Jeśli jednak kapitalizm jest stanem naturalnym, to rozwija się stopniowo. Ludzie, którzy marzą o utworzeniu państwa opiekuńczego, nie interesują się stanem finansów. Ludzie, którzy chcą w Polsce kapitalizmu spokojnego, pragną go zbudować na podstawie właśnie kapitału obcego. Nie mają zaufania do przedsiębiorczości rodaków. Mówiąc prawdę, boją się jej. Jest jednak niewątpliwą prawdą, że jedynie wolna przedsiębiorczość tworzy dobrobyt. Państwa zachodnie przejadają teraz to, co wytworzyły wcześniej. Polska jest bankrutem.

Po czwarte – przypomnijmy sobie, kto stworzył dobrobyt USA. Wielkie międzynarodowe instytucje? A może miliony głodnych, biednych, lecz odważnych ludzi. Siłą kapitalizmu nie jest, jakby się wydawało, kapitał. Siłą kapitalizmu są wolni ludzie. Jak już jednak wspomniałem, nawet ludzie o orientacji prokapitalistycznej żywią nieufność do drobnych przedsiębiorców. Batalia o handel uliczny pokazała, że wielu zwolenników kapitalizmu nie rozumie jego istoty. Nie chcąc przyjąć tezy o „ładzie spontanicznym", pragną oni sami stworzyć ustrój kapitalistyczny. W tym celu agitują za jak najszerszym wprowadzeniem kapitału zagranicznego do Polski z jednoczesną dyskryminacją kapitału krajowego.

Po piąte – złudne jest mniemanie, że jeśli stworzymy preferencje dla kapitału zagranicznego, zjawi się on natychmiast w Polsce. Kapitał inwestuje głównie w rejonach stabilnych. Dopóki Polska nie stanie się krajem w pełni kapitalistycznym, dopóki przedsiębiorstwa prywatne nie będą dominowały w gospodarce, dopóty będzie istniała groźba przejęcia czy utrzymania władzy przez etatystów, a tym samym utrzymanie całkowitego uzależnienia większości obywateli od państwa. Polska będzie wówczas narażona na różne lewicowe zamieszki i rozruchy. I na pewno nie będzie krajem stabilnym.

Nie należy dać się zwieść pozornie kapitalistycznej postawie ludzi wołających o inwestycje zagraniczne. Pod tym hasłem kryją się autentycznie etatystyczne poglądy. Nie jest przypadkiem, że lansowano jednocześnie ideę tzw. Narodowych Funduszy Inwestycyjnych, które mają być zarządzane przez zagranicznych menadżerów. Jest również faktem, że wielkie firmy mają skłonność do wpływania na rząd w celu zapewnienia im prawnych monopoli i bynajmniej nie stają w obronie wolnej gospodarki. Tworzenie zagranicznych monopoli utrwali polski etatyzm. Równość szans dla każdego, brak preferencji, to postulaty liberalnego kapitalizmu. Zapewniają one wolność gospodarczą. A wolność gospodarcza gwarantuje wszystkie inne wolności.

Nr 6/1992

JACEK DĘBSKI *(ur. 6 kwietnia 1960 w Łodzi – zm. 12 kwietnia 2001 w Warszawie) – polski polityk i biznesmen.*

Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 80. związany z ugrupowaniami opozycyjnymi: w czasach studenckich działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, a później w Ruchu Młodej Polski (RMP), z którego został usunięty w 1988 z powodu wysłania do władz emigracyjnego Stronnictwa Narodowego listu, uznanego przez kierownictwo RMP za „szkalujący" środowisko Ruchu oraz wydawania podziemnego pisma „Myśl", które zdaniem kierownictwa Ruchu zawierało akcenty antysemickie. Jacek Dębski w tym okresie był też przewodniczącym łódzkich struktur Narodowego Odrodzenia Polski.

Od 1990 kierował łódzkim oddziałem Unii Polityki Realnej. W latach 1991-1992 pracował jako prezes RSW „Prasa-Książka-Ruch" zakładając w tym czasie m.in. spółkę EMPiK.

Dzięki poparciu Janusza Tomaszewskiego w grudniu 1997 objął stanowisko szefa Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki (UKFiT). W 1998 popadł w konflikt z władzami Polskiego Związku Piłki Nożnej z prezesem Marianem Dziurowiczem na czele. Decyzję o zawieszeniu władz związku odwołał wobec groźby wykluczenia polskich drużyn z rozgrywek międzynarodowych. W lutym 2000 został odwołany ze stanowiska szefa UKFiT przez Premiera RP Jerzego Buzka po tym, jak w wywiadzie dla Gazety Wyborczej zasugerował, że był namawiany przez wysokiego rangą polityka AWS do poszukiwania materiałów kompromitujących byłych szefów UKFiT Aleksandra Kwaśniewskiego i Stefana Paszczyka.

Po odejściu z polityki wszedł w kontakt z osobami prowadzącymi działalność przestępczą, m.in. z Jeremiaszem Barańskim, pseud. Baranina. 12 kwietnia 2001 roku został zamordowany w Warszawie przez zawodowego zabójcę z Chrzanowa Tadeusza Maziuka, pseud. Sasza. Wg ustaleń śledztwa za zamachem na jego życie stał Baranina, od którego Dębski żądał zwrotu pieniędzy. Za współudział w zabójstwie, na osiem lat więzienia skazano znajomą b. ministra sportu, 26-letnią wówczas, Halinę Galińską (Inkę). Zarówno Maziuk jak i Barański, zmarli później w areszcie – pierwszy w Warszawie, drugi w Wiedniu – popełniając samobójstwo

POLSCY LIBERAŁOWIE

Po raz pierwszy w naszej historii mamy liberalny w znacznej mierze rząd. Przed wojną było kilka zorientowanych na gospodarkę kapitalistyczna gabinetów, ale ówcześni politycy prawicowi unikali słowa „liberalizm". Obóz narodowy, mający w swych szeregach takich wybitnych liberalno-konserwatywnych polityków, ekonomistów i prawników jak Dmowski, Rybarski czy Bohdan Wasiutyński, potępiał wręcz idee liberalne. Potępienie wynikało zarówno z koniunkturalizmu, jak i zniekształcenia semantyki słowa „liberalizm",

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych znaczną rolę społeczno-polityczną odgrywał w Polsce Kościół katolicki, nauczający, że doktrynalny liberalizm jest grzechem. W tej sytuacji dbające o bliskie kontakty z hierarchią kościelną stronnictwa polityczne oficjalnie odcinały się od liberalizmu. Na słowo „liberalizm" nie było koniunktury. Po drugie – nadawano liberalizmowi znaczenie, którego nie miał, identyfikowano go z prądem odrzucającym programowo takie wartości jak etyka chrześcijańska, rodzina, naród. Co więcej, dla niektórych liberalizm był synonimem słowa „libertynizm". Dowodem na to, że był to skrajnie jednostronny pogląd, jest symbioza wartości liberalnych i konserwatywnych w ramach takich partii prawicowych jak Partia Republikańska w USA, Partia Konserwatywna w Anglii czy CDU i FDP w Niemczech.

Gdyby liberalizm istotnie był burzycielem porządku hierarchicznego stworzonego przez myśl konserwatywno-narodową, określenie „liberalny konserwatysta" byłoby nie odnajdującą swojego desygnatu w rzeczywistości hybrydą słowną. A przecież tak nie jest.

Zastanawia zatem upór, z jakim niektórzy politycy, identyfikują-

cy się z konserwatyzmem czy nacjonalizmem (w pozytywnym tego słowa znaczeniu), atakują dziś liberałów. Można rozumieć Kościół i konserwatywno-arystokratyczne partie i koterie XVIII, XIX i początku XX wieku zajmujące nieprzychylne stanowisko wobec liberalizmu dążącego do ograniczenia wpływów instytucji Kościoła. Ówczesny liberalizm rzeczywiście był w swoich przejawach antyklerykalny, ale antyklerykalizm ten miał podłoże polityczne, a nie filozoficzne. W momencie zwycięstwa klasy średniej i porządku kapitalistycznego liberalizm nie prowadzi walki z Kościołem – przeciwnie, widzi w etyce chrześcijańskiej walor wzmacniający afirmowany przez siebie porządek społeczno-gospodarczy.

Oczywiście mówimy tu o liberalizmie zakorzenionym w myśli Locke'a, Tocqueville'a i Tomasza Jeffersona, a współcześnie reprezentowanym przez Theatcher, Reagana, Hayeka i Novaka. W ogóle uważam, że słowo „liberalizm" należy identyfikować wyłącznie z tą formacją intelektualną i nazywanie liberałami polityków i ekonomistów pokroju Roosevelta czy Keynesa jest historycznie i merytorycznie całkowicie nieuprawnione.

Sławny prof. Hayek napisał w „Konstytucji wolności", że używanie słowa „liberalizm" bez długich wyjaśnień wywołuje bardzo dużo nieporozumień i jako hasło staje się bardziej balastem niż źródłem siły. Dlatego duże uznanie należy się ludziom współtworzącym Kongres Liberalno-Demokratyczny, że odważnie i raczej bez kamuflażu odwołują się do rzeczownika „liberalizm".

Oczywiście liberałom z KLD jest już dziś łatwiej przekonywać do wartości liberalnych i nie muszą zaczynać od podstaw, ponieważ Polska ma za sobą 10 lat misyjnej pracy Janusza Korwin-Mikkego i skupionych wokół niego ludzi. Przypuszczam, że ekscentryk w muszce jest obok Adama Michnika i Leszka Moczulskiego najbardziej zasłużonym politykiem ostatniej dekady, a bodaj czy nie całej powojennej historii Polski.

Michnik, niezależnie od jego dzisiejszych wyborów i zachowań, zasługuje na uznanie za zdolność stworzenia ruchu społeczno-politycznego potrafiącego wykorzystać przychylną koniunkturę i targnąć się na „świętość" komunizmu.

Moczulski przekonywał rodaków, że niemożliwe jest możliwe i ZSRS w ostateczności może zaakceptować suwerenność Polski,

Janusz Korwin-Mikke natomiast sprawił, że pękł w środowiskach opiniotwórczych mit klasy robotniczej i socjalizmu, a Polacy zaczęli z uwagą przyglądać się wartościom liberalnej, kapitalistycznej gospodarki.

Rzecz jasna, ci „trzej wieszcze" symbolizują jedynie wielki wysiłek

społeczeństwa polskiego na jego drodze do wolności; rzec można, że jest to mitologizacja na użytek historii, mitologizacja potrzebna narodowi zakochanemu w bohaterach i wielkich czynach wielkich jednostek.

Lech Wałęsa, powierzając p.Bieleckiemu misję tworzenia nowego rządu, obalił kasandryczne przepowiednie różnych środowisk politycznych, podejrzewających nowego prezydenta o tani populizm zagradzający drogę reformom gospodarczym. Wiadomo było, że w rządzie Bieleckiego znajdują się prawdziwi, nie tylko z nazwy, liberałowie, którzy za cel postawią sobie przyspieszenie budowy systemu finansowo-własnościowego odpowiadającego gospodarce wolnorynkowej. Janusz Lewandowski, jeden z najzdolniejszych ekonomistów w Polsce, oraz Andrzej Zawiślak, człowiek tyleż uroczy, co kompetentny – powinni dawać rękojmię powodzenia reform liberalnych. Oni, wraz z pp. Glapińskim (minister budownictwa), Machalskim, Arendarskim, Tuskiem, Szomburgiem, Mażewskim, stanowią trzon Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Jest to w tej chwili najsprawniej zorganizowana i najbardziej skuteczna partia liberalna w Polsce, a może nawet w Europie Środkowo-Wschodniej.

Co różni ją od drugiego co do znaczenia ugrupowania prokapitalistycznego w Polsce – Unii Polityki Realnej? UPR jest ideowo bardziej dogmatyczna (w dobrym tego słowa sensie), mniej skora do kompromisu, politycznie bardziej radykalna. W jej szeregach jest duży blok konserwatywny, nastawiony bardziej na pracę formacyjną, czuły na punkcie czystości ideowej, nieskory do angażowania się w politykę, tj. walkę o władzę, jeżeli groziłoby to erozją choćby tylko cząstki wyznawanych wartości. Wydaje się, że taka postawa może być przeszkodą w przeprowadzeniu skutecznej kampanii wyborczej. Jako członek UPR wolałbym, aby partia ta była zdolna do kompromisu ideowo-politycznego w zamian za możliwość współkształtowania ustawodawstwa polskiego. Dzisiaj wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem byłaby wspólna akcja wyborcza z Kongresem Liberalno-Demokratycznym, ale z wielu przyczyn możliwość realizacji takiego zamysłu należy postawić pod dużym znakiem zapytania.

Trzecią ideowo wykrystalizowaną formacją liberalną jest Forum Prawicy Demokratycznej. Jego program jest bardzo bliski programowi KLD, a fakt, że ugrupowania te znalazły się po przeciwnych stronach frontu, wynika zarówno z dokonania różnych wyborów politycznych, jak i rozgrywek personalnych w związku z „wojną na górze".

Nr 6/1992

KRZYSZTOF WITOLD DZIERŻAWSKI *(ur. 16 czerwca 1948 w Bielsku, zm. 28 stycznia 2004). Był czwartym z sześciorga dzieci Anieli i Janusza Dzierżawskich, nauczycieli szkół rolniczych. Studiował na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej, który ukończył w 1971. W 1976 roku wyjechał do Nadola, gdzie kierował budową górnego zbiornika komory wlotowej i kanału odpływowego Elektrowni Szczytowo-Pompowej „Żarnowiec". W 1982 roku wrócił do Warszawy. Otrzymał wówczas propozycję wyjazdu na prowadzoną przez Budimex budowę w Abu Graib. W 1986 założył własną, prywatną firmę budowlaną. W 1990 wstąpił do Unii Polityki Realnej, jednak nie znalazł u siebie predyspozycji do bycia politykiem. W 1991 roku został zaproszony do współpracy przez Centrum im. Adama Smitha i wkrótce został jego głównym ekspertem. Krytykował reformę emerytalną ZUS z 1999 roku jako realizującą przede wszystkim interes rynków kapitałowych.*

Dochodowy musi odejść

Podatek dochodowy znowu bohaterem dnia. W gorącej dyskusji zabierają głos reprezentanci różnych politycznych opcji. Kilka miesięcy temu spór o stawki podatku dochodowego o mało nie doprowadził do upadku parlamentu. Zadziwiające jednak, że zaciekłość sporu równa była (i jest) jego powierzchowności. Oto po stronie rządowej znaleźli się zwolennicy stawki 21 procent, opozycjoniści zaś to entuzjaści podatku 20-to procentowego. Tak, ten jeden punkcik zawiera całą różnicę w poglądach zwaśnionych stron. Co najzabawniejsze, przy zmianie ról wczorajsi propagatorzy podatku 20-to procentowego będą skandować *„dwadzieścia jeden”,* ci zaś dla których stawka 21 była wzorem doskonałości bez żenady podniosą porzucone przez dotychczasowych opozycjonistów transparenty z napisem *„20”*. Ten zgiełk wokół stawek podatku dochodowego ma jednak zaletę - daje asumpt do rzeczowej analizy istoty uregulowań związanych z zastosowaniem tego podatku w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat.

Zaczniemy od usystematyzowania przedmiotu analizy. Podzielimy podatek dochodowy na podatek od osób fizycznych (*personal tax*) i podatek od firm (*corporation tax*). Podatek od osób fizycznych ulegnie dalszemu podziałowi: na podatek od wynagrodzeń; podatek od świadczeń społecznych; podatek od działalności w biznesie i wolnych zawodów. Omówimy każdy z nich po kolei, biorąc pod uwagę aspekty gospodarcze, fiskalne, społeczne i moralne. Zanim przejdziemy do rzeczy jedno spostrzeżenie: system podatkowy, z którym mamy do czynienia został wprowadzony wraz z upadkiem gospodarki centralnie planowanej i był wierną kopią rozwiązań stosowanych w zachodniej Europie. Trudno się dziwić, że przyjęto wtedy taki właśnie sposób

	Istniejący	Alternatywny	Istniejący	Alternatywny	Istniejący	Alternatywny
Rodzaj podatku	**Podatek od świadczeń społecznych**	**Likwidacja**	**Podatek od dochodów pracobiorców**	**Liniowy podatek od funduszu płac**	**Podatek od dochodu firm**	**Ryczałt od przychodu**
Dochody	Bliskie absolutnemu zeru	Brak	150 bilionów[3]	150 bilionów	69 bilionów	Nie mniej
Koszty poboru	Duże, związane z obsługą ok. 10 milionów podatników	Nie ma żadnych	Duże. Indywidualne rozliczenie kilkunastu milionów podatników	Znacznie mniejsze	Ogromne, z pewnością przekraczające dochody z tego podatku	Wielokrotnie mniejsze
Skutki gospodarcze					Marnotrastwo zbędne wydatki i inwestycje	
Skutki społeczne	*Dotyczy podatku dochodowego.* Totalna, zorganizowana i wyposażona w nowoczesne środki techniczne inwigilacja jednostki przez specjalne służby państwowe. powszechna demoralizacja podatkowa i wystawienie na szwank autorytetu państwa.					

postępowania, ale... po kilku latach własnych doświadczeń pora na ocenę zainstalowanych przed kilkoma laty urządzeń.

Na początek podatek najłatwiejszy - od świadczeń społecznych, czyli rent, emerytur, zasiłków dla bezrobotnych, zasiłków chorobowych etc. Z fiskalnego punktu widzenia podatek ten nie przynosi żadnych dochodów, ponieważ jest w całości finansowany z budżetu państwa. Państwo nakłada ten podatek na siebie samo i z samego siebie go ściąga. Jednakowoż koszty tej operacji są ogromne: milionom świadczeniobiorców trzeba podatek co miesiąc (lub częściej) wyliczyć, odprowadzić do Urzędów Skarbowych, pobrać dotację budżetową, wysłać każdemu z klientów (ok. 10 milionów ludzi) informacje o uzyskanych dochodach, wypełnić i *wy*słać za nich (i do nich) zeznanie podatkowe, wszystko to przez lata archiwizować. Istnienie tego podatku mogłoby być uzasadnione jedynie progresją podatkową - dochody uzyskiwane ze świadczeń łączone są bowiem z pozostałymi dochodami i mogłoby się zdarzyć, że dzięki nim zostanie przekroczonej najniższy próg podatkowy. Jeśli tak się nawet stanie, będą to przypadki niezwykle rzadkie. Ograniczenie wysokości emerytury na bardzo niskim poziomie, ograniczenie dochodów z pracy przy równoczesnym pobieraniu świadczenia emerytalnego sprawiają, że dochody podatkowe wynikające z obciążenia świadczeń podatkiem wyższym niż najniższy próg skali podatku dochodowego są praktycznie równe zeru. Twórcom tego rozwiązania udało się więc stworzyć urządzenie doskonałe, swoiste *perpetuum mobile* na opak, urządzenie pobierające ogromną ilość energii i nie oddające nic w zamian. Można mieć tylko nadzieję, że jest ono jednak pozbawione atrybutu wieczności i uda się je zdemontować równie szybko jak zostało zbudowane. W tym celu wystarczy wszystkie świadczenia *„unettowić”* postępując odwrotnie niż przed kilkoma laty,

kiedy je *„ubruttawiano”,* i jednocześnie uznać, że świadczenia społeczne są wolne od podatku, tak jak 44 inne rodzaje przychodów (precedensów więc nie brakuje) wymienione w art. 21 Ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych. Nikt na tym zabiegu nie straci, zostaną za to zaoszczędzone ogromne środki pochłaniane dotąd przez aparat wymierzający i pobierający całkowicie iałowv podatek.

Podatek od dochodów stanowiących wynagrodzenie za pracę najemną zastąpił wcześniejszy podatek od wynagrodzeń. Z technicznego punktu widzenia nie ma miedzy nimi istotniejszej różnicy: w jednym i w drugim przypadku podatek wymierza(ł) i odprowadza(ł) do Urzędów Skarbowych pracodawca. O ile jednak dawniej procedura wymiaru podatku była niezwykłe prosta - podstawą był globalny fundusz płac – o tyle obecnie znacznie się ona skomplikowała, bowiem pracodawca prowadzić musi indywidualny rachunek podatkowy każdego zatrudnionego. Nie może być wątpliwości, że koszty tego skomplikowania, obciążające zarówno pracodawców, jak aparat skarbowy, są niemałe. Pytanie, co uzyskuje się w zamian? Załóżmy, że korzyścią dla fiskusa są wpływy uzyskiwane z progresji podatkowej. (Choć jest to korzyść wątpliwa, gdyż dawniej tę część dochodów uzyskiwano z podatku wyrównawczego). Gdyby bowiem podatek dochodowy miał charakter liniowy, cała gra nie byłaby warta świeczki. Dodajmy, że w *„tradycyjny”* sposób wymierzany i pobierany jest dotychczas *„podatek emerytalny”* – składki na ZUS i inne fundusze, znacznie zresztą przekraczające podatek dochodowy od wynagrodzeń. Tak więc, jedynym uzasadnieniem kosztownego – podkreślmy – skomplikowania podatku nakładanego na wynagrodzenia jest istnienie progresji podatkowej. Jednakowoż z Komunikatu Ministerstwa Finansów o rozliczeniu podatku dochodowego za rok 1993 wynika wszakże, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę odliczenia od podstawy opodatkowania, że wzrost dochodów z tytułu progresywnego opodatkowania wynagrodzeń miał charakter symboliczny – o ile w ogóle zaistniał. Z całą pewnością bilans kosztów i problematycznych zysków operacji zmiany opodatkowania wynagrodzeń jest ujemny. W takim razie uzasadnienia dla utrzymywania i progresywnego podatku dochodowego obciążającego wynagrodzenia można poszukiwać tylko w sferze ideologii, której wyznawcy głoszą zasadę: *Nawet jeżeli nikt nie zyska, niechaj bogaty straci.* Dodajmy, że *„bogaty”* oznacza w tym przypadku człowieka pracowitszego, zdolniejszego, umiejącego i chcącego wykorzystać swoje talenty.

Kolejnym rodzajem podatku od dochodów osobistych według naszej systematyki jest podatek od dochodów pochodzących z prowa-

dzenia na własną rękę działalności gospodarczej i od wolnych zawodów. Dotyczy on setek tysięcy placówek handlowych, usługowych i produkcyjnych, lekarzy, architektów, prawników itd. W zdecydowanej większości przypadków, tam zwłaszcza, gdzie odbiorcą towaru lub usługi jest osoba fizyczna, a nie instytucja, wszelkie próby ścisłego określenia dochodu muszą palić na panewce. Wydaje się, że fiskus ma niekiedy tego świadomość – wtedy pobiera podatek abstrahując od pojęcia dochodu, w formie takiego lub innego ryczałtu (karta podatkowa, ryczałt ewidencjonowany); niekiedy zaś ją traci i każe prowadzić skomplikowane operacje, mające na celu określenie dochodu. Rzecz jasna, dochód tak określony nijak się ma do dochodów rzeczywistych. Tu kryje się wyjaśnienie odnotowywanej w statystykach żałosnej kondycji finansowej sektora prywatnego z jednej strony i jego gwałtownej ekspansji z drugiej.

Dotąd analizowaliśmy ekonomiczną stronę regulacji związanych z podatkiem od dochodu osobistych. Wykazaliśmy niezbicie, że koszty ponoszone przez podatników, pracodawców i aparat fiskalny wielokrotnie przekraczają zyski płynące do skarbu (mówimy oczywiście o tej części zysków, która wynika ze skutków reformy podatkowej). Rozważymy teraz społeczne skutki nowych rozwiązań. Oczywistą konsekwencją atrybutu powszechności podatku dochodowego jest konieczność ponumerowania obywateli. Na początek wykorzystano w tym celu komputerowy system rejestracji obywateli, pochodzący jeszcze z czasów PRL-owskiego MSW – PESEL. Zauważmy jednak, że wówczas nie zastosowano tego systemu powszechnie. W sferze zainteresowania służb specjalnych nie znajdowali się bowiem wszyscy obywatele, lecz ci tylko, którzy świadomie podjęli polityczne działania wymierzone w system prawny PRL. Mogło być tych ludzi kilkadziesiąt, może kilkaset tysięcy. Nowy system wymaga jednak, by w komputerowym rejestrze znalazł się każdy obywatel i zestaw informacji o nim - jego miejscu zamieszkania, stanie rodzinnym, miejscach pracy, wysokości zarobków. To na początek. Projektowana ordynacja podatkowa każe informować służby fiskalne także o stanie majątkowym, a ich funkcjonariuszy wyposaży w prawo weryfikacji tych informacji w prywatnym mieszkaniu podatnika! Oczywiście, o ile powezmą „u*zasadnione podejrzenia" o* jego życiu ponad stan. Oznacza to, że tryb życia obywateli – każdego z nich – będzie przedmiotem obserwacji przez organa państwa.

Paradoks historii polega na tym, że ten system powszechnej inwigilacji wprowadzony został przez weteranów walk o wolność i demo-

krację, toczących heroiczne boje z totalitarnym ustrojem. Rzecz w tym, że tamten ustrój od roku 1956 z totalitaryzmem nic wspólnego nie miał (jeśli przez to pojęcie będziemy rozumieć powszechną kontrolę obywateli przez struktury państwa). Powiedzmy wprost - dwa pokolenia Polaków nie musiały się obawiać porannego dzwonka do drzwi, ponieważ mógł dzwonić tylko mleczarz. Już wkrótce okaże się, być może że u drzwi stoi także policja skarbowa. Nic ma mowy o symetrii z poprzednim ustrojem - powtórzmy: w przeszłości obawy o zainteresowanie własną osobą mogli żywić wyłącznie ludzie, którzy świadomie podjęli nielegalną działalność polityczną. Powszechny podatek dochodowy sprawia, że mało kto będzie od tych obaw wolny. Dwa miliony drobnych przedsiębiorców (i ich rodziny) obawiać się mogą choćby tylko własnej nieznajomości niezliczonej ilości wiecznie zmieniających się przepisów. Ludzie działający i zatrudnieni w *szarej strefie,* którzy znaleźli się tam nie ze względu na swoje przestępcze skłonności, lecz z powodu ekonomicznej konieczności, będą obawiać się, że ich pożyteczna działalność zostanie przez policję skarbową zdemaskowana. Składający zeznanie podatkowe nie będą pewni, czy właściwie je wypełnili. (Za poprzedniego reżimu człowiek nie starający się o paszport nic musiał NIC odpisywać przez całe życie).

Wreszcie kwestia moralności publicznej. Podatki to mają do siebie, że nikt nie płaci ich chętnie. Powszechny podatek dochodowy wciąga wszystkich do gry, polegającej na tym, że obywatele starają się zapłacić jak najmniej, korzystając w tym celu z mniej lub bardziej legalnych środków, a aparat państwowy robi wszystko, żeby przebiegłych podatników przechytrzyć, tak konstruując przepisy i organizując kontrole, by ściągnąć do skarbu jak najwięcej. Ofiarą tej gry pada autorytet państwa, które dla obywateli staje się tylko partnerem w nie najczystszej grze. Nie łudźmy się, że świadomość podatkowa będzie rosła wraz z krzepnięciem struktur wolnego państwa. To właśnie w krajach, w których szacunek dla państwa był szczególnie mocno zakorzeniony. To właśnie w krajach, w których szacunek dla państwa był szczególnie mocno zakorzeniony - w Niemczech, Szwecji, Kanadzie - *„przestępczość podatkowa”* jest zjawiskiem powszechnym. Oszustwa podatkowe w RFN szacuje się na kwotę 400 miliardów marek i jest to działalność społecznie aprobowana (patrz: „Rzeczpospolita” 8.08.95, *„Oszustwa podatkowe - niemiecki sport narodowy”).*

Zajmijmy się na koniec podatkiem od przedsiębiorstw. Podatek ten, jeśli pominąć dochody banków, przynosi zaskakujące małe wpły-

wy. W roku 1993 było to zaledwie 48 bilionów złotych, niespełna 5 procent wydatków publicznych! Większe wpływy przynoszą, każdy z osobna: podatek emerytalny (składki ZUS), VAT, akcyza, podatek od wynagrodzeń, cło z podatkiem importowym. Z drugiej strony, ogromne są koszty związane z jego wymierzaniem, unikaniem i ściąganiem. Przyjmijmy, że każda zarejestrowana firma wydaje na ten cel 2 miliony złotych miesięcznie (choć wiadomo, że dobry księgowy kosztuje co najmniej dziesięć razy tyle). W skali roku łączne wydatki firm wyniosą 48 bilionów. Uzupełnijmy ten skromny szacunek o koszty ponoszone przez aparat skarbowy oraz koszty materialne, a okaże się, że koszty poboru podatku dochodowego od przedsiębiorstw znacznie przekraczają wielkość samego podatku. Klasycy ekonomii wśród zasad, którym powinny odpowiadać systemy podatkowe umieścili tę: *„Każdy podatek powinien być tak pomyślany, by suma, jaką zabiera z kieszeni podatnika, lub do tej kieszeni nie dopuszcza, w najmniejszym stopniu przekraczała kwotę, jaką podatek ten wnosi do skarbu."*

Podatek dochodowy od firm zasadzie tej urąga. I choć dzisiejsze czasy zasadom nie sprzyjają, wydaje się, że nie znajdzie przeciwników propozycja, by podatek, którego koszty poboru przekraczają dochody, uznać po prostu za nierozsądny i jak najszybciej się z nim rozstać.

Podatek dochodowy ma jeszcze jedną, brzemienną w skutki społeczne i gospodarcze, wadę. Podstawa jego wymiaru stanowi różnica między przychodem a kosztami jego uzyskania. Zatem, im większe *będą* koszty, tym mniejszy zapłaci się podatek. Koszt staje się wielce pożądaną wartością. Tym bardziej pożądaną, im większa jest stopa podatkowa. 40-to procentowa stawka podatku dochodowego oznacza, że każdy zakup, który uda się umieścić w kosztach, w blisko połowie finansowany jest przez państwo. Ten nonsensowny system, w którym najmilej widzianym rezultatem bilansu jest strata, zachęca do niepotrzebnych, lub zgoła szkodliwych wydatków i inwestycji, które nie zostałyby nigdy poczynione, gdyby nie przekonanie przedsiębiorstw, że płacą tylko połowę ich wartości. Nie trzeba studiować psychologii zarządzania, by wiedzieć, że nie ma przyjemniejszej rzeczy, niż kupić sobie cokolwiek na cudzy koszt.

Kategoria dochodu jest z natury rzeczy nieprecyzyjna; wymaga zatem drobiazgowych, talmudycznych wręcz, interpretacji, wyjaśnień i komentarzy. Ich znajomość staje się z kolei całą gałęzią wiedzy, dla zwykłego śmiertelnika nigdy niedostępną. Stąd ogromne zapotrzebowanie na usługi biur rachunkowych i doradców podatkowych; stąd tysiące tomów poradników podatkowych - na temat np. *„samochód w bizne-*

sie”. Wydano w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat zapewne więcej książek, niż przedtem na całym świecie o samochodzie w ogóle, licząc od czasu jego wynalezienia w 1765 roku. Podatek dochodowy od firm najprościej zastąpić już przez Ministerstwo Finansów z powodzeniem wypróbowanym na najmniejszych podmiotach gospodarczych, podatkiem zryczałtowanym, stanowiącym procent od przychodów firmy (w bieżącym roku: 8,5 procent dla usług, 5,5 procent dla działalności wytwórczej i 3 procent dla handlu). Jest to podatek niezależny od mglistej kategorii *dochodu,* zatem stokroć łatwiejszy do obliczenia i dzięki temu o wiele mniej kosztowny. Gdyby podatek zryczałtowany zastosowano powszechnie w roku 1993 w takiej wysokości jak podane powyżej, to dochody skarbowe byłyby dwa i pół raza większe niż rzeczywiście uzyskane z podatku dochodowego. Tak więc, powszechne zastosowanie ryczałtu podatkowego pozwoliłoby zmniejszyć stawki podatku co najmniej o połowę, z tym samym rezultatem fiskalnym. Ryczałt podatkowy spotkać się może z zarzutem, że abstrahując od dochodu doprowadzi do ruiny firmy mniej sprawne, lub będące dopiero na dorobku. Zauważmy jednak, że zdecydowana większość podatków płaconych przez firmy jest od dochodu całkowicie niezależna (składka ZUS, VAT, akcyza, podatek od wynagrodzeń pracowniczych).

Dodajmy jeszcze jedną wadę do tego katalogu. Jest tajemnicą poliszynela, że podatnicy ujawniają tylko część swoich dochodów. Część nieujawnioną muszą przed fiskusem ukrywać. W ten sposób nie może ona znaleźć zastosowania w przedsięwzięciach trwałych, ale przeciwnie – kierowana jest na luksusową konsumpcję, często poza granicami kraju. Każdy podatek, którego podstawą nie będzie dochód jest od tej zgubnej w skutkach właściwości wolny.

Podsumujmy proponujemy tu racjonalizację systemu podatkowego, zmierzającą do jego uproszczenia i usunięcia tych regulacji, które są jawnie szkodliwe. Nie rozważamy zagadnienia - skądinąd równie ważnego - obniżenia podatków. Syntezę przedstawionych wyżej poglądów i postulatów zawiera zamieszczona niżej tabela. Mamy nadzieję, że ten tekst otworzy poważną debatę podatkową. Wierzymy, że argumentem rozstrzygającym w tej debacie nie będzie stwierdzenie: *„Ale tak jest na całym świecie!”* Zachęcamy do odrzucenia stereotypów i podjęcia rozważań nad istotą rzeczy.

Nr 41/1995

JAN ENGELGARD *(ur. 2 grudnia 1957 r. w Sycowie) – historyk, publicysta i samorządowiec. W 1983 r. ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 80. działał w koncesjonowanych przez władze PRL organizacjach katolickich, tj. Polskim Związku Katolicko-Społecznym i Stowarzyszeniu „Pax". Pracował jako komentator „Słowa Powszechnego", „Katolika" i „Kierunków". W latach 90. publikował w następcy „SP" – „Słowie – Dzienniku Katolickim" (będąc zastępcą redaktora naczelnego tego pisma). W okresie 2005-2006 pełnił funkcję członka zarządu województwa mazowieckiego. Później zatrudniony w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Jest redaktorem naczelnym tygodnika „Myśl Polska" i jego kontynuacji pod nazwą „Nowa Myśl Polska". Należał do Ligi Polskich Rodzin, z ramienia której bez powodzenia kandydował w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 r. i w wyborach parlamentarnych w 2005 r.. Pełni funkcję wiceprzewodniczącego zarządu głównego Ruchu Ludowo-Narodowego. Działa w Kresowym Ruchu Patriotycznym.*

„Mein Kampf", czyli marksizm á rebours

Wydanie w Polsce książki Adolfa Hitlera pt. „Mein Kampf" zamiast niepotrzebnej wrzawy, powinno skłonić ludzi myślących do zastanowienia się nad istotą zjawiska, któremu na imię narodowy socjalizm. Lewica reaguje alergicznie na samo wspomnienie Hitlera nie tylko dlatego, że był on nacjonalistą, rasistą itp., lecz także z powodu jego wyraźnych związków z ideologią socjalistyczno-rewolucyjną. Wszak nie bez przyczyny ruch przez niego stworzony był nie tylko „narodowy", ale i „socjalistyczny". Tymczasem z uporem twierdzi się, że nazizm to była ideologia prawicowa, zrodzona ze skrajnego nacjonalizmu. Taka interpretacja jest bardzo wygodna i służy po dziś dzień do dyskredytowania wszelkich ruchów prawicowych i narodowych. Sprytnie, prawda? A może by tak odwrócić role?

Czytając dzieło Adolfa Hitlera, nie sposób nie zauważyć, że jego myślenie jest odbiciem myślenia marksistowskiego. To prawda, że Hitler posługuje się innymi pojęciami niż marksiści, ale konstrukcja myślowa jest ta sama. Marksiści twierdzili, że dzieje ludzkości to walka klas, hitlerowcy zaś wierzyli, że osią dziejów jest walka ras. Czy dla losów świata ma znaczenie, czy jest on niszczony w imię walki klas, czy ras? Bieg wydarzeń udowodnił, że nie. Obie ideologie – marksistowska i narodowo-socjalistyczna – stawiały na pierwszym miejscu postulat zbudowania nowego ładu, odrzucenia tradycji i zerwania z ciągłością historyczną. Były więc rewolucyjne.

Istotą myślenia w duchu rewolucyjnym jest wręcz obsesyjne dążenie do zdobycia pełni władzy. Hitler przyznaje na kartach „Mein Kampf", że rewolucja francuska „odkryła sekret sukcesu w stworzeniu nowej, wielkiej idei". To właśnie przy jej pomocy udało się zmobilizować miliony ludzi i zdobyć władzę. Tą samą drogą poszły rewolucja bolszewic-

ka i włoski faszyzm. W tym kontekście narodowy socjalizm był niczym więcej, tylko udoskonaloną ideą rewolucyjną, czerpiącą z dorobku swoich poprzedniczek, ale i wnoszącą nowe, twórcze elementy.

Hitler był zafascynowany socjotechniką stosowaną przez marksistów. Nie ukrywał tego, opisując wielki wiec socjalistyczny w Berlinie: „Morze czerwonych flag, czerwonych szarf i czerwonych kwiatów dawało zewnętrzny obraz siły temu tłumowi (...). Czułem i rozumiałem, jak łatwo człowiek z ulicy pozostaje pod wrażeniem sugestywnej magii – takiego wspaniałego przedstawienia". Doceniał też, tak jak marksiści, znaczenie słowa mówionego. Zelektryzować tłumu, porwać go do wielkiego czynu nie da się przy pomocy nawet najbardziej sugestywnego artykułu w gazecie. Ale to samo grono ludzi porwane płomienną mową przekształcić się może w stado wilków. I o to chodziło Hitlerowi. Był jednym z najlepszych rewolucyjnych demagogów, obok Robespierre'a Dantona, Lenina, Trockiego, Mussoliniego...

Język rewolucji to język symboli. Nie chodzi więc o oddziaływanie na intelekt słuchacza, lecz o rozbudzenie w nim namiętności, a te tkwią przecież w każdym. W tym celu trzeba wmówić mu kilka prostych prawd, które zapamięta i w które uwierzy. A wtedy będzie już owładnięty myślą o spełnieniu snu i gotów do poświęceń. I byle tego doczekać. Rewolucje bowiem nie rozgrywały się w salach konferencyjnych czy w parlamencie, lecz na ulicy. W tej walce uczestniczyły miliony i ten żywioł należało skierować we właściwym kierunku. Doskonale rozumieli to marksiści i rozumiał to Hitler.

Istotne *novum*, jakie zastosowali hitlerowcy w rewolucyjnej agitacji, to posłużenie się hasłami narodowymi. Marksizm był z gruntu ideologią antynarodową; wmawiał robotnikom, że nie mają ojczyzny, że muszą odrzucić wszelkie uczucia patriotyczne. Był to ogromny błąd psychologiczny, bezwzględnie wykorzystany przez Mussoliniego i Hitlera. Łatwo było wykazać, że niechęć marksizmu do narodów i patriotyzmu bierze się stąd, że czołowi ideologowie tego nurtu byli Żydami. Wystarczało to powiedzieć – i wszystko stawało się jasne. Narodowy socjalizm usuwał ten wielki mankament – prócz socjalizmu dawał robotnikom poczucie dumy narodowej. To była główna przyczyna jego zwycięstwa nad marksizmem.

Ruch rewoluyjno-lewicowy podzielił się w ten sposób na dwa wielkie nurty: internacjonalistyczno-marksistowski i narodowosocjalistyczny. W łonie obu tych kierunków stopniowo wyłoniły się ośrodki preferujące zastosowanie metod totalnych, dążące do przechwycenia władzy za wszelką cenę. W ramach obozu marksistowskiego tym ośrodkiem stali się

bolszewicy; ich rolę w szeroko pojętym obozie narodowosocjalistycznym pełnili hitlerowcy. NSDAP odrzucała jałową koncepcję indywidualnego terroru, traktowała siłę jako element strategii politycznej, preferowała rozwiązania globalne (zdobycie władzy), odrzucając nic nie znaczące kompromisy. Tak jak bolszewicy, NSDAP bezwzględnie zwalczała inne odłamy tego samego nurtu, stopniowo je likwidując lub wchłaniając. Po dojściu do władzy wprowadziła rządy monopartii. Następnie przychodził etap eliminacji ideowców we własnych szeregach. Tę rolę w partii bolszewickiej spełnił Stalin, a w NSDAP Hitler. Ideowcy, którzy naiwnie wierzyli we wszystkie głoszone hasła, stawali się ciężarem i należało ich usunąć. Po tym pozostawała już tylko nieograniczona władza sprawowana przy pomocy monstrualnej machiny państwowej.

Można wykazać jeszcze kilka czynników łączących obie ideologie. Były to: rozbudowany mit wroga, który ciągle zagraża i którego należy zniszczyć, młodość szeregów czołowych oddziałów rewolucji, wypracowana idea misji mającej zbawić świat (najlepiej przy pomocy siły).

W sferze gospodarczej narodowy socjalizm nie był aż tak szaleńczy jak bolszewizm, ale był bez wątpienia kolektywistyczny. Pragmatyzm dyktował Hitlerowi utrzymanie własności prywatnej (głównie na wsi), ale cała gospodarka była podporządkowana państwu. Roman Rybarski tak określił system gospodarczy III Rzeszy: „Państwo uznaje zasadniczo przedsiębiorczość prywatną. Prawo własności jest święte – ale władza państwowa bierze na siebie, pod różnymi formami i tytułami, dyspozycję owocami tego świętego prawa własności. Państwo reguluje ceny, państwo zatwierdza plany gospodarcze. Przepisuje, co ma się produkować i jak się ma produkować. Od reglamentacji nie jest także wolna konsumpcja; poddano ją bardzo surowej dyscyplinie". Tak skonstruowany mechanizm mógł okresowo przynosić określone wyniki, ale na dłuższą metę skazany był na biurokratyczny uwiąd.

Narodowy socjalizm upadł szybciej niż marksizm, bo w swojej rewolucyjnej gorączce przekroczył wszelkie granice, mobilizując przeciw sobie wszystkich. Jego zbrodnie zostały potępione, realizatorzy jego polityki osadzeni i skazani. Tymczasem marksizm żył nadal, zdobywał nowe tereny i kolejnych zwolenników. I potrzeba było jeszcze kilkudziesięciu lat, by wreszcie wyczerpał swoją niszczycielską siłę. Ciosy zadane ludzkości przez narodowy socjalizm były straszne, ale ich oddziaływanie – krótkotrwałe. Marksizm był dotkliwszy, bo trwał długo. Dzisiaj, na kilka lat przed końcem wieku, możemy powiedzieć, że te dwie ponure księgi rewolucyjnego socjalizmu są zamknięte.

Nr 6/1992

TOMASZ GABIŚ *(ur. w 1955 r. w Nowych Skalmierzycach) – publicysta i myśliciel konserwatywny. Od kilku lat identyfikuje siebie jako postkonserwatystę. Początkowo studiował polonistykę. Ukończył germanistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 80. XX wieku działał w opozycji. Czynnie uczestniczył w redagowaniu i wydawaniu wydawnictw drugiego obiegu. W maju 1985 r. aresztowany przez Służbę Bezpieczeństwa i skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata. W 1987 r. był jednym z sygnatariuszy aktu założycielskiego Ruchu Polityki Realnej, później przekształconego w Unię Polityki Realnej. Działał w niej do połowy lat 90. W tym okresie publikował również artykuły w tygodniku „Najwyższy CZAS!". W latach 1991-2003 był redaktorem naczelnym pisma „Stańczyk". Członek honorowy Organizacji Monarchistów Polskich i Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego. Publikuje w „Nowym Państwie", „Arcanach", „Obywatelu" i „Opcji na Prawo".*

Kilka Przepowiedni

Przysłuchując się niektórym wypowiedziom polskich polityków, czytając rozważania publicystów politycznych mam niekiedy wrażenie, że nie bardzo rozumieją oni moment dziejowy, w którym się znaleźliśmy i że nie potrafią właściwie rozpoznać zarysowujących się już przyszłych konfiguracji politycznych.

Jest swoistym paradoksem lub ironią historii, że obecne elity polityczne i intelektualne Polski są częścią politycznego porządku światowego, który odchodzi w przeszłość. Przedstawiciele tych elit ulegają, całkiem zrozumiałemu, złudzeniu, że wraz z ich dojściem do władzy rozpoczął się powrót, po okresie komunistycznej hibernacji, do Europy i świata. Tymczasem nie ma powrotu do świata, który opuściliśmy zapadając w komunistyczny sen, gdyż ten świat przestaje istnieć w swym dawnym kształcie.

Słyszy się i czyta o powrocie do Europy, o członkostwie w EWG, a może i NATO, co rusz ktoś powtarza jak magiczne zaklęcia: Rada Europy, Parlament Europejski, Międzynarodowy Fundusz Walutowy itp. Nowe polskie elity polityczne ulegają iluzji, że są to elementy rzeczywistego, wypełnionego polityczną treścią porządku.

Tak naprawdę są to już tylko atrapy, byty pozbawione substancji. Ich czas już minął. Dzieje się tak z kilku powodów. Pierwszy to naturalnie rozpad Związku Radzieckiego. Upadek tego państwa ma swą przyczynę w tym, że nie można zbudować imperium na ideologii socjalistycznej. Dlatego rozpadł się Układ Warszawski i RWPG, teraz zaczynają wyłamywać się poszczególne republiki. Rosja będzie musiała powrócić do samej siebie, odrodzić się moralnie, politycznie i gospodarczo, aby móc odnaleźć nową formułę imperialną i za lat ileś tam rozpocząć na nowo ekspansję.

Drugi czynnik to postępujące - paralelnie do zwijania się Rosji – „zwijanie" się Stanów Zjednoczonych przejawiające się między innymi w opuszczeniu Europy. Dlatego rozpadowi Układu Warszawskiego odpowiada rozpad NATO, rozpadowi RWPG rozpad EWG.

Przypadek Stanów Zjednoczonych dowodzi, że nie można zbudować imperium na ideologii demokratycznej. USA, podobnie jak ZSRR będą musiały zredukować swoją obecność militarną i polityczną w wielu częściach świata. Dowodzi tego akcja nad Zatoką Perską. Celem tej akcji jest kontrola nad głównymi zasobami ropy naftowej po to, by móc w ten sposób kontrolować politycznie Europę i Japonię, które zależne są od bliskowschodniej ropy. Oznacza to, że elita polityczna USA nie widzi już możliwości bezpośredniego sprawowania hegemonii politycznej nad Europą i Japonią. Dowodzi tego zgoda Ameryki na zjednoczenie Niemiec.

Trzeba pamiętać, że już w 1943 roku Roosevelt i Churchill zgodzili się co do podziału Niemiec. Należy również spodziewać się, że już wkrótce Japonia zrzuci status państwa o ograniczonej suwerenności i wkroczy na arenę międzynarodowej polityki.

Sytuacja wewnętrzna w USA pogarsza się, konserwatywna kontrrewolucja nie powiodła się, waszyngtońska nomenklatura odparła atak. Wydatki budżetowe wzrastają cały czas, biurokracja płodzi coraz to nowe ustawy, które kosztują miliardy dolarów. Podobnie jak sowiecki komunizm tak amerykańskie „welfare state" kosztuje tak wiele, że niemożliwe staje się prowadzenie globalnej polityki. Postępować będzie „argentynizacja" Stanów Zjednoczonych, które cofać się będą do roli regionalnego mocarstwa leczącego rany zadane mu przez socjalnych reformatorów, przez twórców „welfare state" – proroków „nowego ładu", „nowych granic", „wielkiego społeczeństwa". Wszystkie te utopijne wizje wypaliły się tak samo jak ideologia komunistyczna. Pozostały rządy nomenklatury. Jedna nomenklatura toczy swe boje z Litwą czy Mołdawią, druga nomenklatura prowadzi groteskowe wojny z Panamą czy wojnę narkotykową, zaczyna snuć projekty obdarzenia niepodległością Quebecu, przyłączenia reszty Kanady do USA i zatroskana jest postępującą meksykanizacją Południa, a już niedługo będzie się musiała mocować z murzyńskimi aktywistami żądającymi wykrojenia im Czarnej Republiki,

Na naszych oczach wali się porządek polityczny stworzony najpierw w roku 1917 a później w 1945. W 1917 roku swoją częściową rewolucję zainicjował Wilson, a rewolucję totalną Lenin. Nastąpiła dynamizacja tradycyjnych europejskich pojęć i zasad politycznych, na

których opierała się zarówno polityka dynastyczna jak i państwowo-narodowa. Na miejsce Realpolitik, tajnej dyplomacji, ograniczonych wojen i „balance of powers" przyszedł globalny misjonaryzm, przekonanie, że należy przebudowywać cały świat. Zarówno Amerykanie jak i Sowieci dążyli do zbudowania „porządku światowego". Po jednej stronie mieliśmy Ligę Narodów, po drugiej Komintern. Polityka światowa w XX wieku określana była przez dwa zwalczające się mesjanizmy polityczne: demokratyczny i komunistyczny, oba posiadające wspólne korzenie; oba egalitarne, oba postępowe. Zwalczające się, ale i zawierające rozejm, co kazało niektórym mówić o osi Waszyngton-Moskwa. Ta oś była podstawą, na której opierało się „państwo światowe" podzielone na dwie prowincje - nad obiema powiewały sztandary z gwiazdami. Te prowincje podzielone były jeszcze na mniejsze obszary kontrolowane przez obie stolice i rządzone przez komunistów, postępowców, lewicowców, kolektywistów, socjalistów, etatystów, egalitarystów itd.

Dziś „państwo Światowe" rozpada się, zarówno ideologia komunistyczna jak i ideologia demokratyczno-egalitarnego welferyzmu wyczerpały się moralnie i politycznie. Nie starcza już pieniędzy na finansowanie projektów zrodzonych w głowach socjalnych inżynierów. Dobiega końca XX wiek. Kończy się również drugie tysiąclecie, co sprzyja pojawianiu się millenarystycznych wizji i antypolitycznych utopii. Ale wszystkie te wizje świata, w którym nie trzeba już będzie dokonywać rozróżnień miedzy „wrogami" a „przyjaciółmi" są tylko ostatnią próbą ratowania umierających ideologii i pękną szybko jak mydlane bańki.

Ci, którzy z nadzieją spoglądają w kierunku Nowej Wspanialej Zjednoczonej Europy niechaj wiedzą, że jeśli powstanie, to tylko po to, aby natychmiast się rozpaść. Wszystkie państwa będą zdane tylko na siebie, powstaną nowe konfiguracje i konstelacje polityczne, zacznie się gorączkowe poszukiwanie „wrogów", Gwiaździsty sztandar Zjednoczonej Europy mający zastąpić poprzednie sztandary z gwiazd, zostanie pospiesznie ściągnięty z masztu, rozpadająca się Jugosławia podgrzeje bałkański kocioł, neutralność Austrii straci sens, bońska republika ustąpi miejsca Rzeszy, którą będą chciały zneutralizować Anglia i Francja licząc zapewne na pomoc Polski mającej od wschodu sojuszników Niemiec: Litwę, Białoruś, Ukrainę.

Dodajmy do tego, że rozpoczęła się już wielka wędrówka ludów. Dekolonizacja – wspólne dzieło Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego zakończyła się całkowitą klęską. Miliony mieszkańców

tzw. Trzeciego Świata opuszczą zdekolonizowane w XX wieku terytoria, by przypuścić szturm na Europę. Chrześcijaństwo będzie musiało zmobilizować wszystkie swe siły, aby odeprzeć atak islamu. Demokratyczne państwo partyjne zbliża się do momentu kryzysowego. Cyrkulacja elit wchodzi w nowy cykl. Czeka nas era nie posthistorycznej harmonii, o której majaczą prorocy jednego sezonu w rodzaju Francisa Fukuyamy, ale okres nowych konfliktów, napięć, walk o nowy podział świata.

To nie historia się kończy, to kończą się „bezhistoryczne" wakacje. Wracamy, jak pisał angielski konserwatysta John Gray na klasyczny obszar historii, obszar rywalizacji mocarstw, tajnej dyplomacji, ruchów irredentystycznych i wojen. Winniśmy się na to przygotować. Im szybciej porzucimy złudzenia, tym lepiej dla nas. I dla Polski.

Nr 4/1991

Między nami, dworakami

Pan Stanisław Michalkiewicz z właściwą sobie elegancją zdemaskował nas („NCz!" nr 14) jako czytelników archiwalnych numerów „Zielonego Sztandaru". Pan Michalkiewicz, będąc w Poznaniu, dowiedział się podczas spotkania przy piwie, że postanowiliśmy zdemaskować Go jako „sługusa komuny". Artykuł p. Michalkiewicza dowodzi, że wewnątrzpartyjne spory wzniosły się na nowy, wyższy poziom: „krytykuję publicznie kolegów Iksa i Igreka, ponieważ kolega Z. powiedział mi przy piwie, że koledzy X. i Y. postanowili...". Jak tak dalej pójdzie, to już niedługo p. Michalkiewicz na łamach „NCz!" będzie gromił tego zbrodniarza, który w UPR -owskiej toalecie zamierza podobno napisać „Kolega W. jest głupi". W oczekiwaniu na te pasjonujące spory i polemiki pozwalamy sobie odpowiedzieć na pryncypialną, acz wesołkowatą krytykę ze strony p. Michalkiewicza.

Doprawdy jest rzeczą bardzo dziwną, że to właśnie nas – przeciwników lustracji i dekomunizacji, zwolenników tezy, że istnieje nierozerwalna ciągłość między PRL-em a III Rzeczpospolitą – ktoś może posądzić o to, że chcemy Go demaskować jako „sługusa komuny". To przecież nie dla nas, ale dla wielu autorów „Najwyższego CZASU!" takie demaskowanie jest chlebem powszednim, wręcz obowiązkowym rytuałem. Tę specjalność zostawimy przeto p. Michalkiewiczowi.

Nie bardzo też rozumiemy, dlaczego p. Michalkiewicz sądzi, że chcielibyśmy Go „zdemaskować". Wszak demaskować można tylko wówczas, gdy jest się przekonanym, że dana osoba ma coś wstydliwego do ukrycia. A żadnemu z nas nigdy przez myśl nie przeszło, że p. Michalkiewicz – czołowy antykomunista III Rzeczypospolitej – mógłby ukrywać przed członkami partii lub wyborcami jakieś frag-

menty swojej politycznej biografii. Gdy jednak przeczytaliśmy Jego tekst na nasz temat, ogarnęła nas przemożna ciekawość (ta słabość nie omija konserwatystów), aby sprawdzić, co właściwie mielibyśmy u p. Michalkiewicza demaskować. Pognaliśmy więc w te pędy do Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, żeby w pośpiechu przekartkować pożółkłe numery naczelnego organu prasowego Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, do których od 20 lat nikt nie zaglądał. I całkowicie potwierdziły się nasze przypuszczenia, że nie ma tam nic takiego, co można by zdemaskować. Co więcej, publicystyka p. Michalkiewicza na łamach naczelnego organu prasowego sojuszniczego stronnictwa PZPR-u dowodzi, że nawet w czasach „totalitarnego zniewolenia, pracując na wysuniętej placówce frontu propagandowego pod czujnym okiem cenzora, można było pisać rzeczy całkiem sensowne i pożyteczne". Nie ma żadnego powodu do popadania w nadmierną skromność, określając się jako „pracownik działu łączności z czytelnikami" – jak czyni to p. Michalkiewicz. Wszak Jego teksty ukazywały się także na pierwszej stronie „Zielonego Sztandaru".

Jak np. artykuł „Drugą Polskę budujemy piękniej", w którym znane hasło propagandy gierkowskiej zostało przez p. Michalkiewicza zręcznie przeformułowane po to, by skrytykować szpetotę PRL-owskiego budownictwa, czemu konserwatysta może tylko przyklasnąć. Wiele innych tekstów p. Michalkiewicza na łamach „Zielonego Sztandaru" w pełni potwierdza nasze poglądy, że nawet będąc „wmontowanym" w propagandowy aparat PZPR-u, można się było zeń – postępując zręcznie i inteligentnie – wyłamać i pisać rzeczy sensowne i pożyteczne dla czytelników. Tylko jakiś zajadły, „tępy antykomunista", który bezustannie domaga się przepraszania za PRL i każdą działalność publiczną w PRL-u uważa za „wysługiwanie się komunie", mógłby potępić p. Michalkiewicza za reportaż z wyprawy kutrem Wła-134, za reportaż o Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, o olimpiadzie wiedzy rolniczej, o ściganiu przemytników czy też o wodowaniu nowego statku. Nie ma znaczenia, że na pierwszej stronie mamy: dobre wiadomości z Władywostoku, przemówienie Piotra Jaroszewicza, skrót uchwały Sejmu „O dalszą poprawę wyżywienia narodu". Te bzdury doświadczony czytelnik opuszczał, by na stronie siódmej dowiedzieć się od p. Michalkiewicza czegoś na temat naruszania tajemnicy korespondencji czy prawnych aspektów pędzenia bydła po drogach publicznych. To były sprawy konkretne i dla czytelników ważne. Na jednej stronie jest o 65. urodzinach Piotra Jaroszewicza, 30-leciu MO i

SB, odznaczeniu Leonida Breżniewa w NRD orderem Karola Marksa, na innej mamy rzeczowe wywody p. Michalkiewicza na temat pomocy państwa dla zespołów rolników indywidualnych. Tu 57. rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, a tam sprawa stypendiów dla studentów; tu relacja z obrad XV Plenum KC PZPR, a tam problematyka małżeńskiej wspólnoty majątkowej; tu artykuł „W służbie przyjaźni polsko-radzieckiej" (o TPPR) i przemówienie Andrzeja Gromyki na uroczystej akademii z okazji rocznicy Wielkiego Października, a tam p. Michalkiewicz o istotnej dla producentów wikliny skupowej podwyżce cen tejże wikliny; tu o polityce rolnej PZPR, tam o nowym prawie budowlanym; tu o współdziałaniu PZPR i ZSL, a tam ważna sprawa spadku na książeczce PKO. Tu Edward Gierek na inauguracji roku akademickiego i artykuł o „ludziach w szaroniebieskich mundurach", a tam o odpowiedzialności spadkobiercy za długi podatkowe; tu sekretarz NK ZSL bredzi o „roli ZSL-u w społeczno-gospodarczych przemianach wsi polskiej", a dalej fachowa porada p. Michalkiewicza w sprawie odwoływania się do MSW w przypadku odmowy wydania paszportu *etc.*, *etc*.

Nie znaleźliśmy, jak widać, niczego, co mogłoby posłużyć do „zdemaskowania" p. Michalkiewicza. Wręcz przeciwnie – w pełni aprobujemy Jego inteligentną grę z cenzurą, Jego zręczność w przemycaniu treści ważnych i pożytecznych dla czytelników. Zapewne jakiś domorosły „tropiciel śladów" z „Gazety Polskiej" mógłby Mu mieć za złe drobne zdanko „o dynamicznie rozwijającej się gospodarce". Ale my? Był to przecież pusty rytuał werbalny, przejaw oczywistego w tamtej epoce kompromisu pozwalającego na pracę u podstaw, którego w żadnej mierze nie zamierzamy potępiać czy „demaskować". Ważne jest również i to, że doświadczenie zdobyte podczas wieloletniej pracy w redakcji „Zielonego Sztandaru" przydało się później p. Michalkiewiczowi w redagowaniu „Kursu" i „Najwyższego CZASU!".

Nie bardzo potrafiliśmy odgadnąć, co p. Michalkiewicz miał na myśli, pisząc o „zadaniach zleconych". Rozumiemy, że świadom swojej roli na polskiej scenie politycznej p. Michalkiewicz podejrzewa, że jacyś potężni i bogaci wrogowie chcieli Go „zdemaskować" przy pomocy pożółkłych teczek „Zielonego Sztandaru". Bogaci musieliby oni być, dlatego że wiele pieniędzy zażądalibyśmy za mozół przeturlania się po organie satelickiej partii PZPR-u; mozół, którego doprawdy nie wynagradza w pełni lektura ówczesnych tekstów p. Michalkiewicza, tekstów fachowych i kompetentnych, no i napisanych w tym samym stylu, jaki odnajdujemy dziś na łamach tygodnika „Najwyższy

CZAS!". Nie bardzo też zrozumieliśmy aluzję o tych dwóch urzędnikach na dworze Ludwika XIV, których zadaniem było analizowanie zawartości królewskiego nocnika. Czyżby *per analogiam* nasza lektura archiwalnych roczników „Zielonego Sztandaru" była „grzebaniem w nocniku" w celu analizy metabolicznych wydzielin p. Michalkiewicza? Naszym zdaniem porównanie „Zielonego Sztandaru" do nocnika to mimo wszystko ocena nazbyt surowa. I na koniec jeszcze jedno: p. Michalkiewicz sugeruje, że jesteśmy dworakami w Pałacu Namiestnikowskim. Bycie dworakiem to dla nas, konserwatystów nic hańbiącego. Czy nie jest jednak przejawem pewnego faryzeizmu, gdy na temat dworactwa wyzłośliwia się ktoś, kto przez 10 lat brał pensję za pracę w dworskim organie prasowym p. Gucwy?

Od redaktora Stanisław Michalkiewicza: Widzę, że Koledzy się przyłożyli do pracy. Każda gorliwość zasługuje na pochwałę. Przy okazji wyjaśniam, że do Poznania nie przyjechałem „na piwo", ale byłem tam oficjalnie, na spotkaniu z Zarządem Oddziału Wielkopolskiego, i w taki sposób dowiedziałem się o archiwalnych pasjach. Cóż mogę na to powiedzieć? Ano, róbta tak dalej.

Nr 15/1995

ROBERT GWIAZDOWSKI *(ur. 1960 w Warszawie) – polski prawnik i ekonomista, komentator gospodarczy, ekspert w dziedzinie podatków w Centrum im. Adama Smitha, doktor habilitowany nauk prawnych.*

Absolwent Liceum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie (1979), a następnie Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w 1984 roku ukończył studia z wyróżnieniem i jednym z najlepszych wyników w historii Wydziału. W okresie stanu wojennego był przewodniczącym samorządu studentów. Pracownik naukowy Instytutu Nauk o Państwie i Prawie UW ze specjalizacją w zakresie historii myśli politycznej i prawnej. W roku 1994 na tym samym wydziale obronił pracę doktorską z zakresu nauk prawnych pt. Milton Friedman i Russell Kirk a style politycznego myślenia w amerykańskiej filozofii konserwatywnej.

Szef Komisji Podatkowej Centrum im. Adama Smitha oraz arbiter w Sądzie Arbitrażowym przy Krajowej Izbie Gospodarczej w Warszawie. Ponadto prowadzi własną działalność w zakresie doradztwa ekonomiczno-prawnego.

Od marca 2006 do września 2007 jako przedstawiciel Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej przewodniczył Radzie Nadzorczej ZUS.

Znany ze swoich komentarzy na tematy społeczno-gospodarcze w prasie, radiu i telewizji. Częsty gość popularnego programu TVP o tematyce gospodarczej Plus Minus, oraz programu Bilans nadawanego przez TVN24. W swoich komentarzach i artykułach często prezentuje poglądy wolnorynkowe, podkreśla rolę wolnego rynku w kształtowaniu procesów gospodarczych oraz wpływ wysokiego opodatkowania pracy i źle zorganizowanego systemu świadczeń socjalnych jako źródeł bezrobocia.

Pragmatyczna czekolada

W okresie stanu wojennego wśród „kolejkowiczów" próbujących realizować kartki na „wyroby cukiernicze" krążyło dowcipne pytanie o to, kiedy nie będzie już kłopotów z kupieniem czekolady. Odpowiedź brzmiała, „gdy fabryka 22 lipca dawniej E. Wedel, będzie się nazywała E. Wedel, dawniej 22 lipca".

Normalność inaczej

Szkoda więc, że historyczne przekształcenia, jakie dokonują się w Polsce, tak mocno doświadczają spadkobiorców sławnej rodziny Wedlów. Los ich przedsiębiorstwa miał stać się probierzem powrotu do normalności. Stał się natomiast symbolem „normalności inaczej". Najpierw „pragmatycznie" potraktowali sprawę „pragmatyczni liberałowie" z KLD, którzy zawładnęli Ministerstwem Przekształceń Własnościowych. Przeprowadzili prywatyzację Wedla nie licząc się z jakimikolwiek roszczeniami prawowitych właścicieli. Po oddaleniu przez sąd wojewódzki w Warszawie rewizji pełnomocnika spółki E. Wedel, na wyrok sądu rejonowego w sprawie zakazu posługiwania się przez tę spółkę nazwiskiem Wedla bez zgody jego spadkobierców, wydawało się, że sprawiedliwości stało się zadość. Jednak nowym pragmatyzmem wykazało się Ministerstwo Niesprawiedliwości, kierowane przez znanego „liberała" Włodzimierza C. Teraz wyraźnie widać, że w trakcie ostatniej kampanii wyborczej nie bez przyczyny towarzysze „liberałowie" z KLD i SLD kłócili się o to, kto komu „ukradł" program.

Znacjonalizować nazwisko

Pani wiceminister Jadwiga Skórzewska-Łoś raczyła wnieść rewizję nadzwyczajną od wyroku sądu wojewódzkiego w sprawie spadkobior-

ców Emila Wedla przeciwko spółce posługującej się bez ich zgody nazwiskiem ich przodka.

Pani minister zarzuciła sądom „rażące naruszenie" ustawy z dnia 3 stycznia 1946 roku, zwanej nacjonalizacyjną, która jej zdaniem, pozwalała znacjonalizować całe przedsiębiorstwo prowadzone przez spółkę akcyjną Emil Wedel i Syn Fabryka Czekolady, łącznie z firmą spółki.

W związku z powyższym należałoby przypomnieć pani wiceminister, że jest ona prawnikiem, który powinien dbać o prawny sens swoich wypowiedzi. Poza tym zajmuje ona stanowisko co prawda polityczne, ale jednak w resorcie sprawiedliwości, która jest podobno *„ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej"*. Z szacunku dla tej sprawiedliwości i dla akademickich nauczycieli pani wiceminister na Wydziale Prawa, powinna ona „zmiarkować" w swoich wypowiedziach.

Gdyby pani wiceminister nieco bardziej uważała na zajęciach uniwersyteckich, albo zadała sobie obecnie trud przeczytania kodeksu handlowego, zwróciłaby może uwagę na jego artykuł 29, który stwierdza wyraźnie, że nazwiska osób nie mogą być umieszczone w firmie spółki bez ich zgody lub zgody ich spadkobierców.

Czym można obracać?

Skupmy się jednak na przepisach kodeksu handlowego, który, jak widać, że nie jest najlepiej znany pani wiceminister, tylko na znacznie bliższej jej sercu ustawie nacjonalizacyjnej.

Po pierwsze: można co prawda stwierdzić wyższość „matematyki socjalistycznej" nad „matematyką" i zadekretować, nawet aktem rangi ustawowej, że „2+2=5". Jeżeli jednak na podstawie tego typu obliczeń będziemy chcieli budować dom, to się on zawali, co unaoczniły doskonale doświadczenia wszystkich krajów próbujących wprowadzać socjalizm, od Kuby poczynając, a na Szwecji kończąc. Tak, jak nie można zadekretować, że 2+2=5, tak też nie można znacjonalizować nazwiska. Jeżeli bowiem możnaby je było znacjonalizować, to znaczy, że nazwisko mogłoby być przedmiotem obrotu prawnego.

Państwo nie przejęło

Po drugie: ustawa nacjonalizacyjna sama przez się nie powodowała *„przejęcia na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej"*. Tworzyła jedynie podstawę dla właściwych ministrów do orzekania o przejęciu na własność państwa konkretnych przedsiębiorstw.

Artykuły 2 i 3 wskazywały, jakie przedsiębiorstwa mogły podlegać nacjonalizacji, zaś artykuł 6 określał, co mogło być przejęte na podstawie odpowiedniego orzeczenia nacjonalizacyjnego. Dopiero bowiem w dacie wydania tego orzeczenia konkretne przedsiębiorstwo przechodziło na własność państwa. A więc o zakresie nacjonalizacji w konkretnym przypadku decydowała treść konkretnego orzeczenia, a nie ustawy.

Paragraf 75 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 30 stycznia 1947 roku stwierdzał, że właściwy minister w orzeczeniu ustali, które składniki majątkowe objęte protokółem zdawczo-odbiorczym stanowią część składową przedsiębiorstw i przechodzą na własność państwa. Tym samym o zakresie nacjonalizacji przesądzała treść odpowiedniego „protokołu zdawczo-odbiorczego", będącego integralną częścią orzeczenia nacjonalizacyjnego.

W opasłym protokole dotyczącym przedsiębiorstwa prowadzonego przez spółkę akcyjną Emil Wedel i Syn Fabryka Czekolady wymienione jest przysłowiowe „mydło i powidło". Obok całego majątku ruchomego i nieruchomości wymieniony jest tam również znak towarowy będący autografem Emila Wedla. Nie ma natomiast firmy pod jaką spółka prowadziła swoje przedsiębiorstwo. A więc państwo nie przejęło na własność ani spółki, która w dalszym ciągu figurowała w Rejestrze Handlowym pod niezmienioną firmą, ani samej firmy, nie tylko dlatego, że nie mogło (o czym była mowa powyżej) ale także dlatego, że nie chciało. Potwierdza ten fakt szereg okoliczności faktycznych i prawnych.

Tak zwana Polska Rzeczpospolita Ludowa nie była zainteresowana ani spółką jako taką, ani firmą pod jaką była ona prowadzona, tylko jej majątkiem. Wołano firmę organizacyjną przedsiębiorstwa państwowego, a nie „jakiejśtam" burżuazyjnej spółki i wspaniałą nazwę *„22lipca"*. Dopisek *„dawniej E. Wedel"* pojawił się pod lipcową datą dopiero wówczas, gdy okazało się, że pod starą nazwą wyroby fabryki były lepiej sprzedawane. Z upływem lat zmieniały się proporcje. Historyczna data pisana była coraz mniejszymi literami, słowo *„dawniej"* zastąpiła mikroskopijna literka *„d",* a nazwisko E. Wedel było coraz bardziej eksponowane.

Fakt, że firma spółki nie została przez państwo przejęta potwierdza także, i to w sposób jednoznaczny, treść orzeczenia z dnia 27 grudnia 1951 roku. Jest w nim mowa o przejęciu przez Zakłady Przemysłu Cukrowniczego w Warszawie „przedsiębiorstwa stanowiącego własność Spółki Akcyjnej E. Wedel". Pani wiceminister powinna umieć odróżnić *„przedsiębiorstwo będące własnością spółki"* od spółki jako ta-

kiej. Zapewniam, że jest to różnica zasadnicza. A wiedza na ten temat stanowi dla prawnika elementarz, podobnie jak dla pierwszoklasisty dodawanie w zakresie 2+2.

Po trzecie: wydaje się, że na uwagę zasługuje jeszcze jedna okoliczność. Otóż ustawa nacjonalizacyjna wyraźnie stwierdzała, że orzeczenia nacjonalizacyjne mogą być wydawane do dnia 31 grudnia 1946 roku.

Oczywiście w socjalizmie nic się nigdy nie udaje. Nie było więc powodów, żeby w zaplanowanym terminie udała się nawet nacjonalizacja. Dlatego w dniu 30 grudnia 1946 roku opublikowany został dekret zmieniający niewygodny dla komunistów termin. Wbrew elementarnym zasadom prawa wszedł on w życie w dniu ogłoszenia bez jakiejkolwiek vacatio legis.

Ale pomijając ten niewygodny dla niektórych fakt, trzeba przypomnieć, że według znowelizowanego przepisu, orzeczenia nacjonalizacyjne mogły być wydawane tylko wówczas, jeżeli przed dniem 31 marca 1947 roku zostało wszczęte postępowanie o przejęciu danego przedsiębiorstwa na własność państwa. Orzeczenie o przejęciu przez państwo przedsiębiorstwa Wedlów wydane zostało w roku 1951. W związku z tym rodzi się pytanie: czy istnieje dowód na to, że postępowanie nacjonalizacyjne zostało wszczęte przed 31 marca 1947 roku. Bo jeżeli nie...

Nr 40/1994

X. HENRYK JANKOWSKI *(ur. 18 grudnia 1936 r. w Starogardzie Gdańskim) – ksiądz katolicki, kanonik, od 1990 r. prałat i kapelan honorowy papieża, kapelan „Solidarności", wieloletni proboszcz parafii św. Brygidy w Gdańsku. Odsunięty od sprawowania tej funkcji w roku 2004 r. Związany blisko z ruchem „Solidarności" i opozycją antykomunistyczną w PRL. Po 1989 r. Henryk Jankowski ze względu na swoje działania zaczął być określany przez przedstawicieli polskiej lewicy jako postać kontrowersyjna. W 1997 r. został ukarany zakazem głoszenia kazań na 12 miesięcy przez arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego za wypowiedziane podczas homilii ostrzeżenie, że „nie można tolerować mniejszości żydowskiej w polskim rządzie". Po raz kolejny głoszenia kazań arcybiskup Gocłowski zabronił prałatowi w 2004 r., odwołał go też wówczas z probostwa parafii św. Brygidy. W sierpniu 2008 r. następca arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego, arcybiskup Sławoj Leszek Głódź, cofnął prałatowi zakaz głoszenia kazań.*

Antysemityzm

Pisemna wersja kazania wygłoszonego 18 czerwca 1995 r. w Bazylice św. Brygidy w Gdańsku

Dzisiejsza homilia i moje słowo skierowane do Was poświęcone będzie wydarzeniom ostatnich dni. Wiele było różnych opinii po kazaniu, jakie wygłosiłem w poprzednią niedzielę. W związku z tym w środę wystosowałem specjalne oświadczenie, którego treść dostarczyłem wszystkim mediom publicznym. Niestety, jego treści nie opublikowano, wtrącając jedynie w komentarze jego krótkie wyjątki. Podobnie Telewizja Polska nie opublikowała całości moich wypowiedzi, jakie przedstawiłem przed kamerami, cenzurując to, co było niewygodne. Dlatego też czuję się w obowiązku przytoczyć tu treść oświadczenia i parę słów komentarza, jaki nasuwa mi się w tej całej sprawie. W związku z komentarzami prasowymi i wystąpieniami różnych osób po moim kazaniu w dniu 11 czerwca br., oświadczam, co następuje:

Polska po kilkudziesięciu latach okupacji, najpierw hitlerowskiej, a potem sowieckiej, odzyskała niepodległość oraz suwerenność państwową. Jednocześnie – miejmy nadzieję, że na zawsze – został zamknięty rozdział historii komunistycznego systemu totalitarnego. Zostało przywrócone prawo swobodnej oceny rzeczywistości i faktów historycznych oraz swobodne prawo ich wypowiadania. Sądzę, że jako Polak, obywatel demokratycznego państwa, mogę z tego korzystać. Będąc kapłanem, staram się oceniać wszystkie fakty zgodnie z nauką i posłaniem Kościoła Powszechnego. Jest moim obowiązkiem dostrzegać zło, jakie istnieje wokół nas, i reagować na nie. Nie mam na myśli jedynie przekraczania prawa, gdyż od ścigania tych prze-

stępstw są organy policji i Ministerstwa Sprawiedliwości. Mam na myśli zło ukryte, które rodzi się w sercach i umysłach, a w świecie jest skrzętnie ukrywane i utajniane. Gwiazda Dawida jest nie tylko symbolem Państwa Izrael, jest symbolem narodu żydowskiego. Żydom w życiu publicznym zdarza się, jak wszystkim, popełniać bardzo niecne uczynki, podobnie jak i wielce szlachetne. Mam na myśli przede wszystkim ich działalność jako bankierów i finansistów. Wiele ludzkich tragedii było skutkiem tej działalności. Ta prawda ma nie tylko wymiar historyczny, ale znajduje również potwierdzenie w świecie współczesnym. Należy przy tym zauważyć obszar działalności politycznej i aktywności we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Te wszystkie elementy, ta szatańska pazerność – można to powiedzieć z całą pewnością – były przyczyną powstania komunizmu i doprowadziły do wybuchu II wojny światowej, największej zbrodni w dziejach ludzkości. Sedno sprawy jest w tym, że na rzeczową krytykę nigdy nie podejmuje sie merytorycznej dyskusji, tylko głośno oskarża się o antysemityzm. Gdy Rabin Awi Weiss bezcześcił krzyże w Auschwitz-Birkenau, panowało milczenie. Nikt wówczas tych czynów nie potępił jako antypolskie, bo były antychrześcijańskie. Moja argumentacja może zdawać się dla niektórych kontrowersyjna, ale za takie same uważam histeryczne komentarze niektórych publicystów. Najwyższy czas, abyśmy wobec faktów i procesów historycznych nabrali pokory i zastanowili się nad sobą. Kontynuuję myśl: „narodzie, obudź się – dokąd zmierzasz?". Nasz naród musi zająć należne mu miejsce wśród nacji chrześcijańskiej Europy. Nie mogą nami rządzić ci, którzy w duchu mają inną mentalność i reprezentują inne, niepolskie interesy. Odzew pokaże nazwiska i osoby. Nie było to wystąpienie antysemickie i godzące w dialog z judaizmem. Dialog z judaizmem dotyczy kwestii wiary i dogmatów oraz zbliżenia obu religii. Moje wystąpienie nic w tej kwestii nie zmienia. Tyle samo oświadczenie. W piątek pan prof. Tadeusz Zieliński – Rzecznik Praw Obywatelskich – wystąpił z mocy swego urzędu i włączył się również w kampanię protestów, jakie kierowane są wobec mojej osoby. Staram się zrozumieć intencje, jakie kierowały Szanownym Panem Profesorem, ale trudno nie zauważyć niekonsekwencji i stronniczości w jego działaniu.

Panie Rzeczniku! Pytam się:

Dlaczego nie zabiera Pan głosu wtedy, gdy rzeczywiście obraża się Naród Polski i Polaków?

Dlaczego nie zabiera Pan głosu, gdy Jerzy Urban co tydzień szkaluje Polaków, bezcześci polskie symbole narodowe i atakuje w niewy-

bredny sposób Kościół katolicki, naśmiewając się i wyszydzając Ojca Świętego Jana Pawła II?

Dlaczego nie przeszkadza Panu drukowany w nakładzie prawie miliona egzemplarzy tygodnik „NIE", dla którego godność osoby ludzkiej, człowieczeństwo, szacunek, autorytet – to puste słowa?

Dlaczego nie poczuwa się Pan do obrony godności Polaka-katolika, gdy Żydzi niszczą krzyż w polskim Oświęcimiu?

Kieruję te pytania stąd, z Gdańska, z ambony Bazyliki św. Brygidy. Kieruję je w imieniu swoim i wiernych, którzy się tu gromadzą. Może w ten sposób dotrą do Pana i Pan także odpowie sobie na pytanie: „narodzie, obudź się – dokąd zmierzasz?

Czyż nie dotarło do Pana wołanie Ojca Świętego o „spychaniu ludzi wierzących na margines życia społecznego w Polsce"? Naród polski – w większości katolicki – oczekuje od Pana jasnej i czytelnej postawy, obrony praw większości, naturalnie z poszanowaniem praw mniejszości.

Chciałbym także ustosunkować się do meritum sprawy – oskarżeń o antysemityzm, wrogość wobec mniejszości narodowych, szowinizm i innych wyssanych z palca zarzutów.

Aby dogłębnie uświadomić sobie te pojęcia, należy odpowiedzieć wpierw na pytanie: co to jest antysemityzm i jak go należy rozumieć?

Od czasu wprowadzenia w latach 70. ubiegłego stulecia pojęcia antysemityzmu przez głośnego francuskiego filozofa i sławnego pisarza Ernesta Renana do powszechnego użycia, narosło wokół tego terminu wiele nieporozumień.

Pierwotnie oznaczał on najogólniej wrogość wobec Żydów. Niełatwo dociec, jakie były źródła tej wzrastającej niechęci. Początkowo ten otaczający żydowską diasporę w krajach muzułmańskich i chrześcijańskich antagonizm wynikał zapewne z różnic religijnych, obyczajowych i językowych, a rozszerzał się i przybierał postać bojkotów i pogromów przez zaostrzenie się sprzeczności ekonomicznych. Żydzi bowiem skupiali w swych rękach pośrednictwo handlowe i gromadzili skrzętnie kapitał, opanowując obrót pieniężny. Plutokracja Rotszyldów, czyli panowanie i władza ludzi bogatych, stawały się symbolem żydowskiej, wszechwładnej finansjery.

W latach końcowych XIX wieku, a zwłaszcza w wieku XX, wrogość wobec żydostwa przybrała postać doktryny i praktyki politycznej, zamierzającej do wyeliminowania lub ograniczenia wpływów żydowskich w polityce, gospodarce i kulturze. Motywem głównym bywał zarówno antagonizm religijny – choć chrześcijan, muzułmanów

i żydów łączy wiara w jednego Boga – jak i narodowy czy rasowy. W pierwszym przypadku zwracał się przeciwko wyznawcom religii mojżeszowej, w drugim – przeciwko ludziom narodowości żydowskiej, wreszcie w trzecim – najbardziej złowrogim – przeciwko ludziom mającym w swych żyłach nawet ślad krwi żydowskiej. Skrajnym i zbrodniczym przejawem tego ostatniego był rasizm nazistowski, który doprowadził do usiłowania fizycznej eksterminacji wszystkich Żydów. Holokaust – ten potworny plan – został metodycznie zrealizowany w Europie, gdzie zgładzono z zimną krwią około 5 milionów Żydów, nie wyłączając starców, kobiet i dzieci. Nie możemy zapomnieć jednak, że dojście do władzy Adolfa Hitlera i jemu podobnych zbrodniarzy spod znaku swastyki było wyrafinowanym planem bankierów i finansistów, w dużej mierze pochodzenia żydowskiego.

Najważniejszym i podstawowym celem ich działań było nakręcenie koniunktury światowej i zrobienie na tym dobrego interesu. Jak krótkowzroczna była ta polityka, mieli się oni przekonać już niebawem.

Wcześniejsze próby uszczęśliwienia ludzkości, których rezultatem było zbudowanie nieco odmiennego, równie zbrodniczego systemu – komunizmu – doprowadziły do eksterminacji dziesiątków milionów istnień ludzkich.

Reakcją na zbrodnie hitlerowców było zgodne potępienie antysemityzmu w świecie cywilizowanym, antysemityzmu rozumianego jako forma dyskryminacji religijnej, narodowościowej i rasowej. Jednakże niektórzy Żydzi, zwłaszcza ci z nacjonalistycznych środowisk syjonistycznych, poczęli uznawać za antysemityzm każdą negatywną ocenę zbiorowości żydowskiej, jej pojedynczych cech lub działań, a nawet indywidualnych właściwości osób pochodzenia żydowskiego, choć stanowisko takie nie ma oczywiście nic wspólnego z antysemityzmem.

Dochodzi w ten sposób do paradoksu, że każda krytyka wobec Żydów lub Żyda, bez względu na to, czego dotyczy, jest ogłaszana jako przejaw antysemityzmu. Tworzy się otoczkę nietykalności wokół grupy narodowościowej lub religijnej, choć jest sprawą bezdyskusyjną, że wśród Żydów są zarówno ludzie szlachetni i kryształowo uczciwi, jak i jednostki nędzne i nikczemne. Jak wszędzie, wśród reprezentantów wszystkich narodów świata. Nikt z nas nie jest bez grzechu.

Zjawisko to zaczynamy coraz wyraźniej zauważać też w Polsce. Można bezkarnie w naszym kraju obrzucać błotem własnych rodaków, można krytycznie oceniać Niemców, okazywać nieufność wobec Rosjan, zżymać się na Rumunów, oskarżać o pazerność Amerykanów – lecz nie wolno tego robić w stosunku do Żydów. Hałaśliwe prote-

sty wobec każdej bezstronnej oceny niesłusznych, a nawet niegodziwych posunięć, stanowisk czy działań osób narodowości żydowskiej lub wyznawców religii mojżeszowej – zmierzają do postawienia ich poza krytyką, a tych, którzy te działania ujawniają, określa się mianem antysemitów. Z tym zgodzić się nie można i trzeba o tym wyraźnie i głośno mówić.

Mam wśród Żydów wielu przyjaciół, bywali nieraz w tym kościele, doświadczali dowodów szczerej sympatii i życzliwości, nigdy nie czuli się obco. Byli wśród braci i zawsze będą tak przyjmowani. Dowodem na to jest osoba Pana Sigmunda Nissenbauma, prezesa fundacji zajmującej się ochroną zabytków kultury żydowskiej w Polsce, odznaczonego Krzyżem Ekumenicznym św. Brygidy. Wyróżnikiem człowieka pod sklepieniem tej Bazyliki nie jest kolor skóry, wyznanie, narodowość, pochodzenie czy przekonania polityczne – jest nim tylko to, co nosi w swoim sercu: bojaźń Boża, miłość bliźniego, patriotyzm i godność człowieka.

Mogę również z całą stanowczością i odpowiedzialnością za swoje słowa powtórzyć jeszcze raz: jako naród polski mamy prawo wiedzieć i mieć świadomość tego, czy sprawujący władzę kierują się li tylko polskim interesem narodowym i polską racją stanu, czy też przemawia przez nich partykularyzm lub obce nam dążenia.

Ukochani w Chrystusie Panu!

Kierując do Was tych kilka myśli, pozostawiam wnioski i oceny własnemu sumieniu każdego z Was. Niechaj każdy z Was rozważy w sercu swoim moje słowa i wyciągnie z nich to, co wskaże mu drogę dalszego postępowania. Polska i jej dobro będzie zawsze pierwsze w sercu i moim postępowaniu – i z tej drogi zejść nie mogę.

Nr 32/1995

LECH JĘCZMYK *(ur. 1936) - polski eseista, publicysta, redaktor i tłumacz m.in. Philipa K. Dicka, Josepha Hellera, Kurta Vonneguta. Maturę zdał w 1953. Studiował rusycystykę, trenował judo, do 1969 był w kadrze narodowej Polski. Jest znawcą literatury science fiction. Był redaktorem w wydawnictwie Iskry, gdzie przygotował m.in. 6 tomów antologii „Kroki w nieznane". Po przejściu do wydawnictwa Czytelnik prowadził serię science fiction „Z kosmonautą". Publikował m.in. w „Fantastyce" (gdzie w latach 1990 - 1992 pełnił funkcję redaktora naczelnego) i „Frondzie". Jęczmyk jest pierwowzorem postaci Paula Barleya w komiksie Funky Koval autorstwa Macieja Parowskiego, Jacka Rodka (scenariusz) i Bogusława Polcha (rysunki).*

Dwie Europy i zaścianek

Mówi się i pisze w Polsce o Europie, o wchodzeniu do Europy (tak, jakbyśmy kiedyś z niej wyszli), o cnotach europejskich przeciwstawianych tradycji i kulturze polskiej, nazywanej Ciemnogrodem i zaściankiem. („Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek. Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek.") Stała się więc u nas „europejskość" pewną ideologią, a słowo „Europa" nabrało w ustach jej wyznawców pewnego specyficznego znaczenia, fałszującego w istocie to pojęcie.

Europa powstała na gruzach Imperium Rzymskiego, a właściwie jego zachodniej części, jako wspólnota kultury chrześcijańskiej i zyskała swoją europejską świadomość w toku wypraw krzyżowych. Od południa jej granice wyznaczała cywilizacja islamu, od wschodu cywilizacja bizantyjska, i turańska (mongolska). Istotą każdej cywilizacji jest jej kultura, sercem każdej kultury jest jej religia. *(„Struktura niewidzialna rządzi strukturą widzialną"* mówił Heraklit.) Cywilizacja europejska była związana nierozerwalnie z chrześcijaństwem - nie darmo mówi się, że granice Europy wyznaczają gotyckie katedry. Ktoś, kto zna wschodnie pogranicze Europy powiedziałby - i barokowe kościoły, na terenach dawnej wschodniej Polski przemieszane z cerkwiami prawosławnymi.

Ciekawe, że katolickość jako esencja europejskości była oczywista dla ludzi patrzących z zewnątrz. Tak ryba może nie wiedzieć, że żyje w wodzie, ale może się tego dowiedzieć od ptaka. Wiedza ta była na przykład oczywista dla Rosjan. Ci z nich, którzy nienawidzili Zachodu, nienawidzili go za katolicyzm; ci, którzy go kochali, kochali go za katolicyzm (Czaadajew, Mandelsztam).

Nie tę Europę mają jednak na myśli nasi postępowi publicyści, kiedy mówią o Europie. Ich Europa, Europa-bis, wyrosła z Wieku

Oświecenia, który odrzucał programowo religię i Boga, odrzucał całą wypracowaną przez wieki europejską tradycję i chciał wymyślić świat od nowa. Na miejsce rzeczywistości stworzonej w pocie czoła przez zakonników, kupców, rzemieślników i wieśniaków miała przyjść utopia wymyślona przez dworaków-intelektualistów w zamian za bogate podarki wychwalających, jak Wolter Katarzynę Wielką i jej porządki. Już to samo powinno stanowić wystarczające ostrzeżenie przed społecznymi projektami encyklopedystów. Wiara w możliwość zrealizowania wymyślonego społeczeństwa opierała się na absurdalnym założeniu, że człowiek rodząc się jest tabula rasa, czystą tablicą, na której można zapisać, co się chce. Jeżeli tak, to można zaplanować idealną organizację społeczeństwa, a później przyciąć do niej ludzi. Był to pomysł tej samej umysłowości, która dała ludzkości ogród francuski. Najładniej wygląda on na rysunku, prawie równie pięknie z okna pałacu, ale zupełnie nie nadaje się do chodzenia. Psy i dzieci są w nim klęską, no i potrzebna jest drużyna ogrodników z sekatorami, którzy przycinają wszystko, co się wychyla z żywopłotów.

Człowiek zamieszkujący ten nowy, wspaniały świat miał być istotą racjonalną. Boga wyśmiano, zbawienie człowieka miało nastąpić przez właściwą organizację społeczeństwa. *„Filozofowie Europy, Anglii i Ameryki rzucili się w objęcia rozumu przekonani, że zrodzą się nowe racjonalne elity zdolne do zbudowania nowej cywilizacji. Tymczasem bardzo szybko religią tych nowych elit stało się sprawowanie władzy bez łagodzącego wpływu jakiejkolwiek struktury etycznej. Ich reformy polegały na bezprecedensowej i permanentnej instytucjonalizacji przemocy państwa”.* (John R. Saul, *The Dictatorship of Reason in the West.*)

Przyjrzymy się tej utopijnej Nowej Europie proponowanej przez filozofów, spadkobierców ojców krwawej rewolucji francuskiej. Po pierwsze, jest ona antychrześcijańska, a przede wszystkim, antykatolicka. Proces jednoczenia Europy, zapoczątkowany przez francuskich, niemieckich i włoskich chrześcijańskich demokratów (katolików) został przyjęty przez socjalistów i masonów. Ich Nowa Europa jawnie powołuje się na ideały rewolucji francuskiej, która z niezwykłą zajadłością zwalczała religię, mordowała duchownych i demolowała kościoły. Na dzień przed zajęciem Bastylii splądrowano klasztor sióstr szarytek prowadzących przytułek dla biednych. W Polsce oznacza to zaangażowanie ogromnych sił i środków w rugowanie Kościoła z życia społecznego, uczenie pogardy dla duchowieństwa, walkę z krzyżem w szkole, w senacie, w herbie państwa. Działając *„metodą salami”* dąży się do skłócenia Kościoła katolickiego z chrześcijanami

innych wyznań, a także propagowanie przez telewizję oraz czasopisma, zwłaszcza kobiece i młodzieżowe, wszelkiego rodzaju egzotycznych kultów magii i astrologii. Zmowa milczenia panuje wokół kultu szatana, choć sądząc po ilości napisów na murach, ma on niewiele mniej zwolenników niż drużyna Legii. Wiadomości prasowe o zbezczeszczeniu setek grobów katolickich mają po kilka wierszy, ale angielskie pismo *„The Economist"* uznaje za stosowne stwierdzić, że Polska jest krajem, w którym antysemici bezczeszczą groby żydowskie. Ktoś uczy młodzież skomplikowanej symboliki satanizmu.

Nowa Europa jest też programowo antynarodowa, ma ona powstać na gruzach tradycyjnych państw narodowych. Jakub Delors mówi już wręcz o *narodzie europejskim,* co przypomina twierdzenia propagandy komunistycznej o rzekomym *narodzie sowieckim.* W Polsce celowi temu służy rugowanie lub ośmieszanie tradycji historycznych, wyolbrzymianie problematyki mniejszości narodowych (niedemokratyczne procedury wyborcze). Tę samą politykę mieszania narodów prowadzi lewica od lat w Europie Zachodniej. Kto chce zobaczyć, czym to się kończy, może pojechać do Jugosławii lub Karabachu. Innym sposobem na likwidację państw narodowych jest tworzenie euroregionów, zadziwiająco zbieżnych z hitlerowskimi planami urządzenia Nowej Europy.

„Chcę przez to powiedzieć, że mamy największy interes nie tylko w tym, żeby ludności Wschodu nie jednoczyć, lecz przeciwnie, żeby ją rozbić na możliwie wiele części i odłamów... na niezliczone małe odłamy i cząstki". (Heinrich Himmler*, „Kilka myśli o traktowaniu obcoplemieńców na Wschodzie", 15 V 1940*).

Planowana Nowa Europa jest również antyludowa i antydemokratyczna. W ustach przedstawiciela europejskiego Jasnogrodu oskarżenie o *populizm* jest jedną z najcięższych obelg. Ale filozofowie (dziś powiedzielibyśmy *„intelektualiści")* często gardzili ludem, a więc i pomysłem, że lud może mieć udział w rządach. Wróg demokracji i nauczyciel tyranów Sokrates nie cieszył się wielką popularnością w Atenach, twórcę zaś modelowego państwa totalitarnego Platona lud wypędził z Syrakuz, kiedy - jako *„konsultant"* tyrana próbował swój pomysł wprowadzać w życie.

Również encyklopedyści, ojcowie Rewolucji Francuskiej, na słowo „lud" zatykali nosy. *„Dobro społeczeństwa wymaga, aby wiedza ludu nie przekraczała jego zajęć"* (La Chalotais). Przyjaciel Woltera Coyer w swoim *„Planie edukacji publicznej"* proponował usunięcie ze szkół paryskich wszystkich dzieci pochodzących z ludu. I nasi dzisiejsi *„Europejczycy"* lękają się *„żywiołu polskiego",* profesor Gere-

mek zaś mówi, że Polacy nie dojrzeli do demokracji i że potrzebna jest *„zmowa mądrych”*. Rzeczywiście, lud jest brzydki, nie docenia filozofów i jest go za dużo. W tym świetle inaczej trzeba spojrzeć na rozpętaną z rozmachem kampanię na rzecz zabijania nienarodzonych, a także na raport Klubu Rzymskiego, według którego w XXI wieku Polacy mają być narodem 16-milionowym.

Ma być wreszcie ta Nowa Europa tworem socjalistyczno - biurokratycznym. Wbrew nowoczesnym zasadom organizacji preferującym jednoznacznie struktury płaskie, mamy tu do czynienia ze strukturą pionową, tworzącą nowe piętra organizacji pasożytniczo-urzędniczych. (Parlamenty walloński i flamandzki, nad nimi parlament belgijski, nad nim parlament europejski). Cytowany już Delors powiedział, że już wkrótce 80% decyzji będzie zapadać w Brukseli. Jest to sprzeczne z zasadą pomocniczości (*Władza wyższego stopnia wkracza tylko tam, gdzie nie może rozwiązać problemu władza niższego stopnia)* głoszoną w społecznej nauce Kościoła i z doświadczeniem milionów mieszkańców Europy Wschodniej, którzy żyli w sieci drobiazgowych przepisów z centrali. Już teraz polscy parlamentarzyści mają przy stanowieniu praw ręce związane różnymi dokumentami europejskimi uchwalanymi w innych czasach i na inne okazje. (Dotyczy to zwłaszcza przepisów o ruchu ludności, nie przewidujących skutków rozpadu Związku Sowieckiego.)

– Jakich dziedzin życia społecznego dotyczą konwencje opracowywane przez Radę Europy?

– Wszystkich. Są konwencje o telewizji w rejonach przygranicznych, o kontroli żywności, o bezpieczeństwie na stadionach sportowych i 150 innych.

(Z wywiadu J. Jagiełło z prof. Jerzym Regulskim, ambasadorem RP przy Radzie Europy.)

Wizja tej Europy-bis, oderwanej od wielowiekowych korzeni i pozbawionej ducha chrześcijańskiego, nigdy nie została przez jej zwolenników w pełni przedstawiona, była natomiast krok po kroku realizowana. Nie byłoby to możliwe bez dwóchsetletniego przygotowania artyleryjskiego w postaci walki z chrześcijaństwem na polu kultury.

Reakcja na tę wizję Europy przyszła z pewnym opóźnieniem, a mobilizacja opinii społecznej wymagała dodatkowego czasu, wydaje się jednak, że postępy w budowie Związku Socjalistycznych Republik Europejskich zostały zahamowane. Coraz mocniej brzmią hasła Europy Ojczyzn, a klęski socjalistów w poszczególnych krajach dają nadzieję na zmiany w instytucjach europejskich.

Bardzo istotną rolę w walce miedzy dwiema koncepcjami Europy odgrywa Kościół Katolicki. Nie przypadkiem Papież i Kościół są przedmiotem nieustannego ataku propagandowego, gdyż to właśnie Jan Paweł II najpełniej wyraża wizję Europy odrodzonej przez powrót do swoich duchowych korzeni.

„Ja, Jan Paweł II, syn polskiego narodu, który zawsze uważał się za naród europejski, kieruję do Ciebie, stara Europo, wołanie pełne miłości: Odnajdź siebie samą! Bądź sobą! Odkryj swoje początki. Tchnij życie w swoje korzenie. Tchnij życie w te autentyczne wartości, które sprawiały, że twoje dzieje były pełne chwały, a twoja obecność na innych kontynentach dobroczynna. Odbuduj swoją jedność duchową w klimacie pełnego szacunku dla innych religii i dla prawdziwych swobód. Oddaj cesarzowi to, co cesarskie, zaś Bogu to co boskie. Nie chełp się swoimi podbojami, pomna na ich możliwe negatywne konsekwencje. Nie zniechęcaj się z powodu zmniejszania się twojego znaczenia w świecie, czy też z powodów kryzysów społecznych i kulturowych, które cię dotykają. Możesz jeszcze być latarnią cywilizacji i bodźcem postępu dla świata. Inne kontynenty patrzą na ciebie i spodziewają się po tobie tej samej odpowiedzialności, jaką święty Jakub dał Chrystusowi: Mogę”. („Akt europejski”, 1982).

Mamy więc dwa konkurencyjne plany dla Europy: jeden, stworzony przez wyalienowanych ze swoich społeczeństw intelektualistów zakładający zbudowanie utopijnej wizji na miejscu, które przedtem należy zrównać z ziemią i drugi, polegający na ożywieniu europejskich korzeni, na kultywowaniu wspólnych, chrześcijańskich w swojej istocie wartości. Walka tych dwóch koncepcji toczy się również w sercach i umysłach Polaków, i przebiega tu, w Polsce ze szczególną ostrością, gdyż Polska została uznana za bastion katolicyzmu. Cóż, znów jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa. Historia pokaże, czy byliśmy ariergardą, czy awangardą.

Nr 27/1994

PIOTR KAIM *(ur. w 1972 roku w Warszawie) jest prawnikiem, specjalistą z zakresu prawa podatkowego. w latach 90. publikował i pracował w tygodniku „Najwyższy CZAS!”.*

Hieny chcą dobrze

Tygodnik *„Zespół”* zaproponował tuż przed wojną - pod koniec 1938 r, wprowadzenie podatku emigracyjnego od Żydów. Miał on początkowo polegać na podniesieniu obywatelom narodowości żydowskiej wszystkich podatków bezpośrednich o 10%; pieniądze pozyskane tą drogą miały tworzyć fundusz emigracyjny, z którego wypłacanoby zasiłki Żydom wyjeżdżającym z Polski. Władysław Studnicki, relacjonując tę koncepcję w wileńskim „Słowie”, pisał, że *„gdyby emigracja Żydów dobrowolna nie dochodziła do wyznaczonego kontyngentu, to w myśl projektu „Zespołu” można byłoby podwyższyć podatek emigracyjny od Żydów, a przez to zwiększyć zapomogę wyjeżdżającym”*. Cel był zatem jasny: chodziło o zwiększenie żydowskiej emigracji *„do wyznaczonego kontyngentu”*. Pomysłodawcy podatku emigracyjnego wiedzieli bardzo dobrze, że opodatkowanie dowolnej społeczności (tutaj: Żydów) na rzecz jednej z grup tej społeczności (Żydów-emigrantów) wywołuje - w normalnych okolicznościach - wzrost ilościowy tej właśnie węższej grupy. Zagadnienie ma także inny aspekt: dyskryminowanym podatkowo Żydom trudno byłoby konkurować na polskim rynku, przeto mieliby dodatkowy bodziec do emigracji. Także ten mechanizm podporządkowany jest pewnej ogólniejszej regule, a mianowicie tej, że przedsiębiorcy poszukują możliwie najlepszych warunków do inwestycji, stąd w miarę możliwości omijają państwa, które oferują warunki wyraźnie niekorzystne.

Pomysł *„Zespołu”* nie doczekał się w II RP realizacji; ale czy inżynieria społeczna, jaką od zawsze uprawia Lewica, nie jest czymś bardzo podobnym? Lewica tradycyjnie podnosi podatki, przeznaczając je - obok tworzenia nowych urzędów, finansowania partyj, gazet

p. Toeplitza itd. - na pomoc socjalną, w tym na zasiłki dla bezrobotnych. Mimo pewnych różnic w stosunku do propozycji „Zespołu", procesy przebiegają tak samo – następuje powolna *„emigracja"* w stronę rzeczywistego i fikcyjnego bezrobocia. Jeżeli przyjmiemy hipotezę, że owe procesy zaplanowała masoneria, przygotowująca utworzenie Rządu Światowego, to nietrudno wyobrazić sobie typów spod ciemnej gwiazdy, projektujących dalej, że *„gdyby bezrobocie dobrowolne Polaków nie dochodziło do wyznaczonego kontyngentu, to można byłoby podwyższyć podatki, a przez to zwiększyć zasiłki dla bezrobotnych"*. Projektów takich, jak ten hipotetyczny prawdopodobnie nie ma, jednakże jest Lewica, dobrowolnie wykonująca to, co z powodzeniem mogliby planować wrogowie naszego państwa. Przedstawiciele Lewicy utrzymują na dodatek, że *„zawsze chcą dobrze"*.

Pan Ryszard Groński (też zresztą lewak) mówił kiedyś, że *„ideałem byłby taki przywódca, który zawsze chciałby źle* – i *też by mu nie wyszło"*. Pan Jacek Kuroń chciał podobno dobrze... Zapewne dlatego podczas kampanii wyborczej, jego partyjny kolega – p. Andrzej Celiński – nie mógł wręcz wyjść ze zdumienia, kiedy usłyszał od Redaktora „NCz!", że minister pracy popiera bezrobocie. Spostrzeżenie, że polityka UD odstraszała od Polski uczciwych zagranicznych przedsiębiorców, przyjąłby zapewne z nie mniejszym zdziwieniem, a tymczasem znów zachodzi analogia z rozwiązaniami proponowanymi niegdyś w celu usunięcia Żydów: wysokie podatki, konieczne dla sfinansowania wydatków socjalnych, w oczywisty sposób obniżają atrakcyjność Polski względem innych państw, zapewniających lepsze warunki gospodarowania. W ten sposób tracimy możliwości wyzyskania wielkich kapitałów zagranicznych dla naszego wzrostu gospodarczego. Nic zatem dziwnego, że wiecznie powraca pytanie: czy ten mimowolny sabotaż rozwoju państwa rzeczywiście jest mimowolny?

Jak już wspomniałem, zagadnienie jest zbyt skomplikowane, ażeby redukować je do jednego spisku. Wewnętrzna struktura obozu Lewicy jest niejednorodna, zaś politycy autentycznie przekonani o pożytkach płynących z „państwa opiekuńczego" należą w tym obozie do zdecydowanej mniejszości (mówi się czasem, że należy do niej zaliczać p. Bugaja). Reszta to *„hieny, żerujące na ludzkiej biedzie"* (określenie St. Mackiewicza), *hieny,* które dla efektu wyborczego chwytają się socjalistycznej demagogii - z całą świadomością jej szkodliwości. Z drugiej jednak strony, wspomniane *hieny* nie są najgroźniejsze, bowiem to właśnie one wyhamowują rozmach socjalistycznych przedsięwzięć, to one *„nie spełniają obietnic"*, *„zdradzają wyborców",* i one wprowa-

dzają do swoich szeregów pierwiastek rozsądku. Ci cyniczni gracze są w stanie osłabić radykalizm ekonomicznych szaleństw, ale nie potrafią dokonać zwrotu w stronę liberalizmu. Kontestowani przez swoich naiwnych kolegów, idą z prądem nastrojów elektoratu, wywołanych także przez ich własną demagogię. Suma tych wszystkich tendencji daje skutki opłakane, szczególnie w kraju takim jak Polska, wymagającym zdecydowanych posunięć prokapitalistycznych. W każdym razie przedwojenny pomysł na przyspieszenie żydowskiej emigracji, a zwłaszcza ogólne zasady, jakim pomysł ów podlega, wykazują, jak bardzo mylą się wszyscy ci, którzy wciąż wierzą w *„państwo opiekuńcze”*. Lewicowe recepty – bez względu na to z jakich płyną intencji – są do tego stopnia chybione, że mogłyby znaleźć uznanie sił zmierzających z rozmysłem do podkopania polskiej państwowości i zdegradowania grup społecznych, których interesy Lewica jakoby reprezentuje.

Nr 14/1994

JANUSZ RYSZARD KORWIN-MIKKE *(ur. 27 października 1942 r. w Warszawie) – publicysta i polityk, poseł na Sejm I kadencji, były prezes Unii Polityki Realnej.*

Monarchista, Mistrz Krajowy w brydżu, laureat Nagrody Kisiela w 1990 r., członek honorowy Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego, założyciel Fundacji Indywidualnego Kształcenia.

Maturę zdał w 1959 r., po czym rozpoczął studia na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Później studiował także prawo, socjologię, psychologię i filozofię na Wydziale Filozofii UW. W 1965 r., w trakcie studiów został aresztowany. W marcu 1968 r. w związku z udziałem w protestach studenckich został powtórnie aresztowany (przetrzymywany w areszcie do lipca tegoż roku) i relegowany z uczelni. W latach 1969-1974 był pracownikiem naukowym – najpierw w Instytucie Transportu Samochodowego, następnie na Uniwersytecie Warszawskim. W 1970 r. uzyskał eksternistycznie tytuł zawodowy magistra filozofii, pozostałych kierunków studiów nie dokończył. Jako stypendysta wyjechał w 1977 r. na pół roku do Paryża.

W latach 1962-1982 należał do Stronnictwa Demokratycznego, z którego wystąpił w okresie stanu wojennego.

Po powrocie z Paryża w 1978 r. założył Officynę Liberałów (wydawnictwo drugiego obiegu) oraz prowadził prywatne seminarium „Prawica, Liberalizm, Konserwatyzm". Uczestniczył w strajku stoczniowców szczecińskich w sierpniu 1980 r., następnie był doradcą NSZZ Rzemieślników Indywidualnych „Solidarność". W marcu 1982 r. został internowany w Białołęce na trzy miesiące. W 1984 r. założył wraz ze Stefanem Kisielewskim Partię Liberałów „Prawica". W 1987 r. został prezesem nowo powstałego Ruchu Polityki Realnej (w 1989 r. przekształconego w Unię Polityki Realnej).

W 1990 r. założył tygodnik „Najwyższy CZAS!", którego wydawcą był do października 2007 r. i w którym do dziś publikuje swoje felietony. Działał w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. W 1990 r. nie zdołał zebrać wymaganej liczby podpisów poparcia, by wystartować w wyborach prezydenckich. Sprawa jego kandydatury spowodowała rozłam w RPR i przyczyniła się do utworzenia nowego ugrupowania – Konserwatywno-Liberalnej Partii Unia Polityki Realnej, którą kierował do 1997 r. W 1999 r. ponownie objął tę funkcję, ustępując tym razem ze stanowiska w 2002 r.

Wybrany posłem na Sejm I kadencji z okręgu poznańskiego zainicjował uchwałę lustracyjną skutkującą utworzeniem tzw. Listy Macierewicza. Bez powodzenia kandydował w kolejnych wyborach parla-

mentarnych w latach 1993, 1997 i 2001, w wyborach do PE w 2004 r. i kilkakrotnie w wyborach uzupełniających do Senatu w różnych okręgach wyborczych.

W 2005 r. założył Platformę Janusza Korwin-Mikke, do której to partii jednak wstąpił dopiero w 2009 roku. Trzykrotnie kandydował na urząd prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. W latach 1995 i 2000 z ramienia UPR, w 2005 r. jako kandydat Platformy JKM popierany przez UPR.

WCHODZIMY DO BIUROKRATYCZNEGO MOLOCHA

(NA PODSTAWIE STENOGRAMU PRZEMÓWIENIA POSŁA JANUSZA KORWIN-MIKKEGO)

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! W roku 1937 można było być Niemcem w Austrii, w Szwajcarii, w Belgii, w Polsce, a nie chcieć być przyłączonym do III Rzeszy. Obecnie jesteśmy w Europie, w dodatku w środkowej, i nie ma tu problemu, by się do niej przyłączyć, bo w niej jesteśmy. Problemem jest tylko, czy przyłączyć się do pewnego tworu zwanego EWG.

Otóż my chcemy być w wolnej Europie – w Europie, w której granice są otwarte, w której konkurują kultury i etyki narodowe, konkurują prawa i systemy podatkowe, państwowe, wierzymy bowiem w wolną konkurencję.

Dlaczego po prostu nie zniesiono wszelkich ograniczeń? Dlaczego przy obecnym otwarciu granic nie zostały zniesione cła? Przecież różnice między, załóżmy, gminą Puńsk a gminą Poznań są znacznie większe niż między Liverpoolem a Poznaniem; również Highlands, czyli górzyste rejony Szkocji, są bardziej zacofane niż Polska, podobnie jak wspomniana Sycylia we Włoszech, a mimo to są częścią EWG.

Jak słusznie zauważył wielce czcigodny poseł Zylber z Partii Gospodarczej, przyłączono do Prus Wielkie Księstwo Poznańskie; przyłączono bez okresu przejściowego, bez żadnych umów: po prostu zostali dołączeni do reszty Prus i dzięki temu właśnie Wielkie Księstwo Poznańskie rozwinęło się – rozwinęło się bez żadnej ochrony celnej.

Dlaczego tego się nie robi? Odpowiedź jest jedna. Jest rzeczą charakterystyczną, że za przyłączeniem się bezwarunkowo, na podstawie tego traktatu – bo to jest takie dość obszerne opracowanie, liberalne rzekomo – opowiadają się partie, które spowodowały, iż w Polsce się mówi, że nieustannie się kradnie, że jest korupcja, łapówkarstwo i złodziejstwo. Te partie najgłośniej opowiadają się za

Europą właśnie taką – zbiurokratyzowaną. Wchodzimy bowiem do Europy zbiurokratyzowanej.

EWG jest całkowicie opanowana przez socjalistów. Obecnie w krajach zachodnich, np. we Włoszech, gdzie rządzą socjaliści – skandale, korupcja, złodziejstwa. We Francji – skandale, korupcja, złodziejstwa. W Szwecji okazało się, że Olaf Palme – tak twierdzi pan Myrdal – był agentem bezpieki, a socjaliści, otwarcie głoszący pacyfizm, sprzedawali na lewo broń. Socjalizm pada, ale w Parlamencie Europejskim socjaliści mają trzy czwarte miejsc, a i na prawicy, np. we Francji, są tacy, którzy mówią, że są prawicowcami, i żyli za pieniądze i brylanty otrzymywane od ludożercy cesarza Bokassy.

Wchodzimy do biurokratycznego, socjalistycznego molocha, gdzie rządzi głupota, na której robi się rozmaite lewe interesy (*oklaski*). Można to było zobaczyć, jak tutaj przyjeżdżali najrozmaitsi eksperci – prawda, im się wypłaca pieniądze zachodnich podatników, a z kolei pieniądze się wypłaca rozmaitym ekspertom na Zachodzie; to taka wzajemna zmiana usługi, gdzie się tutaj lewe ekspertyzy robi, zupełnie niepotrzebne nikomu, że niby nasi przecież, kontrolowali, ale jak się zrobi za pieniądze amerykańskie – no to przechodzi, a tam też przechodzi, bo nikt pieniędzy me kontroluje. To wszystko temu służy.

Pan minister Skubiszewski powiedział, że wspólnoty będą zamknięte dla supermocarstw – ale przecież jedno supermocarstwo, które się utworzyło parenaście miesięcy temu na naszych oczach, tam już w środku jest. Kiedy pan minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Mikołaj Ridley, o tym powiedział, wyrzucono go z ministerstwa. Potem poleciała również pani premier, która go tolerowała.

Pewne sformułowania, które są zawarte np. w wystąpieniu pana Skubiszewskiego od razu demonstrują jasno, o co tu chodzi. Na przykład tzw. liberalizm. Pan Skubiszewski powiedział: „rządy będą przeciwdziałać zakłóceniom rynku, wynikającym z liberalizacji handlu" – to znaczy co? Że jak ceny zaczną spadać, to wtedy rząd zaingeruje, żebyśmy broń Boże niczego tanio nie kupowali. Nawiasem mówiąc, rząd polski podpisał już zobowiązanie, że Polska będzie w tym i następnym roku podnosiła cenę gazu ziemnego, niezależnie od ruchu cen światowych! To jest podane w raporcie NIK. W tej chwili ceny energii spadają, a my ceny musimy podnosić, bo takie na nas „Europa" nakłada obowiązki.

Polska, powtarzam, nie wchodzi do Zachodu, Polska wchodzi do Związku Socjalistycznych Republik Europejskich (*oklaski*). Ten ZSRE pod hegemonią Niemców i socjalistów francuskich obiektywnie staje

się przeciwwagą – i proszę na to dobrze zwrócić uwagę – Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli ten związek zamknie granice przed obcymi towarami – a przecież nie wchodzimy na wolny rynek, my otwieramy granice przed towarami z Europy Zachodniej, ale zamykamy przed wszystkimi innymi znacznie szczelniej – stanie się obiektywnym przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. Pan Jakub Delors, szef Wspólnot Europejskich, mówi otwarcie, że ta wspólnota wypowie wojnę Stanom Zjednoczonym. Na razie wojnę gospodarczą. Wojny światowe zaczęły się od walki o zamykanie rynku zbytu.

Natura nie znosi próżni. Zjednoczone Socjalistyczne Republiki Europejskie zajmą miejsce przeciwnika USA. A ja osobiście wolę kupować tanie samochody amerykańskie, japońskie, polskie czy koreańskie niż drogie samochody z EWG. Wolę kupować benzynę po 2 tys., taką jaka jest w Stanach Zjednoczonych, niż po 8 tys. – jak to jest w EWG, gdzie rządzi socjalizm i zdziera się z ludzi pieniądze (*oklaski*). Polskę czeka los NRD – z tą tylko różnicą, że nie włożą w nas 200 mld marek.

Chciałem zwrócić uwagę, że są partie, które mówią o liberalizmie tego dokumentu (proszę zwrócić uwagę, że temu towarzyszy taki załącznik, tu jest 300 stron bitego druku, który zawiera rozmaite bardzo „liberalne" reguły odnośnie handlu), ja przytoczę dowolny fragment, np. „wełniana tkanina z poz. nr 5112, wykonana z przędzy wełnianej z poz. 5107 i z syntetycznej przędzy z włókien ciętych z poz. 5509 jest tkaniną mieszaną. Dlatego przędza syntetyczna, która nie odpowiada regułom pochodzenia, czego wymaga produkcja materiałów chemicznych lub z pulpy włókienniczej, lub przędza wełniana, która nie odpowiada regułom pochodzenia, czego wymaga produkcja z włókien naturalnych, niegręplowanych lub nie czesanych lub (*oklaski*) Inaczej nieprzygotowanych do przędzenia lub kombinacja tych dwóch może być użyta do 10% masy tkaniny". Na kontroli tego wszystkiego miliony biurokratów będą robiły pieniądze. Miliony prawników będą zarabiały na procesach i miliony tłumaczy będą zarabiały na różnicach w tłumaczeniach.

Wchodzimy, powtarzam, do biurokratycznego, potwornego tworu, gdzie uczciwy producent, który wie, jak zrobić tanio, a sprzedawać drogo – zginie. Zmieciony z rynku przez masę cwaniaków, którzy znają świetnie te wszystkie przepisy na pamięć, a produkować oczywiście nie umieją, bo po co im to? Robić się będzie pieniądze na cwaniactwie (*oklaski*).

Pan minister Skubiszewski obiecuje, że gdy podpiszemy ten układ, to wszyscy Polacy mający prawo do stałego zamieszkania w krajach

EWG będą mieli tam prawo do pracy. Pomińmy już sprawę, czy państwa, w których trzeba mieć prawo do pracy, to są państwa wolne. Ale ja mogę powiedzieć, co się stanie. Po prostu Polakom przestaną przyznawać prawo stałego pobytu. Będzie to jedyny prosty efekt podpisania tego projektu.

Pan minister Skubiszewski powiedział, że nastąpi spontaniczna współpraca narodów.

Otóż chcę powiedzieć, że w Wielkiej Brytanii, gdzie jest najmniej socjalizmu, gdzie np. nie trzeba mieć koncesji na import paliw (w odróżnieniu od innych krajów Europy) – nie ma jakoś bójek między Szkotami a Anglikami. Natomiast w Belgii, gdzie jest bardzo silny socjalizm, są nieustanne bójki między Walonami a Flamandami. Wiec nie jestem pewien, czy połączenie w jedno państwo, w jeden organizm, zniesie sprzeczności narodowe. We Francji, gdzie rządzą socjaliści, jest potężny antysemityzm, skierowany zarówno przeciwko Żydom, jak i przeciwko Arabom. Istnieje również oczywiście nacjonalizm przeciwko Polakom, Niemcom itd. Wszędzie tam, gdzie się zaczyna socjalizm, zaczyna się robić narodowy socjalizm po jakimś czasie (*głos z sali: „stara prawda"*). Teraz tak oczywiście też jest (*wesołość na sali*). Poza sprawami całkowicie gospodarczymi są też aspekty społeczne, bardzo poważne. Tylnymi drzwiami przez podpisanie tego wszystkiego zmusi się Polskę do zniesienia norm prawnych, o czym się tutaj mówi bardzo mało: zniesienia kary śmierci, jest sprawa aborcji i kilkanaście innych spraw – ale znacznie ważniejsze jest to, że nawet za danie klapsa dziecku będzie można wylądować w kryminale – o tym się jakoś nie mówi.

Cała kupa tzw. humanitaryzmu europejskiego, która rozkłada te kraje, powoduje, że one żyją w stanie dekadencji – będzie do nas zaimportowana. Jest to bardzo poważna sprawa, bo to narusza zasadę, o której mówiłem na początku: że musimy żyć w krajach, w których konkurują rozmaite kultury i etyki, że w jednym kraju jest jedna, w drugim inna i zobaczymy, która jest lepsza; żeby człowiek miał wybór. Zamiast tego nastąpi ujednolicenie na zasadzie: *ein Reich, ein Volk, ein Führer* (*oklaski, wesołość na sali*).

Teraz słów kilka pozytywnych. Otóż trzeba pamiętać, że u nas też panuje duża, ogromna, czasami większa niż u nich doza socjalizmu i bałaganu. Otóż z tego punktu widzenia może się okazać, że opłaca się wstąpić do EWG – i to od razu, co może zmniejszyć stopień socjalizmu w Polsce, a potem można tylko poczekać, aż tam padnie.

Przypominam, że tak było w Szwecji, że i we Francji, Włoszech

padnie socjalizm w ciągu najbliższych kilku tygodni czy miesięcy – w innych krajach też padnie, przypuszczalnie.

I wystarczy właściwie poczekać: będą wybory do Parlamentu Europejskiego, socjaliści również i tam utracą większość i w ten sposób rasem wyjdziemy z tego socjalizmu. To się może oczywiście opłacać. Nie jestem o tym przekonany, ale dopóki Polska ma szansę wyjścia z tego układu, dopóki nie straciła suwerenności i może z tego wyjść – oczywiście tak wiele znowuż nie ryzykujemy..

Można również zauważyć, że panuje tam iście socjalistyczny bałagan i podpisuje się układy, których się nie przestrzega, zupełnie jak w Polsce. Na przykład Wielka Brytania podpisała konwencję, że znosi się karę chłosty, ale w ogromnej większości szkół prywatnych taka chłosta jest wykonywana i jakoś EWG do tego wstępu nie ma. Póki nikt się nie skarży (a uczniowie w szkołach prywatnych się szczycą tym, że u nich – w odróżnieniu od tego bałaganu w szkołach państwowych – jest kara chłosty, i nie skarżą się), że ta kara chłosty nadal istnieje. Dałem tylko przykład, taki śmieszny zupełnie. Tak, że w tym bałaganie nadal jeszcze można egzystować.

Poza tym można po prostu zrobić „zastrzeżenia". Wspomniana Irlandia (ja nie chciałbym się odwoływać do tego przykładu, bo co jak co, ale gospodarki irlandzkiej to w Polsce nie chciałbym widzieć), rozmaite kraje, przystępując do tego traktatu, robią zastrzeżenia, że przez jakiś bliżej nieokreślony okres tych czy innych „humanitarnych" postanowień stosować nie będą – no i miejmy nadzieję, że dotrwa jednak takie życie prowizoryczne; prowizorki są bardzo trwałe; przetrwa ono ten socjalizm, który w EWG też – jako się rzekło – być może padnie. Trzeba się nad tym zastanowić.

Dlatego też Unia Polityki Realnej wnioskuje, żeby przekazać to do komisji, komisje ustalą, jakie zastrzeżenia Polska powinna zrobić i zastrzec się, że przystępujemy, ale przy założeniu, że pewnych punktów chwilowo z takich czy innych powodów przestrzegać się u nas nie będzie – i w tych warunkach, jeżeli zobaczymy te konkretne zastrzeżenia, będziemy mogli się zdecydować: czy głosujemy „za", czy „przeciwko" wejściu do Związku Socjalistycznych Republik Europejskich. Dziękuje (*oklaski*).

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Drobne sprostowanie. Otóż Wielce Czcigodny poseł Szafraniec z klubu Kongresu Liberalno-Demokratycznego powołał się na art. 74 konwencji i w związku z tym szybko zażądał 14 mld zł dla Komitetu Normalizacji i Miar, twierdząc, że musimy swoje normy dopasować do zachodnioeuropejskich, co będzie kosztowało.

Ja zadałem sobie trud i przeczytałem ten artykuł. Niestety nic tam

na ten temat nie ma. Owszem: „(...) mieć na celu w szczególności zmniejszanie różnic", „(...) dostosowania się do przepisów", „popierania stosowania procesów technicznych", „zawarcie, jeśli to zasadne, umów o wzajemnym uznaniu", „zwiększenie udziału Polski". Na to Wspólnota udzieli Polsce „odpowiedniej pomocy technicznej".

Innymi słowy: czcigodny pan Szafraniec chciał znów wyłudzić trochę pieniędzy od prywatnych obywateli dla biura państwowego – co jest typowe dla niektórych ludzi udających liberałów (*oklaski*).

I teraz druga sprawa: taka drobna obawa mnie naszła. Otóż ja znam z kolei lobby, które ma takie hobby: chronimy polski przemysł. Tu jest taki art. 9, który mówi, że Polska pewne cła zmniejszy z chwilą wejścia w życie układu.

Otóż jestem przekonany – i tego się boję, nie chciałbym być złym prorokiem – że to lobby natychmiast zwiększy cła dwukrotnie po to, żeby móc je zmniejszyć dwukrotnie w momencie wejścia w życie układu. Po prostu żeby nic się nie zmieniło. Nie chciałbym, powtarzam, być tutaj złym prorokiem (*poseł Wiesława Ziółkowska: „Może pan spać spokojnie. Niech się pan nie obawia, że będą podwyżki cła"*). Nie, ale teraz jeszcze można, póki układu nie zwiększono. Więc zwiększą się teraz dwukrotnie. (*poseł Wiesława Ziółkowska: „Punktem wyjścia do uzgodnień z EWG są cła na dzień 1 marca 1992. Ceł tych Polska nie może podwyższać"*). Nie, nie z dniem wejścia układu. Jest napisane wyraźnie: „z dniem wejścia w życie układu". Po wejściu w życiu układu powinna nastąpić realna obniżka stawek celnych. I na zakończenie chciałem tylko przypomnieć, że Karol Marks powiedział, iż socjalizm będzie wybudowany w najwyżej rozwiniętych krajach świata. Dziękuję.

Nr 22/1992

5-CIOLECIE

NIE lubię jubileuszów. Nie zajmuję się dokumentowaniem Historii, gdy w 1980. roku dowiedziałem się, że „SOLIDARNOŚĆ" powołała Komórkę Dokumentacji Historii Ruchu Społecznego „S" – to machnąłem ręką i orzekłem, że ruch, który zajmuje się od początku dokumentowaniem swej historii skazany jest na porażkę – dokładnie tak samo, jak bokser, który troszczy się o to, by dobrze wyglądać na taśmie filmowej... Poza tym: nie wolno odbierać ludziom chleba! Zresztą naszą dokumentację, jeśli jakaś była, zabrali ze sobą „rozłamowcy" od p. Sławomira Jarugi; jeśli wraz z Nim siedzą w Zakładzie Karnym – to mają dużo czasu na studia historyczne. Ja – póki co – myślę o przyszłości! Jedynym świadectwem naszego działania jest pięć roczników „Najwyższego CZAS!"-u. Pisma, z którego musimy być dumni – bo innego nie udało nam się stworzyć. Pisma, które - jako jedyne pismo polityczne – utrzymuje się praktycznie bez reklam i bez subwencji. Dzięki Wam – nasi Drodzy Czytelnicy naszego (drogiego, przyznajemy) pisma. Już za 2/3 sumy wydawanej na „Najwyższy CZAS!" mogliby Państwo nabyć np. panaurbanowe „NIE"; w prawdzie tylko 8 kolumn, ale większych, na lepszym papierze i w ślicznych kolorkach. Tak postępuje bardzo wielu Polaków znęconych błyskotliwością i knajactwem. Na szczęście dzięki wolnemu rynkowi jest nisza ekologiczna i dla „Najwyższego CZAS!-u". Pierwszym jego redaktorem naczelnym był p. Lech Wiśniewski – to właśnie On zniknął wraz z p. Jarugą. Potem okresowo redagowałem osobiście lub czynił to p.Marek Arpad Kowalski – bardzo sumienny redaktor. Obecnie od lat szefuje pismu Stanisław Michalkiewicz – i to On potrafił łączyć w piśmie różnorodne kierunki myślenia w harmonijną całość.

Sztuka redagowania polega bowiem na tym, by nie wyeliminować wszystkiego, z czym się nie zgadzamy. Toteż razem z Nim często decydowaliśmy się ze zgrzytaniem zębów puszczać teksty, które nie podobały się jednemu z nas, a nawet takie, które nie podobały się i Naczelnemu Redaktorowi - i Wydawcy. Jak widać – wykazywaliśmy wiele tolerancji. Socjalizmu, oczywiście, nie tolerowaliśmy - to już byłaby przesada... Redakcja działa – to kolejny fenomen – na zasadzie społecznej: nikt tu nie ma etatu! Z punktu widzenia Wydziału Prasy KC PZPR naszej redakcji po prostu w ogóle nie ma! Ale to nie obchodzi Czytelnika: Czytelnik ma regularnie swoje pismo – i to jest najważniejsze! Współpracuje z nami coraz więcej osób – w różnym wieku. Przynoszą teksty, pomagają redagować... I robią korektę, ostatnio zajmuje się nią p. Renata Grabska – zauważyli Państwo, że błędów od pewnego czasu jak gdyby mniej? To właśnie Ona. Ale mimo wszystko pismo nie wychodziłoby, gdyby ktoś nie wykonywał żmudnej pracy z papierkami – do której ani ja, ani kol. Michalkiewicz się nie nadajemy... Pracę tę wykonuje p. Małgorzata Szmit – i dzięki niej jakoś to wszystko się kręci. Rosnąca liczba przepisów i dokumentów już dawno by nas przysypała – gdyby nie Jej żmudna dłubanina. Dalej wszystko idzie jak w modelowym kapitalizmie: teksty chwyta i obrabia prywatny znakomity fotoskład „EWA" – bez p. Ewy Melissy opóźnienia byłyby parodniowe – a zresztą każdy normalny fotoskład dawno by wykopał tak zmanierowanych klientów. Gotową dyskietkę chwyta prywatna firma „FOTOSET" – i za godzinę-dwie mamy wszystko na ślicznym astralonie. Zawozi się go do drukarni – gdzie okazuje się, że i państwowa firma, jaką są Wojskowe Zakłady Graficzne może dopasować się do rynku – jeśli nie ma monopolu i prowadzona jest z wojskową dyscypliną. Dalej wszystko trafia do państwowego monopolisty, jakim jest „RUCH" – no, i tu już bywa różnie. Najdelikatniej mówiąc. Jednak my wytrzymaliśmy 5 lat – to pewno wytrzymamy i więcej. Natomiast prywatyzacja „RUCH-u już się zapowiada – i jeśli nie nastąpi szybko, to prywatne firmy kolporterskie przejmą z wolna rynek. Już dziś wielu z Państwa zaopatruje się – nawet o tym nie wiedząc – za ich pośrednictwem. Wszystkim z Państwa, którzy wytrzymali przez 5 lat nasze monotonne wyrzekania, że tak już nie można; że trzeba inaczej – szczerze dziękuję. Teraz będziemy większy nacisk kładli na to, co w przyszłości MOŻNA zrobić. Bo jednak można. I wiele już zostało zrobione Mam nadzieję, że jest w tym cząstka i naszej zasługi.

Nr 13/1995

Prawo JKM

Zgodnie z kremlowskim rytuałem nowo wybrany gensek powinien wydać tom prac teoretycznych. Jako mianowany przez Kisiela Prezes Partii Wariatów-Liberałów poczułem, że muszę sprostać wyzwaniu byłego Wiceprezesa Tyrmanda; oto

Prawo JKM

Im gorszy ustrój – tym lepszą pozostawia po sobie pamięć we współczesnych mu dokumentach.

Uzasadnienie tego prawa jest bardzo proste, choć dwojakie. Pierwszy powód jest polityczny: tyrańskie państwo nie dopuszcza do przetrwania (i powstania) źle o nim świadczących dokumentów. Drugi jest psychologiczny: w państwie, w którym dzieje się dobrze, każdy wypadek odbiegający od tej normy zwraca na siebie uwagę i uważany jest za godny opisu, a dobrobyt – przeciwnie, niewart jest wzmianki. W państwie źle rządzonym nędza jest banałem, zaś pamiętnikarze wzmiankują o ucztach, na których pożerało się stosy mięsiwa.

Przykłady tego są liczne. Do dziś zapewne – mimo intensywnej pracy historyków – liczba prac przedstawiających erę stalinowską np. w Polsce jako świetlaną teraźniejszość znacznie przewyższa liczbę dokumentów ukazujących inną nieco rzeczywistość. Natomiast z lektury prasy podziemnej można by wnosić, że po Grudniu panował w Polsce hitlerowski terror, z gestapo na ulicach i łapankami do pracy pod Omskiem. Również prasa oficjalna ukazywała obraz rzeczywistości znacznie – znacznie! – bardziej ponury niż źródła ze szczęśliwych lat pięćdziesiątych.

By nikt nie sądził, że tyczy to naszego zakłamanego baraku w ko-

munistycznym łagrze: czytając prasę amerykańską, można odnieść wrażenie, że wszystko się u nich już wali, na ulicach panuje krwawy terror (a jakże, z prywatnym majchrem lub spluwą w miejsce znacjonalizowanych pałek), gospodarka w rozsypce, bezrobocie, głód... Argentyna natomiast maszeruje ku nowym horyzontom itd.

XIX wiek jest wyjątkową okazją dla dobroczyńców ludzkości. Chłop mógł latami przymierać głodem – i mało kto się nim interesował. Wystarczyło jednak, by przeniósł się w lepsze warunki (na pewno lepsze, bo uczynił to dobrowolnie!), a tabuny pisarzy zaczęły roztkliwiać się nad ciężką dolą i warunkami życia robotników. W piwnicznej izbie zdarzało się dzieciom umierać. Co prawda jednak za rządów Wielkiego Króla Słoneczko w jednej z prowincji Francji przez 10 lat ani jedno dziecko nie dożyło siódmego roku życia – i co? Gdzie wielkie tragedie i poematy?

Podobnie znakomitą prasę ma Piotr I – natomiast Katarzyna II ma (zwłaszcza w Polsce) fatalną opinię. Tymczasem ta druga była mądrą i tolerancyjną władczynią – zaś co do Piotra Wielkiego, warto tylko zauważyć, że p. płk Kadafi też wprowadza do kraju nowoczesność. I wspomnieć, że z dokonań tego przedostatniego najtrwalsze były: zgolenie bojarom bród pod przymusem i kretyńskie przeniesienie stolicy z centrum na obrzeże kraju, co wystawiło ją na ataki choćby takich Finów.

To prawo jest tak banalne, że zapewne ktoś już przede mną je sformułował. Jeśli tak – z przykrością odstąpię je właścicielowi. Ostatecznie przemówienia genseka też pisze zań kto inny. W każdym jednak razie proszę o prawie tym pamiętać, by nie pozwolić rozmaitym manipulatorom na zniekształcanie obrazu historii. Śmiem bowiem twierdzić, że nie tylko peerelowskie podręczniki robią nam wodę z mózgu. Nie dajmy się przeto!

Nr 1/1993

WALDEMAR ŁYSIAK *(ur. 8 marca 1944 r. w Warszawie) – używał następujących pseudonimów literackich: Valdemar Baldhead, Archibald, Mark W. Kingden, Rezerwowy Ł. – polski pisarz i publicysta, napoleonista. Autor kilkudziesięciu książek. Właściciel prywatnych zbiorów bibliofilskich, zawierających m.in. rękopisy wierszy Norwida oraz jedyny istniejący pierwodruk „Trenów" Kochanowskiego. Ojciec Tomasza Łysiaka, dziennikarza radiowego i aktora.*

Ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa w Warszawie. Następnie kontynuował naukę na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, który ukończył w 1968 roku. Studiował później historię sztuki na Uniwersytecie Rzymskim oraz w Międzynarodowym Centrum Studiów nad Ochroną i Konserwacją Zabytków w Rzymie. W roku 1977 obronił na Wydziale Architektury PW pracę doktorską pt. „Doktryna fortyfikacyjna Napoleona".

Wykładał historię kultury i cywilizacji na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

Łysiak publikował także artykuły publicystyczne na łamach takich pism jak: „Najwyższy CZAS!", „Nasza Polska", „Tygodnik Solidarność", a także w prasie polonijnej. Artykuły te następnie ukazały się w zbiorze pt. „Łysiak na łamach..." oraz w pięciu kolejnych książkach: „Łysiak na łamach 2" i czterech oznaczonych odrębnymi tytułami ze wspólnym podtytułem „Łysiak na łamach" i kolejnym numerem. Pisał również dla „Gazety Polskiej" i „Niezależnej Gazety Polskiej", jednak po konfliktach z obydwiema redakcjami 18 lipca 2007 roku zerwał współpracę.

Wydał też cztery publikacje o charakterze publicystycznym: „Stulecie kłamców" (2000), „Rzeczpospolitą kłamców – Salon" (2004), dwuczęściowy „Alfabet szulerów – Salon 2" (2006) oraz „Mitologię świata bez klamek" (2008). W pierwszej z nich przedstawia swoją wizję kłamstw występujących, jego zdaniem, powszechnie w polityce, dotyczących wojny, pokoju, demokracji, ekonomii, dekolonizacji, komunizmu, libertynizmu i relatywizmu.

Dekalog klęski

20 września rano, gdy „procenty" wyborcze były już nie-reformowalne (co znaczyło, że nowy parlament będzie czerwono-różowy od ściany do ściany), z ręką w nocniku obudziła się nie tylko prawica. Śmiem twierdzić, że kac dopadł wówczas pewną część tych ludzi, którzy oddali swoje głosy komunistom, a nazajutrz zobaczyli upiora, czyli głośne już zdjęcie w „Życiu Warszawy": towarzysz Urban z wielką jak kremlowska wieża butelką wina „szampanskoje" oraz z językiem wypchniętym niby wulgarnie zgięty łokieć i zaciśnięty kułak, co oznaczało: „Takiego wała, Polaczki! Znowu przyszedł nasz czas!". Gęsia skórka siadła na karku niejednego z okazjonalnych (wyborczych) zwolenników SLD. Lecz było już za późno – nocnik był już pełny i ręka polska już się w nim znalazła.

Ludzie plotą, że czegoś takiego nie można było przewidzieć. Ależ można było, bez większego trudu. Zrobił to na przykład jeden z bohaterów mojej książki pt. „Najlepszy", oficer SB, płk Heldbaum, oświecając swego podwładnego A.D.1989. Najpierw wytłumaczył mu, że „okrągły stół" niewiele zmieni: „Dla zachowania pozorów wyrzucą nie więcej jak dziesięć procent esbeków, milicjantów, sędziów, prokuratorów i kacyków prowincjonalnych, co oznacza, że policja, służby specjalne, sądy, prokuratury, biurokracja i Polska powiatowa dalej będą nasze, chociaż pod inną flagą. Gdy do tego dodasz banki, fabryki i spółki znajdujące się w naszych rękach...". Później zaś wyprorokował 19 września 1993 roku: „Ten naród nie ma tyle cierpliwości, chce mieć raj dziś lub jutro. Po kilku latach dostanie szału i co wtedy zrobi? Zatęskni za komuną! Tak! Przez te kilka wiosen my nie będziemy siedzieć z założonymi rękami, podgrzejemy frustrację narodu. Efekt?

Jest taka możliwość, że naród przywróci nas do władzy". Wsadziłem te słowa w usta płk. Heldbauma A.D. 1991. Po dwóch latach proroctwo całkowicie się spełniło: wielki triumf odnieśli czerwoni, a prawica została wymieciona won z parlamentu. Istnieje 10 przyczyn tej restauracji prawnuków Marksa, Kautsky'ego i Lenina:

Po pierwsze – lewica wygrała, bo ostatnie cztery lata zdruzgotały tzw. bezpieczeństwo socjalne, do którego tzw. ludzie pracy przywiązali się w ciągu 40 lat rządów PZPR. Było to przywiązanie do szarzyzny, bylejakości, siermiężności czerwonego świata, lecz zarazem do błogosławionego nieróbstwa, za które państwowy pracodawca płacił. „Czy się stoi, czy się leży, dwa patole się należy". Na flaszkę zawsze starczało, można też było wynieść trochę „fantów" z zakładu, zrobić jedną czy drugą „fuchę" na boku, mieć kilkudniowy „odjazd" lub interes z kumplami dzięki łatwo uzyskiwanemu „chorobowemu" itd., itp., a comiesięczna pensja cykała jak zegar z kukułką, regularnie. Nadto kupa rzeczy była „za friko" – od lekarstw do plaż morskich i stoków górskich. Właśnie ta gangrena ekonomiczno-socjalna znokautowała w latach 80. komunizm, ale do niej tęskni wielu Polaków, którzy już przeszli na bezrobocie lub czują się nim zagrożeni każdego dnia. „Jak panowała komuna, to robota była dla każdego, kurde mol, więc niech to wróci, będę głosował na nich i już!".

Po drugie – lewica wygrała, bo w społeczeństwie polskim jest bardzo duży procent emerytów i rencistów, których przez ostatnie cztery lata władze hołubiły tak, jak zaporoscy *rezuni* hołubili Lachów, a Ukraińcy Żydów w trakcie pogromów. To „rezu-rezu" musiało wzbudzić tęsknotę ludzi starych i chorych za komuną. Starzy ludzie potrafią liczyć – ich renty i emerytury przez cztery lata z dnia na dzień malały wobec cen. Ci ludzie również potrafią czytać – gdy przeczytali, że wpływy do budżetu III Rzeczypospolitej zostały zaplanowane następująco: 8,5% od „podmiotów gospodarczych", a 24% (trzy razy więcej!!!) od emerytów i rencistów, to otworzył im się przysłowiowy nóż w kieszeni. Armia starych, skurczonych żołądków poszła do urn głosować na lewicę.

Po trzecie – lewica wygrała, bo w Polsce jest bardzo dużo ludzi lewicy i ludzi oznakowanych przez lewicę, tak jak teksascy farmerzy znakują bydło żelazem. Rolę tego żelaza pełniły legitymacje partyjne (PZPR-owskie i ZSL-owskie), „lojalki" esbeckie, przynależność do aparatu represji i do czerwonej administracji *etc*. PZPR miała grubo ponad dwa miliony członków. A prawie każdy z członków miał rodzinę. I większość tych partyjniaków musiała głosić (swoim bliskim i so-

bie samym, do lustra), że należy wierzyć w komunę – inaczej musieliby przyznać, że są bezwstydnymi oportunistami. Więc kiedy dzisiaj głosują na komunę, głosują w obronie swojej „twarzy" wobec lustra i wobec dziecka oraz współmałżonka. Wystarczy, że robi tak tylko jedna trzecia z nich i jedna piąta żon, mężów lub dzieci członków PZPR i PSL, a daje to ponad milionową armię wyborców!

Podobnie ma się sprawa z TW (tajnymi współpracownikami) SB. Trzy lata temu pisałem na kartach mojej książki pt. „Lepszy": „Wysoki oficer STASI ujawnił wiosną 1990 roku, iż wśród każdych ośmiu dorosłych obywateli NRD jeden pracował jako konfident STASI. I tu właśnie bezwarunkowo trzeba mieć nadzieję. Trzeba mieć nadzieję, że u nas nie było na odwrót". Dzisiaj nie jestem już pewien, czy żart zawarty w ostatnim zdaniu zderzyłby się mocno z rzeczywistością, gdyby w Polsce przeprowadzono pełną lustrację, to jest gdyby otwarto archiwa esbeckie, tak jak to uczynili Niemcy. Liczba kapusiów była nad Wisłą astronomiczna! I teraz niejeden z nich głosował na swych panów, co mieści się w zakresie zjawiska psychicznego, które psychologia od lat bada jako fenomen wzajemnego magnetyzmu wewnątrz związku kat-ofiara.

Po czwarte – lewica wygrała, gdyż unicestwienie idei lustracji-dekomunizacji przez komunistów, udeków i ich satelitów stanowiło dla ludzi namacalny dowód, że czerwoni dalej rządzą Polską, jak chcą. Że są główną siłą tzw. III Rzeczypospolitej – że to oni tasują karty. A człowiek słaby lubi głosować na silnych, przytulać się do silnych, być wśród silnych. Człowiek z charakterem to wojownik, który gdy trzeba, pójdzie sam przeciw stadu. I ma w tym nawet rycerską satysfakcję, według starego angielskiego porzekadła: „Dżentelmen bierze się tylko za przegrane sprawy". Ale człowiek bez kręgosłupa klei się do kolumny najgrubszej, liże buty muskularnym troglodytom. Takich ludzi jest w każdym społeczeństwie i w każdym narodzie dużo więcej niż mężczyzn.

Bardzo negatywną rolę zagrał tu Lech Wałęsa. Od trzech lat miliony Polaków obserwują, że ich prezydent, którego wybrali, bo machał sztandarem antykomunizmu, przestał nim machać, jak tylko zasiedlił Belweder. Odtąd machał „lewą nogą", kokietował czerwonych, Pawlaka wysunął na premiera, bohaterskich patriotów (Kukliński, Hodysz) znieważył obojętnością lub złośliwością, antykomunistów (Kaczyński, Olszewski) wywalał na zbity pysk, a hołubił agentów tajnych służb obcego mocarstwa. Niejeden rodak poszedł wówczas „po rozum do głowy", myśląc: „Jeżeli sam Wałęsa trzyma tę stronę, to znaczy, że

to jest zwycięska strona, więc co się będę wygłupiał, głosując na przegranych!". Lech Wałęsa napędził komunie wiele głosów. Nieważne, czy chciał tego, czy nie chciał. Ważne, iż postępował w taki sposób, że dzisiaj fakty są takie, a nie inne. Są czerwone.

To samo można powiedzieć o Michniku. Dla wielu Michnik jest „autorytetem moralnym". Cokolwiek by zrobił – będzie dla michnikofanów drogowskazem. A co robił? Twardo trzymał ochronny parasol nad czerwonymi, nad generałami, esbekami, aparatczykami i szpiclami, torpedując lustrację i dekomunizację. Pierwszy podniósł krzyk (z mównicy sejmowej) przeciw rozliczeniu „majątku" PZPR i OPZZ, czyli przeciw odebraniu złodziejom tego, co nakradli. Demonstracyjnie bratał się z Jaruzelskim, Kiszczakiem, Urbanem i spółką. Symbolem michnikowszczyzny jest scena, którą uchwyciły kamery telewizyjne – Michnik siedzi obok Jaruzelskiego i krzyczy do jakiegoś Polaka: „Odpieprz się, no odpieprz się od generała! Dobrze?!!". Fani Michnika posłuchali, a mnóstwo Polaków zrozumiało, że akcje giełdowe komuny stoją bardzo wysoko. 19 września to wielki triumf Adama Michnika.

Po piąte – lewica wygrała, bo tzw. prosty człowiek jak dziecko matce wierzy we wszystko, co mu podaje telewizja, radio i prasa, a z górą 90% naszych mediów to media lewicowe lub zarażone lewicowością Układ taki jest bękartem „okrągłego stołu". Dokładniej: dzieckiem tego, co wynegocjowano szeptem pod „okrągłym stołem". Wynegocjowano pakt następujący: my wam władzę polityczną, a wy nam gospodarkę, finanse i media tego kraju. W efekcie Komisja Likwidacyjna RSW-Prasa większość gazetowych tytułów oddała w czerwone i różowe ręce. Trudno teraz oczekiwać, by te dwie ręce niańczyły prawice.

Jest to także problem brudnych rąk. W poprzednim tekście drukowanym na tych samych łamach, czyli na łamach jedynego w Polsce tygodnika czysto prawicowego – w tekście pt. „Oskarżam!" (*nota bene*, został on przedrukowany w kilkunastu krajach, od Australii po Stany Zjednoczone) – informowałem, że według oficerów SB, dziennikarze byli tą grupą zawodową, z której za komuny zwerbowano największą liczbę konfidentów. Ci konfidenci dalej uprawiają swoją profesję i trudno od nich oczekiwać, że zaprzestaną szkalowania prawicy, obrzydzania jej wizerunku rodakom, czyli wyborcom.

„Prosty człowiek" wyznaje wobec rzeczy i zjawisk prostą zasadę informacyjną (percepcyjną): to musi być prawda, bo „tak napisali w gazecie" lub bo „tak powiedzieli w Dzienniku". Kółko się zamyka.

Lewicowe media multiplikują „geremkowskie fakty prasowe" (dziennikarskie „prawdy" wyssane z palca), a do urn lecą kreślone na kartach do głosowania lewicowe krzyżyki.

Po szóste – lewica wygrała, bo czteroletnie rządy udeków Geremka-Kuronia-Mazowieckiego i „liberałów" Bieleckiego wysłały miliony ludzi na zieloną trawkę, a swoim „chłopakom" oraz kumotrom dały bonanzę – i były jednym pasmem nieprawości. Nie bez przyczyny ulica wlepiła KLD-kom ksywkę „aferałowie". Mimo że społeczeństwo poznało tylko ułamek spośród setek gigantycznych afer kryminalnych i prywatyzacyjnych wyniszczających kraj, to ten ułamek był i tak wstrząsający, dawał obraz zalewu złodziejstwa, korupcji, niekompetencji, złej woli, w sumie: zwyczajnej grandy, epidemii na skalę bezprecedensową. Polska zaczęła się jawić Polakom niby sad przykryty przez szarańczę, która zżera wszystko i zostawia krajobraz spalony. Te rządy były ogniem, co trawi las. Wielu uwierzyło, że dobra komuna przeprowadzi rekultywację lasu.

Równie odstręczającą gangreną było funkcjonowanie prawa równające się totalnemu bezprawiu, wręcz kultowi bezprawia. Ludzie widzieli, że królom hochsztaplerów, wodzom przemytników, bossom największych gangów, szefom podziemia i „szarej strefy" nie dzieje się żadna krzywda, a do cel wędrują tylko kieszonkowcy-amatorzy. Nadto zasada, iż prawo nie działa wstecz, została złamana niejednokrotnie. Ta zasada jest od starorzymskich czasów święta dla każdej uczciwej jurysdykcji; złamanie tej zasady hańbi praworządność. Tymczasem w III Rzeczypospolitej podnoszono dłużnikom stopę oprocentowania kredytu w trakcie jego spłacania, co stanowi brutalny gwałt, żeby wymienić tylko ten jeden przykład prawa działającego wstecz. Ludzie zaciskali pięści, a potem otworzyli je, wzięli kartki wyborcze i skreślili na nich krzyżyki w kwadracikach, które lewicowe media reklamowały jako okienka do sprawiedliwego systemu.

Po siódme – lewica wygrała, bo jej przywódcy zwyciężyli przeciwników retoryką. Retoryka była w czasach starożytnych dziedziną olimpijską, wręczano za nią złoty laur, a każdy wielki retor cieszył się uwielbieniem koneserów i tłumów. Prawicy polskiej Opatrzność poskąpiła złotoustych retorów, umiejących magnetyzować słowami tłumy. Tymczasem na lewicy – chociaż i tam nie było wirtuozów, którzy w starożytnych Atenach mogliby sięgnąć po olimpijski laur – znalazło się jednak sporo facetów mających klawe „gadane". Przez co rozumiem prawidłową dykcję, czytelne wykładanie myśli, formułowanie krótkich, soczystych zdań kończonych celną puentą, subtelną dema-

gogię, właściwe, a momentami błyskotliwe poczucie humoru, pewność siebie nie przekraczającą granic arogancji, wreszcie barwę głosu, czyli intonację ujmującą słuchacza. Mistrzem był tu Kwaśniewski, Bugaj niewiele mu ustępował, Pawlak i Cimoszewicz trzymali się blisko podium. Łącznie – pierwsza dziesiątka gadaczy była czerwona co do jednego.

Jeszcze raz cytuję z mojej powieści „Najlepszy", gdzie ekspert KGB uczy polskiego kandydata na prezydenta, jak ma w telewizji czarować wyborców: „Treść przekazu jest najmniej ważna. Większość ludzi i tak nie zapamięta tego, co pan gadał. Oto jaka winna być kolejność: chwyty emocjonalne, rzeczowe argumenty i dopiero na końcu mogą przyjść informacje, którymi nie należy szafować, by odbiorców nie zanudzić. Trzeba okrągłymi frazesami karmić ich marzenia, wciąż obiecywać lepszą przyszłość. Apelowanie do serca jest ważniejsze od apelowania do rozumu..." itd.

Właśnie – do serca! Wyborcze hasło lewicy: „Serce masz po lewej stronie" zostało całkowicie błędnie zinterpretowane przez komentatorów, którzy za klucz tego triku uznali słowo: „lewej", podczas gdy kluczem było „serce". I ten klucz zadziałał. Nawet na plakatach – czyli nawet milcząc – czerwoni okazali się lepszymi retorami od białych.

Po ósme – lewica wygrała, bo połowa elektoratu to kobiety, które według antyfeministów, serce mają nie po lewej, tylko trochę niżej, więc działa na nie wyłącznie uroda i *sex appeal* kandydatów. Może nie na wszystkie damy, ale z pewnością na dużą ich cześć. W dobie królowania telewizji, która nie ma konkurenta wśród mediów, uroda kandydujących polityków jest tysiąc razy ważniejsza niż wszystko, co oni mówią, co reprezentują i co obiecują. Poświęcono temu już setki prac naukowych, takich jak „Making the Impact" Harveya Thomasa, a praktyka wyborcza dowodzi tego nieustannie. Kennedy (który był fatalnym politykiem) wygrał z Nixonem, bo był młody i przystojny. Dokładnie dzięki temu samemu Clinton wygrał z Bushem. Obaj mieli za sobą prawie wszystkie baby, a część facetów mieli dlatego, że decyzje „na kogo głosujemy" zapadają w małżeńskich łóżkach. Prawica polska A.D. 1993 nie miała takich cherubinków (wystawiła Olszewskich, Kaczyńskich, Macierewiczów itd.), a lewica miała całe ich stadko. Buzie i młodość były w tej grze walorem niebagatelnym, „sportowa" uroda Kwaśniewskiego i „fryzjerska" Cimoszewicza działały na „kobitki" zniewalająco; każda wieśniaczka była zakochana w Pawlaku; wszystkie panie o macierzyńskim instynkcie wobec brodatych krasnoludków z chęcią nosiłyby Bugaja lub Frasyniuka na upierścienionych

rączkach. Biologia przełożona na głosy wciskane w szpary urn ma wyborcze znaczenie – i nie jest to dowcip, *ladies and gentlemen*!

Po dziewiąte – prawica przegrała na własne życzenie, bo nie potrafiła się zjednoczyć, co zezłościło i odstręczyło od urn nawet niektórych wyborców o prawicowych przekonaniach. Być może wielu. Dla każdego myślącego człowieka klęska prawicy była oczywista na długo przed 19 września; tacy ludzie zrozumieli to w dniu zarejestrowania partyjnych list kandydatów. Jarosław Kaczyński już wtedy bezbłędnie nazwał te listy „listami śmierci". Inaczej być nie mogło.

Z polską prawicą, czyli z polską antykomuną, dzieje się źle nie od dziś. W poprzednich wyborach wielu ludzi głosowało na ZChN. Tymczasem ZChN w obrzydliwy sposób zdradził swój elektorat, żeniąc się z ubecją – i dlatego teraz katolicy wystawili zdrajcom straszliwy rachunek. PC było dużą partią, miało wielu wyborców i dzięki temu wielu posłów. Lecz gdy tylko Wałęsa pozbył się Kaczyńskiego z Belwederu (za chęć zmiecenia Miecia), szczury zaczęły uciekać ze statku PC, przenosząc się do innych partii, także lewicowych. Okazało się więc, że w dawnym PC było wielu oportunistów, ludzi nielojalnych, ludzi, od których Amerykanin „nie kupiłby używanego samochodu". Tajemnicą poliszynela były też makabryczne tarcia wewnątrz RdR-u itd., itp. Wszystko to drastycznie zniechęcało prawicowy elektorat

Że prawica w Polsce ma tylko jedną szansę – całkowite zjednoczenie wszystkich swych klanów – wie każde dziecko. Rozwścieczone doły partyjne prawicowych ugrupowań warczą od dnia klęski, że dotychczasowych przywódców należy hurtem zdymisjonować i zastąpić nowymi, nie zgranymi twarzami, bo inaczej klęska dostanie czkawki na długo. Gdy ci warczący zrozumieją, że tu nie chodzi o nowe twarze, tylko o jedną nową twarz, która stanie na czele całej polskiej prawicy – wtedy dopiero ich warczenie będzie miało konstruktywny sens, a polska prawica szansę na pokonanie czerwonych, na triumf. Szanowna prawico, uwierz mi – jest to „ostatnia nadzieja białych", mówiąc bokserskim językiem jankesów. Albo złożycie prawicowy „puzzle" w monolit, albo pozostaniecie gromadą skłóconych sekt bez znaczącego elektoratu.

Po dziesiąte – Polska tym razem przegrała ze względu na pewną stałą (chroniczną) wadę demokracji. W demokracji głos prostytutki i głos biskupa są warte tyle samo. Na ulicy, na której mieszka trzech świętych i dziesięciu sutenerów, demokratyczne wybory oznaczają rządy sutenerów. Taki sam pat jest z układem, w którym istnieje dużo prostaków, głupców i analfabetów. Ludzie niczego nie rozumiejący,

ale mający prawo głosu, są wielką armią w każdym społeczeństwie. Porażający był widok, który 19 września wieczorem zaserwowała nam telewizja – widok niewiasty kompletnie nie wiedzącej, jak i na kogo głosowała. Dama za kotarą z zielonym suknem wręczyła tej staruszce białą broszurkę i żółtą kartkę, a usłyszawszy, że kobiecina nie ma pojęcia, o co tu chodzi, wyjaśniła jej krótko: „Na białej postawi pani jeden krzyżyk, a na żółtej dwa". I staruszka poszła stawiać krzyżyki. Ilu takich Polaków poszło 19 września do urn kreślić krzyżyki?

„Autorytet moralny", pan Geremek, wyraził niegdyś publicznie następujący sąd: „Społeczeństwo polskie nie dorosło do demokracji". Chociaż jest to człowiek z definicji nieomylny, tym razem się pomylił. Społeczeństwo polskie udowodniło 19 września, że dorosło do demokracji w optymalny sposób. Demokracja zaś udowodniła, że jest demokracją, czyli systemem, któremu czegoś brakuje, aby można go było nazwać optymalnym.

Konkluzja

Jako prorok sprawdziłem się już kilka razy (począwszy od wieszczenia moim studentom przez kilkanaście lat, iż ZSRS się rozpadnie, a skończywszy na wywróżeniu moim czytelnikom, że komuniści polscy szybko odzyskają głosy Sarmatów), więc przypomnę jeszcze jedno moje proroctwo, które zamieściłem w „Lepszym" i które wkrótce się sprawdzi:

„Będzie głośno. Będzie tak, jak pisał Ortega y Gasset: potężne wołanie wznoszące się ku gwiazdom, niczym wycie niezliczonych psów, z błaganiem, by zjawił się ktoś lub coś i wszystkim się zajął. Albo będzie jeszcze głośniej (...)".

Cytowanie moich dawnych wróżb jest odgrzewaniem staroci, więc dla tych czytelników, którzy chcieliby usłyszeć coś nowego, mam proroctwo nowe: prędzej lub później, da Bóg, będziemy znowu gubernią rosyjską, co wynika z wielu przyczyn (od geograficznych do psychospołecznych), a warunkowane jest nie pytaniem **czy**, ale **kiedy** mocarstwowa Rosja dogada się z mocarstwowymi Niemcami za przyzwoleniem Zachodu, który we krwi ma zdradzanie „przedmurza obrotowego".

Nr 40/1993

OSKARŻAM!

„Ku prawicy zwraca się serce mądrego,
a ku lewicy serce głupca”
(Stary Testament, Kohelet).
„Prawda uczyni was wolnymi”
(Nowy Testament, św. Jan).

STO lat temu, gdy kończył się wiek XIX. francuski pisarz Emil Zola opublikował w gazecie głośny tekst pt. „J'accuse” („Oskarżam!”). Za obrazę rządu i armii skazano go na rok wiezienia i grzywnę. Pożyczam od Zoli tytuł. Oskarżam to samo – dyktaturę kłamstwa.

Jako obywatele Europy żyjemy na kontynencie rządzonym przez eunuchów, którzy nie są mężczyznami, dlatego Jugosławia jest piekłem. Jako obywatele Polski żyjemy w kraju rządzonym przez nieuczciwość mającą znamiona kultu, dlatego Polska może zamienić się w piekło. Oszustwo nie przestało być dla sterników państwa i kreatorów opinii publicznej socjotechniką i metodą rozwiązywania wszystkich problemów. Identycznie było za komunizmu, ale tam to był wróg, „oni”, a to miał być przyjaciel, „nasi”. Trawa miała zamienić się w mleko.

Dwadzieścia lat temu, na kartach mojej drugiej książki („Wyspy zaczarowane”), obiecywałem: „Nie ma wiecznych imperiów. Cierpliwości – trawa z czasem zamienia się w mleko”. Jako wykładowca byłem mniej aluzyjny, *ergo* bardziej konkretny, na co mam ponad dwa tysiące świadków – kilkanaście roczników moich studentów potwierdzi, iż co roku wykład o kulturze Imperium Rzymskiego kończyłem stwierdzeniem, że Imperium Sowieckie też musi upaść, a Polska odzyska wolność i wtedy będzie nam lepiej. Tak właśnie miało być –

mieliśmy po wyzwoleniu zbudować system cechowany prawością. Zbudowaliśmy system totalnego kłamstwa.

Kłamstwo ekonomiczne

Przed czterema laty „siła spokoju" zapewniała, że recesja będzie półroczna, a bezrobocie półmilionowe. Napisałem wówczas w „Lepszym", iż są to optymistyczne bzdury. Dzisiaj z ust tych samych ludzi płynie potok identycznych bzdur o rychłym przezwyciężeniu kryzysu, będący „wyborczą kiełbasą" UD i KLD. Prawdę usłyszeć można od czołowych zachodnich biznesmenów: Polska jako teren inwestycyjny nie jest już nawet krajem tzw. wysokiego ryzyka, lecz suchym basenem dla trampolinowych samobójców, obszarem zadżumionym, na którym inwestować wolno tylko wtedy, gdy władze polskie dopłacają do interesu.

Oskarżam!

„System ekonomiczny" oparty na triadzie: Bezprawie-Nieudolność-Korpucja musi oznaczać ciągłość gospodarczego kryzysu. Władze, stale głoszące o wychodzeniu z dołka, prezentują jako swój główny sukces politykę finansową (czyli monetarystyczna), a właśnie ona zabija Polskę. Tragiczny był już 1990 rok (także 1991), gdy utrzymywano kurs dolara na sztucznym, a oprocentowanie wkładów złotówkowych na niebotycznym poziomie, co pozwoliło zagranicznym cwaniakom wydrenować Polskę z miliardów dolarów, zaś rodzimym hochsztaplerom zbić fortuny. Jedni i drudzy mieli rządowy przeciek o całorocznym sztywnym kursooprocentowaniu. Inne „cynki", w połączeniu z karygodną bezradnością rządu, pozwoliły gangsterom kraść bajońskie kwoty dzięki serii afer (markowa, rublowa, alkoholowa, papierosowa, benzynowa, FOZZ, itd.). Polska gospodarka utraciła w ten sposób szansę na szybkie wyzdrowienie.

Władze kontynuują monetaryzm, uważając to za panaceum. Nic bardziej fałszywego. Lekarstwem bywa tylko mądry system podatkowy, co od lat stara się wbić ludziom do głów jedna polska partia, UPR. Lansowana przez rządową propagandę teza, że wyższe podatki dostarczają budżetowi większych wpływów, to kłamstwo kierowane do przeciętnego ignoranta. Jest na odwrót - przy wyższych podatkach wpływy maleją, bo człowiek robiący pieniądze ukrywa dochody, kantuje państwo, lub ogranicza dynamikę inwestycyjną. Cud gospodarczy Japonii i azjatyckich „tygrysów" został zbudowany metodą najniższych w świecie podatków. Cud gospodarczy rządzonego przez UPR Kamienia Pomor-

skiego (w ciągu trzech lat ta mała gmina spłaciła 6 miliardów długów i zyskała 9 miliardów budżetowej nadwyżki!) został zbudowany metodą najniższych w Polsce podatków. Jak dowiedli osobno Clark, Parkinson, czy Laffer (tzw. krzywa Laffera) podatki wyższe niż 30% są mordercze dla każdego systemu, wykańczają budżet, destabilizują państwo, rujnują społeczeństwo. Nad Wisłą podatki sięgają 50%.

Kłamstwem jest również gra prywatyzacyjna. Sprzedawanie cudzoziemcom najbardziej dochodowych firm za symboliczne sumy (*exemplum*: Wedel) i notoryczne tolerowanie przez Ministerstwo Przekształceń Własnościowych sprzedaży akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw oraz banków metodą „na lewo", w ramach mafijnego układu (*exemplum*: Vistula, Sokołów, Wielkopolski Bank Kredytowy), dzięki czemu mafia robi miliardy od ręki – to tylko wierzchołek góry lodowej szwindli z prywatyzacją.

Rodzima mafia gospodarcza składa się z trzech współpracujących grup interesów: dawna nomenklatura, dawna SB i aktualna nomenklatura (kryta przez kumotrów, żony, braci, siostry etc.). Dziś, gdy wiemy, że znaczna część byłej opozycji (czyli obecnego establishmentu) współpracowała z bezpieką, i gdy wiadomo kto komu i za co przekazał władzę przy „okrągłym stole", sieć powiązań to „puzzel" klarowny. „Układowe" banki kredytują „układowe" firmy, a ponieważ wszystko jest „układowe" – wszystko rozgrywa się w „rodzinie". Oto dlaczego nasz kraj nie jest szpitalem, w którym mogłaby się wyleczyć gospodarka, tylko kasynem dla oszustów, bramą dla przemytników i pralnią „brudnych pieniędzy". Już ponad 40% społeczeństwa żyje na granicy lub poniżej granicy ubóstwa.

Kłamstwo lustracyjne

Przeciwnicy lustracji kłamią, że dekomunizacja i deagenturyzacja równa się: destabilizacja i chaos gospodarczy. Chaos gospodarczy i destabilizację mamy właśnie dzięki temu, że lustracji nie przeprowadzono. Armia renegatów we władzy jest jak trucizna w organizmie. Wirus w komputerze niszczy program. Czy można odnowić swój dom, zanieczyszczony przez wrogów, bez usunięcia śmieci?

Wiem, iż gorzka jest myśl, że epopea tylu „dysydentów" to nie była martyrologia, lecz *„commedia dell'arte"*. Jednak takie są fakty. Lustracja, którą Czechy i Niemcy przeprowadzili bez pardonu, wykazała i rutynowo „represjonowano" konfidentów, by ich uwiarygodnić Prawie wszyscy przywódcy podziemia NRD-owskiego byli Tajnymi Współpracownikami STASI. Nasz oficer SB, kierujący siatką TW, po-

wiedział dziennikarce o wsadzaniu do więzienia tych, z których MSW robiło herosów: „Nagłaśnianie nazwisk odbywało się pod nasze dyktando i według schematu represja, informacje o represji, nagłośnienie (...)". To takie dziecinnie łatwe sposoby uwiarygodniania.

Anty Lustratorzy mówią: chęć rozliczenia wynika ze „zwierzęcej nienawiści", żądzy odwetu „Kłamią - bezwstydnie mylą dążenie do sprawiedliwości z dążeniem do zemsty. Jakaś koszerna moralność każe tym ludziom głosić, że denazyfikacja była w porządku, a Wiesenthala, który do dziś ściga nazistów, czyni słusznie – lecz dekomunizacja (choć komuniści wymordowali kilka razy więcej ludzi niż naziści) to łotrostwo". Dzięki tej „dialektyce" kryminalną zasługą antylustratorów, większą nawet niż fakt, że przez nich Polską wciąż rządzi konfidencka zgraja, jest deprawowanie, zwłaszcza młodzieży. Gdyż wmawiać społeczeństwu, że taka sytuacja jest zdrowa moralnie, znaczy: gangrenować całe pokolenia. Dla Polski może się to skończyć gniciem w szambie bardzo długo.

Walka o lustrację jest walką o niepodległość. Brak deagenturyzacji równa się brakowi suwerenności państwa. Kilka miesięcy temu eks-oficer KGB, Oleg Gordijewski, powiedział, że zostawienie u żłobu kolaborantów SB (czyli KGB) oznacza, iż władze rzekomo suwerennej Polski będą pracowały dla Kremla. Miał na myśli nie tylko agenta o pseudonimie „Kask" (ministra spraw zagranicznych). Polskie wojsko zatrudnia wielu promoskiewskich oficerów. Obsada polskich placówek dyplomatycznych składa się częściowo z agentów GRU i KGB. Żaden szczebel administracji państwowej nie jest wolny od agentury. W jednym ze stołecznych dzienników ppłk. kontrwywiadu (Zarządu II Sztabu Generalnego) pisze anonimowo: „Wymyślanie wszelkich »grubych kresek«, czy nawoływanie do zaniechania polowań na czarownice, służy wyłącznie utrzymaniu się tych konfidentów na stanowiskach". Co to wszystko ma wspólnego z suwerennością?

Jeden z katów esbeckich, Z. Kmietko (dziś szanowany biznesman), opowiedział dziennikarzowi jak w latach 80-tych, w katowniach SB, bito prawdziwych opozycjonistów. Bito tak, że słychać było: „Już nie krzyk człowieka, ale wycie zarzynanego zwierzęcia". Po czym spytał retorycznie: „Widział pan kiedyś osobę bitą po stopach?". Pechem naszego kraju jest to, że po stopach nie zbito wówczas wszystkich tych, którzy później głosowali na UD, KLD, SLD i PSL. Gdyby zmasakrowano stopy członkom dzisiejszego czerwonego i „różowego" elektoratu, to UD, KLD, SLD, i PSL nie dostałyby jednego fotela w sejmie i Polską rządziłby ktoś inny. Ergo: deagenturyzacja byłaby już faktem.

Kłamstwo praworządnościowe

Aby zbudować praworządne państwo, trzeba zbudować przyzwoity system prawny jako fundament. Bez dobrej konstytucji i dobrego kodeksu praworządność nie funkcjonuje. W Polsce cztery lata bawiono się w sejmie różnymi duperelami, lecz nie zrobiono ani nowej konstytucji, ani sensownego gospodarczego prawa (co skutecznie odstrasza zachodnich inwestorów i cieszy rodzimych hochsztaplerów korzystających z luk w prawie), ani też nie naprawiono kodeksu karnego (co obraża poczucie sprawiedliwości). Mimo to VIP-y i klakierzy mówią, że mamy państwo praworządne. Kłamią.

Na wszystkich decyzyjnych szczeblach, od gospodarki do sportu, szaleje korupcja większa niż za komuny: jedna trzecia handlu jest poza kontrolą państwa; raporty NIK-u o gigantycznych aferach rząd traktuje jako makulaturę; czołowi hochsztaplerzy balują po Marriottach z elitą rządowych miliarderów, gdy drobni pechowcy kiblują w więziennych celach (jak pisał Rej: „Małe złodziejki wieszacie, wielkim się nisko kłaniacie") – bankierzy przyłapani na mafijnym sprzedawaniu papierów wartościowych dostają... służbowe upomnienia, a kierowcom parkującym w miastach, w których nie ma parkingów, wlepia się grzywny z całą bezwzględnością. Trybunał Konstytucyjny upoważnił wszystkich przyszłych posłów i senatorów do składania fałszywych zeznań życiorysowych, lecz każdemu obywatelowi za błąd w podatkowym zeznaniu grozi kara; itd. Rzuciłem garść przykładów pierwszych-lepszych, można ich podać tysiące. Czy to wszystko – to jest praworządność?

Spójrzmy na policję i sądy, czyli na dwa papierki lakmusowe praworządności każdego systemu. Policję mamy osobliwą. Gdy atakuje legalne demonstracje, bije z rozpędu w przechodniów i wiernych w kościele św. Anny, lub gdy sprawia, że bezdomni na dworcach umierają od przysłowiowego „pobicia się własną pięścią" – jest bohaterska. Ale wobec bandytów, którzy terroryzują społeczeństwo, wobec złodziei, którzy kradną w biały dzień, i wobec nieznanych sprawców, którzy polują na prawicę – jest bezradna. Cała Polska oglądała w telewizji, jak grupka chuliganów rozpędza batalion gliniarzy na stadionie. Kupa śmiechu, co?

Polskie sądy to jeszcze lepszy kabaret, bo tam można dowcipów posłuchać. Takich jak przywracanie konfidentom dziewictwa w oparciu o niechęć MSW do ujawnienia stanu faktycznego. Albo inny wic: sąd nakazuje przeprosić Michnika (któremu zarzucono grubą finan-

sową malwersację, argumentując, iż: „uzyskanie kredytu bankowego (...) nie jest równoważne z otrzymaniem pieniędzy". Pies nie jest ssakiem, tylko gryzoniem, bo gryzie! Prawda, że kupa śmiechu? Albo farsa z procesowym szukaniem głównych winowajców śmierci księdza Jerzego i pomijanie przy tym gen. Kiszczaka (ten dowcip już dwa lata temu wytykałem w jednej z moich książek). Czy to wszystko – to jest praworządność?

Polska roi się od oprawców (ubeków, esbeków. generałów), którzy mają krew na dłoniach, lecz są nietykalni. Rumuński pisarz, Paul Goma, rzekł: „Nie jestem żądny krwi, ale jeśli ktoś ma krew na rękach, nie można mu tak po prostu przebaczyć. Inaczej naprawdę uwierzy, że sprawiedliwość nie istnieje".

W Polsce istnieje prawo, ale nie istnieje sprawiedliwość.

W kraju, w którym prawo nic zabezpiecza sprawiedliwości – praworządność jest oszustwem.

Kłamstwo dziennikarskie

Czyli opiniotwórcze. Kłamstwo póty jest niegroźne dla narodu, póki nic zostanie zaaplikowane milionom. Aplikatorami są media, technikami aplikacji – dziennikarze.

Już kilku oficerów MSW ujawniło, że dziennikarze byli tą grupą zawodową, w której zwerbowano największą liczbę konfidentów. Jak znalazł się któryś jeszcze czysty, to biliśmy się między sobą o to, kto ma go werbować". Prawie wszystkie polskie media bazują dziś na czerwonym funduszu, a służą w nich ci sami szpicle. Mając więcej niż 90% mediów można kłamać z bezkarnością meteorologów, gdyż polemiczny wobec kłamstwa głos prawdy dotrze do niewielu ludzi.

Dwa główne rodzaje dziennikarskiego łgarstwa to kłamstwo polityczne i obyczajowe. Politycznym szkaluje się prawicę, z dużą skutecznością. Syndromem jest tu przykład bliźniaków, którym ukradziono księżyc. Innym przykładem jest Janusz Korwin-Mikke. z którego na siłę robi się postrzeleńca, dziwaka, etc. Wszystkich ludzi prawicy lewicowe media klasyfikują jako „oszołomów". Swego czasu, gdy po serii takich łgarstw i po solidarnym z nimi, gniewnym komentarzu Geremka, wyszło na jaw, że antyprawicowe „informacje" są nieprawdziwe, Geremek oświadczył do mikrofonów, iż to bez znaczenia, bo dla niego liczy się „Fakt prasowy" (!!!). „Fakt prasowy" Geremków, mający już miejsce w muzeum blagiarstwa, wykłada się tak: prawdą nie jest to, co jest prawdą, lecz to, co lewicowe gazety drukują.

Królową „faktów prasowych" stała się „Gazeta Wyborcza". Nie ma dla niej tabu. Aby zgnoić ludzi, których trzeba zgnoić, fałszuje daty, zdarzenia, miejsca, literowe i cyfrowe oznakowania paszportów, wyniki ankiet (o nauce religii), kłamliwie zawiadamia się o śmierci człowieka żyjącego, lub o zamachu stanu, którego nie było, słowem robi, co chce, a dla łgarstw, których nie może sygnować piórami swoich dziennikarzy, ma rubrykę „TOP", czyli curiosum, które przekracza wszelkie standardy świństwa.

Z kolei szerzone przez media kłamstwo obyczajowe tyczy modelu życia i jest wycelowane w glinę do formowania łatwą – w durniów oraz (przede wszystkim) w nastolatków Model polecany to prostacki hedonizm i leseferyzm. *Vulgo*: „róbta, co chceta". Robią, co chcą. Piją, biją, kradną, gwałcą, demolują, narkotyzują się, prostytuują – i nikczemnieją grubo przed osiągnięciem pełnoletności, jest to zjawisko coraz bardziej masowe. Jak akurat nie wiedzą, co robić, mogą sięgnąć po pisemko dla dziewczynek „Dziewczyna". „Branie penisa do ust zwiększa pożądanie twego chłopca...". Lub włączyć TVP-2, gdzie w programie dla młodzieży (4 VII 91) niewyskrobani nastolatkowie bawią się wesoło dowcipem o „gulaszu aborcyjnym", zaś w Wielkanoc leci plugawa parodia Męki Chrystusa.

Kościół, który jest ulubioną tarczą strzelecką mediów (grozi nam „klerykalizm", „inkwizycyjny terror", „czarna władza", etc), podpadł za dwie rzeczy. *Primo*: utrudnił aborcję, bo Chrystus był obrońcą życia, a przerywanie ciąży to mordowanie dzieci i żadna proaborcyjna retoryka nie może zmienić tego oczywistego faktu (dr B. Nathanson: „Zabijany płód doznaje takich samych cierpień, jak torturowany człowiek"). *Secundo*: Kościół uszkolnił naukę dekalogu, czyli tych kilku prostych reguł, bez których obumiera wszelka przyzwoitość a życie staje się praktykowaniem zła.

Masowość i permanentność antykościelnej kampanii musi prowadzić do patologii społecznej, takiej jak choćby wybryki rodzimych „artystów" (ujawnione przez „Najwyższy Czas!") – kopulacje z krzyżem („artystyczny Happening") czy ekstrementy wewnątrz tabernakulum („modernistyczna rzeźba"). Ale to dewiacje. Czymś gorszym, bo gromko upowszechnianym (w odwecie za szkolną naukę religii), jest pedagogiczna permisywność, będąca programowym niszczeniem struktury rodzinnej, antagonizowaniem dzieci i rodziców. Narodową bohaterką uczyniły media nieletnią siksę (jedna z milionów polskich małolatek tresowanych przez półpornograficzne pisma typu „Bravo", „Dziewczyna", „Popcorn"), która zwiała z domu, a później, przy ra-

dosnym wyciu mierzwy i błysku fleszy demonstracyjnie tańczyła w ramionach Urbana. Zupełny orgazm postępowi „Europejczycy" osiągną, gdy przedszkolaki będą uprawiały seks, z podstawówki dziatwa wyjdzie po pierwszych skrobankach, a licealiści nie bedą tłukli matek tylko na Dzień Kobiet.

A. Gehlen pisał: „Wszystkiemu co jeszcze stoi, wydmuchuje się z kości szpik". Dokładnie to robią polskie media.

Kłamstwo autorytetowe

Sforą tumaniącą opinie dowodzi sztab „mentorów moralnych". Elyta. Geremek. Michnik. Kuroń. Mazowiecki. Małachowski. Szczypiorski *et consortes*. Prawie każdy ma za sobą komunistyczną przeszłość. Gdy się czyta ich tamte teksty, zdumienie człowieka ogarnia, że ktoś mógł tak hołdować bolszewicką nowomową stalinizm. Poniechali komuny „kiedy już można było niezgadzaniem się zarobkować lepiej niż dotychczasowym służalstwem" (Tyrmand). Obecnie pragną stanowić rząd dusz. Ich klientelą, jest ćwierćinteligent uważający się za inteligenta i półinteligent pozujący na intelektualistę (trzoda wyzbyta charakteru, ukazana pierwszą sceną w filmie „Piłat"). Ich dwór to grono popularnych twarzy (aktorów, sportowców, naukowców etc.), które widzimy w TVP od ćwierćwiecza jak wiszą u klamki, u sakiewki i u smyczy tronu, i które będziemy w tej roli oglądać aż powymierają, bo czy nad Wisłą będzie rządził czerwony, różowy, brunatny albo łaciaty, ci sami ludzie będą mu pośladki lizać, jest to kwestia ich kodu genetycznego.

„Autorytet Moralny" („am") można rozpoznać dzięki kilku jego elitarnym cechom, jak rasowego psa. Po pierwsze jest członkiem lub sympatykiem lewicy. G. Nenning tak autokrytycznie scharakteryzował własną klasę, lewicową inteligencję: „Bezmyślność, oschłość, zgodne naśmiewanie się z Kościoła, a przede wszystkim brak serca i odwagi, by dojrzeć sytuację, w jakiej znajduje się naród".

Po drugie – „am" ma silne plecy na Zachodzie, gdzie lewica włada niektórymi mediami i państwami. Dzięki tej międzynarodówce polski „am" otrzymuje stamtąd tzw. dowody szacunku (*„rispetto"*). Francuska lewica przyznała Bieleckiemu, Kuroniowi i Geremkowi krzyże Legii Honorowej, równocześnie przyznając te same krzyże kilku międzynarodowym aferzystom, m.in. libańskiemu handlarzowi bronią, Traboulsiemu.

Po trzecie – „autorytet moralny" wygłasza sądy autorytarne czyli jedynie słuszne. Przykład: w dziedzinie literatury wyrokiem „autory-

tetów" oraz ich psiarni dziennikarskiej geniuszami mianowano Konwickiego, Szczypiorskiego i Barańczaka. Zaledwie dziewięciu (tylu naliczyłem) „oszołomowych" krytyków zbuntowało się, zwąc Szczypiorskiego „literatem, który zrobił karierę szczególnie niewspółmierną do swego talentu", a jego płody „knotem" natomiast Barańczaka i Konwickiego grafomanami, co najlapidarniej ujął sędziwy poeta, Z. Bieńkowski, mówiąc, iż obaj „nie mają talentu za grosz". Wyroki polityczne „am-ów" też są jedynie słuszne, czego nie zrozumieli Bułgarzy. Michnik - w typowy dla siebie sposób, „zionąc miłosierdziem" (genialna diagnoza R. A. Ziemkiewicza) – naubliżał bułgarskim antykomunistom od „neofaszystów", więc teraz bułgarscy patrioci głośno wołają do Polaków: „Dlaczego nie powiedzieliście nam wcześniej, kim naprawdę jest Michnik?!"

Po czwarte – „am" fraternizuje się z esbecją. Bujak reklamuje swoich byłych „tropicieli", Kuroń bierze sobie za doradcę prawą rękę Kiszczaka, płk. Gdulę; Milczanowski angażuje osławionego płk. Jasika; Michnik, który wg. R. Lazarowicza „ma szczególną inklinację do otaczania się kanaliami", komplementuje Kiszczaka, jeździ z Urbanem, z Jaruzelskim chla bruderszaftowe wino. Jest to ciekawy problem dla nauki, tylko nie wiem dla której: dla psychologii, psychiatrii, wiktymologii czy renegatologii.

Po piąte – „am" jest ulubionym gościem TVP, która za komuny miała „dyżurnych przechodniów" a teraz ma „dyżurnych moralistów". Daje im albo stałe okienko (Kuroń, Małachowski), albo urządza na ich cześć bizantyjskie spektakle, pośród których wzorcowy był *show* z Michnikiem siedzącym w barokowej ramie przy swoim druhu Kiszczaku. Ilustrowano tę hecę filmem z archiwów esbeckich, o tym, jak sokoły Kiszczaka wykręcają Michnikowi ręce w lochu. Na marginesie: czy każdemu politycznemu robiono takie sesje filmowe, czy też kamera, reflektory i półka do przechowywania tej reklamy były tylko dla „Adasia" tak jak były dla „Adasia" ryzy papieru do pisania w pierdlu książek?

Dziękuję ci ZOMO!

Zawodem „amów" jest oświecanie Polaków. „Am" uczy Polaków teorii względności (czyli relatywizmu moralnego), wyjaśnia Polakom, że są ciemnogrodem (którym mogą przestać być jak tylko zapiszą się do UD lub KLD) i uświadamia Polakom, że praktykują antysemityzm. Notabene stosunek „autorytetów" do antysemityzmu jest moralnie relatywny. Oto Szczypiorski, kokietując Niemców, apologetyzuje płk. Stauffenberga i zupełnie mu w tym nie przeszkadza antysemityzm idola; *Gescheft ist Gescheft*.

Wspaniały żydowski autor, I. B. Singer, pisał: „wstyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje, on go stworzy". W Polsce antysemityzm jest incydentalny, mniejszy niż w krajach Zachodu (nie mówiąc już o krajach Wschodu), a to mobilizuje rozdmuchiwaczy zła. Nawet język sekcji sportowej w gazecie wielkiego akuszera terroru pseudotolerancji dławi się tą pianą: „Przed meczem hymn Szwecji odśpiewał, miejscami fałszując falsetem, mały chłopczyk, rzecz jasna aryjski blondyn, ale jakoś szczęśliwie nie podobny do tego z bawarskiej piwiarni w filmie »Kabaret«". Człowiek przeciera wzrok czytając taką ohydę i myśli: Gdzie ja jestem, czy to dom wariatów? Nie, to tylko dom rasistów, czyli „Gazeta Wyborcza", ukochana trybuna ludzi zwanych „autorytetami".

Kłamstwo prezydenckie

Tę część oskarżenia pozwolę sobie przedstawić w formie listu otwartego: Panie Wałęsa. Udzielając wywiadu „La Stampie" (9.V.93) powiedział Pan, iż jest pan za „koncepcją chrześcijańską, za prawdą". Te słowa nijak nie przystają do złamania przez Pana wyborczych obietnic i do notorycznego torpedowania przez pana prawdy (m.in. lustracyjnej). W tym samym wywiadzie zapewnił Pan, iż walka z komunizmem „pozostaje nadal rzeczą świętą". Jest to święta prawda, tylko że Pan przez ostatnie trzy lata nie kiwnął palcem dla realizacji tego świętego celu, wprost przeciwnie. W tym samym wywiadzie opowiedział się Pan za „nową uczciwością". Panie Wałęsa – nie istnieje nowa uczciwość, tak jak nie istnieje uczciwość stara, uczciwość zielona, kwadratowa, spiralna, połowiczna, morska, górska czy nizinna. Uczciwość jest bezprzymiotnikowa. Albo to jest po prostu uczciwość, albo nie ma jej wcale. M.in. dzięki Panu w Polsce aktualnie uczciwości nie ma.

Panie Wałęsa. Podczas sławnej dyskusji Miodowicz – Wałęsa miliony usłyszały, że chce Pan zrobić z Polski wyścigowy samochód. Zrobił Pan z Polski taksówkę, której pasażerowie coraz częściej pytają przerażeni dokąd ona jedzie, pytają siebie samych, gdyż boją się kierowcy. Tak, to jest strach. Miał pan szacunek milionów. Pozostał tylko strach. Rządzi Pan (i zapewne długo będzie Pan rządził, zważywszy pański układ z wojakiem i z wojskową Informacją, oraz liczbę patologicznych oportunistów zasilających BBWR) wyłącznie przy pomocy strachu – jest Pan specem od eliminowania ludzi własną ręką lub ręką „Miecia". „Kto nie z Mieciem, tego zmieciem!". Zmiatacie żelazną

miotłą. Godłem opryczniny dowodzonej przez Malutę Skuratowa (prawa ręka Iwana Groźnego) była właśnie żelazna miotła. Żelazna miotła jest Polsce niezbędna do usunięcia brudów. Pan jej używa do usuwania patriotów.

Panie Wałęsa. Bez przerwy wmawia Pan narodowi: „chcę, ale nie mogę, bo mi nie dają" Człowiek, który pstryknięciem palca obala rząd w jedną noc i Sejm w jeden dzień, a zatem człowiek wszechwładny, kiedy mówi, że nic nie może zrobić dla kraju – mija się z prawdą. Lecz nie mija się z nią, kiedy mówi: „Wszystko zależy od was!". Tak jest, wszystko zależy od nas. Jak się podczepimy do któregoś z trzech układów: prezydenckiego (Belweder, armia, policja), nomenklaturowego (komuna) lub rządowego (krąg udeków i „aferałów"), to możemy robić karierę plus szmal, otrzymamy kredyt, nie pójdziemy na zasiłek, będziemy mieli bezpłatną reklamę w mediach, a może nawet miliardy lub pałace w Konstancinie, jak niektórzy z obecnych prominentów. Wszystko zależy od nas.

Panie Wałęsa. W swoim orędziu rzekł Pan, iż „Polska jest źle rządzona". To eufemizm. Polska jest rządzona bardzo źle.

A między współrządzącymi rozgrywającym jest Pan. Namiętność do przebywania w światłach rampy, umiejętność zrzucania z szachownicy pionków, biegłość w czarowaniu mową-trawą o własnym posłannictwie i w tasowaniu kart „z rękawa", wreszcie nielojalność wobec ludzi, a stałość w noszeniu Bogurodzicy przy klapie – to za mało, aby być mężem stanu i prezydentem państwa znajdującego się w trudnej sytuacji.

Panie Wałęsa. Głosowałem na Lecha Wałęsę, i wielu wahających się znajomych skłoniłem, by uczynili tak samo, za co ich dzisiaj publicznie przepraszam. Wierzyłem, że Lech Wałęsa to prawonożny napastnik. Okazało się, że stonoga ma mniej nóg niż Lech Wałęsa i że na każdą jego nogę pasuje tylko lewy but. Lewy but i lewa buta skonfrontowane z tym, co obiecywał Lech Wałęsa, gdy starał się o głosy wyborców, to piekło i niebo.

Konkluzja

Oskarżam, gdyż utożsamiam się ze słowami pisarza Juliena Greena, które co roku cytowałem moim studentom omawiając zagadnienia średniowiecznej etyki: „Wychowano mnie w pogardzie dla kłamstwa. W moim rodzinnym domu kłamstwo w żadnych jego formach nie było akceptowane. Wiem oczywiście, że mówi się niekiedy

o kłamstwie z konieczności, i w rzeczy samej na tym po części bazuje nasze społeczeństwo. Jednak to właśnie jest dla mnie obrażające!".

Ci, których oskarżam, są drugorzędnymi adresatami powyższego tekstu – oni się nie zmienią. Napisałem ów tekst dla ludzi, których gnębi bezsilność, lub poczucie strachu, lub brak zrozumienia rzeczywistości polskiej, lub wszystkie te uczucia naraz. Pragnę tych ludzi przekonać, że wolność zależy od nich samych. Starożytni radzili zdrowy rozum (*„Sapere aude!"* – odważ się być mądrym, odważ się myśleć samodzielnie!) i śmiałość („Tylko człowiek, który jest w stanie mówić: Nie!, jest naprawdę wolny"), co razem oznacza, że trzeba żyć zgodnie z druidyjską dewizą: „Prawda przeciw światu!".

Spiżowe buciska królowej Historii nie tylko u nas zdeptały sprawiedliwość, praworządność i przyzwoitość, ale to żaden powód, by uznać prawdę za dziecinną chimerę i przestać tęsknić do prawdy czyli do honoru jako sposobu życia. Honoru nie można położyć na talerzu i karmić nim dzieci – wiem! Lecz czy mamy zezwolić, by lata, jakie przeżywamy, zostały kiedyś uznane epoką, która honor wydaliła? Mamy być w oczach naszych potomków formacją symboliczną dla „Dziejów bezhonoru w Polsce"?

Nr 37/1993

***ANDRZEJ MACHNIK**, pseud. Młody (ur. 14 lipca 1953 w Gliwicach) – polski taternik i himalaista związany z gliwickim Klubem Wysokogórskim.*

Wspinał się w na wielu trudnych drogach w Tatrach: 1973 – pierwsze klasyczne przejście Wielkiego Komina na północno-wschodniej ścianie Małego Młynarza, 1973 – pierwsze polskie przejście „superdirettissimy" na północnej ścianie Małego Kieżmarskiego Szczytu, 1976 – nowe drogi na ścianach Małego Młynarza, 1977 – nowe drogi na ścianach w masywie Krywania.

Jego autorstwa są także przejścia zimowe na ścianach Gerlachu, Ganku, Rumanowego Szczytu, Kazalnicy Mięguszowieckiej i Jaworowej Grani.

Machnik wspinał się też w Kaukazie (1974, 1976) i Alpach (1978, 1983) oraz w górach najwyższych, m.in.: 1980 – Pamir – pierwsze wejście północno-wschodnią ścianą Piku Kommunizma (od 1998 Szczytu Ismaila Samaniego) stylem alpejskim, 1982 – Makalu , 1983/84 – Manaslu, 1984/85 – Dhaulagiri, 1986 – pierwsze zimowe wejście na Kanczendzongę (kierownik wyprawy). Autor licznych książek o tematyce górskiej i artykułów m.in. w „Taterniku".

ŚMIERTELNE W CZASIE POKOJU

W numerze 8. pisma krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego „Kapitalizm Powszechny" pojawił się tekst pt. „Droga rozwoju – szanse i zagrożenia", stanowiący fragment wykładu prof. Leszka Balcerowicza, wygłoszonego 15 maja 1993 roku w Akademii Ekonomicznej w Krakowie. „Czy kraj zapóźniony gospodarczo może skrócić dystans dzielący go od krajów rozwiniętych?" – zapytuje Leszek Balcerowicz i zaraz dodaje: „Odpowiedź na to pytanie jest twierdząca – ale zarazem warunkowa. Dowodzi tego historia wielu krajów, którym udało wydźwignąć się z ubóstwa... Jeśli ograniczymy się do ostatniego półwiecza, możemy zauważyć, że bardzo nieliczne z krajów Trzeciego Świata weszły na drogę szybkiego rozwoju – właściwie tylko słynne »azjatyckie tygrysy«. Wiele traciło dystans, rozwijało się wolniej niż kraje bogate" – zauważa Leszek Balcerowicz. „System polityczno-gospodarczy umożliwia rozwój, jeśli sprzyja inwestycjom tzw. powiększania majątku narodowego. Wiemy jednak dobrze, że sama wysoka stopa inwestowania nie wystarcza – dowodzi tego upadek gospodarczy systemów socjalistycznych. Potrzebne jest ponadto efektywne wykorzystanie wszystkich zasobów. Jeśli jednak zasoby pracują efektywnie, to wysoki poziom inwestycji jest czynnikiem szybkiego rozwoju. Wszystkie »tygrysy« Dalekiego Wschodu inwestowały bardzo dużo, więcej niż kraje wysoko rozwinięte, ograniczając w tym celu poziom bieżącej konsumpcji. Inwestycje zależą od oszczędności... Inwestycjom potrzebna jest także stabilność makroekonomiczna. Jeśli jej nie ma, szanse na poważne inwestycje są niewielkie. Ponieważ jednym z najważniejszych czynników niestabilności jest wysoka inflacja, zdławienie inflacji jest niezbędnym warunkiem długofalowego wzrostu...

Źródłem wewnętrznych kapitałów inwestycyjnych są setki przedsiębiorstw oraz kredyt, również w części pochodzący z lokowanych w systemie finansowym zysków przedsiębiorstw. Kluczem do tworzenia kapitału krajowego są więc zyski przedsiębiorstw, które zależą przede wszystkim od stosunków pracy i stosunków własności: one łącznie określają efektywność działania przedsiębiorstwa".

Wszystko to ładnie i pięknie, dopóki nie dochodzimy do owych „stosunków pracy" i „stosunków własności", będących określeniami tak ogólnymi, że prawie nic nie mówiącym. W tym też momencie cały ten logiczny skądinąd wywód zaczyna pływać, nie znajdując konkretnego punktu odniesienia do realnej rzeczywistości. Pytanie natury zasadniczej brzmi: w jaki konkretnie sposób owe enigmatyczne „stosunki pracy" i „stosunki własności" przyczynić się mogą do wzrostu zysków przedsiębiorstw, tworzenia kapitału krajowego i wzrostu efektywności działania całej gospodarki? Potrzebna jest rzeczowa odpowiedź na to właśnie pytanie i od tego właśnie zależy, czy Polska dołączy do krajów wysoko rozwiniętych, czy też w nieskończoność pławić się będzie w bałaganie i niemożności. By lud polski mógł gremialnie ująć inicjatywę w swoje ręce, tak jak się go do tego nawołuje, należy w pierwszym rzędzie stworzyć stosowne po temu warunki. Najważniejszym zaś po temu narzędziem jest właściwa polityka podatkowa, o czym Balcerowicz w ogóle nie wspomina, zaś reszta naszych ekonomistów znakomicie ignoruje. Warto więc dowiedzieć się wreszcie, że jedną z podstawowych przyczyn japońskiego cudu gospodarczego były i są najniższe w świecie podatki, nie zaś konieczność popełnienia harakiri w przypadku niepowodzenia, podobnie zresztą jak u innych „tygrysów", które ostro poszły do przodu. Zaś polityka podatkowa w naszym kraju polega na łupieniu skóry ze wszystkiego, co się rusza, przy jednoczesnym niezbornym udzielaniu „ulg", co powiększa jeszcze ogólny chaos. Żadnemu pójściu do przodu taka gra nie sprzyja. Z chwilą, gdy zignorujemy ten czynnik o kapitalnym wręcz znaczeniu dla gospodarki, dalsze dyskusje na temat szans naszego rozwoju staną się przelewaniem z pustego w próżne i bujaniem w obłokach bez konkretnego punktu zaczepienia na ziemi.

Podatki: pobudzanie i zarzynanie gospodarki

Najprostszą i najczęściej spotykaną reakcją na rynek popytu jest podnoszenie cen, zaś na spadek dochodów budżetu państwa – podnoszenie podatków, czego efektem jest nieodmiennie nie tylko rujnowa-

nie gospodarki, lecz także związany z tym dalszy spadek dochodów budżetu. Rzeczy te ustalono już wystarczająco dawno, by wreszcie przyjąć je powszechnie do wiadomości, miast ignorować z uporem godnym lepszej sprawy. I tak już w 1942 roku Colin Clark stwierdził, że podatki przekraczające 25% dochodu narodowego zaprzeczają swemu własnemu celowi. Keynes już w 1923 roku skonstatował, że podatki powyżej pewnej granicy powodują inflację. Z kolei Cyryl Northcote Parkinson charakteryzuje wpływ wysokości podatków w sposób następujący:

„>10% – kapitał rozpoczyna migrację; jeśli ucieczka kapitału zastopowana jest jakąkolwiek metodą, czy to przez okoliczności, czy też ustawodawstwo, podatki mogą rosnąć do 20%, ale napotykają coraz twardszy opór;

>20% – każdy wzrost podatku powoduje coraz mniejszy przychód;

>25% – rozpoczyna się poważna inflacja, zmniejszająca wartość zebranych przychodów;

30% – następuje spadek wpływów danego państwa;

35% – następuje widoczna utrata wolności, jedności, stabilności wewnętrznej państwa; ~ 36% – następuje katastrofa, kompletna i ostateczna, chociaż nie zawsze natychmiastowa;

>36% – możliwe w czasie wojny, śmiertelne w czasie pokoju".

Do gremialnego unikania podatku dochodzi wtedy, gdy koszt unikania jest mniejszy od kosztu ich płacenia. Metody na to są rozliczne. Np. w przypadku wysokich podatków od zysku w przemyśle pracodawca może zredukować płacone podatki poprzez dystrybucję zysku wśród personelu. Wraz z tym zmniejszonym oporem przeciwko zadaniom płacowym wartość pieniądza spada. Jedną z popularnych metod jest wykazywanie wysokich kosztów. Tak czy inaczej przy podatkach sięgających 25% dochodu narodowego następuje spadek dochodów budżetu państwa. Towarzyszy temu zepchnięcie znacznej części gospodarki do podziemia. „Kwitnące królestwo podziemne, które obejmuje zapewne 20% – niektórzy twierdzą, że 25% produktu narodowego brutto" – pisze o Stanach Zjednoczonych Jerzy Gilder w swojej słynnej książce „Bogactwo i ubóstwo" – „staje się coraz bardziej atrakcyjne, wprost proporcjonalnie do wzrostu stóp podatkowych".

„Jednym ze wskaźników tego wzrostu jest gwałtowna ekspansja zasobów gotówkowych... Największa szkoda z inflacji lat siedemdziesiątych wynikała z przeorientowania gospodarki z działalności produkcyjnej na dywersyjną. Otyli unikają podatków... Wysokie podatki

podniosły wymogi co do stopy oczekiwanych zysków z inwestycji. Zobowiązania długoterminowe hamowane są na korzyść projektów z natychmiastową spłatą. Badania podstawowe i rozwojowe ustają, pomimo że mają one zasadnicze znaczenie dla nowego bogactwa i sprawności gospodarczej. Skutki bywają jednak zgoła nieoczekiwane. W końcu lat siedemdziesiątych, gdy wiele centralnie zarządzanych i finansowanych gospodarek europejskich przeżywało stagnację" – pisze Gilder – „Włochy ze swym chaotycznym rządem i niekonsekwentnym systemem podatkowym stworzyły miejsca dla olbrzymiego i prosperującego czarnego rynku wytwarzającego tekstylia, obuwie, a nawet części samochodowe w opuszczonych piwnicach i na poddaszach – podnosząc produkt narodowy o jedną trzecią. Za tą „Lavoro nero" jako wiodącym sektorem wzrostu, gospodarka włoska osiągała lepsze wyniki niż brytyjska czy szwedzka ze swymi uzwiązkowionymi pracownikami, umowami społecznymi i armiami biurokratów... Centrum podziemnej włoskiej *prosperity* była – o ironio! – komunistyczna prowincja Emilia-Romania". Jak stwierdził „Forbes Magazine": „Pod publiczną glazurą kolektywizmu kipi sektor wolnej przedsiębiorczości, wydajny i zdrowy jak jego odpowiedniki w niebiosach prawicy w rodzaju Hong Kongu czy Singapuru i nowi komunistyczni politycy uznali go za lokomotywę ożywienia w gospodarce narodowej".

Jak się zdaje, podobna sytuacja zaczyna występować w Polsce. W 1992 roku 80% wpływów budżetu pochodziło z sektora bankowego. Sektor prywatny, skupiający 54% ogółu zatrudnionych i wytwarzający 45% produktu narodowego brutto, wpłacił do budżetu zaledwie 1/30! A więc gra zaczęła się – i... całe szczęście! Jest bowiem nadzieja, że nasi rządowo-parlamentarni specjaliści od rujnowania gospodarki nie zdołają jej zarżnąć całkowicie, mimo najlepszych chęci. Zresztą już za czasów komuny wspominano, że istnieje u nas, podobnie jak we Włoszech, tzw. „druga ekonomia", czyli gospodarka podziemna o dość sporych rozmiarach, zaś cały świat dziwił się zjawisku, że statystyczny Polak wydaje przeciętnie dwa razy więcej niż zarabia.

Tymczasem jednak warto omówić pozostałe zjawiska towarzyszące dokręcaniu śruby podatkowej. „Paul Craig Roberts, jeden z twórców projektu Kempa-Rotha [zmniejszającego podatki w USA – przyp. mój], stwierdził, że wysokie podatki stanowiły hamulec produkcji, nie limitując jednocześnie podaży pieniądza. Rezultatem była klasyczna sytuacja inflacyjna – zbyt wiele pieniędzy uganiających się za zbyt małą ilością towarów – ale tym razem raczej w postaci mniejszej ilości dóbr niż większej ilości pieniędzy" – podaje Gilder. I dalej: „Jesz-

cze nim podatki zaczną hamować produkcyjność, już rodzą inflacyjną tendencję do podnoszenia kosztów bieżących. Dla znacznej części obecnej inflacji w krajach kapitalistycznych najlepszym określeniem nie jest ani »popytowa«, ani »kosztowa«. Najlepszym terminem jest »podatkowa«. W tym określeniu podatki traktowane są jako mające bezpośredni, natychmiastowy wpływ na płace i ceny... Arnold Lovell z Brytyjskiego Skarbu Państwa, Vito Tanzi z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Robert Gordon z Northwestern University zgodnie sugerowali, że wzrost podatków dochodowych może być proinflacyjny, ponieważ pracownicy próbują utrzymać niezmienne dochody netto, wzrost płac jest zaś znacznie wyższy przy wyższych poziomach inflacji i świadomości inflacji wśród pracowników".

Paradoksem progresji podatkowej jest to, że biedni cierpią najbardziej wówczas, gdy większości innych uniemożliwia się skuteczne osiąganie, posiadanie i reinwestowanie bogactwa. Np. „wprowadzenie przez Wielką Brytanię w latach 40. ubiegłego wieku najwyższych i najbardziej progresywnych stawek opodatkowania doprowadziło w ostateczności do prawie czterokrotnie większego wzrostu płatności ubogich niż bogatych" – pisze Gilder – „... po przekroczeniu pewnego punktu, który już został osiągnięty w większości współczesnych państw demokratycznych, wzrost opodatkowania wyższych dochodów prowadzi do bardziej, a nie mniej luksusowego życia bogatych i mniejszej, a nie większej pomocy dla ubogich... Podstawowym problemem w kraju kapitalistycznym jest ilość i jakość inwestycji dokonywanych przez bogatych. Wzrost podatków niewiele wpłynie na ich konsumpcję, która stanowi stosunkowo skromną i stałą część bogactwa klas wyższych. Oddziała natomiast na kalkulację, na której podstawie człowiek bogaty decyduje się oszczędzać i inwestować oraz przy pomocy której dokonuje się wyboru rodzaju inwestycji... Wysokie podatki wraz z inflacją powodują rozpad gospodarki w taki sam sposób jak wysoka stopa procentowa..."

Cóż więc czynić? Ekonomista amerykański Artur Laffer wykazał, że niższe stopy podatkowe mogą tak stymulować biznes i dokonywać takich przesunięć dochodu z miejsc chronionych do działalności opodatkowanej, że niższe stopy spowodują wzrost wpływów podatkowych i można uwolnić sektor prywatny od uciążliwych stóp podatkowych bez ograniczania usług sektora publicznego. Tzw. krzywa Laffera wskazuje, że zazwyczaj są różne poziomy stopy podatkowej zapewniające tę samą sumę wpływów do skarbu państwa. Np. stopa zerowa nie da żadnych wpływów, a stopa 100% też nie, ponieważ

zahamuje działalność podlegającą opodatkowaniu. Stopy podatkowe i wpływy w górnych odcinkach krzywej Laffera są odwrotnie proporcjonalne: im wyższe stopy, tym niższe wpływy. Dwa programy podatkowe dostarczające z grubsza tych samych wpływów budżetowych mogą poważnie różnić się wysokością końcowych stóp podatkowych, tj. stóp, w których opodatkowane są kolejne przyrosty dochodu. Jak utrzymuje Laffer, obniżki podatków spowodują wzrost wpływów budżetowych. „Troszczącym się o dystrybucję dochodu krzywa Laffera oferuje obietnice równie nęcącą jak wszystkie zastrzeżenia keynesowskie wobec surowego trybu życia i ciułania" – stwierdza Gilder – „... regresywne podatki pomagają ubogim. Staje się coraz bardziej oczywiste, że mniej progresywna struktura podatkowa konieczna jest dla zmniejszenia ciężaru podatkowego spadającego na klasy niższe i średnie. Gdy obniży się stopy w górnych przedziałach, bogaci konsumują mniej, a inwestują więcej. Ich zarobki rosną i płacą oni większe sumy podatków. Zatem klasy niższe mogą płacić mniej dla utrzymania danego poziomu usług. W Anglii zupełnie nieznaczne są sumy wpływów podatkowych; każdy, kto zdobył bogactwo, natychmiast uciekał na Maltę lub do Nassau, by chronić swą zdobycz, pozostawiając płacenie podatków nieruchliwej klasie średniej".

Najbardziej konsekwentnie trzymały się tzw. szkoły podażowej wspomniane już „tygrysy azjatyckie". „W odniesieniu do porównywalnych dochodów japońskie stopy podatkowe są najniższe w świecie kapitalistycznym" – pisze Gilder – „Konsekwentnie prowadzona przez Japonię polityka obniżek podatków spowodowała znaczne zmniejszenie rozpiętości w zarobkach bogatych i biednych. W przeciwieństwie do Zachodu kapitaliści azjatyccy zrozumieli rolę obniżek podatków w uwalnianiu przedsiębiorczości. Na Tajwanie seria przemyślanych obniżek podatków dała początek ekspansji ekonomii między innymi w połowie lat 50., a obniżki trwały jeszcze w latach 70. W latach 80. Singapur obniżył już niskie stopy podatkowe o 16%, a minister handlu Goh Chok Tong wyjaśnił przychylnemu parlamentowi: „Kilka rozwiniętych krajów, jak Wielka Brytania, zostało zahipnotyzowanych sloganem, by »wydrenować bogatego« – i następnie stwierdziły one, że przez ciężkie podatki nałożone na dochody osobiste zdławiły pęd do wybicia się i sukcesu... Dwudziestki ryczały w Ameryce przede wszystkim dlatego, że w przeciwieństwie do władz brytyjskich, prezydent USA, John Calvin Coolidge, oraz Warren Harding znieśli wysokie stawki opodatkowania z okresu I wojny światowej. Amerykańskie obniżki podatkowe z lat 20., zmniejszające maksymalne opodatkowanie z 73% do 25%, w ciągu czterech lat zwiększyły bieżące

płatności podatkowe bogatych o przeszło 200% oraz podwoiły udział podatków globalnych płaconych w najwyższym przedziale dochodowym z 27 do 63% ... Krok Kennedy'ego redukujący górną stopę z 91% do 70% i odpowiednio inne stopy przyniósł niemal chirurgicznie korzystne efekty dla gospodarki... Carlos Romero Barceló z Puerto Rico posłuchał tej rady, dokonując obniżek miejscowych stóp podatku dochodowego i usuwając dwa 5-procentowe podatki dochodowe w 1978 roku. W następnym roku, wg oficjalnych statystyk, wpływy podatkowe wzrosły o 15 milionów dolarów w stosunku do roku poprzedniego, stopa bezrobocia spadła o 11%, a tempo inflacji zmalało. Dalsze redukcje uchwalono w 1979 roku, co dało 13-procentowy wzrost wpływów i 100 tys. nowych podatników w 1980 roku". Tak mniej więcej wyglądają korzyści z prowadzenia ostrożnej polityki podatkowej. Jak stwierdza G. N. Parkinson: „Rzecz nie polega na tym, jak zredukować wydatki socjalne i na obronę, lecz przede wszystkim jak skierować w użyteczne kanały energię wydatkowaną aktualnie z jednej strony na ściągnięcie podatków, a z drugiej na ich unikanie".

Problemy polskiej reformy

Oprócz narzucenia zbyt wysokich podatków, połączonych z chaotycznym systemem ulg i zwolnień podatkowych, na skutek których ogólny obraz staje się jeszcze mniej przejrzysty, wydaje się, że położono przesadny nacisk na prywatyzację scentralizowanego molocha gospodarki państwowej, nie doceniono zaś znaczenia inicjatywy oddolnej, tej zaczynającej prawie od zera. Uważa się przy tym, że tylko wielki zagraniczny kapitał i tzw. wielka prywatyzacja zadecydować mogą o postępie gospodarczym naszego kraju. Tymczasem zaś wielkiego kapitału zza granicy ani widu, ani słychu, zaś wielka prywatyzacja kuleje. Jednakże mimo to okazuje się, że i w tej chwili sektor prywatny skupia, jak już wspomniałem, ok. 54% ogółu zatrudnionych i wytwarza ok. 45% produktu narodowego brutto. „W Polsce sporo udało się już zrobić w dziedzinie stosunków własności" – stwierdza Leszek Balcerowicz – „mniejszy niestety udział w tych zmianach miała prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych, doszło natomiast do **niezwykle szybkiego rozwoju sektora prywatnego**" (podkreślenie moje). W taki właśnie sposób przejawiły się teraz słynna polska inicjatywa i zdolność do improwizacji, która jeszcze nie tak dawno przysparzała sobie wrogów w krajach nawiedzanych przez tzw. polskich turystów. Jak się zdaje, nasi fachmani od gospodarki nie mieli zielonego pojęcia, jak takie zjawisko wykorzystać. Tymczasem, wedle

wszelkich znaków na niebie i na ziemi, jest ono naszą szansą i należy mu nadać jeszcze większy rozpęd. Pytanie natury zasadniczej brzmi: jakie byłyby jego efekty, gdyby nie stereotypowo nieudolna polityka podatkowa i mordowanie przedsiębiorczości przy pomocy absurdalnie wysokich czynszów, drogich kredytów itp. „Małe firmy zakładane przez przedsiębiorczych ludzi mogą szybko dorosnąć do odgrywania ważnej roli w gospodarce narodowej" – pisze Gilder – „Rodziny o zerowym bogactwie zbudowały Amerykę. Wiele spośród nie posiadających osobowości prawnej firm, które zyskały około 500 miliardów wartości netto od czasów II wojny światowej (sześć razy więcej niż wszystkie korporacje razem wzięte), zostało zapoczątkowanych w gospodarstwach o wartości aktywów – zgodnie z przyjętym sposobem liczenia – równej zero. Koncepcja ogromnej, niemożliwej do zlikwidowania przepaści między ubóstwem a bogactwem jest mitem... To właśnie małe i dysponujące wysoką technologią przedsiębiorstwa, a nie firmy w rodzaju Chryslera, tworzą większą część zatrudnienia w Ameryce... Szybki wzrost gospodarczy jest w niewielkim stopniu produktem dojrzałych firm wielonarodowych, jest natomiast produktem małych i średnich przedsiębiorstw. Nowe firmy o wiele szybciej zwiększają zdolności produkcyjne niż stare".

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. W obecnej sytuacji Polska i tak skazana jest na rozwój tylko własnymi siłami – i to tak długo, jak długo kraj nasz bardziej przypominać będzie bajzel na kółkach niż normalną gospodarkę. Mimo to nasze szanse na lepsze jutro są duże, a może nawet dzięki temu jeszcze większe. Przede wszystkim jednak dążyć należy do maksymalnego uwolnienia inicjatywy poprzez radykalne zmniejszenie podatków *ad hoc*, nie zaś w formie wybiórczej i „adresowanej" do podmiotów gospodarczych wyselekcjonowanych na nie wiadomo jakiej zasadzie przez nieudolną biurokrację państwową. Przyczyni się to nie tylko do ożywienia gospodarczego, lecz również do wzmocnienia budżetu państwa. Wbrew temu, co się u nas usiłuje aktualnie twierdzić, nasza alternatywa nie polega na tym, że może być tylko źle albo jeszcze gorzej, lecz po prostu dobrze albo źle – w zależności od tego, czy podejmowane przez nas działania będą miały sens, czy też nie. W przypadku stworzenia większych szans rozwoju dla oddolnej inicjatywy poprzez ustanowienie sensowniejszego systemu podatkowego istnieje duże prawdopodobieństwo, że szybko rozwijające się nowe przedsięwzięcia wypełnią większość luk w gospodarce, powstałych po upadku państwowych lewiatanów, i to w sposób płynny, chroniąc ją tym samym przed większymi wstrząsami i przyczyniając się walnie do wy-

ciszenia protestów różnych grup społecznych, będących niczym innym niż tylko prostym efektem dzisiejszej bezsensownej czkawki gospodarczej. Wzorem powinna być tu dla nas właśnie Japonia, która przede wszystkim jest krajem o największej w świecie liczbie małych i średnich firm. Zmiany też wymaga horrendalny wręcz system płatności na zabezpieczenia społeczne, który sam w sobie przyczynia się do wzrostu bezrobocia z jednej strony, a do tzw. pracy na czarno z drugiej. W którą zaś stronę zmierzamy obecnie? Otóż wprowadza się kolejny podatek (VAT), o kosmicznej jak na niego wysokości 22%! – i to głównie po to, by jeszcze skuteczniej łupić skórę z wolnej przedsiębiorczości. Posłuchajmy, co ma na ten temat do powiedzenia Artur Laffer (o Wielkiej Brytanii): „Olbrzymi wzrost VAT [tylko z 8 do 15% – przyp. mój] uderzy bezpośrednio w działalność gospodarczą, przytłumi dochody z biznesu i wyprowadzi transakcje poza księgi rachunkowe, w świat gotówki i podziemie. Nieustanne podnoszenie podatków na zabezpieczenia społeczne spowoduje ostry wzrost bezrobocia. (...) Wpływy z VAT i podatków na zabezpieczenia społeczne spadną poniżej oczekiwań, a wzrosną kredyty zaciągane przez rząd, wywierając presję na wzrost stopy procentowej".

Wprowadzenie kolejnego podatku o tak zabójczej wysokości jest więc kolejnym krokiem wstecz. Wydaje się, że dopóki gospodarka polska znajduje się w rękach etatowych dokręcaczy śruby, jej widoki na rozwój są marne, zaś podejmowane na ten temat dyskusje są jałowym biciem piany. Do czego zaś to dokręcanie śruby prowadzi, widać było choćby przy okazji podniesienia ceł na samochody. Efekt: ani pieniędzy w budżecie, ani samochodów. Jeśli cokolwiek w tym kraju napędzić można przy pomocy przysłowiowej siekiery, to przede wszystkim przejechać się nią należy po podatkach i barierach celnych. Szansa na szybki rozwój istnieje – wiadomo nawet, jaka wiedzie do tego droga. Samousprawiedliwiające zaś twierdzenia niektórych, że Polska jeszcze nigdy nie była w tak trudnej sytuacji, są czystą herezją. Chyba od tysiąca lat czy też nawet w ogóle nigdy nie zdarzyło się jeszcze, żeby naszym jedynym naprawdę istotnym problemem był tylko rozwój gospodarczy. Jeśli okaże się, że stanowić on będzie dla nas barierę nie do przejścia, zawdzięczać to będziemy tylko własnej głupocie i nieudolności. Nie wykorzystując tej, danej nam przez historię, wyjątkowej szansy, zasłużymy na to, by po wsze czasy zostać kopanym w tyłek Kopciuszkiem.

Nr 29/1993

***X. STANISŁAW OLAF MAŁKOWSKI**, pseudonimy: Tadeusz Baczan, Jan Malski, Stanisław Bernalewski, Ksiądz, Socjolog; ur. 29 lipca 1944 r. w Woli Korytnickiej – ksiądz rzymskokatolicki, socjolog, publicysta, społecznik, działacz opozycji demokratycznej w PRL.*

Pochodzi z rodziny ziemiańskiej. Jest wnukiem po mieczu wybitnego polskiego geologa, założyciela Muzeum Ziemi w Warszawie i profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Stanisława Małkowskiego, oraz wnukiem po kądzieli posła na Sejm II RP i senatora II RP, Władysława Malskiego. Jego ojcem był fizyk i docent PAN, Zdzisław Małkowski.

Pierwsze miesiące swojego życia Stanisław Małkowski spędził w rodzinnym majątku w Woli Korytnickiej. W grudniu 1945 r. przeprowadził się wraz z rodziną do Warszawy. W 1961 r. ukończył VI Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Reytana w Warszawie. Po szkole średniej rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1964-1966 przebywał w nowicjacie w klasztorze benedyktynów w Tyńcu. Przed przyjęciem habitu zakonnego opuścił zakon i powrócił na studia. Ukończył je w 1969 r. z tytułem magistra socjologii. W 1970 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie. 22 grudnia 1974 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk biskupa pomocniczego warszawskiego Zbigniewa Kraszewskiego.

Od lat 60. XX wieku Stanisław Małkowski był zaangażowany w działalność opozycyjną. Jako student Uniwersytetu Warszawskiego brał udział w strajkach w marcu 1968 r. W latach siedemdziesiątych, już jako ksiądz, współpracował z ROPCiO i KOR. Był jednym z sygnatariuszy Listu 59, w którym protestował przeciwko wprowadzeniu do Konstytucji PRL zapisu o kierowniczej roli PZPR i wieczystego sojuszu z ZSRS. Brał udział w głodówkach organizowanych przez opozycjonistów w kościele św. Marcina w Warszawie. Współpracował z Jackiem Kuroniem. Z czasem jednak, ze względu na inne poglądy, poróżnił się z nim i zerwał współpracę. Od 1977 r. współpracował z Komitetem Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej, a od 1979 r. z Komitetem Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Za kontrowersyjne kazania i zbyt duże zaangażowanie polityczne był wielokrotnie napominany przez władze kościelne, by zmienił swoje postępowanie. Obawiano się o jego życie. W 1977 r. został pozbawiony przydziału do parafii. W 1980 r. uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej. W stanie wojennym został jednym z kapelanów podziemnej „Solidarności".

Podczas studiów w seminarium duchownym poznał Jerzego Popiełuszkę, kilka lat później został jego przyjacielem, a następnie również

współpracownikiem. Odprawiał wraz z księdzem Jerzym przyciągające tłumy wiernych Msze za Ojczyznę w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

W latach 80. Stanisław Małkowski jeszcze bardziej zaangażował się w duszpasterstwo wśród opozycjonistów. Współorganizował w tym czasie m.in. msze katyńskie, uroczystości pod Krzyżem Romualda Traugutta i pod pomnikiem na Olszynce Grochowskiej. Za swą działalność opozycyjną był wielokrotnie nękany przez Służbę Bezpieczeństwa.

13 grudnia 1981 r. został aresztowany, uniknął jednak internowania. Na początku lat osiemdziesiątych znalazł się na liście niewygodnych księży sporządzonej dla pułkownika Służby Bezpieczeństwa, Adama Pietruszki, których zamierzano zgładzić. Figurował na niej pod numerem pierwszym, przed ks. Jerzym Popiełuszką.

W 1983 r. został odsunięty od pracy duszpasterskiej decyzją kurii archidiecezji warszawskiej i przeniesiony do posługi na Cmentarzu Komunalnym Północnym na Wólce Węglowej w Warszawie. Pomimo to podejmował się dalej działalności kaznodziejskiej. Zapraszany do różnych warszawskich i podwarszawskich parafii wygłaszał tam swoje wykłady i homilie. Publikował też pod różnymi pseudonimami w prasie podziemnej. Po 1989 r. został zwolniony z nałożonych na niego przez Kościół zakazów i skierowany jako wikariusz do pracy w parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej Świata na Ochocie.

Po 1989 r. przez 10 lat był wolontariuszem duszpasterstwa więziennego w Areszcie Śledczym na warszawskiej Białołęce. Do 2002 r. był księdzem wspomagającym w parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Warszawie.

23 września 2006 r. prezydent RP Lech Kaczyński za zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej oraz za działalność na rzecz przemian demokratycznych w kraju odznaczył księdza Stanisława Małkowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

24 stycznia 2007 r. został odwołany z posługi na Wólce Węglowej. Powodem decyzji był wywiad, którego udzielił dla programu Jerzego Zalewskiego „Pod prąd" w TV Puls oraz wcześniejsze wystąpienia w telewizji w związku z mianowaniem metropolitą warszawskim arcybiskupa Stanisława Wielgusa. Usunięto go także z pracy w parafii św. Patryka na Gocławiu, gdzie był księdzem wspomagającym. W diecezji warszawsko-praskiej, na terenie której mieszka, odebrano mu prawo głoszenia homilii, prawo spowiadania oraz przyzwolono na odprawianie Mszy świętych jedynie w koncelebrze. Po interwencji biskupa pomocniczego warszawskiego Mariana Dusia został jednak przywró-

cony do posługi przy pogrzebach i pracy na Wólce Węglowej; pełni obowiązki wikariusza w parafii Świętego Ignacego Loyoli w Warszawie, a także jest księdzem wspomagającym w parafii Miłosierdzia Bożego w Warszawie.

Od początku swojego kapłaństwa ks. Stanisław Małkowski jest znanym działaczem na rzecz obrony życia poczętego. Jako społecznik zaangażowany jest w duszpasterstwo więzienne oraz pracę z dziećmi niepełnosprawnymi. Od 1989 r. ksiądz Stanisław Małkowski stał się orędownikiem dekomunizacji i lustracji. Utożsamiany jest z polskim ruchem prawicowym, z którym od lat współpracuje.

AGRESJA CZARNA, BIAŁA I RÓŻOWA

W niedzielę 13 marca uczestniczyłem w audycji telewizyjnej *„Tabu”* (nadanej 15 marca o północy), a w poniedziałek otrzymałem nowy numer amerykańskiego pisma „Newsweek” (14 III 1994) z artykułem *„Was it real or memories?”*(s. 54) o wzniecanej w USA przez psychiatrów, posługujących się metodami hipnozy i sugestii obsesyjnej obawie, że ktoś, kto obecnie przeżywa trudności nerwicowe, był w dzieciństwie wykorzystywany seksualnie (czego zresztą już nie pamięta, ale psychiatra potrafi *wyzwolić* ze stanu podświadomości konkretne wspomnienie, a nawet zachęcić pacjenta, aby sprawę skierował do sądu i rozgłosił w telewizji, jak to miało niedawno miejsce w przypadku chorego na AIDS oskarżyciela Stevena Cooka i oskarżonego kardynała Bernardina z Chicago).

Temat seksualnego wykorzystywania dzieci autorzy programu potraktowali jako kolejne *tabu,* które trzeba pokonać na drodze do wolności słowa i społecznego zdrowia. Wobec elokwencji i agresywnej postawy trzech panów uczestniczących w tej audycji: Zbigniewa L. Starowicza, Jacka Santorskiego i Jacka Kuronia - miałem niewielkie możliwości wypowiedzenia się wówczas w studiu. Już samo moje stwierdzenie istnienia ogólnych zasad moralnych w tej dziedzinie spotkało się z gniewem Kuronia i zarzutem Santorskiego, że podejmuję *„temat zastępczy” (*tak jak gdyby istotna była praktyka, zaś nieistotna teoria). Starowicz wyraził ubolewanie, że tacy jak ja reprezentanci Kościoła uczestniczą w podobnych spotkaniach (*„ale są też inni księża”* - dodał z nadzieją). Moje krótkie wypowiedzi zostały później jeszcze okrojone.

Czuję się więc pobudzony do dalszej refleksji. Oto z jednej strony dzisiejsza demokracja obala kolejne *„tabu”,* kolejne wartości i zasady z góry określane jako przesąd, *wyzwala* kolejne *„mniejszości seksualne”,* a z drugiej strony, selektywnie, posługuje się ona represją wobec zachowań uznawanych za złe. W tej demokracji niszczenie rodziny, programowe rozkładanie więzi małżeńskiej i rodzicielskiej, poniżanie autorytetu ojca i matki, popieranie rozwiązłości, konsumpcyjnego seksualizmu nie jest złe; również nie jest złe dzieciobójstwo (przemoc wobec dzieci poczętych oparta na kłamstwie) jako warunek wolności kobiety; natomiast (jeszcze!) zła jest przemoc seksualna (zwłaszcza wobec dzieci). Pedofile jako przedstawiciele represjonowanej *„mniejszości seksualnej”* mogą czuć się skrzywdzeni: innym wolno, a im nie! I oto daje się w USA psychiatrom, policji, sędziom, adwokatom ogromną władzę: mogą niszczyć czyjąś dobrą opinię (rodziców, nauczycieli, duchownych) i represjonować kogoś, kto kiedyś w dalszej lub bliższej przeszłości popełnił czyn molestowania seksualnego dzieci (albo tego czynu nie popełnił, ale jest o to fałszywie oskarżany, co w końcu ujawniło się w przypadku kardynała Bernardina). Wznieca się obawę przed dziećmi: jakikolwiek kontakt fizyczny z dzieckiem bez świadków (w szkole, w rodzinie) może stać się pretekstem do oskarżenia - po dwudziestu nawet latach - o *„molestowanie seksualne”*. Daje się dzieciom numery telefonu, aby mogły wzywać pomocy gdy czują się zaqrożone molestowaniem („uważaj, tato, bo *oskarżę ciebie o molestowana seksualne; zapłacisz mi odszkodowanie lub pójdziesz do więzienia”)*.

Wykorzystywanie seksualne dzieci staje się na Zachodzie (a prawdopodobnie również u nas w Polsce) coraz powszechniejsze wraz z upadkiem moralności seksualnej, małżeńskiej, rodzinnej. Trzeba dzieci bronić. Są jednak takie metody obrony dziecka, które do reszty niszczą autorytet rodziców lub duchownych oraz więź rodzinną i wspólnotową *(„nie ufaj rodzicom i duchownym, ufaj psychiatrom i policji”)*. Przy tym prawdopodobieństwo seksualnego wykorzystania dziecka w placówce wychowawczej jest znacznie większe niż w rodzinie. Ks. Jeffrey J. Stefon pisze w książce *„Satanizm jako ucieczka w absurd”* (Kraków 1993, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, s. 126) - *„W celu uzyskania możliwości przestępczego wykorzystania małych dzieci sataniści zatrudniają się w przedszkolach jako nauczyciele czy administratorzy; trudno jest rozróżnić »bezpieczne« przedszkole od takiego, w którym dokonywane są nadużycia”*.

„Newsweek” informuje, że jedna piąta ofiar seksualnego wykorzystania mówi o nadużyciach związanych z rytuałem satanistycznym.

Najpierw niszczy się tradycyjną moralność, burzy się cywilizację judeo-chrześcijańską, wyszydza się sens szóstego przykazania (godząc się na częściowe zastąpienie go przykazaniem piątym: złe, bo szkodzi zdrowiu; złe, bo wiąże się z przemocą), a następnie niektórych ludzi, traktujących zbyt dosłownie głoszone powszechnie libertyńskie nauki, wyznacza się do roli kozłów ofiarnych. Niektórzy przestępcy seksualni stają się obiektem zbiorowej agresji, a nawet histerii. Jest wiedza o życiu seksualnym, która buduje, ale jest też taka wiedza, która rujnuje. Edukacja seksualna w szkołach i przedszkolach w wykonaniu ludzi pokroju Starowicza byłaby głęboką deprawacją dziecięcych sumień i młodej psychiki. Edukacja seksualna sprzymierzona z gnozą, z metodami samorealizacji w stylu New Age torowałaby drogę satanizmowi.

Pamiętam wydawane kilka lat temu dla dzieci i młodzieży pismo gnostyckie *„Mój Świat”* (red. Robert Stiller i Jerzy Prokopiuk), które otwarcie propagowało swobodę seksualną i satanizm.

Ojciec Św. Jan Paweł II pisze w encyklice *„Verìtatis Splendor”* o groźbie sprzymierzenia się demokracji z relatywizmem etycznym, o najgroźniejszym niebezpieczeństwie, jakie może dotknąć człowieka, niebezpieczeństwie *„zatarcia granicy między dobrem, a złem, co uniemożliwia budowę i zachowanie porządku moralnego jednostek i społeczności”* (VS 93). To nie moralność jest *„tematem zastępczym”,* takim „tematem” we współczesnej demokracji jest ukierunkowanie ludzkiej agresji, społecznego niezadowolenia przeciwko moralności, przeciwko Kościołowi i przeciwko kozłom ofiarnym, wybranym spośród winnych i niewinnych, i skazanym na potępienie.

Bezbożna, libertyńska demokracja nie straszy już ludzi piekłem po śmierci, w wieczności, ale buduje piekło na ziemi: piekło braku miłości i prawdy, piekło cywilizacji śmierci, piekło uprzedmiotowienia człowieka traktowanego jako obiekt konsumpcji.

Wychowanie seksualne propagowane dzisiaj na świecie i w Polsce zwraca się przeciwko przykazaniom: czwartemu, piątemu i szóstemu, ukazując moralność co najwyżej jako dodatek do sfery pragnień, pożądań i potrzeb (*„Luz”, „Róbta co chceta”).*

Jeżeli podstawowe normy moralne mogą być poddane procedurom demokratycznym publicznej dyskusji i głosowania, to w ślad za decyzją Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (A-PA) z roku 1973, aby homoseksualizm skreślić z rejestru zboczeń, może przyjść decyzja, aby kazirodztwo i współżycie seksualne z dziećmi również uznać za coś dopuszczalnego i cennego w procesie wychowawczym.

Tę moją wypowiedź w studiu TV usunięto z emitowanej później audycji, bo nie podobała się Kuroniowi i redaktorom. Skoro dzieciom między sobą wolno wyrażać swoją seksualność jak chcą, i dorosłym również (bo moralności naturalnej nie ma, bo to jest naturalne, co występuje *„w naturze", w* przyrodzie), to dlaczego by nie połączyć dzieci i dorosłych w procesie twórczej integracji seksualnej, aranżowanej w szkołach w odpowiednich gabinetach przysposobienia seksualnego, łączącej teorię z praktyką? Jeżeli niektórzy coś robią ze wstydem, w ukryciu, dlaczego wszyscy nie mieliby tego robić bez wstydu, jawnie? Obalajmy tabu, wychodźmy z podziemia! Odejście od moralności judeochrześcijańskiej, naturalnej, ku wynaturzonemu pogaństwu nie ma granic. *„Jeżeli ktoś dowodzi że jakaś forma pozamałżenskich seksualnych zachowań jest moralnie równorzędna seksowi małżeńskiemu, to otwiera drzwi wszystkim formom ekspresji seksualnej"* - pisze Denis Prager (*„Dlaczego judaizm odrzucił homoseksualizm? Rewolucja seksualna judaizmu", Crisis*, wrzesień 1993, z kwartalnika *Ultimates Issues*, Los Angeles).

Ujawniona w studiu TV agresja (w przypadku Kuronia nazwałbym ją czarną, w przypadku Santorskiego - białą, a w przypadku Starowicza - różową, lukrowaną) odnosi się do podstaw naszej cywilizacji i kultury.

Nr 19/1994

ANDRZEJ MAŚNICA *– działacz opozycyjny z Wrocławia, sygnatariusz Ruchu Polityki Realnej, autor „NCz!” w pierwszej połowie lat 90.*

Geopolityczna nirwana

Pan Stanisław Michalkiewicz był uprzejmy przywołać i skomentować tekst mojego autorstwa o polityce polskiej zamieszczony w ostatnim numerze „Stańczyka". Wśród szeregu trafnych ocen i refleksji można znaleźć w „Niemieckiej chorobie?" kilka tez zgoła chybionych. Pisze na przykład p. Michalkiewicz, że „istotą geopolityki jest pogląd, iż postępowanie państw jest bezwarunkowo zdeterminowane ich geograficznym położeniem"; że sama geopolityka jest hipotezą „usytuowaną na tzw. pograniczu nauki i fantasmagorii" i jako taka stanowi produkt i element niemieckiego determinizmu dziejowego.

Trudno o ocenę bardziej niesprawiedliwą. Geopolityka jest w takiej samej mierze pochodną filozofii niemieckiej, co anglosaskiej. Tak jak Niemcy miały i mają geopolityków pokroju Ratzela, Haushofera czy współcześnie Lohausena – Anglicy wylegitymować się mogą Mahanem czy Mackinderem, zaś Amerykanie Spykmanem czy Cohenem. I gwoli prawdy: to Haushofer czerpał od Mackindera, nie odwrotnie. Toteż trudno byłoby odnaleźć sensowny związek między heglizmem a politycznym realizmem prawicowej szkoły geopolityki.

Geopolityka nie ma nic wspólnego z „bezwarunkowym determinizmem". Ukazuje jedynie, jak „ziemia, jej rzeźba i towarzyszący jej instynkt człowieka stanowią o losie narodów". Zarówno Mackinder, jak i Haushofer piszą o geografii jako jednym z kilku ważnych elementów konstytuujących potencjał narodów. Ale o wielkości i sile państwa decydują ostatecznie: wola narodu (czynnik dobitnie podnoszony przez Haushofera) i jego organizacja społeczna (Mackinder). Jak zauważa we Wstępie do swej fundamentalnej pracy „Democratic Ideals and Reality" (1919 r.) Hilford Mackinder, nie istnieje w naturze „rzecz, którą nazwa-

libyśmy równością szans między narodami", geograficzne jarzmo losu nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Toteż – i jest to kolejna teza geopolityki – wszędzie tam, gdzie organizacja i wola narodów są podobne, geografia stanowić może dodatkowy, a niekiedy decydujący atut w ich wzajemnej rywalizacji o opanowanie danej przestrzeni i władzę nad innymi narodami i państwami. Zatem w ostatecznym razie to potencjał narodów decyduje o wykorzystaniu pewnych przewag bądź zniwelowaniu pewnych niedogodności wynikających z takiego, a nie innego położenia geograficznego. Rzeczą (geo)polityki jest zrozumienie wskazówek, które daje narodom geografia. I tak np. na otwartej równinie Serca Lądu nie ma miejsca na przykucnięcie i przeczekanie historii. Jak pisał Ignacy Matuszewski: „tylko wielkość ostać się może na tym szerokim trakcie historii, co biegnie skroś przez Polskę ze wschodu na zachód, z północy na południe". Tenże Ignacy Matuszewski dodawał: „trzeba naporem dłoni kazać klękać aniołowi losu".

Geopolityka nie powie nam nic o wyborze sojuszników i wrogów, ale każe wybierać i wskazuje na cenę, którą płacą narody za uchylanie się od zasadniczej decyzji wyboru w centrum Wielkiej Wyspy Świata. Inni mają może więcej szczęścia – są usytuowani po kątach świata, znacznie bardziej bezpieczni, ich wybory są dużo mniej dramatyczne, lecz właśnie dlatego znajdują się oni, by tak rzec, poza historią i polityką. My, Polacy, wyrokiem geografii i losu od historii i polityki uciec nie możemy.

Nie chcąc rozwijać szerzej tego wątku, odsyłam zainteresowanych do kolejnego numeru „Stańczyka", który gruntownie podejmuje problematykę geopolityki. Tymczasem jeszcze kilka uwag w związku z ocenami mego tekstu sformułowanymi przez p. Michalkiewicza.

Żałuję, że nie poinformował on czytelników o tym, że mój determinizm geopolityczny nie przeszkadza mi opowiadać się za antyradzieckim sojuszem II Rzeczypospolitej z III Rzeszą, podobnie jak dziś optuję za sojuszem z Rosją. Tezą mojego artykułu jest przekonanie, że nie możemy uchylić się od wroga i sojusznika, od sojuszu z Rosją przeciw Niemcom lub odwrotnie, lecz doprawdy trudno zarzucić mi rusofilstwo, o ile nie chce się zarazem wyrzucać mi germanofilstwa. Jeśli piszę o tym, że polityka polska „skazana" jest na chronicznie złe stosunki z Ukrainą, to mam na myśli fakt, że taka polityka utrudnia kolaborację niemiecko-rosyjską kosztem Rzeczypospolitej i nie ma to nic wspólnego z „kilkoma gminami na Podkarpaciu". Jest to prosta konsekwencja tezy, że sojusz niemiecko-rosyjski zawiązywany jest kosztem Polski. Koniec, kropka.

Jeśli wybieram dziś opcję rosyjską, to czynię to także dlatego, że „prowadzenie polityki federowania państw przeciw Niemcom i Rosji równocześnie skazane jest na niepowodzenie. Wynika to z trzech zasadniczych powodów: to, co dzieli te państwa, jest silniejsze od wspólnego im poczucia zagrożenia; brak jest w tej grupie zdecydowanego przywódcy, dającego gwarancję powodzenia akcji; wszelkie ruchy w tym kierunku konsolidują wspólne interesy niemiecko-rosyjskie".

Jeśli któregoś pięknego dnia Polska będzie miała potencjał i siły wystarczające do „utworzenia organizmu politycznego o sile równej albo Rosji, albo Niemcom", to stanie się naturalnym i pożądanym liderem państw Międzymorza. Tymczasem żyć musimy wspomnieniami Batorych, Jagiełłów i Żółkiewskich. Tymczasem to Rosja i Niemcy organizować będą przestrzeń „Pasa Środka".

Gdyby p. Michalkiewicz przypomniał sobie bądź zapoznał się z tradycyjną niemiecką geopolityką, zreasumował dane o kierunkach ekspansji Berlina i znaczeniu Mitteleuropy dla politycznej strategii i pozycji Niemiec, gdyby zadał sobie trud odpowiedzenia na pytanie, czy republika bońska, ufundowana na upokarzającym dogmacie winy niemieckiej i fałszywej religii holokaustu, może być ważniejsza dla tradycji narodu niźli wiele wieków jego dumnej historii – to może nie pisałby o absolutnym determinizmie terytorialnym w polityce zagranicznej (w kontekście moich rozważań o aneksji Ziem Zachodnich przez Polskę). Wszak pisałem za Bocheńskim, że „o ile możliwe są chwilowe lub nawet trwające przez względnie długie okresy czasu dobre stosunki obu państw, o tyle Polska musi się liczyć z wcześniejszym lub późniejszym powrotem ekspansji niemieckiej na Pomorze i Śląsk". Trudno mówić tu o „absolutnym determinizmie". Gdybym uznał, że Niemcy na zawsze pogodziły się z utratą Ziem Zachodnich, obwieściłbym „koniec Historii".

Nie jest prawdą, że statycznie traktuję siłę poszczególnych państw. Jest ona iloczynem woli i potencjału. Od samych narodów zależy, czy jest ona mniejsza, czy większa. Pisałem jedynie, że siłę narodów budować trzeba w warunkach bezpieczeństwa zewnętrznego i że ma ona charakter wymierny. Czas darowany narodom przez historię trwa krótko, zaś siłę buduje się przez dziesięciolecia. Dzisiaj, mając olbrzymi potencjał, państwo niemieckie cierpi na atrofię woli spowodowaną kompleksem winy Niemiec. Dzisiaj tak wola, jak i potencjał Rosji przeżywają poważną próbę. Lecz co nie zniszczy Niemiec i Rosji, to wzmocni je i zahartuje.

Musimy być przygotowani na powrót Niemiec w tradycyjne koleiny

polityki Berlina i na powrót Rosji na jej kierunki ekspansji. Geopolityka pozwoliła panować nad światem Anglikom, Niemcom, Rosjanom i obecnie Amerykanom. Także i nam świadomość roli geografii w losie narodów może jedynie pomóc. Na geopolityczną nirwanę mogą sobie może pozwolić Australijczycy czy Nowozelandczycy. Nasza pozycja na mapie nadaje szczególny charakter przestrzeni, którą zamieszkujemy. W istocie rzeczy geostrategiczny i geopolityczny podział świata to przemożna rzeczywistość. Ignorowanie jej konsekwencji politycznych jest ignorowaniem faktów decydujących o szansach trwania i rozwoju narodów. Naszego także!

Nr 9/1995

STANISŁAW ANDRZEJ MICHALKIEWICZ *(ur. 8 listopada 1947 r. w Lublinie) – prawnik, sędzia Trybunału Stanu, eseista, publicysta i autor książek o tematyce społeczno-politycznej. Współzałożyciel Unii Polityki Realnej. Wykładowca w Wyższej Szkole Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki w Warszawie oraz Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. W 1969 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W 1972 r. ukończył podyplomowe Studium Dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 70. współpracował z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. 27 września 1981 r. był jednym z sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubów Służby Niepodległości. Internowany w 1982 roku. Jesienią 1983 r., wraz z Marianem Miszalskim, rozpoczął wydawanie podziemnego pisma „Kurs", co zainaugurowało powstanie wydawnictwa o tej samej nazwie. W 1987 r., wraz z innymi sygnatariuszami (m.in. Stefanem Kisielewskim), podpisał akt założycielski Ruchu Polityki Realnej (której prezesem został Janusz Korwin-Mikke), przekształconego później w Unię Polityki Realnej. Deklaruje się jako konserwatywny liberał. W latach 1997-1999 prezes, a od 2004 r. do 18 kwietnia 2005 r. wiceprezes Unii Polityki Realnej. Z ramienia UPR kandydował bez powodzenia w 2001 r. do Senatu i w 2004 r. do Parlamentu Europejskiego. W 2005 r. ponownie ubiegał się bezskutecznie o mandat senatora – jako bezpartyjny kandydat Ligi Polskich Rodzin. Po kongresie 20 października 2009 r. wystąpił z UPR. W latach 90. XX wieku był redaktorem naczelnym „Najwyższego CZASU!", gdzie do dziś publikuje stały felieton.*

Pierwsza setka

Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, mają upodobanie do okrągłości. Dlatego też z satysfakcją odnotowujemy setny numer „Najwyższego CZASU!". Nie do nas należy ocena naszego tygodnika, ale bez fałszywej skromności możemy powiedzieć, że odegrał on pewną rolę w propagowaniu w społeczeństwie polskim idei konserwatywnych i liberalnych, że zaprezentował alternatywę wobec programów politycznych i gospodarczych wywodzących się z nurtu lewicowego i że przez pewien czas był jedynym pismem w kraju, zdecydowanie walczącym z socjalizmem, bez względu na to, jakie przybierał barwy ochronne. Dzięki temu w wielu środowiskach zyskaliśmy przyjaciół, przekonanych o słuszności idei, którym „Najwyższy CZAS!" służy, ale też - z czego zdajemy sobie sprawę - przysporzyliśmy sobie wrogów. O ile pierwsze nas cieszy, o tyle drugie - nie martwi, ponieważ pamiętamy, że każdy, kto koniecznie chce przyjaźnić się ze wszystkimi, prędzej czy później wpadnie w złe towarzystwo.

Tygodnik „Najwyższy CZAS!" zaczął wychodzić wiosną 1990 r., a więc w momencie, kiedy fala społecznego entuzjazmu, „wywołanego uchwyceniem władzy przez elity wywodzące się z „Solidarności", zaczęła szybko opadać. Część spośród tych elit uległa pokusie zmonopolizowania wpływów politycznych. Wystąpiliśmy przeciwko temu, wskazując jednocześnie na kunktatorską politykę p. Tadeusza Mazowieckiego, w której widzieliśmy zagrożenie dla przekształcenia ustroju gospodarczego Polski. W wyborach prezydenckich poparliśmy kandydaturę p. Lecha Wałęsy. Nadzieję naszą obudziło utworzenie rządu przez p. Jana Krzysztofa Bieleckiego, ale już wkrótce ustąpiła ona miejsca rozczarowaniu i irytacji. „Pragmatyzm" nowej

ekipy, wyrażający się w coraz większym rozmijaniu się czynów z deklaracjami ideowymi, wyrządził ogromną szkodę ideologii liberalnej, gdyż w odbiorze społecznym zaczęła się ona kojarzyć raczej z powierzchownym przenoszeniem na grunt polski pewnych form życia społeczeństw zamożnych, ze „szpanem", a nie z radykalną przebudową podstaw egzystencji społeczeństwa i funkcjonowania państwa. W rezultacie, po dwóch latach, mamy nadal socjalistyczną strukturę gospodarki, nierozsądny i marnotrawiący energię społeczną system podatkowy, bankructwo ubezpieczeń społecznych, katastrofę finansów publicznych i skandaliczne afery. Jest to oczywiście spadek po 45 latach rządów komunistycznych, ale przecież bez końca nie można się na to powoływać.

Zwłaszcza mnożenie się różnych afer finansowych rodzi podejrzenia, że przebudowa systemu gospodarczego w kierunku kapitalizmu wolnorynkowego była sabotowana przez wpływowe grupy, zainteresowane jak najdłuższym utrzymywaniem kraju w mętnym pod każdym względem „okresie przejściowym".

Coraz bardziej realna staje się możliwość zatrzymania procesu reform ustrojowych na etapie republiki bananowej, albo wręcz recydywy socjalizmu we wszystkich jego przejawach. Pytanie o przyszłość Polski nadal nie jest rozstrzygnięte. Nasi przyjaciele nie powinni mieć wątpliwości, za jakim rozstrzygnięciem się opowiemy. Nasi wrogowie również.

Nr 9/1992

Po dziewięciu miesiącach czas na rozwiązanie

Poparcie udzielone przez Pana Prezydenta dla programu prywatyzacyjnego opracowanego przez tzw. Sieć stawia koalicję rządową w kłopotliwej sytuacji. Rząd już zgodził się podzielić posadami w narodowych funduszach inwestycyjnych i podjął szeroko zakrojoną akcję kuszenia, a tu nagle Pan Prezydent oświadcza, że popiera całkiem inny program. Oznacza to albo nacisk w kierunku rozszerzenia negocjacji na ugrupowania pozaparlamentarne, albo – co wydaje się bardziej prawdopodobne – jest kolejnym manewrem dyscyplinującym rząd wobec Belwederu. Poparcie dla „sieciowego" programu prywatyzacji może oznaczać zapowiedź prezydenckiego weta wobec PPP, gdyby rząd nie spełnił jakichś oczekiwań Pana Prezydenta. Na razie jest to tylko zachęta do rozmów z działaczami „Sieci", ale przecież nie musi się na tym skończyć. Nie musi tym bardziej, że ludzie rządu wykazują ostatnio coraz większą podatność na belwederską perswazję.

Kiedy Pan Prezydent ogłosił decyzję o mianowaniu pana posła Marka Markiewicza przewodniczącym rady od telewizji, „Gazeta Wyborcza" opublikowała wiadomość o ostrym liście pana ministra Rokity do Pana Prezydenta. Miały być tam nawet wzmianki o „położeniu kresu" zuchwalstwu Belwederu. Ale już nazajutrz okazało się, że to wszystko nieprawda, bo pan minister Rokita powiedział, że napisał coś zupełnie innego. „GW" przyjęła to *dementi* zadziwiająco pokornie, chociaż zazwyczaj nieugięcie walczy o swoją wiarygodność. Takie ataki skruchy i pokory przytrafiają się ludziom po przeżyciu jakiegoś wstrząsu – np. po zetknięciu z duchami – zwłaszcza gdy przyjmują one postać upiorów przeszłości. Różne bowiem duchy robią wrażenie na różnych ludziach. Inne ekscytowały niepiśmiennych Inuitów (zob. Jack London

– „Napój Hiperborejów") – inne dręczą Europejczyków, wyrosłych w kulturze słowa pisanego, która pozostawia po sobie bogate zasoby archiwalne. Jeśli więc takie niespodziewane *rendez-vous* z duchem przytrafi się człowiekowi, to bardzo często zmienia mu się charakter. „Na lwa srogiego bez obawy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz" – pisał Jan Kochanowski.

Tak oto po poparciu przez Pana Prezydenta projektu prywatyzacyjnego „Sieci" może się okazać, że triumfalny powrót pana Rajmunda Szwondera był ostatnim największym sukcesem rządu przed wkroczeniem na *via dolorosa*. Nie tylko zresztą ze względu na poddawanie go perswazyjnemu oddziaływaniu Belwederu, ale i ze względu na oznaki końca dobrego fartu w stosunkach zewnętrznych. Oto *Sir* Leon Brittan, zastępca przewodniczącego Wspólnot Europejskich, zapowiedział, że EWG nie obniży barier dla towarów polskich, dopóki będzie pogrążona w recesji. Przekład tej formuły na język mniej dyplomatyczny oznacza, że *Sir* Brittan powiedział: „niedoczekanie wasze!". W odpowiedzi pani premier Suchocka zagroziła, że w takim razie jej rząd będzie mścił się na polskich konsumentach, podnosząc im importowe cła zaporowe.

Bawiąc w Wielkopolsce, podczas kolacji z tamtejszymi wojewodami, pani premier podzieliła się też spostrzeżeniem, że opozycja zajmuje stanowisko antypaństwowe. Takie spostrzeżenie świadczy o chwalebnym utrzymywaniu się ciągłości polskiej myśli politycznej. Opozycja zajmowała stanowisko antypaństwowe za Bolesława Bieruta, za Władysława Gomułki, za Edwarda Gierka, za Stanisława Kani, za Wojciecha Jaruzelskiego i zajmuje za Hanny Suchockiej. „Kryzys w ciężkim przemyśle, płace górników głodowe, ich twarze – nieprawomyślne. Ich myśli – antypaństwowe" – pisał poeta proletariacki.

Pochlebcy donieśli w gazetach, że rząd pani premier Suchockiej trwa już dziewięć miesięcy. Czy to nie najwyższa pora na rozwiązanie?

Nr 14/1993

UPR rządzi: Kamień Pomorski w rękach UPR

Przemysław Mieloch

We wrześniu obiegła prasę informacja o Kamieniu Pomorskim. W „Gazecie Wyborczej" i „Rzeczpospolitej" zostały umieszczone pokaźnych rozmiarów artykuły, które można nazwać hymnami pochwalnymi na cześć koncepcji konserwatywno-liberalnych. Gminą rządzą członkowie i sympatycy UPR. Robią wszystko to, czego prawo jednoznacznie nie zakazuje. W jednym przypadku nawet posunęli się dalej.

Wolność gospodarowania

Zgodnie z zarządzeniem Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie, różnego rodzaju alkohol można było sprzedawać w ograniczonej liczbie punktów. Do 6 czerwca 1990 r. (data wyborów samorządowych) wydano już trzy koncesje trzem dotychczasowym monopolistom – PSS, GS, WPHW. Nowy burmistrz, Stefan Oleszczuk, znalazł na biurku plik podań o udzielenie dalszych koncesji. W porozumieniu z Komisją Handlu Rady Miasta i Gminy zadecydował o wydaniu zgody na handel alkoholem wszystkim chętnym. Skutkiem tej decyzji był szybki wzrost liczby punktów sprzedaży, ale równocześnie poziom spożycia alkoholu pozostał na takim samym poziomie. Po prostu zyski ze sprzedaży alkoholu rozłożyły się na znaczniejszą liczbę sprzedających. Większe zaś obciążenie podatkowe działalności tego typu sprawiło, że po kilku miesiącach część kupców zrezygnowała z nieprzewidzialnego przywileju i handluje czymś innym. Rynek na alkohol wyregulował się sam. Zadecydował klient. Co więcej, w Kamieniu praktycznie skończyło się meliniarstwo, a bramy pobliskich domów przestały pełnić rolę szaletów.

Oczywiście nie wszystkim się to podobało. W sklepach PSS zmniejszył się obrót alkoholem i prezes tejże firmy zaskarżył burmistrza. Prokuratura zainteresowała się tą sprawą, ale śledztwo zostało umorzone ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu.

Burmistrz jest zresztą przeciwnikiem koncesjonowania czegokolwiek. – Udzielenie koncesji jednemu obywatelowi, a drugiemu nie, jest niedopuszczalne. Dlaczego jeden ma dostać, a drugi nie? Przecież od razu powstaje w takiej okazji możliwość nadużyć, pokusa łapówki – mówi burmistrz Kamienia Pomorskiego.

Tak, jak jest przeciwnikiem koncesji, tak nie uznaje tworzenia spółek z udziałem gminy. A wszystko w myśl zasady: „gmina nie może konkurować ze swoim obywatelem".

Budżet

Wydatki budżetowe powinny być jak najmniejsze. Najlepszy samorząd to taki, któremu mimo socjalistycznego systemu prawnego, uda się jak najmniej wydać na cele społeczne. Gmina nie może pełnić roli Janosika.

To kolejna zasada, która kierują się władze Kamienia Pomorskiego.

Gmina nie może finansować niczego, co nie jest celem wspólnym. Nie jest nim finansowanie i przedszkoli. Gminy ponoszą z tego powodu zbędne koszty i radzę innym burmistrzom, by to przeanalizowali. W siedmiu ósmych są to koszty płac personelu, opiekującego się często dziećmi osób przebywających w domach na urlopach opiekuńczych i zasiłkach dla bezrobotnych. Ci ludzie są dotowani kilkakrotnie.

W Kamieniu Pomorskim zlikwidowano juz trzy przedszkola. Za mało było chętnych do korzystania z nich. Zlikwidowano też miejski żłobek. Okazało się, że dzieci w wieku żłobkowym było tylko czworo.

Wniosek o likwidację żłobka zyskał aprobatę zarządu i większości rodziców. Gmina oszczędziła 300-400 milionów zł rocznie.

Zamknięcie żłobka publicznego zmniejsza koszty funkcjonowania gminy i w konsekwencji pozwoli na zmniejszenie podatków. Zaoszczędzone pieniądze pozwolą rodzicom na pokrycie kosztów pobytu dzieci w placówkach prywatnych, których właściciele zaczną odprowadzać nowe podatki do kasy gminy. **Nastąpi rozwój**.

Podobnie rozwiązano sprawę kultury. Od 1990 roku Kamieński Dom Kultury był przyzwyczajany do tego, że od 1 stycznia 1992 roku z gminnej kasy nie dostanie ani złotówki. I nie dostał. I cóż się okazało? KDK istnieje i sam zarabia na swoje utrzymanie. Nie dość, że

gmina nie ponosi z tego tytułu żadnych kosztów, to jeszcze wpływają pieniądze z podatków (!).

Podatki i opłaty lokalne są w Kamieniu Pomorskim najniższe spośród wszystkich gmin województwa szczecińskiego. Podatek od nieruchomości wnosi 15 tys. zł za metr kwadratowy i jest jednakowy dla wszystkich (właścicieli aptek, dyskotek, sklepów monopolowych). O 20% obniżono podatek transportowy. Najniższe w województwie są opłaty targowe. Jak obliczyli eksperci finansowi Sejmiku Samorządowego Województwa Szczecińskiego, dochody gminy nie obniżyły się, przy tym osiągnęła ona najwyższy w województwie wskaźnik tempa wzrostu gospodarczego (!). Przy braku dochodów z przemysłu (na ogół w kiepskiej kondycji finansowej), turystyki (ośrodki wczasowe znajdują się przede wszystkim w gminach sąsiednich) i symbolicznych subwencjach gmina potrafiła odnotować w pierwszej połowie roku **7-procentową dynamikę wzrostu dochodów budżetowych**.

Urząd miasta i gminy

Burmistrz od chwili objęcia swojego stanowiska zmniejszył zatrudnienie urzędników o 49 procent. Do tego nadal pozbywa się niepotrzebnych urzędniczych etatów – w myśl zasady, że „urząd to nie przechowalnia".

Od kiedy zostałem burmistrzem 6 czerwca 1990 roku, ani razu nie zajrzałem do teczek swoich pracowników. Nie stosuję klucza partyjnego. Liczy się kompetencja i odpowiedzialność w pracy. Nie wymagam ślepej dyscypliny, toleruję słabostki urzędników typu wyjście do sklepu po bułki, dopóki nie odbywa się to kosztem petenta.

Rada, mając zaufanie do zarządu, utrzymuje cały czas na tym samym poziomie środki budżetowe na utrzymanie administracji. Pozwala to na lepsze wynagradzanie „odchudzanego" personelu. Średnie wynagrodzenie pracowników kamieńskiego Urzędu Gminy wynosi ponad 3 miliony zł.

I na koniec

Najlepszą sztuką rządzenia jest rządzenie w myśl zasady: „nie poprawiać Pana Boga", czyli zgodnie z prawami natury. Podstawowe wartości to: własność, wolność i sprawiedliwość, ale sprawiedliwość bezprzymiotnikowa – i to im powinna być wierna każda władza. Tutaj w Kamieniu staramy się tylko postawić wszystko z powrotem na nogi. Zgodnie z prawami natury.

Mamy już teraz, dzięki burmistrzowi, p. Stefanowi Oleszczukowi, i jego przyjaciołom, dowody, czarno na białym, że wprowadzenie konserwatywno-liberalnych koncepcji w życie jest realne. Co więcej, raz wprowadzone owocują po stokroć bardziej niż fantazje socjalistów.

Za półtora roku odbędą się wybory do samorządów. Już teraz musimy się do nich przygotowywać. Pójdźmy śladem p. Stefana Oleszczuka i jego przyjaciół.

Nr 45/1992

MARIAN MISZALSKI *(ur. 1948 w Łodzi) – pisarz, dziennikarz, tłumacz i publicysta. Absolwent prawa Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 70. XX wieku uczęszczał na pomagisterskie studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie poznał Stanisława Michalkiewicza. Do grudnia 1981 r. był reporterem „Głosu Robotniczego", organu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi. Internowany w stanie wojennym i osadzony w więzieniach w Łowiczu i Sieradzu. W 1983 r. razem z Michalkiewiczem założył wydawnictwo „Kurs", które oprócz miesięcznika o tym tytule wydawało książki poświęcone tematyce liberalnej.*

Aktualnie Marian Miszalski jest tłumaczem literatury francuskiej oraz publicystą. Teksty zamieszcza w „Niedzieli", „Najwyższym CZASIE!" oraz w wydawanym w Paryżu „Głosie Katolickim".

„Chamy" i „Żydy" dzisiaj

Jest oczywiste, że przed wojną określenie „żydokomuna" miało posmak obraźliwy, gniewny, dyskredytujący, że wymawiano je tonem obraźliwym, pełnym irytacji, lekceważenia czy oburzenia. Termin ten nie był przecież „pusty"! Nie był to tylko epitet, mniej lub bardziej zabarwiony emocjonalnie: przede wszystkim był to termin rozpoznający i nazywający rzeczywistość, termin odsyłający przede wszystkim do niezaprzeczalnego faktu, że przedwojenne środowisko komunistów zmajoryzowane było przez element żydowski. Mniej lub bardziej zaangażowanych w komunizm (łącznie z komunistyczną agenturą) było około 30-40 tysięcy osób. Komunistyczne elity w Polsce – konspirujące, utrzymujące stosunki z sowiecką ambasadą, nierzadko pobierające stamtąd pieniądze, penetrujące inne kraje i utrzymujące agenturalne związki z komunistami w innych krajach – to głównie Żydzi: Leon Kasman, Salomon Jaszuński, Paweł Minc, Moniek Nowogródzki, Stefan Napierski, Izaak Deutscher, Rajchman, Ortwein, Fiedler, Fenigstein, Stande, Muszkatenblit, Watt, Schiller, Erlich, Żarnower, Lewin, Józef Kowalski („był Żydem z Płocka, ale dzieciństwo spędził w Rosji" – pisze o nim Watt)... I tak dalej.

Zmajoryzowanie środowiska komunistycznego przez Żydów, znajdujące wyraz w trafnym określeniu „żydokomuny", musiało wywoływać oczywiście, emocje negatywne: wszak komunizm był wrogiem nie tylko państwa polskiego, ale samego pojęcia „narodu". W pojęciu „żydokomuna" zawarta była więc całkiem zrozumiała niechęć i do komunizmu, jako systemu, i do ludzi, którzy wypierali się narodowości, lekceważyli ją, na rzecz komunistycznego „internacjonalizmu".

Oczywiście, środowisko polskich Żydów przed wojną, liczne, wielomilionowe, było podzielone politycznie, ale żadne inne ugru-

powanie polityczne (poza, rzecz jasna, organizacjami czysto żydowskimi, jak „Bund" etc.) nie było tak jaskrawie przez Żydów zmajoryzowane. Określenie „żydokomuna" rozpoznawało więc najpierw trafnie pewien fakt społeczny, potem zaś dopiero przybierało negatywne zabarwienie.

Po niemieckim ataku na Polskę w 1939 roku „żydokomuna" uciekała, oczywiście, do Sowietów.

Wraz z armią sowiecką przybyła do Polski spora część Żydów mniej lub bardziej (łącznie z działalnością agenturalną) komunizujących przed wojną. Istnieje opinia, że Stalin celowo kierował ich do Polski, w myśl zasady „divide et impera". Być może. Równouprawniona wydaje się jednak opinia, że kierowano ich po prostu tam, gdzie sowiecki okupant miał największe potrzeby: do tworzonego aparatu bezpieki i propagandy. W końcu byli to już towarzysze sprawdzeni przed wojną, przetestowani w Sowietach, no i nie przywiązujący specjalnej wagi do więzi narodowej czy poczucia narodowego: polskości, nie „żydowskości".

W tym miejscu warto poczynić pewną uwagę: zważywszy na wielkie ofiary, jakie poniósł naród żydowski podczas wojny można przypuszczać, że poczucie żydowskości, solidarności narodowej, doznało jednak wśród tej grupy – w czasie wojny – radykalnego wzmocnienia. Ale jako że oficjalnie wszelka „więź narodowa" była nadal czymś podejrzanym wobec „światowego internacjonalizmu" – ta żydowskość, wzmocniona świadomością holocaustu, musiała przybierać formę „więzi nieformalnej", „cichej" solidarności narodowej, sprzyjającej tworzeniu „układu nieformalnego", „sitwy". Nie żadne tam „spiski" – ale po prostu silne poczucie narodowej więzi... Poczucie tej więzi musiało ulec dodatkowemu wzmocnieniu z chwilą powstania państwa Izrael – i to nawet wśród tych, którzy do Izraela do roku 1968 nie wyjechali (warto też przypomnieć, że emigracja Żydów z Polski do Izraela rozpoczęła się już w 1945 roku i trwała nieprzerwanie do roku 1968; nie jest więc całą prawdą, że Żydzi wyjechali z Polski w 1968 roku...).

Zresztą – oddzielanie np. roku 1968 od 1956 nie jest uzasadnione. Rok 1968 kończy to, co zaczęło się w 1956: walkę „puławian" z „natolińczykami". Powiedzieć można, że w latach 56-59 wygrali ją „puławianie" „Żydy" – jak nazywali ich w swym żargonie „natolińczycy"), ale już od początku lat 60. trwa – krok po kroku – kontratak „Chamów" (jak z kolei „puławianie" nazywali „natolińczyków"). Jest oczywiste, że właśnie w tamtym okresie szukać należy źródeł metod

widocznych i dziś: oskarżeń o „antysemityzm", „ciemnogród", „polski nacjonalizm" - z jednej strony, i tych napisów na murach – z drugiej strony...

Po śmierci Bolesława Bieruta, gdy Władysław Gomułka jeszcze siedział, na marcowe plenum KC PZPR przybył Nikita Chruszczow; w myśl przyjętej koncepcji zmiany ekip w krajach satelickich, nie dopuścił do wyboru na I sekretarza PZPR Romana Zambrowskiego, lidera „Żydów" czy, jak kto woli, „puławian". Najwierniejsi polscy stalinowcy poczuli, że tracą grunt pod nogami; a majoryzowali oni niemal niepodzielnie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwo Kultury (czytaj: propagandę). Przypomnijmy, że do grupy „puławskiej" należeli m.in., obok Zambrowskiego, Antoni Alster, Jerzy Albrecht, Ostap Dłuski, Leon Kasman, Marian Naszkowski, Mateusz Oks, Adam Schaff, Roman Werfel, Adam Rapacki, Andrzej Werblan – ale także Putrament, Rakowski i... Michalina Tatarkówna-Majkowska. I inni.

Grupę „natolińczyków", czyli „chamów", stanowili m.in.: Zenon Nowak (lider), Wiktor Kłosiewicz, Władysław Kruczek, Kazimierz Mijał, Bolesław Rumiński, Kazimierz Witaszewski; i inni. Popierali ich członkowie „politbiura", do których Chruszczow nie zgłaszał zastrzeżeń: Aleksander Zawadzki, Franciszek Jóźwiak, Stefan Matuszewski, a i sam Konstanty Rokossowski. Natolińczycy to grupa członków KC o krótszym stażu partyjnym, chętna do wcielania owego kursu, wyznaczonego przez Chruszczowa, nie mniej chętna do zajęcia lukratywnych posad po „puławianach".

Interwencja Chruszczowa zdawała się przesądzać sprawę: stara, skompromitowana ekipa musi odejść, na miejsce „Żydów" przychodzą „chamy".

Wkrótce jednak słynny referat Chruszczowa, demaskujący „zbrodnie Stalina", dał „puławianom" okazję do bardzo skutecznej obrony. Społeczeństwo domagało się ukarania winnych stalinizmu i reform. „Puławianie" poświęcili więc Bermana, Goldberga, Różańskiego, Fejgina (i kilku pomniejszych funkcjonariuszy); co do reform natomiast... szybko przeobrazili się w najzagorzalszych „reformatorów"! Mieli nadal w swych rękach kluczowe pozycje w bezpiece, ale nade wszystko – właśnie w propagandzie, „w kulturze". I podczas gdy „natolińczycy" spokojnie oczekiwali, aż kurs Kremla – zmiany ekipy – zostanie zrealizowany, inicjatywę przechwycili „puławianie". Przede wszystkim w prasie każdy, kto atakował „puławian" – nawet za stalinowską przeszłość czy zwykłe afery finansowe – nazywany był od razu „antysemitą"; dalej – rozpuszczano szeptankę po stolicy, zarzu-

cając „natolińczykom”... posłuszeństwo Moskwie! (Jak gdyby sami „puławianie” w minionym okresie słuchali Waszyngtonu...) Totumfaccy „puławian” – Putrament, Mitzner, Korotyński, Osmańczyk, Schaff, Arski – wypisywali „odważne” i „szczere” artykuły... Szło o wywołanie wrażenia, że „są jeszcze w partii uczciwi intelektualiści”...

I oto, co zaczyna się dziać.

Chruszczow, owszem, chce zmiany ekipy, ale nie zmiany systemu; tymczasem propaganda „puławian” trafia na nader podatny grunt: społecznego wrzenia; Gomułka, wypuszczony z więzienia (uwięzili go właśnie „Żydy”!) musi jednak na kimś oprzeć się w aparacie - szuka równowagi między zwalczającymi się frakcjami, chce jak najszybciej spacyfikować „rozbisurmanione” społeczeństwo, żeby, broń Boże, nie zażądało czegoś, czego nawet chruszczowowska Moskwa tolerować by nie mogła... Ale żeby spacyfikować społeczeństwo, Gomułka nie może teraz, nagle, wymienić całego aparatu bezpieczeństwa, całej propagandy! Musi kimś zahamować Październik... Wbrew sobie i własnym urazom – opiera się na „puławianach”... Natolińczycy tracą wpływy. Tak kończy się Październik. Ofiary „puławian”: ci, których musieli poświęcić i ci, którzy sami uciekli do Izraela.

(Do jakiego stopnia „Żydy” rozdmuchały rzekomy polski „antysemityzm” świadczy fakt zdjęcia ze stanowiska niejakiego Burgina z UB, dyscyplinarnie. Jeszcze zanim poinformowała o tym prasa, „Przegląd Kulturalny” już napisał o jego prześladowaniu... jako Żyda. Kiedy w „Po Prostu” usiłowano prostować o co chodzi – dziennikarzy wnet okrzyczano „antysemitami”...).

Już zatem w kwietniu 1957 roku skrajni „natolińczycy” usunięci zostają z KC PZPR. Ale odtąd już czas pracuje dla „natolińczyków”, przeciw „puławianom”. Raz – że Gomułka oparł się na „Żydach” nie z sympatii, lecz z konieczności; dwa – że walka w latach 56-57 zaostrzyła frakcyjne antagonizmy, zaś w tej dintojrze, rozłożonej na lata, szanse „chamów” są o tyle większe, że mają za sobą zaplecze: doły partyjnego aparatu, środowisko żydowskie, nawet z otuliną polskich popleczników, nie ma dostatecznie szerokiego zaplecza w aparacie partyjnym. Już na przełomie 1961/62 Gomułka przeciwstawia się „Żydom”: nie oddaje „puławianom” kierowanego przez Mieczysława Moczara Biura Śledczego MSW. Wkrótce odwołał z wiceministra MSW Antoniego Alstera, szczególnie zasłużonego stalinowca – „puławianina”. Zastąpił go „natolińczyk” Szlachcic...

Oczywiście już wcześniej rozpoczęły się wyjazdy Żydów z Polski: sądzić należy, że motyw strachu przed odpowiedzialnością nie był motywem ostatnim.

Rok 1968 jest ostatnim „efektownym" etapem powolnego, krok po kroku, odzyskiwania wpływów przez „chamów": w tym roku „Żydy" tracą nawet kulturę (czytaj: propagandę).

Oczywiście - marzec 1968 zapoczątkował inne społeczne procesy, i w tym kontekście był ich ogniwem pierwszym: tysiące młodych ludzi, będących wówczas na studiach, przekonały się na własnej skórze, czym jest realny socjalizm: pałką i relegowaniem ze studiów za żądanie wolności uczelni, wypowiedzi etc. Nie wolno jednak mylić 2 spraw: marca 1968 jako ostatecznego etapu rozgrywki „Żydów" z „chamami" - i marca 1968 jako zaczynu twórczego fermentu, rozniesionego później w Polskę.

Czy termin „żydokomuna" był w latach 1948-57 terminem zasadnym? Myślę, że tak. Wprawdzie komunistyczne środowisko żydowskie było szczupłe, ale politycznie zajmowało pozycję niewspółmiernie donioślejszą od znaczenia, jakie miało przed wojną! Po wtóre: jeśli przed wojną Żydzi byli politycznie zróżnicowani, to w tym okresie byli politycznie jednorodni; przed wojną Żydzi-komuniści majoryzowali tylko środowisko komunistyczne; po wojnie, jako że komuniści rządzili i innych środowisk politycznych nie było - majoryzowali oni samą władzę, samo jej jądro: „organy" i propagandę. Jeśli zaś prawdą jest, iż poczucie więzi narodowej wzrosło w tej grupie (patrz reakcje na wojnę izraelsko-arabską) – to termin „żydokomuna" wydaje mi się adekwatny także w odniesieniu do tamtych lat.

Termin ten nie ma dziś, oczywiście, sensu. Polityczne lobby żydowskiej mniejszości narodowej majoryzuje dziś zaledwie jedną z wielu partii - Unię Demokratyczną, jedną gazetę i może parę miesięczników o intelektualno-literackich ambicjach. Zamiast więc mówić dziś o „żydokomunie", lepiej zastanowić się, które metody socjotechniczne przejmuje dzisiejsze żydowskie lobby polityczne w spuściźnie po rozgrywkach z lat 56-57.

Na pewno sztucznie dęty „antysemityzm" oraz ową manierę etykietowania „antysemitą" każdego, kto wchodzi w kolizję z interesami tego lobby. Dalej: metodę monopolizowania zawłaszczania dla siebie „inteligenckości", lub raczej, dzisiaj: „intelektualizmu", „europejskości"; zważywszy na postkomunistyczną laickość tego środowiska – także i podjazdową walkę z wpływami Kościoła katolickiego. A dalej: wynikającą ze wzrostu poczucia więzi narodowej (które nie jest dziś ideologicznie represjonowane) skłonność do tworzenia „układu nieformalnego" (lud nazywa to „sitwą"); czynnikiem sprzyjającym tworzeniu takiego „układu nieformalnego" jest fakt, że przecież z „antyse-

mityzmem" walczy się używając zarzutu „nacjonalizmu", trudno więc samemu wystawiać się na zarzut „nacjonalizmu" poprzez tworzenie formalnych związków narodowych, ale w tej mierze, jak mi się wydaje, w środowisku żydowskim walczą dziś dwie sprzeczne tendencje: jedna, opowiadająca się za jawnym żydostwem; druga - optująca za „cichym". Na razie – także generalnie ze względu na laickość środowiska – zwycięża ta pierwsza.

Jak postrzegam interesy żydowskiej mniejszości narodowej w Polsce? Przede wszystkim właśnie, co zrozumiałe, jako identyfikacja z interesami narodu żydowskiego, tak żyjącego w diasporze, jak w Izraelu; dalej jako - zainteresowanie we wprowadzeniu kapitału żydowskiego do Polski; dalej – co może najwyraźniejsze: jako utrzymanie i rozszerzenie wpływów lobby w kulturze.

Ta ostatnia tendencja przybiera niekiedy wyraźnie formę lansowania lub promowania dzieł twórców pochodzenia żydowskiego, często niewspółmiernego do poziomu tych twórców (Kosiński, Allen, Stryjkowski itp.).

Oczywiście, termin „żydokomuna" nie ma żadnej racji bytu także z tego powodu, że dzieci i wnuki „puławian" nie są już komunistami: są raczej socjaldemokratami. A że b. komuniści – „chamy" też są już dziś tylko socjaldemokratami, można co najwyżej mówić o dwóch lobbies politycznych w łonie szeroko (bardzo szeroko...) pojętej polskiej socjaldemokracji; o politycznym lobby żydowskiej mniejszości narodowej i o politycznym lobby postkomunistycznym.

Nr 35/1992

Na pożądany wybór Jacka Kuronia na Prezydenta Polski

Nie masz Pan dziś już poezji zaangażowanej, opiewającej walkę klasową, polityczną, wielkie budowy socjalizmu, Lenina, Stalina - i tak dalej. Dlaczego te „autorytety moralne", które taką poezję uprawiały - nie opiewają dziś pieśnią budowy kapitalizmu, demokracji, nie piszą o upadkach banków, czy aferach? Korupcji?... Dlaczego autorytety te „straciły wenę twórczą"?... Pozostawiając to pytanie historykom literatury - sam pragnę nawiązać do najlepszych tradycji Ważyka, Jastruna, Mandaliana, Leca, Woroszylskiego... Dlatego najuprzejmiej proszę Pana Redaktora o wydrukowanie wiersza „Na pożądany wybór Jacka Kuronia na Prezydenta Polski" w nadziei, że utoruje on drogę dla Nowej Poezji, poezji zaangażowanej, bliskiej życia, bliskiej historii.

Polski ksenofobie! Polski nacjonalisto!
Gdy „sen o Niepodległej" bezmyślnie, wesoło
śniłeś, wstecznego Ciemnogrodu bawole

- Oni
historii
koło
obracali przy Okrągłym Stole.

Dziś - śpij spokojnie. Łzę szczęścia uroń
- bo niezłomni strażnicy strzegą Demokracji.
Geremek.
Kwaśniewski.
Oleksy.
Michnik.
Kuroń.

Warta socjaldemokratyczna! Warta Eurokracji!
Więc - chodź z nami, kolego. Nie bądź maruderem.
Puławianie z Natolińczykami znów niech będą razem!

Kolektyw nasz postępowy znów stanie za sterem, krzepiąc się bukolicznym, wciąż żywym obrazem:
- gdy Werfel był z Nowakiem, Kłosiewicz - z Matwinem,
Federowa z Mijałem, Rumiński - z Prawinem, gdy Berman był z Moczarem, z Goldbergiem - Staszewski,
Zawadzki - z Mincem, Burgin - z Witaszewskim, Alster, Oks - z Kruczkiem, Fejgin - z samym Bolem!
(na obraz ten i współczesne naniesiemy freski: Diatłowicki z Kąkolem... Michnik - z Jaruzelskim...).

Powstańcie - coście uklękli - z obolałych kolan: kler nie narzuci nam swoich wartości! Niech dzisiaj pozna każdy euro-polak nowy sens prawdziwej wolności.

Wolność - to nie kąśliwa,
trupia
odpowiedzialność za los swój; to zbyt zawiłe!...
Wolność to
Darmowa Zupa
plus
Prezerwatywa
plus
dla każdego
Zasiłek!
To Nowa Wolność: wolność europejska
wolność play-Boyowska,
wolność euro-plebejska,
wolność-kuratowska.

Przy niej dziś staje czysta - jasna - prosta: Warta Socjaldemokratyczna! Warta Michnikowska!
A czujność tej warty - czujność bikontniacka: przeciw faszystom... antysemitom... Warta kuroniacka!
...Więc pamiętaj przy urnie: sylaby nie uroń! De-mo-kra-ta! Społecz-nik! Ku-roń! KURONŃ!!!
Przy jego nazwisku postaw krzyżyk - i myślnik (bo dla nas, euro-

pejczyków, kropka nie jest cezurą!), mówimy: Kuroń - a w domyśle: Michnik! Mówimy: Michnik - a myślimy: Kuroń!

* * *

Patrz: już po wyborach!... Kuroń - prezydentem! I Sejm jednolitofrontowy: SLD, UW i UP-e! Każdy dzień jest odtąd festynem i świętem: każdy ma Zasiłek!

Kondona!

I - Zupę!

Nie masz już prawicy, nie masz już lewicy... Każdy jest intelektualistą... artystą... konfidentem... Byle był „nasz" i „z nami" - reszta się nie liczy... Jużeśmy w Europie i trwa dolce far niente...

Patrz: tu pedał wesół chłopczynę posuwa, tam lesba leciwa z kozą się pieści;
radośnie narkoman w żyłę herę sobie wkłuwa
- mniejszości sen się cieleśni!

Już w Konstytucję wbito, jak kołek,
tę preambułę: „Róbta co chceta!".
Już zapisano pośród „praw człowieka"
prawo do bżdżenia w stołek!

A wokół: sami Euro-pejczycy!...
Gdzie splunąć: większy autorytet moralny!...
Tylko w swym Ciemnogrodzie barbarzyńcy dzicy
śnią swój sen o jakimś państwie nierealnym,
w którym „prawo" - Cha, cha!...
- „prawda" - cha, cha!

jakiś „ład społeczny"!...

Lecz się ich już „oświeci", bo to sen niebezpieczny:
kursa antyfaszyzmu dadzą im dusz inżyniery,
o antysemityźmie ich pouczą euro-menadżery,
a potem już – zupka, gumka i zasiłek,
a jak będzie im mało, to i kopniak w tyłek.
...Więc głosuj na Kuronia; sprawa jasna i prosta:
czujność europejska! Warta michnikowska!

Nr 17/1995

WIĘC PIJMY PIWO, „LIBERAŁOWIE"...

Jak się dowiaduję z poczty, na razie pantoflowej, p. Jan Krzysztof Bielecki, były premier, był łaskaw donieść do prokuratury m in. na mnie – wskazując mój tekst „Prawo Miszalskiego" jako przestępstwo w druku.

Pozostawiając p. prokuratorowi ocenę tekstu i dalszy tryb postępowania („Pan Prokurator ma rację, mamy w Polsce demokrację"?), chciałbym, zamiast zwoływać konferencje prasową, skreślić tu kilka słów pod adresem p. Jana K. Bieleckiego

Jego atak traktuję jako obronę przed miażdżącą krytyką, z którą spotkały się owoce jego rządów. Kongres Liberalno-Demokratyczny był dla mnie zawsze partią kanapową, która swój spektakularny sukces (znaczący udział w rządzie) zawdzięcza głównie p. Prezydentowi. Rzec można: partia ta rosła w siłę dzięki udziałowi w rządzie, a udział w rządzie zawdzięcza p. Prezydentowi.

Miażdżąca krytyka dotyka Kongres nie tylko za „końcówkę" rządów: wprowadzenie podwyżek bez konsultacji ze związkami zawodowymi, przedłożenie prowizorium kilka dni przed końcem roku, tak że parlament nie miał czasu przyjąć lub odrzucić tego prowizorium przed rozpoczęciem pierwszego kwartału nowego roku, wreszcie – za nazbyt wiele optymizmu w końcowym raporcie.

Jaskrawa pomyłka w ocenie przychodów z prywatyzacji, polityka celna... Groteskowy fakt, iż z prowizorium budżetowego „ginie" 300 miliardów złotych przewidywanych wpływów, które „odkrywa" wiceminister przekształceń własnościowych, dopominając się w związku z tym większego budżetu dla ministerstwa. Zresztą spójrzmy na oceny byłego rządu p. Jana K. Bieleckiego:

„Tygodnik Solidarność" z 10 stycznia br., artykuł Jerzego Ży-

żyńskiego „Pieniądz – klucz do reformy":

„Rzeczywistość brutalnie obnaża brak logiki reformy gospodarczej realizowanej przez oba postkomunistyczne rządy. To, że ujawniają się wewnętrzne sprzeczności programu, nie jest dla tych rządów czymś uwłaczającym: gdy realizuje się cel tak nowatorski, są one czymś nieuniknionym. Ale bardzo źle się stało, że zablokowano mechanizmy dostosowawcze, które mogłyby te sprzeczności rozwiązać. To już jest chyba świadectwem ignorancji. Załamanie budżetu to bezpośredni skutek ignoranckiej polityki (...). Dlaczego za błędy rządzących ekonomistów mają płacić nauczyciele i ich uczniowie, lekarze i ich pacjenci (...)".

Autor jest pracownikiem naukowym Wydziału Zarządzania UW.

„Forum Inżynierów Polskich" pisze do redakcji „Nowego Świata" (16 stycznia br.):

„Wprowadzenie elementów gospodarki rynkowej z zachowaniem socjalistycznego systemu prawnego prowadzi do chaosu i otwiera nieograniczone pole do wszelkiego rodzaju nadużyć, których skuteczne ściganie jest w tych warunkach niemożliwe (...)", SD tak wypowiada się o byłym rządzie Jana K. Bieleckiego: „(...) ujawnione z dużym opóźnieniem przez rząd J. K. Bieleckiego załamanie finansów publicznych ograniczyło do minimum pole manewru obecnego rządu i narzuciło mu już od początku działalności konieczność „gaszenia pożarów" socjalnych, zamiast prowadzenia kompleksowej, przemyślanej polityki". Stronnictwo wnioskuje dalej, aby Sejm zbadał „zadziwiający brak skuteczności reformatorskiej rządu Bieleckiego. Należałoby ustalić, czy przyczyną były tylko niedostatki wiedzy i umiejętności tego rządu, czy też prywata i działania na niekorzyść Polski ze strony niektórych jego członków".

„Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Rolnictwa posłowie PSL zarzucili ekipie Bieleckiego sabotaż gospodarczy („NŚ", 22 stycznia): „Posłowie zarzucili przedstawicielowi rządu, że nie konsultuje się rozmów z EWG z polskimi parlamentarzystami i trzyma w tajemnicy zapisy umowy".

Chyba wystarczy tych cytatów (mogę podać więcej), aby udowodnić, że rząd p. Bieleckiego poddany został miażdżącej krytyce, bo gdy rządowi zarzuca się aż „sabotaż", trudno mówić o krytyce ostrej czy nawet surowej...

Co do mnie – w inkryminowanym tekście ograniczyłem się do stwierdzenia, że tzw. plan Balcerowicza może *de facto* oznaczać korupcję, łapownictwo, prywatę *etc*. Rozumiem nerwowość reakcji p. J. K. Bieleckiego i członków jego byłego rządu wobec krytycznego

ostrzału niemal zewsząd (*nb.* sam należę do Klubu Dziennikarzy Liberalnych; niezależne Wydawnictwo „Kurs", w którym miałem zaszczyt pracować w stanie wojennym, było jednym z pierwszych popularyzujących opcję liberalną). Dziwi mnie jednak, że p. J.K. Bielecki stawia czoła krytyce w tak oryginalny sposób – *via* prokuratura.

Nr 7/1992

W STRONĘ CEZARYZMU EURONOMENKLATURY?

1. Książka Jeana-Marie Guéhenno „La fin de la démocratie" (Koniec demokracji), którą sygnalizowaliśmy już na ramach „NCz!", zasługuje na uwagę wśród europejskich nowości wydawniczych. Już pierwsze jej zdanie brzmi obiecująco: „Czy demokracja w Europie przetrwa rok 2000?".

Autor w uczciwy sposób streszcza wątpliwości, jakie wobec współczesnej demokracji nasuwają się ludziom myślącym.

2. Od rewolucji francuskiej demokracja w Europie sprzęga się z państwem narodowym. Gdy jednak „poddany króla" przekształca się w „obywatela", gdy zamiast z dynastią identyfikować zaczyna się z „narodem", gdy elitarna świadomość dynastyczna ustępuje miejsca powszechnej, masowej świadomości narodowej – ceną jest wulgaryzacja tej nowej, schodzącej w doły społeczne świadomości, zwłaszcza że rewolucja francuska kwestionuje zarazem chrześcijaństwo. Czyni to wprawdzie dość jeszcze nieśmiało – morduje stosunkowo niewielu księży i zakonnic, żąda od duchownych „tylko" przysięgi republice, „tylko" rozkrada majątek kościelny i zaledwie ustanawia socjotechniczny, zastępczy mit Istoty Najwyższej – ale właśnie rewolucja francuska jest pierwszą w Europie totalitarną wojną domową; jest wojną rodzimego, europejskiego barbarzyństwa z rodzimą, europejską cywilizacją.

3. Wojny zawsze towarzyszyły Europie, ale nawet gdy były to wojny religijne, były kłótniami w chrześcijańskim domu, w jednej cywilizacyjnej rodzinie. Rewolucja francuska była pierwszą „wojną cywilizacyjną" w takiej mierze, w jakiej atakowała samo chrześcijaństwo. W rewolucji francuskiej tkwiły zarodki późniejszych totalitaryzmów i wszechwładnej biurokracji, dążącej do owładnięcia nieograniczoną sferą życia społecznego. Istotą rewolucji francuskiej był społeczny

konstruktywizm: pewien projekt teoretyczny „urządzenia społeczeństwa", osłaniany działającymi na imaginację ludu hasłami, realizowany przez półinteligenckich intelektualistów i rzezimieszków.

4. Kolejną cywilizacyjną wojną domową w Europie była rewolucja bolszewicka. W miejsce społecznego ładu chrześcijańskiego proponowała nie poddającą się już jakiemukolwiek osądowi moralnemu władzę wspólnoty rozbójniczej, nazwanej „proletariatem", a będącej w istocie międzynarodową nomenklaturą, międzynarodową komunistyczną biurokracją. Także niemiecki narodowy socjalizm był podobnym zakwestionowaniem chrześcijańskiej etyki jako miary dla oceny władzy – w tym przypadku władzy wspólnoty rozbójniczej, określanej przez narodowych socjalistów jako „naród niemiecki", a sprowadzającej się również do partyjnej biurokracji. „Nowy człowiek" rewolucji francuskiej, „obywatel świata", w swej istocie nie różnił się od „nowego człowieka" radzieckiego – międzynarodowego komunisty – ani od nowego człowieka, „pana świata" – niemieckiego narodowego socjalisty. Odrzucenie chrześcijaństwa było w tych trzech rewolucjach warunkiem ustanowionego przez nie totalitaryzmu.

5. Ta barbaryzacja Europy, dokonana poprzez trzy rewolucje wspólnie odrzucające chrześcijaństwo, miała swe źródła – jak widać – nie w jakiejś pozaeuropejskiej rzeczywistości, ale w samej Europie. Nie było to barbarzyństwo, które przyszło z zewnątrz – było to barbarzyństwo własne zbarbaryzowanych Europejczyków.

6. To prawda, że dziś tożsamość europejska podmywana jest silniej może niż kiedykolwiek przez napływ imigrantów z Trzeciego Świata; prawdą jest też, że otwarcie granic, przepływ ludzi i kapitałów, powstawanie ponadnarodowych przedsiębiorstw, spółek, grup kapitałowych rozmywa świadomość narodową w poszczególnych krajach europejskich. W klasyczne dotąd, demokratyczne struktury państw narodowych coraz trudniej jest wmontować mechanizm, który wyrażałby coraz bardziej skomplikowaną grę interesów grup etnicznych, międzynarodowych grup kapitałowych, rozmaitych lobbies politycznych i gospodarczych. „Demokratyczną kołdrę", instytucję publiczno-prawną, wyrywają sobie z rąk coraz to nowi konkurenci, pragnący wykorzystać demokrację dla wyprodukowania korzystnych dla siebie praw korzystnego podziału łupów. Przy występującym nadal kwestionowaniu chrześcijaństwa (gdy władza demokratyczna coraz oporniej poddaje się osądowi chrześcijańskiej moralności) demokracja przekształca się w korupcję; korupcja staje się zasadą nowoczesnej demokracji. W wyniku postępującego sprzęgania się, wedle reguł korup-

cyjnych, coraz bardziej omnipotentna władza państwowa złączy się z kapitałem, a Europa zafunduje sobie nowy cezaryzm – cezaryzm nomenklatury.

7. Podobnie jak rosyjska międzynarodowa rewolucja socjalistyczna czy niemiecka narodowa rewolucja socjalistyczna mogły rozwijać się i utrwalać swe instytucje tylko pod warunkiem nieustannej ekspansji (warunkiem powodzenia każdego socjalizmu był jego przymusowy eksport) – tak i cezaryzm euronomenklatury może utrwalać się instytucjonalnie tylko pod warunkiem, że władzy nowej wspólnoty rozbójniczej eurokratów poddawane będą coraz to nowe obszary życia gospodarczo-społecznego. Wiele wskazuje na to, że położenie kresu tej ekspansji będzie trudniejsze niż ukrócenie poprzednich totalitaryzmów; nowy totalitaryzm, cezaryzm euronomenklatury, ogranicza bowiem przede wszystkim wolność gospodarczą jednostki – najpierw na rzecz rodzimego państwa, później na rzecz ponadpaństwowych instytucji; ponadto tego rodzaju ograniczenie nie wszystkich dotyka w jednakowym stopniu, a jego skutki stają się czytelne dopiero po dłuższym czasie; wreszcie dokonuje się wśród równie chwytliwych dziś haseł eurosocjalistycznych i socjaldemokratycznych, obliczonych na „górną" część ludzkiej natury: zawiść, lenistwo, brak odpowiedzialności, totalny autopermisywizm, określany jako „pełnia samorealizacji" czy „samoekspresji".

8. Przyczyny tego starego barbarzyństwa, które na nowo atakuje Europę, tkwią ciągle w niej samej. Europa nie ulega imigrantom ani mniejszościom etnicznym spoza kontynentu. W istocie ulega samej sobie, gorszej części własnej ludzkiej natury. Tak jak było za rewolucji francuskiej, za międzynarodowej rewolucji socjalistycznej w Rosji i za narodowosocjalistycznej rewolucji w Niemczech – Europa ulega własnym demagogom. Ulega rządom, które misję władzy jako służby publicznej korupcyjnie przehandlowują, które za cudze, wymuszone pieniądze kupują sobie poparcie mas. Chociaż więc korzenie rysującego się nowego totalizmu europejskiego – cezaryzmu euronomenklatury – tkwią w rewolucji francuskiej, łącząc się z międzynarodową socjalistyczną rewolucją rosyjską i narodowo-socjalistyczną rewolucją niemiecką, jego bezpośrednią przyczyną jest rozrastanie się władzy państwa w poszczególnych krajach europejskich. To dlatego władza ta musi przekraczać granice poszczególnych krajów, że obszar gospodarczy i społeczny, jakim chce zawiadywać w każdym kraju, popycha ją do granic tych przekraczania. Interwencjonizm, protekcjonizm, opiekuńczość socjalna lansowana przez współczesne rządy socjalistyczne

i socjaldemokratyczne są głównymi czynnikami napędzania nowego, możliwego totalitaryzmu europejskiego, tym razem totalitaryzmu euronomenklatury.

9. Wydaje się, że cezaryzm ów narusza ciągle te same zasady, które naruszały wszystkie poprzednie „wojny cywilizacyjne" w Europie: rewolucja francuska, rosyjska i niemiecka. Te same przyczyny produkować muszą podobne skutki. Narusza więc zasadę, iż ludzkie miłosierdzie to przejaw ludzkiej wolności i że bez dotkliwego uszczerbku dla wolności nie może być wymuszane siłą państwa. Najpiękniej nawet formułowane cele nie mogą usprawiedliwiać barbarzyńskich metod, a metoda arbitralnego wymuszania miłosierdzia jest metodą barbarzyńską. Tymczasem „wymuszanie miłosierdzia" stało się zasadą rządzenia wszystkich rządów socjalistycznych i socjaldemokratycznych współczesnej Europy.

Naruszana jest i inna fundamentalna zasada cywilizacji chrześcijańskiej: „Oddać Bogu, co boskie, cesarzowi, co cesarskie". Odkąd eurodemokraci chcą ponownie wyłączyć prawo stanowione przez demokratyczne większości spod chrześcijańskiej, etycznej i moralnej oceny – samo prawo totalizuje się, staje się wyrazem korupcji, a więc „racji silniejszego". W ten sposób prawo zaprzecza samej swej istocie, przestaje być prawem, staje się co najwyżej „wyrazem woli klasy panującej", bez względu na to, czy jest nią jakaś doraźnie sformowana większość parlamentarna, czy „międzynarodowy proletariat", jakiś „naród niemiecki", „parlament europejski" czy „euronomenklatura". Następuje barbaryzacja prawa, które staje się narzędziem rozdawania przywilejów, więc zamiast strzec rozdziału władzy, staje się bezpośrednim instrumentem władzy.

10. Nagromadzone przez Europę we względnie długim okresie koniunktury bogactwo powoduje, że wszystkie odstępstwa od tych zasad nie przybierają jeszcze drastycznych wyrazów. Ale historyczna koniunktura europejska nie musi trwać wiecznie. Niewykluczona jest sytuacja, gdy rządom zabraknie środków na opłacanie się biedniejszym z pieniędzy zabieranych bogatszym – i właśnie wówczas wytworzone tymczasem struktury cezaryzmu euronomenklatury, wsparte na murach rozdętych aparatów biurokratycznych poszczególnych państw europejskich, ujawnią swój totalitarny charakter wobec nagich, bezbronnych społeczeństw, wydanych na łup nowego Lewiatana.

11. Jeśli przyczyny narastania tego nowego Molocha tkwią jeszcze wewnątrz poszczególnych państw europejskich, jeśli można je wskazać: interwencjonizm, protekcjonizm, to i przeciwstawiać się nowemu

cezaryzmowi europejskiemu można jeszcze w obrębie poszczególnych państw. Odepchnięcie władzy od sfery gospodarczej jest zasadniczym warunkiem zażegnania niebezpieczeństwa.

12. Czy powstanie kiedyś „nowy naród europejski", z jakąś „nową świadomością europejską", silniejszą niż poszczególne „świadomości narodów", która nie byłaby zarazem jednak świadomością chrześcijańską? Nie bardzo wiadomo, w oparciu o jakie wartości i normy, w oparciu o jaką kulturę i cywilizację miałaby taka „nowa świadomość europejska" powstać. Konstruktywistyczne budowanie „nowego narodu europejskiego" z jakąś „nową ogólnoeuropejską świadomością" może zakończyć się – co bardziej prawdopodobne – „cezaryzmem euronomenklatury", wspierającej się na skorumpowanych demokracjach, w których prawo utraci swą funkcję wymierzania sprawiedliwości, a udzielać będzie tylko przywilejów silniejszym. Czyż nie tak właśnie kończą wszystkie konstruktywistyczne utopie?

Nr 27/1993

STEFAN KONSTANTY MYSZKIEWICZ-NIESIOŁOWSKI *(ur. 4 lutego 1944 r. w Kałęczewie) – polityk, działacz opozycyjny. W 1966 r. ukończył studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego. W 1979 r. uzyskał stopień doktora entomologii, od 1990 r. jest doktorem habilitowanym, w 2005 r. otrzymał tytuł naukowy profesora. Nauczyciel akademicki w Katedrze Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii UŁ. W latach 1964-1970 był współzałożycielem i działaczem konspiracyjnej organizacji „Ruch", kwestionującej legalność PRL. W 1970 r. był pomysłodawcą akcji podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie. 20 czerwca w wyniku dekonspiracji, wraz z innymi działaczami (Bolesławem Stolarzem, Emilem Morgiewiczem, Marianem Gołębiewskim, Andrzejem i Benedyktem Czumą) został aresztowany. 23 października 1971 r. skazano go na karę siedmiu lat pozbawienia wolności za „czynienie przygotowań do obalenia ustroju socjalistycznego przemocą" oraz próbę podpalenia. We wrześniu 1974 r. został zwolniony na mocy amnestii. Od 1980 r. należał do NSZZ „Solidarność". Był m.in. przewodniczącym komisji zakładowej „Solidarności" na Uniwersytecie Łódzkim. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. został zatrzymany, a następnie osadzony w ośrodku dla internowanych w Jaworzu, gdzie spędził około roku. Był współzałożycielem ZChN, od początku zasiadając w jego władzach naczelnych. W Sejmie kontraktowym wspólnie z Markiem Jurkiem i Janem Łopuszańskim współtworzył charakterystyczny wizerunek tej partii. Wystąpił ze Zjednoczenia w 2001 r., następnie związał się z Przymierzem Prawicy. W 2003 r. wraz ze Zbigniewem Romaszewskim i Janem Rulewskim współtworzył ugrupowanie Suwerenność-Praca-Sprawiedliwość. Był posłem trzech kadencji: 1989-1991 (w Sejmie kontraktowym), 1991-1993 (w Sejmie I kadencji) i 1997-2001 – z ramienia Klubu Parlamentarnego AW„S" (w Sejmie III kadencji był przewodniczącym zespołu chrześcijańsko-narodowego w ramach klubu parlamentarnego AW„S", skupiającego posłów i senatorów ZChN). W 2005 r. został senatorem z ramienia Platformy Obywatelskiej. Klub PO zgłaszał jego kandydaturę na wicemarszałka Senatu; została odrzucona w tajnym głosowaniu. W Sejmie VI kadencji Niesiołowski został wybrany wicemarszałkiem.*

5 = 16

Porównanie 16 Bohaterów Polski Podziemnej, podstępnie aresztowanych przez NKWD, do handlarzy bronią z tzw. afery karabinowej świadczy, że możliwe jest dziś wszystko.

Na warszawskim lotnisku wśród transparentów witających powracających z amerykańskich więzień polskich handlarzy bronią znalazł się również napis: „5 = 16". Osobom nie znającym historii najnowszej w stopniu wystarczającym pragnę wyjaśnić, iż napis ten porównuje aresztowanie w Niemczech, przewiezienie do USA, osadzenie w celi i wreszcie uwolnienie pięciu handlarzy bronią do 16 przywódców Polski Podziemnej zwabionych podstępnie na rozmowy przez generała NKWD Iwana Sierowa, a następnie przez tegoż aresztowanych, przewiezionych do Moskwy, tam osadzonych i więzionych. Wśród 16 aresztowanych przywódców byli ludzie tej miary co generał Leopold Okulicki, bohater wojny 1916-1920, żołnierz Powstania Warszawskiego, ostatni dowódca Armii Krajowej, który nigdy do Polski z Moskwy nie wrócił, gdyż został przez NKWD zamęczony w więzieniu; Kazimierz Pużak, przywódca PPS, więzień carski, przewodniczący podziemnego parlamentu czyli Rady Jedności Narodowej, jedna z najpiękniejszych postaci polskiego socjalizmu, zamęczony przez UB w więzieniu w Rawiczu; Stanisław Jankowski, wicepremier i delegat rządu na kraj, organizator walki podziemnej, zamęczony przez NKWD w sowieckim więzieniu – podobnie jak działacz Stronnictwa Narodowego, Stanisław Jasiukowicz. 16 przywódców Polski Podziemnej to nasi narodowi bohaterowie. Bohaterowie afery karabinowej – zdaje się wszyscy – należeli do PZPR i jak dotychczas jest to jedyny znany przejaw ich publicznej aktyw-

ności. Dlatego uważam napis „5 = 16" za nadużycie, za cyniczne poniżanie pamięci ludzi, którzy walczyli i cierpieli dla Polski. Brak widocznej reakcji ze strony obecnych przecież na lotnisku dziennikarzy, brak jakichkolwiek komentarzy, kreowanie handlarzy bronią na kogoś w rodzaju bohaterów, pytanie jednego z dziennikarzy: „Czy mają panowie zamiar rozpocząć działalność polityczną?" – świadczą, że w Polsce możliwe jest dziś wszystko.

Warto przy tej okazji przypomnieć, że do towarzystwa senatora Gawronika, SB-eka, przeciwko któremu toczy się postępowanie karne; posła Millera, podejrzanego o rublowo-dolarową aferę, pomijając jego aktywną działalność w PZPR na wysokich stanowiskach; senatora Szwondera, którego istotną kwalifikacją był udział w aferze karabinowej – mogą dołączyć następni „politycy?", którzy z woli przede wszystkim środków przekazu będą stanowić prawa w III Rzeczpospolitej. Ale chociaż wydaje się, że przekroczono wszelkie granice przyzwoitości i zdrowego rozsądku, sekretarze i dygnitarze PZPR oraz ministrowie PRL pełnią najwyższe urzędy w wolnej Polsce; bogaci w PRL są jeszcze bogatsi w III RP, a biedni w PRL jeszcze biedniejsi dziś. Doszło nawet do tego, że Rosja jest dziś biała, a Polska czerwona; bohaterami młodzieży są nie ludzie, którzy poświęcali swoje życie dla Ojczyzny, wolności, prawdy lub bliźnich, ale zgodnie z zasadą „róbta, co chceta" – narkomani i zboczeńcy. Jednak zło nie staje się dobrem, a kłamstwo prawdą – nawet jeśli wzrosło w siłę, nawet jeśli uznają je inni.

„5 = 16" to rezultat trwającej od dawna, od czasów okrągłego stołu nagonki na wszystko, co miało jakikolwiek pozytywny związek z narodową, niepodległościową, chrześcijańską tradycją, z katolicyzmem, prawicą. To przekonanie, że komuniści mogą być sojusznikami, albowiem niebezpieczeństwem podstawowym jest „nacjonalizm" i „klerykalizm". Z tego przekonania brało się lekkomyślne rozdawanie komunistycznym dziennikarzom i ich spółkom tytułów prasowych, które dziś kształtują poglądy znacznej części elektoratu, zwłaszcza na prowincji. Mimo wielkich wysiłków ZChN nie otrzymał ani jednej gazety, komuniści otrzymali w zasadzie wszystko, co chcieli. Tak podsumowuje to Jacek Maziarski: „(...) zachęcam do namysłu nad prostym pytaniem: kto podsycał atmosferę wojny religijnej – choćby przez propagandę referendum aborcyjnego? Kto straszył »państwem wyznaniowym«? Kto wyróżniał się fundamentalizmem ideologicznym – Kaczyński czy Labuda? Zwycięstwo antyreformatorskiej i antyreligijnej lewicy jest wspólną zasługą intelektualistów z kręgu »Gazety

Wyborczej«, »Polityki« i »Nie«. To właśnie oni awansowali cynizm do rangi ideologii". I chociaż postawienie w jednym szeregu „Gazety Wyborczej" i „Nie" jest – delikatnie mówiąc – nieuzasadnione, to przecież awans cynizmu jest faktem. W tej atmosferze senatorem mógł zostać p. Baranowski w Łodzi, a teraz p. Gawronik w Poznaniu, p. Pieńkowski, powiązany z nomenklaturą, a dziś zwalniający dziennikarzy z powodów politycznych, o mało nie został w Łodzi senatorem, p. Malisiewicz-Gąsior, ta od Moniki Kern i od Urbana, była kreowana na nowe wcielenie Joanny d'Arc i zdobyła 35 tys. głosów w wyborach do Senatu. O jej kwalifikacjach wstydzę się pisać z uwagi na to, że pismo to czyta także młodzież. Ostatnio ukazał się w „Dzienniku Łódzkim" artykuł, z którego wynika, że p. Malisiewicz-Gąsior to pospolita oszustka. Przedtem mieliśmy już inną oszustkę, też od Urbana, p. Domaros, lansowaną w telewizji w charakterze kogoś w rodzaju eksperta oraz w prasie („Angora"!) w charakterze kogoś w rodzaju komentatora politycznego.

Jednym z elementów odbudowania demokracji w Polsce jest szacunek dla prawdy i zasad moralnych. Związek pomiędzy wolnością a prawdą jest w moim przeświadczeniu fundamentem demokracji. Zdziczenie życia publicznego polega między innymi na tym, że każdego dziś można w Polsce bezkarnie obrażać, zwłaszcza tych, którzy – tak jak 16 przywódców Polski Podziemnej – nie mogą się bronić. W tym klimacie autorytetami moralnymi stają się przestępcy.

Nr 45/1993

JERZY ROBERT NOWAK *(ur. 8 września 1940 r. w Terespolu) – historyk, publicysta, doktor habilitowany nauk politycznych, specjalizujący się w problematyce węgierskiej.*

W latach 1994-2006 profesor nadzwyczajny w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Od 2004 r. profesor w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Publicysta i felietonista Telewizji Trwam, Radia Maryja, „Naszego Dziennika", „Naszej Polski", „Tygodnika Głos", „Tygodnika Katolickiego Niedziela" i „Mojej Rodziny". Założyciel i prezes Ruchu Przełomu Narodowego, Klubów Patriotycznych i Komitetu Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków.

Autor około 50 książek i ponad 1700 publikacji prasowych. Twórca audycji „Minął miesiąc", emitowanej raz w miesiącu na antenie Radia Maryja i Telewizji Trwam. Honorowy obywatel miasta Jedwabne.

REHABILITACJA „BIAŁEGO" DYKTATORA

4 września 1993 roku na Węgrzech doszło do wydarzenia, które niewiele osób mogło sobie w ogóle wyobrazić jeszcze kilka lat temu. Wielotysięczne tłumy (od 60 do 100 tysięcy osób) uczestniczyły w drugim pogrzebie zmarłego w 1957 roku na emigracji byłego regenta Węgier, Mikołaja (Miklósa) Horthy'ego, przez całe dziesięciolecia po 1945 roku przedstawianego jako najczarniejsza postać węgierskiej historii. W pogrzebie, któremu nadano teraz formę uroczystą, uczestniczyli liczni ministrowie rządu Antalla. Państwowa mennica wydała z tej okazji medal pamiątkowy, w państwowej telewizji transmitowano pogrzeb. Równocześnie jednak nie brakowało osób, które były niezadowolone z tak uroczystego pogrzebu polityka rządzącego Węgrami w latach 1919-1944, przez tyle lat przedstawianego wyłącznie jako ucieleśnienie kontrrewolucyjnej dyktatury i „białego terroru".

Obecny, uroczysty pogrzeb-rehabilitacja Horthy'ego na pewno satysfakcjonuje zdecydowaną większość Węgrów, zdających sobie sprawę z uproszczonych, jakże jednostronnych ocen postaci regenta, dominujących przez dziesięciolecia. Rehabilitacja polityka, który objął władzę dzięki rozbiciu rządów komunistycznych na Węgrzech, wywołuje jednak wyraźne opory – i to nie tylko wśród postkomunistów, ale i wśród części dawnej, lewicowej opozycji antykadarowskiej, zwłaszcza wśród ludzi związanych z węgierskim odpowiednikiem polskiej Unii Demokratycznej – Związkiem Wolnych Demokratów. Szczególnie symptomatyczna pod tym względem była zorganizowana w przeddzień pogrzebu Horthy'ego manifestacja w Budapeszcie. Jeden z mówców, znany pisarz Jerzy (György) Konrád, prezes światowego PEN-Clubu, powiedział, że pogrzeb Horthy'ego demokraci

traktują jako ostateczne pożegnanie z okrętem rządu regenta i ustrojem, który milion ludzi wysłał na śmierć. W tym właśnie dniu na apel węgierskich organizacji żydowskich ponad 10 tys. osób zebrało się przed „budapeszteńskim pomnikiem ofiar drugiej wojny światowej", składając hołd zamordowanym w czasie wojny węgierskim Żydom. Choć nazwiska Horthy'ego nie wymieniono, była to wyraźna próba obciążenia go współodpowiedzialnością za eksterminację węgierskich Żydów.

Lewicowi przeciwnicy rehabilitacji regenta Horthy'ego nadal próbują przedstawić skrajnie jednostronny bilans jego rządów, skupiając się wyłącznie na przedstawianiu go jako symbolu „białego terroru" (pomijając milczeniem poprzedzający go „czerwony terror") bądź snując fałszywe uogólnienia na temat rzekomej odpowiedzialności Horthy'ego za eksterminację węgierskich Żydów. W moim artykule chciałbym się więc skupić głównie na tych dwóch kontrowersyjnych, a mało w Polsce znanych sprawach, zawężając dużo lepiej znany w Polsce wątek roli Horthy'ego w stosunkach z Niemcami w czasie drugiej wojny światowej (zainteresowanych odsyłam do kolejnych wydań mojej książki o Węgrzech po 1939 roku; wyd. Omega, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972 i 1975).

Horthy – pogromca Węgierskiej Republiki Rad

Mikołaj Horthy przez wiele lat był adiutantem cesarza Franciszka Józefa; po wybuchu pierwszej wojny światowej został dowódcą pancernika, później kontradmirałem, wreszcie dowódcą floty austrowęgierskiej. Po utworzeniu na Węgrzech tzw. komunistycznej Węgierskiej Republiki Rad Horthy przybył do położonego na południu kraju Szegedu, aby organizować armię pod hasłami obrony narodu i chrześcijaństwa przeciw komunizmowi. Po rozbiciu wojsk Węgierskiej Republiki Rad przez Rumunów, Horthy stopniowo opanował tzw. Kraj Zadunajski. W listopadzie 1919 roku za zgodą przedstawicieli Francji i Anglii wjechał na czele „armii narodowej" na białym koniu do Budapesztu. Stopniowo przejął cały ster władzy na Węgrzech i przyjął tytuł regenta, przez parę dziesięcioleci (do 1944 roku) decydując o węgierskiej polityce zagranicznej i wewnętrznej. Początki rządu Horthy'ego to rzeczywiście czas „białego terroru", bezwzględnych represji wobec pokonanych komunistów. Było tam wiele ciemnych stron, zwłaszcza skutków działalności skrajnych antykomunistycznych bojówek Prónay'ego i popełnianych przez nich skrytobójstw. Pełny obraz począt-

ków rządów Horthy'ego wymaga jednak przypomnienia dużo mniej znanych w Polsce warunków, w jakich doszedł on do władzy, a przede wszystkim rozmiarów nienawiści, jakie wzbudziły w przeważającej części społeczeństwa trwające 133 dni rządy węgierskiej komuny.

Tzw. Węgierska Republika Rad należała do najbardziej ponurych i kosztownych eksperymentów z rządami bolszewickimi w całej dwudziestowiecznej historii Europy. Stąd strach wielkiej części społeczeństwa przed jej nawrotem, który stał się najlepszym spoiwem umacniającym rządy Horthy'ego. W chwili, gdy w Polsce najwięcej głosów zdobyli postkomuniści z SLD, warto szerzej przypomnieć zapomniane tradycje tego nieszczęsnego, komunistycznego eksperymentu. Rządy Węgierskiej Republiki Rad oznaczały niezwykle brutalne wtargnięcie w sferę życia osobistego obywateli, ciągłe naruszanie ich prawa do własności i czegoś jeszcze istotniejszego – prawa do spokoju. Głód mieszkań postarano się ugasić w sposób najprostszy – blisko 100 tysięcy osób z proletariatu dokwaterowano na siłę do mieszkań i willi burżuazji. Nowi mieszkańcy, którzy przybyli z piwnic i pokojów dalekich od komfortu, na ogół nie stanowili idealnych współlokatorów. Wielkie wzburzenie węgierskiego mieszczaństwa wywołał inny pomysł komunistów. W ramach troski o higienę biednych dzieci nakazano obowiązkowo udostępnianie im kilka razy w tygodniu łazienek w domach osób bogatszych. Obcowanie z tymi przybyszami, na ogół nie grzeszącymi czystością, niektórzy traktowali jako najdotkliwszą szykanę.

Do skrajnych rozmiarów posunięto nacjonalizację; nie ograniczyła się ona tylko do wielkich zakładów czy banków, ale szybko objęła również warsztaty zatrudniające powyżej 20 osób, pensjonaty, kina, apteki, zakłady fotograficzne, laboratoria, przedsiębiorstwa transportowe *etc*. Wydano dekret o konieczności obowiązkowego zdania państwu posiadanych obcych walut oraz złota i drogich kamieni o wartości ponad 2 tys. koron. Konfiskowano zapasy żywności. Wydano postanowienie o rekwirowaniu albumów znaczków pocztowych. Niejeden okupant mógłby pozazdrościć pomysłowości władz komuny w ogałacaniu z mienia własnych obywateli.

Skrajnym nonsensem okazało się dokonane już na początku rządów Węgierskiej Republiki Rad zamkniecie sklepów (poza spożywczymi i kioskami), dokonane z obawy przed spekulacją. Później wciąż zwlekano z ich otwarciem, obawiając się, że uspołecznienie handlu może stanowić zbyt wielkie obciążenie dla państwa w ówczesnej sytuacji, a z drugiej strony z obawy przed skutkami zgody na wznowienie działal-

ności inicjatywy prywatnej. Doszło do tak skrajnego zamieszania i bezradności wokół tej sprawy, że ówczesny komisarz ludowy (minister) do spraw produkcji socjalistycznej, Maciej (Mátyás) Rákosi (późniejszy krwawy komunistyczny dyktator po 1945 r.), którego ciągle atakowano z powodu zamknięcia sklepów, w których nie można było nic kupić, tracąc cierpliwość zawołał: „Mianowano mnie komisarzem ludowym, bo wiedziałem, jak należy zamknąć sklepy. Teraz mianujcie kogoś, kto będzie wiedział, jak je otworzyć, bo ja tego nie potrafię". Aby zakupić ubranie, meble, naczynia kuchenne czy nawet parę rzeczy do jedzenia, trzeba było uzyskać zgodę tzw. męża zaufania danego domu. Mógł ją wydać tylko po uroczystym udowodnieniu, że petent rzeczywiście odczuwa potrzebę zakupu jednej sukni lub prześcieradła.

Fatalne błędy popełniano w polityce rolnej; zamiast dać chłopom ziemię, wprowadzono państwowe gospodarstwa rolne. W kraju wciąż brakowało żywności. Nie pomagało brutalne wyciąganie od chłopów produktów rolnych drogą rekwizycji. Węgierska Republika Rad, państwo skrajnych zakazów i reglamentacji, biło rekordy pod względem tempa przyrostu biurokracji – w ciągu 133 dni zwiększyła się ona dwukrotnie w porównaniu do czasów sprzed komuny. W jednym tylko komisariacie (ministerstwie oświaty) liczba zatrudnionych wzrosła z 494 do 1786 osób. W maju 1919 roku powołano nowy urząd do spraw upaństwowionych gospodarstw rolnych ze stu zatrudnionymi i licznymi wydziałami. Żaden z nich nie miał nic do roboty. Był na przykład wydział do spraw worków i sznurka do wiązania, który nie dysponował ani jednym workiem i ani metrem sznurka,

Doktrynerstwo i mesjanizm komuny sprzyjały wymyślaniu coraz bzdurniejszych pomysłów na uszczęśliwianie ludzi. W Debreczynie w ramach walki z nałogami zakazano gry w karty i domino. W Békéscabie dla zapobieżenia przyszłym pokusom nakazano zdanie wszystkich talii kart do urzędów pod groźbą kary śmierci! Szczyty nonsensów pobiło wydanie – jako jednej z pierwszych decyzji rządu – pełnego zakazu konsumpcji napojów alkoholowych. Można sobie wyobrazić skutki wydania takiego zakazu w kraju takim jak Węgry, gdzie wina zrosły się na trwałe z wyśmienitą, pikantną kuchnią. Doszło do tego, że pierwszymi krwawo stłumionymi rozruchami za rządów komuny w 1919 roku była burzliwa manifestacja producentów wina nad Balatonem – czterech manifestantów zginęło od serii strzałów podczas rozpędzania demonstracji.

Rozpętano skrajną agitację antyreligijną. Rozwiązano zakony. Księży i zakonników traktowano jako „wrogów ludu", pozbawio-

no ich praw wyborczych. Żądano od nich, by wyrzekli się stanu duchownego. Księża-nauczyciele tylko pod tym warunkiem mogli dalej nauczać w szkołach. W wielu miejscach usunięto krzyże. Zlikwidowano naukę religii w szkołach. Komunistyczni studenci wysyłani na prowincję zapowiadali przekształcenie kościołów w domy kultury, z zapałem reklamowali idee wspólnoty majątkowej i wolnej miłości. Wszystko to wzmagało u ludzi poczucie zagrożenia rodziny i elementarnego spokoju. Do tego dochodziły często skrajne wybryki antyreligijne. Nie przemilczała ich nawet wydana w Węgierskiej Republice Ludowej historia Węgierskiej Republiki Rad profesora Tyberiusza (Tibora) Hajdo. Można tam było przeczytać o niepotrzebnym podsycaniu antysemityzmu przez takie wydarzenia jak to, co się zdarzyło w Boże Ciało, gdy niejaki Leo Reiss wpadł do kościoła i opluł hostię. W Egerze doszło do manifestacji ponad 500 kobiet, protestujących przeciw deportowaniu księży z tego miasta i domagających się respektowania ich praw do wyznawania religii. Kolejną manifestację w Egerze w obronie religii rozpędzono seriami, padli zabici i ranni. Na tle rozpętanej przez Węgierską Republikę Rad wojnie z religią na Węgrzech zaczęła bardzo umacniać się fala nastrojów antyżydowskich, tym silniejsza, ze względu na zdominowanie rządu Republiki Rad przez osoby pochodzenia żydowskiego (wydany w 1929 roku „Węgierski Leksykon Żydowski" podawał, że 14 komisarzy rządu WRR było Żydami z pochodzenia, w tym sam przywódca republiki Béla Kun, szef nadzwyczajnego trybunału Tyberiusz Szamuely, kierujący „czerwonym terrorem" i szef policji politycznej Otto Korwin-Klein). Do nasilenia nastrojów antyżydowskich wśród chłopów szczególnie mocno przyczyniły się „wypady" Szamuelly'ego ze specjalnym pociągiem pancernym dla rekwirowania żywności we wsiach czy tłumienia buntów chłopskich.

Skrajne błędy czy wręcz szaleństwa licznych postanowień rządu Węgierskiej Republiki Rad, stały się czynnikiem prowokującym tym potężniejszą reakcję ze strony bardzo dużej części społeczeństwa węgierskiego – od warstw posiadających po chłopów i mieszczaństwo, a nawet dużą część „narodowo i chrześcijańsko" myślących robotników.

Dopiero obraz nieszczęsnej praktyki rządów Węgierskiej Republiki Rad może wytłumaczyć źródła takiej zajadłości „białego terroru", którego ucieleśnieniem stał się Horthy. Na Węgrzech toczyła się jednak krwawa wojna domowa o wszystko, podobnie jak w Hiszpanii w latach 1936-1939. I podobnie jak w Hiszpanii zwycięski biały dyktator stopniowo przeszedł ewolucję od bezwzględnego pogromcy komuni-

stycznej rewolucji do gwaranta stabilizacji gospodarczej i politycznej kraju. Już w 1919 roku, stając na czele „chrześcijańskich i narodowych" Węgier, Horthy przeciwstawiał się próbom kontynuowania pogromowych akcji antyżydowskich przez część wojska i prawicowe bojówki. I zrobił to nie przypadkowo – już w czasie organizowania armii kontrrewolucyjnej w Szegedzie korzystał z niebagatelnej pomocy finansowej żydowskich kapitalistów, którzy wcale me chcieli zwycięstwa doktrynerskiej rewolucji niszczącej własność na Węgrzech. W cytowanym już „Węgierskim Leksykonie Żydowskim" z 1929 roku, z pewną przesadą chyba, napisano, że bez pomocy szegedzkich Żydów kontrrewolucja w Szegedzie nie odniosłaby sukcesu". Kapitał żydowski, a zwłaszcza słynny bankier Chorin, wiernie wspierał rządy Horthy'ego, zyskując w zamian obronę regenta w najtrudniejszych chwilach, gdy nad krajem pojawiło się widmo faszyzmu. Co ciekawsze, to właśnie mały dyktator Horthy stopniowo stał się najmocniejszą barierą przeciw próbom faszyzacji Węgier, podejmowanym od końca lat trzydziestych przez polityków typu Gómbosa i Imrediego czy faszystów ze stronnictwa strzałokrzyżowców Szalasiego. Horthy, który rozpoczął rządy w 1919 roku od bezwzględnej dyktatury i terroru wobec lewicowej opozycji, stopniowo coraz bardziej popierał ewolucję Węgier w kierunku demokracji parlamentarnej.

Nr 41-42/1993

W KLESZCZACH TRZECIEJ RZESZY

Pokonane w pierwszej wojnie światowej Węgry stały się w 1920 r. ofiarą szczególnie drastycznych warunków traktatu pokojowego w Trianon. Stało się to podstawą powszechnie popieranych na Węgrzech roszczeń terytorialnych i stopniowego wiązania się rządów z polityką III Rzeszy, wywierającej coraz większą presję na tę część Europy. Zmianom w polityce zagranicznej nie towarzyszyły jednak podobne zmiany wewnętrzne. Przeciwnie – w początkach 1939 r. Horthy odsunął faszyzującego premiera Imrediego, zastępując go skrycie proalianckim Pálem Telekim. Nawet po samobójstwie Telekiego i wejściu Węgier pod presją Niemiec do wojny po stronie III Rzeszy w 1941 r. Horthy uparcie starał się zachować możliwość manewru dla swego kraju. Przeciwstawiał się węgierskiej prohitlerowskiej piątej kolumnie, a zwłaszcza fanatycznym faszystom nilaszowskim, których po prostu uważał za niebezpiecznych parweniuszy. W 1942 r. zdobył się na usunięcie kolejnego proniemieckiego premiera Bárdossy-'ego i zastąpienie go skrycie proalianckim premierem Kallayem, który podejmował ukryte wysiłki dla wyprowadzenia Węgier z wojny.

Prowadzone mało dyskretnie tajne pertraktacje przedstawicieli Węgier z Anglosasami doprowadziły Hitlera do furii. W marcu 1944 r. zdecydował się on na ukaranie „niepewnego" węgierskiego sojusznika. Węgry okupowano, a Horthy'emu narzucono kolejnego proniemieckiego premiera – Sztójay'ego. Latem 1944 r. Horthy zdecydował się na kolejne przygotowania do wyprowadzenia Węgier z wojny. Prowadzone były one jednak w sposób skrajnie nieudolny, a podjęta w październiku 1944 r. próba wyjścia Węgier z wojny skończyła się tragicznym fiaskiem. Niemcy uwięzili Horthy'ego, a Węgrom narzucili krwawe rządy faszystów nilaszowskich. Horthy

nigdy już nie wrócił na Węgry. Zmarł na emigracji w Portugalii w 1957 roku.

Patrząc na politykę Horthy'ego w czasie wojny, nie można nie uznać, że podejmował on o wiele więcej wysiłków niż ktokolwiek inny z rządców krajów zależnych od III Rzeszy (bez porównania więcej od takiego marszałka Pétaina) dla zapewnienia swemu państwu jakichś możliwości samodzielnego manewrowania pomimo hitlerowskiej presji. Węgry znajdowały się jednak w samym centrum imperium III Rzeszy i to już w dużej mierze przesądzało o bezowocności wysiłków Horthy'ego dla wyprowadzenia kraju z wojny. Do tego doszły niestety liczne przejawy skrajnej, starczej nieudolności w dramatycznych wydarzeniach 1944 roku.

Oceniając wojenną politykę Horthy'ego, nie można nigdy zapominać, że regent próbował do końca przeciwstawiać się narzucanej przez III Rzeszę polityce faszyzacji kraju, bronić jego suwerenności i inności. Doceniali to liczni obserwatorzy anglosascy. Bardzo wymowna pod tym względem była ocena sytuacji wewnętrznej na Węgrzech opracowana 22 września 1943 r. przez dyrektora Wydziału Centralnego (Central Department) Foreign Office, F. K. Robertsa. Według Robertsa:

1) z wyjątkiem Finlandii Węgry są jedynym krajem Osi, który zachował tradycyjne instytucje parlamentarne. Poza Partią Komunistyczną zakazano działalności tylko partii o charakterze nazistowskim, wszystkie inne partie polityczne działają w stosunkowej swobodzie;

2) na Węgrzech istnieje kwitnący ruch socjaldemokratyczny. Masa członkowska Partii Chłopskiej, według niektórych opinii, liczy milion osób, liczba członków związków zawodowych osiągnęła 300 tysięcy. Partia Socjaldemokratyczna ma własny dziennik i korzysta ze znaczącej swobody w uprawianiu propagandy politycznej;

3) kościoły mogą spełniać swe zadania bez żadnych ograniczeń, a publiczne oświadczenia przywódców kościelnych są szczere i często antyniemieckie;

4) w porównaniu z innymi krajami satelickimi godną uwagi wolnością cieszy się życie umysłowe. Na uwagę zasługuje również swoboda prasy;

5) pomimo niemieckiego nacisku i poważnych problemów dla miejscowych Żydów, węgierski rząd nie podjął twardych posunięć przeciwko Żydom węgierskim, a premier otwarcie dał do zrozumienia, że nic ma zamiaru podejmować niczego podobnego;

6) natomiast zadano uderzenie w niemiecką mniejszość na Węgrzech, ponieważ pozbawiono obywatelstwa tych, którzy ochotniczo zgłosili się do służby w Waffen-SS i domagali się, aby ci ochotnicy przeszli pod niemiecką kontrolę:

Na tle prawdy o rzeczywistych realiach polityki wewnętrznej Horthy'ego szczególnie niesprawiedliwe wydają się różne próby obciążania go odpowiedzialnością za wojenną tragedię węgierskich Żydów. Zarzuty tego typu wysuwano wciąż po 1945 r., począwszy od rządów Rákosiego, a i teraz ponawiają je niektórzy przedstawiciele węgierskich organizacji żydowskich i lewicowego Związku Wolnych Demokratów (odpowiednika polskiej Unii Demokratycznej). W sytuacji Węgier, położonych w samym środku zależnej od Niemców części Europy, Horthy – w odróżnieniu od rządów Rumunii i Słowacji czy francuskiego Vichy – konsekwentnie sprzeciwiał się hitlerowskim naciskom w celu przeforsowania tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej na Węgrzech. Niemcy na próżno domagali się całkowitego usunięcia Żydów z węgierskiego życia gospodarczego i kulturalnego, wprowadzenia żółtych gwiazd i wreszcie deportacji Żydów z Węgier w porozumieniu z władzami hitlerowskimi. Opór Horthy'ego i popieranego przez niego rządu Kallay'ego wobec nalegań III Rzeszy w sprawie żydowskiej sprawił, że – jak wspominał były ambasador USA na Węgrzech, John Montgomery: „Węgry aż do marca 1944 r. były jedynym krajem na wschód od Pirenejów, gdzie egzystencja Żydów mogła być uważana za bezpieczną". Rozzłoszczeni hitlerowcy określali 800-tysięczną społeczność żydowską na Węgrzech jako „środkowoeuropejską wyspę żydowską". W marcu 1944 r. Hitler, uzasadniając swą decyzję okupowania Węgier, jako jeden z dwóch głównych powodów – obok chęci wyjścia Węgier z wojny – podał to, iż „Węgry wciąż pozostają eldorado dla Żydów, z którego nie tylko się ich nie wysiedla, ale jeszcze daje schronienie tym, którzy ode mnie uciekli".

Stosunkowo bezpieczny status Żydów na Węgrzech Horthy'ego w 1943 r. w porównaniu z tym, co się działo w innych krajach zależnej od Niemiec Europy, był w pełni doceniany przez przywódców węgierskich Żydów. Doszło nawet do tego, że węgierscy przemysłowcy i bankierzy żydowskiego pochodzenia w 1943 r. wciąż nalegali na regenta Horthy'ego i premiera Kállay'ego, by nie drażnili Niemców jakimiś posunięciami proalianckimi, żeby nie sprowokować okupacji kraju. Z podobną sugestią wystąpił do brytyjskiego Foreign Office w październiku 1943 r. angielski historyk, profesor Namier, przywódca organizacji syjonistycznej. Wyraził on obawy przed skutkami przedwczesnego zerwania rządu węgierskiego z Niemcami i ostrzegał, że „Niemcy odpowiedzieliby na nie okupowaniem kraju i wytępieniem ostatniej znaczącej wspólnoty żydowskiej w Europie".

I faktycznie, deportacja Żydów zaczęła się na Węgrzech dopiero po

okupowaniu kraju przez wojska niemieckie w marcu 1944 r. i narzuceniu proniemieckiego rządu Sztojáy'ego. Dodajmy, że Horthy stanowczo odmówił podpisania jakiejkolwiek nowej ustawy antyżydowskiej, a gdy tylko udało mu się choć w części odzyskać wpływy w stolicy, doprowadził w lipcu 1944 do wstrzymania deportacji Żydów, pomimo niemieckich protestów. Dopiero ostateczne usunięcie i aresztowanie Horthy'ego przez Niemców po przewrocie nilaszowskim w październiku 1944 r. utorowało znowu drogę do eksterminacji węgierskich Żydów. Takie są fakty, które można znaleźć również w książkach wybitnych żydowskich historyków na Zachodzie (np. Geralda Reitlingera „The final solution"). Nie chcą ich widzieć tylko niektórzy lewicowcy w Budapeszcie. którzy wciąż szukają dowodów winy Horthy'ego.

Nie był „węgierskim Piłsudskim"

Niełatwe są oceny miejsca w historii Węgier przynależnego Horthy'emu. Nie ułatwiają sprawy łatwe etykietowania robione przez jego przeciwników i zwolenników. Na pewno dzisiejszej rehabilitacji regenta Horthy'ego na Węgrzech nie można porównywać z procesem przywracania właściwej rangi postaci Marszałka Piłsudskiego w Polsce. Horthy nie posiadał charyzmy Piłsudskiego, który dążąc do silnej władzy w Polsce, zawsze pamiętał, że „Polacy mają w sobie instynkt wolności", i na ogół starał się rządzić dzięki swemu autorytetowi osobistemu, a nie środkami administracyjno-policyjnymi. Horthy był politykiem skrajnie konserwatywnym, o wiele mniej niż Piłsudski wczuwającym się w realia i nowe prądy epoki. Jak oceniał skądinąd życzliwie nastawiony do Horthy'ego świetny historyk angielski C. A. Macartney: „Ideały Horthy'ego były zgodne z jego wiekiem, klasą i środowiskiem społecznym. Urodził się on w 1868 r., jego klasą było *gentry* (...) wykształcenie całkowicie staromodne (...) prawie nic nie czytał z literatury, a jeszcze mniej z historii, nauk politycznych i ekonomii". O staroświeckości poglądów Horthy'ego nic chyba nie świadczy lepiej niż fakt, że już jako regent Królestwa Węgier, licząc wówczas 67 lat, zdecydował się wyzwać na pojedynek prezydenta Czechosłowacji, Tomasza Masaryka, aby w ten sposób, „po rycersku" rozstrzygnąć sporne problemy polityki zagranicznej Węgier i Czechosłowacji (kwestie granic).

W miarę upływu czasu na Węgrzech coraz mniej pamięta się Horthy'emu jego odpowiedzialność za zmarnowane szanse w 1944 r., wiedząc, jak bardzo ograniczone były ówczesne możliwości manewru w

kraju okupowanym przez Niemców, przy bardzo silnej piątej kolumnie w wojsku i policji. Minione dziesięciolecia sprzyjały stopniowej pozytywnej rewaluacji postaci Horthy'ego. tym wyraźniejszej, jeśli porównać jego epokę z długoletnimi rządami jego komunistycznych następców. W odróżnieniu od Rákosiego, Gerö i licznych innych czołowych komunistów węgierskich, obcych narodowi węgierskiemu i supersłużalczych wobec Związku Sowieckiego, Horthy był bowiem zawsze węgierskim patriotą, myślącym przede wszystkim w kategorii interesów narodowych. A przy tym był człowiekiem honoru. Jakiż kontrast ze skrajnym cynikiem Rákosim czy Kádárem, który bez żenady złamał najsolenniejsze obietnice wobec Imre Nagy'a i doprowadził do jego sądowego mordu.

Dodajmy rzecz wcale nie najmniej istotną dla oceny Horthy'ego w Polsce: był on zawsze wielkim przyjacielem Polski i Polaków. W 1920 r. na próżno próbował pomóc zbrojnie Polsce w czasie jej największego zagrożenia – sprzeciw Czechosłowacji uniemożliwił dotarcie do Polski węgierskiej pomocy. We wrześniu 1939 r. regent Horthy i premier Teleki kilkakrotnie sprzeciwili się naleganiom rządu III Rzeszy, żądającego zgody na przepuszczenie wojsk niemieckich przez Węgry przeciw Polsce. Zgoda Węgier, odcinając drogi odwrotu od południa, uniemożliwiłaby tak liczny późniejszy *exodus* żołnierzy polskich i ludności cywilnej do Węgier i Rumunii. Dodajmy do tego niezwykle ciepłe przyjęcie wielotysięcznej rzeszy polskich uchodźców, którzy znaleźli schronienie na Węgrzech Horthy'ego.

Bardzo silne propolskie sympatie Horthy'ego skrajnie kontrastowały z trwale antypolską postawą Béli Kuna, Mátyása Rákosiego i dziesiątków innych węgierskich przywódców komunistycznych. Ludzie ci nigdy nic mogli zapomnieć Polsce jej zwycięstwa w 1920 r. nad bolszewikami. Zwycięstwa, które przekreśliło wszelkie marzenia Kuna *et consortes* o tym, że armia sowiecka po szybkim rozgromieniu Polaków znów przywróci komunistów do władzy na Węgrzech. W fiasku tych bolszewickich marzeń trzeba szukać źródeł trwającej przez całe dziesięciolecia po 1945 r. na komunistycznych Węgrzech tradycji skrajnego oczerniania „polskich panów" (*urak Lengyelországa*) za pomocą stereotypów zaczerpniętych z sowieckiej propagandy. Wtórowała temu wciąż prowadzona kampania oszczerstw na temat rzekomego polskiego nacjonalizmu i antysemityzmu, której pozostałości nie brak jeszcze i dziś w węgierskiej prasie.

Nr 42/1993

SŁAWOMIR TOMASZ OLEJNICZAK *(ur. 1968) – dziennikarz i publicysta konserwatywno-katolicki. Pisywał do wielu gazet o tej orientacji, w tym do „Najwyższego CZASU!" i „Naszego Dziennika". Od 2005 roku jest prezesem Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Księdza Piotra Skargi, zajmującego się formacją religijną, ale także walką z ideologią lewicową.*

Państwo opiekuńcze wrogiem rodziny

W świetle deklaracji zwolenników państwa opiekuńczego ma ono zajmować się zakrojoną na szeroką skalę pomocą rodzinie. W rzeczywistości jednak działania państwa opiekuńczego prowadzą do zniszczenia naturalnie ukształtowanej i funkcjonującej rodziny. W swych destrukcyjnych działaniach kieruje się ono zarówno względami ideologicznymi jak i ekonomicznymi.

Od strony ideologicznej państwo opiekuńcze opiera swoje poczynania na zasadzie interwencjonizmu czyli ingerencji w życie rodzinne za pośrednictwem wytypowanych urzędów (np. kuratoria). Zasada interwencjonizmu bazuje na założeniu, że wyszkolona kadra urzędnicza (pedagodzy, psychologowie itp.) wie lepiej, co jest dobre dla rodzin niż one same.

Z tego względu powstają różnego rodzaju państwowe urzędy i organizacje, które w oparciu o przepisy uzurupują sobie prawo kontroli życia rodzinnego. Urząd pełni w tej sytuacji rolę nadzorcy rodziny wobec, której jest z mocy prawa strukturą nadrzędną. Taki stan rzeczy powoduje, że urzędnicy wyznaczają zasady wychowania dzieci i współżycia w rodzinie.

W interesie kadry urzędników-opiekunów jest wtrącać się w życie rodzinne jak najwięcej, aby potwierdzić słuszność istnienia ich urzędu. Wtedy też dorabia się stosowną ideologię i w celu usprawiedliwienia tych działań wymyśla się różnego rodzaju patologie (*toksycznych* rodziców) wymagające ich specjalnej interwencji.

Oprócz względów ideologicznych państwo opiekuńcze kieruje się motywami ekonomicznymi. Podstawą jego działań ekonomicznych jest założenie, że rodzinie należy zapewnić tzw. opiekę socjalną w po-

staci różnego rodzaju zasiłków i ubezpieczeń, państwowego systemu opiekuńczo-wychowawczego (żłobki, przedszkola, szkoły, lecznictwo) oraz opieki nad starcami. W ten sposób państwo pozornie przejmuje odpowiedzialność spoczywającą dotychczas na rodzinie.

W rzeczywistości jednak rodzina zostaje obciążona kosztami utrzymania całego systemu opieki socjalnej w postaci podatków. Zatem koszty utrzymania rodziny wzrastają, ponieważ w gospodarsstwie rodzinnym jest mniej pieniędzy z powodu przymusowych opłat na rzecz opieki socjalnej. Coraz bardziej rozbudownay system socjalnych zabezpieczeń domaga się coraz większych podatków, co w końcu prowadzi do zubożenia rodzin, które z kolei wymagają dla siebie coraz większych zasiłków i świadczeń. W ten sposób powstaje błędne koło, które doprowadza do bankructwa systemu opiekuńczego. W celu uniknięcia takiej sytuacji, pasożytujący na rodzinie państwowi urzędnicy stosują określoną politykę wobec rodzin.

Zachowując ten sam poziom opodatkowania, państwo może zawężać system opieki socjalnej poprzez zmniejszenie wydatków lub ograniczenie zakresu świadczeń. Takie działania powodują jednak bardzo szybkie ubożenie rodzin, co w końcu może doprowadzić do niekontrolowanego wybuchu społecznego,

Innym działaniem chroniącym państwo opiekuńcze przed bankructwem jest tzw. polityka kontroli urodzeń (po raz pierwszy wprowadzona w najbardziej opiekuńczym i postępowym państwie jakim był ZSRR) polegająca na ograniczaniu czy wręcz obniżaniu przyrostu naturalnego. W celu utrzymania tego samego poziomu świadczeń socjalnych na rzecz dzieci, państwo opiekuńcze musi dążyć do ograniczania ich liczby. Gdyby bowiem przyrost liczby dzieci był duży (przeciętna rodzina miałaby 4-5 dzieci), to przy tym samym opodatkowaniu państwo, byłoby zmuszone zmniejszyć wydatki na jedno dziecko obciążając rodzinę dodatkowymi kosztami; albo podniosłoby podatki. Oba rozwiązania prowadzą do ubożenia rodzin. Przy dużym przyroście naturalnym jest zmuszone szybko rozbudowywać system opiekuńczo-wychowawczy (infrastruktura plus zatrudnienie nowych urzędników-pedagogów), co wymaga ogromnych nakładów pieniężnych i zwiększenia podatków. W ten sposób coraz bardziej zubaża rodzinę. To nie wielodzietność jest przyczyną ubóstwa rodzin, ale państwo zabierające im pieniądze na opiekę nad dziećmi.

Duży przyrost naturalny powodowałby zatem szybki wzrost wydatków na opiekę nad dziećmi, a co za tym idzie nastąpiłby wzrost podatków i zubożenie rodzin, które z kolei domagałyby się pomocy

socjalnej. W ten sposób duży przyrost naturalny doprowadziłby do bankructwa państwa opiekuńczego. Z tego powodu państwo opiekuńcze stara się, aby było jak najmniej osób na jego utrzymaniu. Podejmuje więc ono działania zwane kontrolą urodzin szerząc propagandę proaborcyjną i kształtując wśród rodziców postawę antydziecięcą. Dzięki takiej polityce, rodzice uważają dzieci za jeden z najbardziej uciążliwych elementów życia i dążą do ograniczenia ich liczby. Dziecko przestaje być powodem dumy i radości rodziców stając się dla nich tylko jeszcze jednym ciężarem. Należy zauważyć, że w sytuacji przejęcia dużej części opieki przez państwo, wyznacza ono również koszty utrzymania dzieci, które są wliczone w podatki. Rodzice tylko w niewielkim stopniu mają wpływ na koszty utrzymania swoich dzieci i jedyne, co mogą zrobić, to ograniczać ich liczbę.

Ograniczenie czy wręcz obniżanie przyrostu naturalnego doprowadza do katastrofalnych skutków w następnych pokoleniach. Na skutek zmniejszenia liczby podatników, koszty utrzymania systemu opiekuńczo-wychowawczego wzrosną w przeliczeniu na jednego podatnika. W tej sytuacji państwo opiekuńcze, albo zwiększy podatki, albo będzie nadal dążyć do zmniejszenia liczby dzieci. W końcowym efekcie doprowadzi ono do biologicznej zagłady narodu, na którym pasożytowało.

Polityka ekonomiczna państwa opiekuńczego kształtuje wśród dzieci postawę antyrodzicielską, która ujawnia się w sytuacji, gdy rodzice są osobami starszymi potrzebującymi materialnego wsparcia od swych dorosłych dzieci. Dzięki rządom państwa opiekuńczego starcy nie otrzymują wypracowanej przez siebie emerytury, ale zasiłek emerytalny wypłacany z pieniędzy podatników i ledwie wystarczający na przeżycie. W przypadku bardzo niskiego przyrostu naturalnego zmniejsza się liczba osób płacących podatki na utrzymanie starców. Jeżeli starzy rodzice posiadają jedno lub dwoje dzieci, które mają na utrzymaniu własne rodziny, to bardzo trudno jest udzielić im pomocy materialnej. Znacznie łatwiej byłoby gdyby starcy posiadali więcej dzieci, ponieważ koszty pomocy materialnej byłyby rozłożone.

W takiej sytuacji opiekuńcze państwo tworzy coraz więcej tzw. domów spokojnej starości, które są utrzymywane z pieniędzy stale malejącej liczby podatników. Jednak koszty utrzymania jednego starca wzrastają w przeliczeniu na jednego podatnika. Wtedy państwo dąży do zwiększenia podatków lub do zmniejszenia liczby starców rozpętując kampanię na rzecz eutanazji. Dzięki takim działaniom opiekuńczego aparatu urzędniczego, dzieci zaczynają traktować swoich rodziców

jak ciężar, którego by się najchętniej pozbyli. Mając na utrzymaniu własne rodziny i płacąc na system opieki socjalnej podatnicy będą unikać pomocy materialnej dla starców. W ten sposób polityka państwa opiekuńczego doprowadza do uznania starych rodziców za osoby zbędne i w rodzinie niepożądane.

Nr 19/1994

STEFAN OLESZCZUK *(ur. 1957) – jako burmistrz Kamienia Pomorskiego w latach 1990-1994 próbował wprowadzić w życie idee wolnościowe. Po przejęciu władzy zredukował przede wszystkim liczbę urzędników w Urzędzie Gminy o ponad połowę (z 57 do 27). Zreorganizowano także pracę w ten sposób, że zlikwidowano różne wydziały, a określone prace były przydzielane konkretnym osobom, które odpowiadały za wykonanie zadań. Jednocześnie w związku ze zwiększeniem obowiązków, urzędnikom gminnym podniesiono pensje. Wprowadził zakaz działalności gospodarczej gminy, która według Oleszczuka jest zarezerwowana wyłącznie dla podmiotów prywatnych. Odstąpił również od wszelkiego koncesjonowania. Wszystko na co miała wpływ gmina było poddane wolności gospodarczej. Zminimalizował wszelkie stawki podatków i opłat lokalnych, na tyle, na ile pozwalało prawo. Oleszczuk postanowił sprywatyzować mieszkania komunalne, ponieważ uważał, że niesprawiedliwe jest, by podatnicy dopłacali do utrzymania mieszkań niektórych uprzywilejowanych mieszkańców. Ponadto twierdził, że prywatni właściciele będą lepiej o nie dbali. Przygotowano prywatyzację tych mieszkań za średnio 10 % ich wartości. Jak się okazało „po doświadczeniach nowych właścicieli w całości sprywatyzowanych budynków, średnio rzecz biorąc dotychczasowy czynsz, który w kołchozie pod nazwą PGM stanowił zaledwie 20 procent kosztów prowadzenia danego budynku – w tej chwili w prywatnych rękach w zupełności wystarcza na pełne koszty utrzymania" Oleszczuk radykalnie zredukował pomoc społeczną, uważając, iż podatnicy nie mają obowiązku płacić na ubogich, gdyż każdy kto chce może osobiście wspomóc prywatną organizację charytatywną lub bezpośrednio biednych.*

Nie przyłożę ręki do okradania podatników

Czytelnik „Głosu Szczecińskiego" z Kamienia, „działacz sportowy", twierdzi, że zobowiązałem się do pomocy finansowej (czytaj: zalegalizowanego złodziejstwa) oraz znalezienia sponsorów. Samo słowo „żądamy" jest w tym przypadku podejrzane. Jakim prawem? Jak mawiał w Kongresie USA płk Crockett: „Nie Twoje, żebyś dawał".

Gdyby do Czytelnika przyszedł sąsiad i zażądał oddania pieniędzy, bo on je lepiej wyda na Jego potrzeby, to zapewne dziewięciu na dziesięciu Czytelników uznałoby, że sąsiad się upił albo zwariował. Natomiast gdy dotyczy to wydawania nie tylko jego pieniędzy, proporcje ulegają odwróceniu.

Ostatecznie burmistrz nie zastąpi wszystkich nieudaczników od deski surfingowej, piłki, itp. Wystarczy, gdy raz da przykład, organizując w 1993 roku, po raz pierwszy od 29 lat, festiwal bez dotacji.

Nawet z własnej pensji – którą, jak wiadomo, przeznaczyłem na cele dobroczynne – nie dam sportowcom pieniędzy, gdyż wolałbym je przeznaczyć na obiady dla dzieci i starców lub na policję... Piłkarze nie byli wyjątkiem w zdroworozsądkowych zasadach UPR w Kamieniu Pomorskim. Wszyscy byli uprzedzani wcześniej o zmianie warunków, zgodnie z zasadą *vacatio legis*. Piłkarze i służba zdrowia korzystali z tych zasad o rok dłużej niż inni. Stanowią one między innymi, że budżet gminy ma być jak najmniejszy (bo wtedy najwięcej pieniędzy pozostaje w kieszeniach mieszkańców, tworząc bogactwo na skalę możliwości gminy).

Ulegając prośbom „sportowego *lobby*", zobowiązałem się po raz ostatni do postawienia wniosku na Zarządzie Gminnym o dofinansowanie Klubu w 1992 roku. „*Lobby* sportowe" przyrzekło wówczas, że

w przypadku przyznania dotacji dalej poradzi sobie samo i nigdy już o nią nie wystąpi. Niestety – jak to zwykle u socjalistów bywa – dżentelmeńska umowa została przez „sportowców" zerwana, podobnie zresztą jak przez ich „czerwonych braci" – „*lobby* służby zdrowia".

Gwoli ścisłości warto dodać, że nie będąc radnym, nie mogłem przyznać jakiejkolwiek dotacji, choć jednoosobowe rządzenie byłoby tańsze i lepsze. Z danego słowa (w przeciwieństwie do mych adwersarzy) wywiązałem się, przekonując sześć osób w Zarządzie (wnioskodawca), a na sesji – większość Rady.

To, że Rada przyznała te dotacje, mimo iż – jak pisze Czytelnik – „zwolennikami UPR są panowie burmistrzowie i prawie cała Rada", niedwuznacznie świadczy nie tylko o zaufaniu, jakim cieszy się moja osoba, ale przede wszystkim o prawdziwości umowy.

Uważny Czytelnik już z pewnością zauważył, że samo postawienie przeze mnie wniosku na posiedzeniu Zarządu spełniło warunek danego słowa.

Czy w takich okolicznościach „działacze sportowi" nie dotrzymujący umowy zachowują się jak dżentelmeni – ludzie honoru?

Czytelnik pisze z przekąsem o „dwóch radnych" (byłych piłkarzach) jako o korzystających z upaństwowionego złodziejstwa. To prawda. Prawdą jest jednak – i to znacznie świeższą, abstrahując od tego, że ktoś na to pozwalał – że tak niesprawiedliwy, niegospodarny system jest powodem naszego obecnego relatywnego zubożenia. Oni dziś o tym wiedzą, będąc odpowiedzialni za to, co jest rzeczywiście wspólne dla wszystkich mieszkańców – „lepiej późno niż wcale".

Bogactwa mieszkańców nie przybywa jak sądzą głębokie, że bez trudu zaakceptuje prawdę o tym, iż jego pomniejszaniu służy tylko likwidacja przyczyn, a nie skutków (niskie i sprawiedliwe podatki).

W tych warunkach dywagacje o niewdzięcznikach, co to otrzymali „państwowe wykształcenie", a teraz nie czują zobowiązań, zbędę tymczasem argumentem, że po pierwsze – nie ma nic za darmo (kto za to zapłacił, niech będzie zagadką dla Czytelników). Po drugie – na szczęście nauczyciele kierowani zdrowym instynktem na tyle „modyfikowali" naukę, że udało się u sporej części uczniów zachować umiejętność samodzielnego myślenia.

Można by snuć bez końca rozważania nie tylko o sporcie, ale również „kamieńskie władze a kino, a hodowcy gołębi, wędkarze, myśliwi" *etc.*, *etc*.

Większość kół zainteresowań „udowodni", jak „każda złotówka" wydana na ich potrzeby to „mniej wybryków chuligańskich, mniej

chorych, większe bezpieczeństwo ludzi, większe bezpieczeństwo mienia komunalnego i prywatnego". Znam na to lepsze sposoby, a przede wszystkim ten, by wolny człowiek bez konieczności pośrednictwa „białych kołnierzyków", które robią to gorzej i drożej, uczynił to z własnej i nieprzymuszonej woli.

Argument „chuligański" brzmi jak szantaż – co samo w sobie warte jest skryminalizowania – choć i na to jest znacznie lepszy sposób: odpolityczniona, doskonale zorganizowana pod względem szkoleniowym i materialnym, relatywnie tania policja. Większość uczciwych obywateli pomyśli wreszcie o niej jak o przyjacielu. Wsparta sprawiedliwą Temidą oraz władzą ustawodawczą i wykonawczą, co dla innych dobre, a często wbrew nim. Bo przecież niemało takich, co zapominają, że pieniądze nie pochodzą ze słońca, a z podatków. Wbrew kłamstwom, najwięcej płacą ich wcale, gdyż wszystkie są wliczane w ceny i płaci konsument. Czy w konsekwencji taka władza – również demokratyczna – nie prowadzi do skutków odwrotnych od „dobrych chęci", a w kierunku państwa Orwellowskiego. Czy nie popycha nas ta „myśl" do gminy i państwa, w którym z niezrozumiałych dla „większości" przyczyn ludzie są relatywnie coraz ubożsi i w związku z tym coraz mniej wydają na sport *etc.*, bo muszą coraz więcej wydać na chleb?

Pragnąc od początku mojej kadencji czynić wszystko, co ode mnie zależy, działając nie wg odruchów Pawłowa, a raczej w myśl zasady Ronalda Reagana „po to Pan Bóg dał Ci rozum, żebyś go używał" – żywię niekłamaną, głęboką nadzieję na zrozumienie mnie przez moich adwersarzy, jak też na przewartościowanie dotychczasowych sądów i uwierzenie w to, że dobre i bogate państwo polskie będzie tylko wówczas, gdy stawiać się będzie to poprzez bogactwo ducha i materii obywateli – nigdy odwrotnie.

Nr 2/1992

KRZYSZTOF MACIEJ OSTASZEWSKI *(ur. 1957) − doktor nauk matematycznych, aktuariusz, profesor na uniwersytecie Illinois State University w USA, autor prac naukowych z zakresu matematyki ubezpieczeniowej. Zajmuje się także poezją (publikował m.in. w „Życiu Literackim", „Poezji", Twórczości i „Kulturze" paryskiej).*

Jest synem Leszka Jana Ostaszewskiego, doktora nauk ekonomicznych. Mieszka w USA.

SYSTEM ŚWIADCZEŃ SOCJALNYCH DLA KAŻDEGO JAKO ZDRADA NARODOWA

W numerze 44/92 głównego pisma Towarzystwa Aktuariuszy (Society of Actuaries), zatytułowanego „Transactions of the Society of Actuaries", panowie Robert Myers i Bruce Schobel przedstawiają analizę porównawczą pieniędzy wpłaconych przez podatników na amerykański system ubezpieczeń społecznych (Social Security) i wypłaconych tymże podatnikom przez system. Obliczenia biorą pod uwagę inflację, odsetki oraz umieralność, czyli reprezentują autentyczne porównanie w tych samych jednostkach monetarnych. Ponadto analiza ta dotyczy tylko świadczeń emerytalnych (czyli nie zawiera systemu Medicare, który – jak powszechnie wiadomo – wydaje znacznie więcej pieniędzy w porównaniu ze składkami niż Social Security).

Pozwolę sobie podać Państwu pewne podstawowe dane z wymienionej wyżej pracy:

• Pokolenie, które przeszło na emerytury w latach sześćdziesiątych, otrzymało przeciętnie dziewięć razy więcej pieniędzy w świadczeniach niż wpłaciło w składkach (przypominam raz jeszcze, że jest to porównanie po uwzględnieniu odsetek, inflacji i umieralności, czyli składki są uważane za zainwestowane, inwestycja rośnie z inflacją i procentami, a tym co umarli, przestaje się wypłacać). Napiszmy to raz jeszcze: obywatel wpłacił dolara, rząd dolara zainwestował, dolar wraz z odsetkami i po inflacji uskładał się do dwóch dolarów, po czym dobry rząd wziął te dwa dolary i wypłacił obywatelowi osiemnaście dolarów.

• Nie było jeszcze pokolenia, które otrzymało mniej niż wpłaciło (z odsetkami, inflacją i umieralnością). Pierwsze pokolenie, które może otrzymać mniej niż wpłaciło będzie przechodziło na emeryturę w roku 2010.

Jak wiadomo, uniwersalne świadczenia socjalne od rządu są sztandarową instytucją lewicy dwudziestego wieku. Ich istnienie jest uważane za wyraz dobroci i humanitaryzmu rządu. Rząd wszystkim pomaga, w ten sposób ludzie nie czują się zagrożeni. Pozwolę sobie napomknąć, że w kapitalizmie zagrożeni czują się ludzie leniwi oraz ofiary oszustw i przestępstw, czyli mniejszość społeczeństwa. W socjalizmie zaś, prędzej czy później, zagrożeni czują się wszyscy.

Wyobraźmy sobie, że zaproponuję Państwu taką oto transakcję. Jestem specem od inwestycji, mam tytuł Chartered Financial Analyst, mam doktorat, w ogóle jestem taki strasznie mądry, więc mogą mi Państwo powierzyć swoje oszczędności. Proszę mi hipotetycznie powierzyć 100.000 $. Ja Państwu obiecam, że zainwestuję te pieniądze w fundusze zbiorowe i za 10 lat powinny one urosnąć do około 400.000 $. Ale ja jestem naprawdę humanitarny i obiecuję Państwu, że gdy podejmę te 400.000 $ z funduszu inwestycyjnego, to wypłacę Państwu 3.500.000 (trzy i pół miliona) $. Czy przyjęliby Państwo taki interes? Jeżeliby Państwo go przyjęli, oznacza to tylko i wyłącznie, że mi Państwo ślepo ufają i nie przeanalizowali Państwo faktów (nie chciało się Państwu myśleć). Dwa ważne pytania:

• Komu można ślepo ufać?

• Czy można sobie kiedykolwiek pozwolić na życie bez myślenia?

Lewica twierdzi, że można ślepo ufać instytucji rządu. Lewica twierdzi, że ludzie malutcy, przeciętniacy, kobiety, studenci, Murzyni, inwalidzi itp. nie mogą i nie potrafią myśleć, dlatego Wielcy Intelektualiści i Liderzy Lewicowi muszą się nimi zająć.

Łotry prawicowe, takie jak ja, twierdzą zaś, że najbardziej godny zaufania jest własny umysł. Konserwatywna prawica twierdzi też, że można ufać Kościołowi, ale... Ja reprezentuję prawicę laicką i ufam tylko własnemu umysłowi (choć – jak mawiał mój ojciec, gdy graliśmy w szachy – „głupota ludzka nie zna granic" i moja głupota ma też swoje momenty wzlotu, o czym starannie uczy mnie giełda, gdy tylko mi się wydaje, że zjadłem wszystkie rozumy). Łotry prawicowe twierdzą też, że umysł malutkich i przeciętnych, kobiet, Murzynów itp. ma te same możliwości co umysł Wielkich Liderów Lewicy, trzeba tylko po prostu myśleć.

Jeśli więc Państwo przemyślą podany powyżej przykład wspaniałego interesu, zrozumieją Państwo, że gdy ktoś taki interes proponuje, wygląda na to, że gdy tylko powierzą Państwo tej osobie 100.000 $, suma ta wraz z jej nowym właścicielem znajdzie się bardzo szybko na pokładzie samolotu lecącego do Brazylii.

Powtarzam więc raz jeszcze, że dokładnie taki interes proponuje nam rząd w ramach systemu Social Security. Co więcej, system ten obiecał dużo większe wypłaty w przyszłości niż te już dokonane, jako że pokolenie urodzone po drugiej wojnie światowej jeszcze nie przeszło na emeryturę (a jest to największe pokolenie w historii Ameryki). W roku 1983 weszła w życie reforma systemu Social Security (wbrew opozycji prezydenta Reagana, choć sprzeciwiał się słabiutko, niestety), której głównym punktem było zwiększenie podatku pobieranego na rzecz systemu do 15,3% (połowa płacona przez pracownika, połowa przez pracodawcę, z czego 2,9% odchodzi na system Medicare – oczywiście te 15,3% musi być w pełni pokryte pracą pracownika, czyli efektywnie całość płaci pracownik) wypłaty. Zwiększenie stopy podatkowej było spowodowane koniecznością zakumulowania rezerwy na rzecz przyszłych wypłat dla pokolenia urodzonego po drugiej wojnie światowej (bardzo dużego pokolenia, przypominam Państwu). Ponieważ przez lata osiemdziesiąte liczba miejsc pracy bardzo gwałtownie wzrastała (za rządów Reagana gospodarka amerykańska wzrosła o tyle, ile wynosiła cała gospodarka niemiecka; był to wzrost bez precedensu w powojennej historii), przychody z podatku na Social Security znacznie przekraczały rozchody na świadczenia. Czyli jest rezerwa, pomyślą Państwo. Hm... – bardzo mi przykro, ale jej nie ma, bo rząd wszystkie pieniądze z rezerwy pożyczył.

Rząd obiecuje, że odda w przyszłości z przychodów z innych podatków. Proszę Państwa, ten eksperyment już był próbowany w historii wiele razy – przez komunistów, przez Wielką Brytanię po II wojnie światowej, przez Niemcy na początku XX wieku, przez wielu monarchów średniowiecznych. Otóż gospodarka, z której rząd ma zamiar ściągnąć te podatki, ma złośliwą tendencję do zwijania się i odmawiania produkcji potrzebnych przez rząd przychodów. Czy to się dzieje w Ameryce? Proszę się rozejrzeć, przemyśleć to sobie.

Powtarzam więc moją podstawową tezę: u źródła wszystkich problemów leżą uniwersalne świadczenia socjalne, a to Social Security, a to Medicare oraz systemy wspierania pewnych producentów. Po angielsku nazywa się to *entitlements*. Jak słusznie zauważyły Panie Lewicowe Czytelniczki, są one zasługą Partii Demokratycznej. Choć trzeba sprawiedliwie przyznać, że całe mnóstwo socjalistycznych świadczeń było zasługą takich Republikanów jak Hoover, Nixon czy Bush. Pan Nixon nawet przez pewien czas wprowadził kontrolę cen i zarobków, w imię idei cierpliwie wówczas głoszonych na moskiewskim uniwersytecie Łomonosowa (co ciekawe, sprzeciwiali się temu

nawet lewicowi ekonomiści amerykańscy, co świadczy o ówczesnej potędze idei marksizmu-leninizmu). Oczywiście ci inni Republikanie, jak Ronald Reagan, czy Dwight Eisenhower, to byli prawicowcy, faszyści – i ich należy potępić.

Uniwersalne świadczenia socjalne zostały wprowadzone w Wielkiej Brytanii po II wojnie światowej. W ciągu 30 lat po tym wielkim osiągnięciu brytyjskiej lewicy brytyjska gospodarka wzrosła około pięć razy mniej niż gospodarki Niemiec, Francji i Włoch (tak, nawet Włoch!). Tymczasem Niemcy bardzo starali się dorównać Brytyjczykom, co w efekcie doprowadziło do zrównania poziomu świadczeń obu krajów w późnych latach siedemdziesiątych, czego znakomite efekty możemy teraz obserwować w gospodarce niemieckiej. Przypomnę Państwu, że powojenna reforma Erhardta była niehumanitarna, prawicowa i ustalała tylko minimum świadczeń, a Erhardt uznał, że reforma była skuteczna, gdy w mniej więcej rok po jej wprowadzeniu obserwował targ przed świętami Bożego Narodzenia, na którym gęsi importowane z Polski jakoś się nie sprzedawały – mimo iż rok przedtem sprzedawało się wszystko, nie mówiąc o gęsiach z Polski, które – proszę mi wierzyć – były znakomite!

Powtarzam to wielokrotnie. Że zgodzę się na świadczenia rządowe tylko dla ludzi bardzo biednych, a i to ostrożnie. Wypłacanie każdemu prowadzi do wypłacania wiecej, niż wynoszą przychody, bo to przecież bardzo humanitarnie. A potem się dziwimy, że nie można zahamować wzrostu długu rządu.

Jeżeli prezydent Wiluś Clinton zdoła wprowadzić socjalistyczny system ubezpieczeń medycznych dla każdego, będzie to dodatkowy czynnik obciążający gospodarkę. Gdyby gospodarka weszła w fazę szybkiego wzrostu (czemu pomoże NAFTA, ale tylko NAFTA, nic innego z programu prezydenta Clintona), poradzi sobie nawet z Planem Pani Żony Prezydenta. Jeśli nie będzie szybkiego wzrostu, gospodarka będzie się zwijać lub wzrastać minimalnie. Twierdzę, że dużego wzrostu nie może być, o ile rząd nie przestanie płacić każdemu. Dlaczego?

Na dłuższą metę podstawowym czynnikiem determinującym stopę wzrostu gospodarczego są oszczędności. Jeśli weźmiemy różnicę między dochodem narodowym po amortyzacji inwestycji trwałych (fabryki, budynki itp. – po angielsku: *Gross National Product minus Depreciation of Capital Structures and Equipment*) oraz konsumpcję prywatną i rządową, otrzymamy oszczędności w skali gospodarki narodowej. Oszczędności te podzielone przez dochód narodowy netto (dochód naro-

dowy brutto minus amortyzacja) dają stopę oszczędności w kraju. Stopa oszczędności jest pojęciem stosunkowo prostym, proszę się nie zrażać powyższymi wynurzeniami To jest mniej więcej to, o czym Państwo myślą – ile ludzie przeciętnie oszczędzają. Oszczędności te są potem do dyspozycji do inwestowania w gospodarkę, w nową technologię, w nowe miejsca pracy itp. Inwestycje zaś z kolei powodują, że gospodarka wzrasta i ludziom żyje się dostatniej (co jest oczywiście niepożądane z punktu widzenia „środowiskowców" – być może dlatego lewica tak bardzo zwalcza kapitalizm). Oddział Banku Rezerwy Federalnej w Cleveland, od którego otrzymuję darmowo ich analizy ekonomiczne (adres: Federal Reserve Bank of Cleveland, Research Department, P.O. Box 6387, Cleveland, OH 44101), przysłał mi niedawno analizę stopy oszczędności i stopy inwestycji w Stanach Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej. Pozwolę sobie powtórzyć, jak to działa:

Dużo oszczędności – dużo inwestycji – miejsca pracy – wysoka stopa życiowa – luksus materialny – burżuazyjna dekadencja.

W Stanach Zjednoczonych stopa oszczędności była na poziomie 9% do lat siedemdziesiątych, zaś stopa inwestycji była na poziomie 8%. Jak to się stało, że było więcej oszczędności niż inwestycji? Bo Amerykanie inwestowali za granicą. W latach sześćdziesiątych budowa socjalizmu w Ameryce została ukoronowana przez prezydenta Johnsona i stopa oszczędności zaczęła spadać. Obecnie wynosi ona około 2%. Stopa inwestycji jest na tym samym poziomie. Stopa oszczędności miała tymczasowy wzrost za prezydentury Reagana, towarzyszył temu gwałtowny wzrost stopy inwestycji (stopa inwestycji przekroczyła stopę oszczędności, jako że obcokrajowcy inwestowali w Stanach), po czym za rządów Busha powrócił spadek, i to nawet bardziej gwałtowny.

Dlaczego ludzie nie oszczędzają? Odpowiedź jest bardzo prosta: nie muszą, rząd o nich zadba. Największy spadek stopy oszczędności zanotowano w grupie wiekowej, która normalnie oszczędza najwięcej – powyżej wieku 45 lat. Wszystkie badania przytoczone przez Bank Rezerwy Federalnej, wliczając w to głęboką analizę przeprowadzoną przez laureata Nagrody Nobla (w końcu najskuteczniej jest przywalić autorytetom, by przekonać tych, co ślepo wierzą), Franca Modiglianiego, dowodzą, że powodem tego jest fakt, iż Amerykanie odczuwają, że nie muszą oszczędzać, bo rząd o nich zadba.

Jak widać, ten strach przed biedą, który w nieludzkim kapitalizmie odczuwają wszyscy zbliżający się do podeszłego wieku, pełni w wolnej gospodarce bardzo ważną rolę społeczną – zapewnia dopływ oszczędności do inwestycji. Jako niehumanitarny prawicowiec, łotr

bez serca, jestem za tym strachem, bo bez niego nie ma przyszłości dla naszych dzieci. Wprowadzenie uniwersalnych świadczeń socjalnych dla wszystkich jest więc – w moim przekonaniu – aktem zdrady narodowej. Powoduje ono, że zanikają oszczędności, co z kolei oznacza zahamowanie inwestycji i wzrostu gospodarczego. Wszystkie kraje, które osiągnęły sukces gospodarczy, w okresie przechodzenia tego sukcesu, miały wysoką stopę oszczędności – Wielka Brytania, Francja, Austria i Niemcy w pierwszej połowie XIX wieku, Stany Zjednoczone w drugiej połowie XIX wieku, Niemcy i Japonia po drugiej wojnie światowej, Azja Południowo-Wschodnia obecnie. W latach sześćdziesiątych najwięcej oszczędzali Japończycy, Niemcy i Francuzi. Obecnie są to Koreańczycy, Singapurczycy, Tajwańczycy i Chińczycy. Gdy tylko rząd zapewni bezpieczeństwo socjalne, obywatele przestają oszczędzać.

Owoce pracy w kapitalizmie przychodzą nie od razu. Aby wolna gospodarka dała wszystkim lepsze życie, potrzeba pięciu, może nawet dziesięciu lat. Gdy komuniści obiecywali raj na ziemi, intelektualiści lewicowi przekonywali nas, że musimy się poświęcać, aby naszym dzieciom żyło się lepiej – narody całe, wliczając w to naród polski, skłonne były czekać i sto lat na ten raj na ziemi Ale kapitalizm ma się wykazać natychmiast, w Polsce nie dano mu sekwencji długoterminowej. Jeśli zajmie się nami rząd, nie będzie żadnej perspektywy dla naszych dzieci, a może i dla nas samych na starość. Czy naprawdę ta darmowa aspiryna, wizyta u lekarza (warta 100 dolarów) albo darmowy dentysta warte są poświęcenia przyszłości całego narodu? Czy możemy śmiało spojrzeć w oczy naszym dzieciom i powiedzieć: nie chciało mi się zapłacić 500 dolarów za prześwietlenie, więc poświęcę Twoje życie dla mojego bezpieczeństwa...

Nr 1/1994

JAN PARYS *(ur. 1950) – polski polityk, socjolog i publicysta, były minister obrony, rektor Toruńskiej Szkoły Wyższej.*

Studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1973 ukończył studia socjologiczne na Wydziale Nauk Społecznych UW. Uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w dziedzinie socjologii. Zajmował się problematyką krajów trzeciego świata. Współautor książki-wywiadu z o. Józefem M. Bocheńskim OP Między logiką a wiarą, opracowanej na podstawie rozmowy przeprowadzonej we Fryburgu w 1986.

W 1989 rozpoczął pracę w Centralnym Urzędzie Planowania na stanowisku dyrektora gabinetu szefa tego urzędu, a następnie pracował jako dyrektor generalny CUP, odpowiedzialny za politykę gospodarczo-obronną.

W grudniu 1991 z rekomendacji Porozumienia Centrum objął stanowisko ministra obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego. Opowiadał się za zbliżeniem Polski do struktur NATO i jak najszybszym opuszczeniem terytorium Polski przez jednostki armii rosyjskiej oraz weryfikacją kadry dowódczej Wojska Polskiego pod kątem jej poparcia dla integracji z NATO. Popadł w konflikt z prezydentem Lechem Wałęsą dążącym do utrzymania osobistej kontroli prezydenta nad siłami zbrojnymi.

W latach 1999-2003 pracował w Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie jako jej wiceprezes. Odszedł ze stanowiska w atmosferze skandalu, gdy wyszło na jaw, że bezprawnie przyznawał sobie wysokie premie. W 2007 sąd w procesie cywilnym nakazał zwrot pieniędzy, a w 2008 został za to skazany na karę pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania oraz grzywnę.

Prawica, Kościół, Solidarność

Dwa lata temu w czerwcu nastąpił rozpad obozu politycznego jaki „Solidarność" wyniosła do władzy. Dwie partie o rodowodzie solidarnościowym postanowiły bronić komunistycznej agentury i nomenklatury. W tym celu obaliły pierwszy niepodległościowy rząd jaki miała Polska od pięćdziesięciu lat. Obrona agentów oraz udział nomenklatury w życiu gospodarczym i politycznym nigdy nie był celem Solidarności, Kościoła czy prawicy. Ale okazało się, że to jest program Mazowieckiego, Bieleckiego, Suchockiej, Geremka, Komorowskiego, Tuska, Onyszkiewicza i całej grupy tworzącej dziś Unię Wolności. Ci co rządzili po nas nie zajęli się demontażem komunistycznych wpływów, lecz walką z opcją niepodległościowo-solidarnościową. Wówczas okazało się, że to co powinno być dobrem najwyższym, czyli bezpieczeństwo Polski, inaczej rozumie lewica a inaczej prawica. Czwarty czerwca 92' to symbol i bariera, która pozostanie na lata. Wtedy każdy sam określił kim jest. Dlatego można uznać, że wtedy skończył się bezpowrotnie obóz sierpniowy. Podział jaki wówczas nastąpił nie da się ukryć ani pominąć, bo dotyczy racji stanu. Szkoda, że liderzy Unii Wolności znaleźli się po tamtej stronie. Nie są komunistami, ale bronili komunistycznych wpływów i za to będą odpowiadać swoim imieniem przed potomnością i Historią. Lecz to ich sprawa.

Kiedy rozpocząłem pracę jako minister obrony stopniowo począłem zdawać sobie sprawę jak państwo, którym formalnie rządzimy jest kontrolowane przez układy z dawnych czasów. Zdałem sobie sprawę, że poza wpływem rządu są podstawowe filary władzy. Chociaż rozwiązano PZPR komunistyczne struktury istniały w służbach specjalnych, policji, wojsku, prokuraturze, telewizji, bankach, tytułach prasowych, agencjach reklamy, wielkich przedsiębiorstwach. W miarę napływu informacji okazało się, że są one kierowane przez jeden polityczny ośrodek. Nie ukrywam, że poinformowałem premiera

o tym prosząc o zgodę na analizę tego, co nazwałem komunistycznym państwem podziemnym. Tłumaczyłem premierowi, że krajem rządzi niewidzialny układ, że nie są to interesy pojedynczych osób z dawnego reżimu, lecz konkretnie prowadzona polityka wsparta zapleczem informacyjnym i finansowym, że trzeba zlokalizować to centrum decyzyjne a nie zajmować się płotkami. Przyznaję, że byłem rozczarowany, iż premier nie dał zgody. Uważałem, że jest to w pełni legalne, w sprawę byli zaangażowani oficerowie. Wiedziałem, że przeciwnik jest groźny, ale skoro reprezentował jeden obóz polityczny był łatwy do kontrolowania. Zastosowałem się do decyzji premiera, chociaż nie zgadzałem się z nią.

Sądziłem jednak, że obowiązuje mnie całkowita lojalność, że działać można tylko razem. Premier poinformował mnie wtedy, że za rzecz pilniejszą uważa lustrację, czyli sprawdzenie kto z klasy politycznej był uzależniony od dawnej Służby Bezpieczeństwa, a wtedy układ komunistyczny sam umrze. Przyznaję, że nie doceniałem wtedy stopnia penetracji sfery polityków przez bezpiekę ani skali trudności jakie staną przed Antonim Macierewiczem. Dziś zaryzykowałbym stwierdzenie, że wtedy premier wybierając lustrację a odrzucając moje sugestie, podjął decyzję strategiczną o niezwykłym znaczeniu dla kraju. Podobne do tych, które przesądziły o tym, że nie rozpoczęliśmy starań o broń atomową oraz gdy postanowiliśmy przyjąć jednoznacznie prozachodnią opcję obronną odrzucając pomysły NATO bis.

Wspominam tamten czas nie z sentymentu, lecz by uświadomić dlaczego powrót kryptokomunistów do władzy był tak łatwy, te wpływy po prostu nigdy nie zostały zdemontowane. Dziewiętnasty września ‘93 był możliwy nie tylko wskutek rozbicia prawicy. Zaważyła na tym siła wpływów komunistycznych oraz rehabilitacja komunizmu. Sądzę, że gdy chcemy rozliczać przeszłość, warto odróżnić trzy typy winnych: są ci co osobiście mordowali lub krzywdzili ludzi, są ci co o tym decydowali oraz tacy, którzy zło usprawiedliwiali piórem i słowem.

Nie byłoby 19 września ‘93 gdyby w ciągu ostatnich 2 lat Unia Demokratyczna nie przeprowadziła rehabilitacji komunizmu. Nie mam pretensji o to, że ktoś głosował w Sejmie za naszym odejściem od władzy. Ale trudno darować to, że ci co przyszli po nas, nikogo nie ukarali za działania na szkodę narodu nawet chociażby odsunięciem od władzy. Jednak rząd Suchockiej zamiast ograniczać wpływy komunistyczne zwalczał prawicę. Nastąpiło odwrócenie hierarchii wartości. Był to regres moralny i polityczny. By to uzasadnić wystarczy przypomnieć fakty i opinie sprzed dwóch lat drukowane przez Gazetę Wyborczą:

– 6 czerwca ‘92 Michnik pisze: *ośmieszono państwo polskie, próbujmy przetrzymać falę zdziczenia, archiwa należy zapieczętować na 50 lat!*

– 8 czerwca Geremek stwierdza: – *sprawa lustracji ma znamiona zamachu stanu*

– 9 czerwca UD występuje do Prokuratury Generalnej o badanie psychiatryczne red. K. Wyszkowskiego i postępowanie karne, a Stomma pisze: – *z radością przyjąłem odwołanie rządu Olszewskiego, usunięto przeszkody na drodze do myślenia i działania konstruktywnego*

– 10 czerwca Warszawski KIK wyraża zaniepokojenie z powodu uchwały lustracyjnej a A. Małachowski prosi senatora Zamojskiego o *wybaczenie szaleńcom i głupcom*

– 11 czerwca Andrzej Osęka pisze, że *sytuacja przypomina mu tandetną powieść, w której detektyw z fajką częstuje naród kłamstwem, trwa festiwal insynuacji*

– 12 czerwca E. Łętowska ogłasza: *prostactwo w naszym życiu publicznym zaszło za daleko*

– 13 czerwca Komisja Ciemniewskiego postanawia dokumenty SB dotyczące Wałęsy zamknąć z powrotem w sejfie

– 15 czerwca Zjazd Solidarności wycofuje poparcie dla Wałęsy za rolę w obaleniu rządu Olszewskiego. Komisja Ciemniewskiego proponuje postawienie Macierewicza pod Trybunał Stanu

– 17 czerwca: ukazuje się felieton Michnika pt. *Bolek Lolek Zapalniczka*

– 20 czerwca Jerzy Sosnowski pisze: *afera lustracyjna to karnawał pomówień.* Trybunał Konstytucyjny stwierdza, że ujawnienie Tajnych Współpracowników było *niezgodne z Konstytucją* i *zagraża godności człowieka*

– 22 czerwca Biskupi Polscy zebrani w Przemyślu wskazują, że *nie wolno zapominać o czynionym złu. Trzeba, by winowajcy przyznali się do winy... Naród ma prawo by osoby obwinione nie pełniły w życiu państwa poważnych funkcji*

– 25 czerwca Jaruzelski oświadcza: *Wałęsa zapobiegł narodowej tragedii*

– 6 lipca poseł Piechociński w Sejmie mówi: *uchwałą lustracyjną zdeptaliśmy zasady prawa, zdrowego rozsądku i godność państwa*

– 8 lipca poseł Bugaj w Sejmie: *Jeżeli nie zaistnieją nowe fakty musimy uznać, że wniosek dotyczący* (postawienia ekipy Olszewskiego) przed *Trybunałem Stanu jest uzasadniony*

– 9 lipca Szczypiorski o Olszewskim: *Chory z próżności adwokat!*

– 15 lipca badania OBOP podają, że *71% społeczeństwa uważa, że powinno się zabronić zajmowania wyższych stanowisk dawnym agentom UB i SB*.

Aby nikt nie myślał, że te sądy to chwilowy błąd, przypomnieć warto co było potem. To za czasów rządu Suchockiej rok temu legalną manifestację na Krakowskim Przedmieściu rozpędzono pałami i psami jak w stanie wojennym. To za rządów UD usiłowano demokrację zastąpić systemem policyjnym wprowadzając instrukcję 0015. To za czasów Suchockiej szykanowano opozycję, fałszowano dzienniki telewizyjne, organizowano wypadki samochodowe i napady na lokale partyjne, straszono cudzoziemców za kontakty z opozycją. Nie były to więc błędy, lecz konsekwentna polityka. Jej autorom wydawało się, że walczą z *olszewikami.* Tymczasem działali przeciw prawdzie i przeciwko Polsce. I tego nie da się zapomnieć. Zawsze byłem przeciwnikiem określenia: *komuchy.* Uważam, że winnych jest paręset osób a nie 2 mln członków PZPR. Lecz komunizm trzeba osądzić i z jego wpływami skończyć. Niestety środowisko UD inaczej rozumie historię Polski i rolę komunizmu w dziejach Europy.

Dziś wszyscy chcą wiedzieć jakie są perspektywy, co robić, jak wyjść z obecnej sytuacji. Uważam, że jest potrzebne współdziałanie trzech ośrodków: prawicy, Solidarności i Kościoła. Tylko te trzy siły wspólnie mogą przeciwstawić się układowi, który rządzi. Każdy z nas powinien dołożyć starań, by zbudować ten polityczny trójkąt. Samemu nikt nic nie osiągnie. Budowa tego sojuszu nie jest łatwa, bo wymaga dopasowania celów programowych, odłożenia spraw kontrowersyjnych, uznania wzajemnego partnerstwa. Podstawą tego sojuszu proponuję uczynić społeczny projekt konstytucji. Przyjmijmy, że jest ona zbiorem celów i określa naszą wizję Polski. Konstytucja może być uznana za program zwolenników współpracy Kościoła, Solidarności i prawicy. Każdy kto chce realnych zmian politycznych powinien poprzeć ten sojusz. Jest to alternatywa prawdziwa i chyba jedyna w obecnych warunkach.

Nr 29/1994

ALEKSANDER ROZENFELD *(ur. 30 czerwca 1941 w Sambowie), polski poeta i dziennikarz żydowskiego pochodzenia. Publikował w „NCz!”, „Gazecie Polskiej” i „Rzeczpospolitej”. W latach 1996-2001 pracował jako doradca w Kancelarii Prezydenta RP.*

Być Żydem w Polsce

Po prostu jestem. Brodaty, źle uczesany, z garbatym, jednoznacznym nosem - znaczy - Żyd. Co to znaczy Żyd - pyta mnie któregoś dnia mój syn; czy ja też jestem Żydem? Cofnijmy się; lata pięćdziesiąte, Polska, mam kilkanaście lat, chodzę do szkoły. Przez cały czas muszę sobie uświadamiać, że... jestem obcy. Moi rodzice po to, by nie być obcymi wymyślili, że będą budować komunizm, to była właśnie ideologia, która kazała wierzyć, że ludzie są sobie równi, bez względu na kolor skóry, religię i status społeczny. Uwierzyli jeszcze przed wojną, ocalili życie w sowieckiej Rosji i wrócili do Polski, nie rozumiejąc, że słowo komunista będzie się właśnie w Polsce kojarzyć z Żydami. Nie wiedziałem wtedy, jako dzieciak, że ta ziemia, polska ziemia w czasie wojny spłynęła krwią i że przede wszystkim była to krew żydowska. Tak w ogóle, to nie zastanawiałem się specjalnie nad tą swoją żydowskością. Moja rodzona siostra biegała za mną i krzyczała wraz ze swoimi rówieśnikami: Żyd, Żyd! Po wielu latach, wiosną 1968 roku, gdy siostra była już czynnym nauczycielem, za nią właśnie biegały dzieci i krzyczały: *Żydówa, Żydówa!*

Wtedy właśnie mój ojciec, rodowity warszawiak, a po wojnie wrocławianin z przymusu powiedział: to ja wyjeżdżam, z komunizmu mnie wyleczono wcześniej, teraz mnie wyleczono z polskości. Wtedy właśnie, jesienią 1968 roku będąc już człowiekiem żonatym i dzieciatym, jednocześnie za mało odważnym na zerwanie „tej najbardziej przyrośniętej pępowiny", jaką była polska mowa, przeżyłem wyjazd rodziców, by po paru miesiącach napisać wiersz: *moja natka żydowska nad Jordanem zamiast ziemniaków je pomarańcze na moją matkę nie śnieg, nie śnieg pada a z dworcowego głośnika*

nie pada głos Warszawa główna, dzień dobry - proszę wysiadać.

Nie jestem człowiekiem naiwnym, nie uprawiam życzeniowo-pobożnego oglądu ani świata ani otaczającej mnie rzeczywistości. Chcę tylko wytłumaczyć tę nieznośną komplikację schizofrenicznej osobowości polskiego Żyda, któremu nigdzie nie jest dobrze. Pytanie na dzisiaj brzmi; co to znaczy być polskim Żydem i Żydem w Polsce w roku 1994? Odpowiedzieć: żyć normalnie, jak inni, nie wyróżniać się, nie czynić ze swojej sytuacji czegoś nadzwyczajnego, ot po prostu wszystkim jest ciężko.

Ta odpowiedź będzie nieprawdziwa. Bo zawsze znajdzie się ktoś, kto mi wytknie, że jestem inny, albo pod względem ubioru, wyglądu czyli powierzchowności, albo, że mówię coś innego niż chcieliby ode mnie usłyszeć. Słowem, nie da się uciec przed osobnością. Ucieczka taka znamionuje poza tym tchórzostwo. Mówią - czego tu się wstydzić, przecież jeżeli jesteś Żydem, to sobie bądź, ale nie zabieraj głosu w *naszych sprawach.* Ci co tak mówią, są w mniejszości, sporo natomiast tak myśli i tych nie należy lekceważyć. Gdy tak myślącym zarzucić antysemityzm oburzają się i protestują. Otóż jeżeli znajdzie się ktoś, kto kwestionuje moje niezbywalne prawo do zabierania głosu w polskich sprawach jest antysemitą, bez względu na stopień oburzenia, którym na ten zarzut zapała. Taki sam zarzut ksenofobii mają prawo postawić polscy Niemcy, polscy Ukraińcy i inni, którzy - poczuwając się do polskości - reprezentują inne niż polska, nacje. W przypadku polskich Żydów jest jeszcze taka mała delikatność, zawsze obcość potęgowana była przez takie przymioty charakteru u polskich Żydów, których to przymiotów brakowało u większości Polaków. Takimi pozytywami była żydowska solidarność w nieszczęściu, wspólnota mądrości i umiejętność dostosowywania się do istniejących warunków. Powiem więcej, ta umiejętność doprowadzała do zmieniania zastanych warunków. Oczywiście są to uogólnienia, ale czasami trzeba o nich przypominać w społeczeństwach trawionych emocjami. To mówię jako polski Żyd, któremu żydostwo nie przeszkadza w byciu Polakiem.

Natomiast co to znaczy być Żydem w Polsce? To znaczy przypominać Polakom, że stanowiliśmy przed II wojną światową 10 procent społeczeństwa, które było społeczeństwem wielonarodowym. To znaczy, że muszę być chodzącą pamięcią po pomordowanych, których prochy zostały rozwiane na cztery strony świata i rzadko mają swoje cmentarze. To znaczy wreszcie godnie przypominać innym, że tak jak są różni Polacy, tak samo ta resztka polskich Żydów ma prawo być

różna, ma prawo być dobra i nie bardzo, mądra i niezbyt mądra. Mądrość ani głupota nie mają nacji. Być polskim Żydem i Żydem w Polsce w roku 1994 nie jest łatwo, bo zawsze może nas napotkać sytuacja, jak ta z Bydgoszczy jakiś czas wstecz. Idę ulicą w tym swoim długim czarnym płaszczu i w czarnym dużym kapeluszu. Za sobą słyszę okrzyk: O, Żyd! Odwracam się, za mną trzech facetów. Odpowiadam, *tak, macie panowie rację - Żyd, co nie przeszkadza, że zawsze będziecie biedni i głupi.* Po chwili - refleksja, powiedziałem „wy" wykluczając siebie z tego grona. Czy słusznie? Przecież ani przez moment nie sądziłem, że jestem do tej chwili bogatszy czy mądrzejszy. Ot taka zagadka dla mnie samego - kim jestem, gdy spotykam kogoś, kto ma o mnie inne mniemanie niż ja sam o sobie? Polskim Żydem czy Żydem w Polsce.

Nr 11/1994

ANDRZEJ WIESŁAW SIELAŃCZYK *(ur. 17 grudnia 1950 r. w Warszawie) – polityk, lekarz kardiolog, poseł na Sejm I kadencji. Ukończył w 1974 r. studia na Wydziale Lekarskim Śląskiej Akademii Medycznej, uzyskał następnie stopień naukowy doktora nauk medycznych. W latach 1991-1993 sprawował mandat posła na Sejm z ramienia Unii Polityki Realnej wybranego w Katowicach. W połowie lat 90. przeszedł do SPR, potem działał w SKL, następnie przystąpił do Platformy Obywatelskiej, z ramienia której m.in. kandydował do Sejmu w wyborach w 2005 roku.*

Przypowieść plażowa – prawie filozoficzna

Wakacje, wakacje, wakacje! Nareszcie można było nie myśleć o niczym poważnym, a nawet w ogóle nie myśleć, tylko oddawać się przyjemnościom dnia codziennego bez dokuczliwych obowiązków i konieczności.

Jeszcze jeśli ma się odrobinę szczęścia i utrafi *z* urlopem w ulubioną pogodę (o co w tym roku nie było trudno) oraz odrobinę ciężko zapracowanego i odłożonego grosiwa – to wszelkie warunki pozwalające udanie spędzić urlop wydają się być wyczerpane.

Jeśli lubimy słońce, wodę i odrobinę lenistwa, to pobyt nad naszym morzem wydaje się być dobrym rozwiązaniem. No i leży człowiek na plaży, w słoneczku się smaży i w chłodnym morzu szuka ochłody. To znaczy chciałby poszukać. Po przejechaniu kilkuset km i uiszczeniu wysokich opłat rzeczony człowiek chciałby nacieszyć się plażą i morzem. Ale nie można w kraju nad Wisłą uciec od socjalizmu i być beztroskim do końca.

Otóż zdarzyć się może, iż podczas kąpieli ktoś nagle potrzebuje pomocy. Bez pomocy, w wodzie, ktoś taki łatwo mógłby postradać życie. By pomóc takim nieszczęśnikom, właściciele plaż zatrudniają ratowników, którzy reagują, gdy życie i zdrowie kąpiących się jest zagrożone.

Ratownicy zatrudnieni są na plaży strzeżonej, co wskazuje jednoznacznie, że obok znajduje się plaża niestrzeżona. Na plaży niestrzeżonej ratowników nie ma, a kąpiący się, w razie zagrożenia, zdani są wyłącznie na własne siły ewentualnie na pomoc współplażowiczów. Nie ma więc *„ubezpieczalni plażowej”* pod postacią zatrudnionych przez gminę za pieniądze plażowiczów – ratowników. Ktoś się może czuć dotknięty – przecież na całym świecie na plażach zatrudniani

są ratownicy. Oni tam naprawdę mogą komuś pomóc! No właśnie. Przyjrzyjmy się więc działalności *socjalistycznych* ratowników. Socjalistycznych – bo tym się różniących od normalnych, którzy na całym świecie niosą topielcom pomoc – bo *socjalistyczny* ratownik – to jest WŁADZA!

A władza zobowiązuje. To już nie jest młody człowiek, który narażając własne życie, za symboliczne wynagrodzenie, chce pomóc komuś, kto tej pomocy nagle potrzebuje. To nie jest ktoś, kto działa wyłącznie w sytuacji wyższej konieczności. To jest już przedstawiciel WŁADZY, która lepiej od zwykłego śmiertelnika wie, co dla niego dobre. I nie tylko wie, ale tę wiedzę potrafi przełożyć na praktyczne działania, a te wprowadzić w życie. I egzekwować. Wszystko to w oparciu o działalność prawodawczą jakiegoś burmistrza czy prezydenta miasta, którzy uzurpują sobie władzę wydawania praw ograniczających wolność obywatela (co niby jest prerogatywą Sejmu).

Jako się rzekło – ratownik działa wtedy, gdy życie i zdrowie człowieka są zagrożone. A kiedy zaistnieje takie zagrożenie – no, gdy taki człowiek znajdzie się w środowisku niezbyt mu sprzyjającym – np. w wodzie. Co zrobić by człowiek nie był zagrożony, jak nie można zlikwidować wody? Oczywiście – zabronić ludziom wejść do wody! To przecież takie proste. Człowiek nie będący w wodzie utopić się praktycznie nie może – i obowiązek ratownika spełniony z nawiązką. WŁADZA czuwa!

Obserwuje się tedy następujący obrazek. Upał jak diabli, ludziska stłoczone – leżą i dyszą na plaży a sfora młodych byczków, przeraźliwie gwiżdżąc na jakichś świstawkach, wrzeszcząc przez megafony, odgania chętnych do wzięcia kąpieli – od linii wody! Nie wolno nawet zmoczyć stóp – bo WŁADZA na plaży, oceniając sobie tylko znane zagrożenia, zakazuje plażowiczom kontaktów z wodą. I już. A komu się nie podoba, to... o tym potem. Zadowolone z tej sytuacji są tylko przebywające na plaży dla ludzi psy – bo ich nikt od wody nie odganiał a i ludzie nie przeszkadzali w kąpieli. Sterroryzowani wrzaskiem, gwizdami i groźną postawą „ratowników" ludziska pocili się na brzegu.

A tuż obok – na plaży tzw. niestrzeżonej – roczne i dwuletnie dzieci igrały sobie w falach pod czujnym okiem najlepszych ratowników na świecie – swoich rodziców. Dorośli kąpali się ile chcieli ograniczeni w tej swawoli jedynie własnym rozsądkiem.

Toteż po krótkim okresie ogłupienia, ludziska porzucali ofiarowany im na siłę za ich własne pieniądze socjalizm – z ubezpieczeniem

ratowniczym – i zachowywali się normalnie korzystając z plaży niestrzeżonej. Obrazek ten powtarzał się przez kilka dni.

Aż pech chciał, że pojawiło się prawdziwe nieszczęście. Przy wywieszonej białej fladze – fala porwała dziewczynkę, która zaczęła się topić. Zrazu próbowali jej pomóc obok pływający plażowicze, a i bardzo szybko i sprawnie ruszyli do akcji ratownicy. Tyle, że z dużym trudem przebijali się przez tłum stojących wzdłuż linii wodnej ludzi, którzy nie wiedzieli, że dziecko tonie, a byli już przyzwyczajeni do bezsensownych pokrzykiwań ratowników. Mimo tych trudności – ratownicy zdążyli i jeden z nich z narażeniem własnego życia wydobył żywe dziecko na brzeg.

Nasuwa się pytanie – na której części plaży zdarzył się ten wypadek – strzeżonej czy nie? Na plaży strzeżonej. Na części *„niestrzeżonej”* rodzice strzegli swoje dzieci o wiele staranniej i nie dopuszczali do takich zagrożeń. A jaki był końcowy skutek pożytecznej i godnej najwyższego uznania akcji ratowników – oczywiście – kolejny zakaz kąpieli i odganianie ludzi od wody!

Gwoli prawdy dodać trzeba, iż nic wszyscy plażowicze godzili się z terrorem *„ratowników”*. Na tych nieposłusznych nasłano policję (a tak!) by ukarała nieposłuszeństwo wobec WŁADZY na plaży.

Zdecydowana większość ludzi pozornie poddawała się terrorowi (odruch wyniesiony z PRL) – a przenosząc się na czas kąpieli na plażę niestrzeżoną. Wykazywali tym swoim działaniem także pozorną bezsensowność przebywania ratowników na plaży, bo przecież podczas kąpieli nie korzystali *z* ich opieki. UFF, ale gorąco!

Nr 36/1995

JACEK SIERPIŃSKI *(ur. 12 grudnia 1969 w Czeladzi) - polski informatyk, publicysta, pisarz i poeta, znany przede wszystkim jako propagator anarchokapitalizmu. Studiował filozofię na Uniwersytecie Śląskim. W czasie studiów należał do Niezależnego Zrzeszenia Studentów.*

Autor opowiadań fantastycznych, opublikowanych m.in. w miesięczniku „Fantastyka" i „Nowa Fantastyka". Jego opowiadanie pt. „Lwie szczenię" ukazało się w antologii „Miłosne dotknięcie nowego wieku" (Prószyński i S-ka, 1998). Jego wiersze znalazły się w antologii poetyckiej pt. „Macie swoich poetów" (Lampa i Iskra Boża, 1996) i w autorskim tomiku Imperium ciemności.

Jacek Sierpiński opublikował kilkaset artykułów - w dużej części tłumaczeń - na temat anarchokapitalizmu i libertarianizmu. Publikował m.in. na łamach czasopism „Mać Pariadka", „Najwyższy CZAS!", „Zielone Brygady" i innych. W latach 90. XX w. kierował Stowarzyszeniem Inicjatyw Wolnościowych „An Arché".

Należy m.in. do International Society for Individual Liberty i Mensy Polskiej. Współtworzy portal Libertarianizm.pl

FEMINIZM NA MANOWCACH

Coraz głośniej w massmediach o parlamentarnym lobby kobiecym. Ostatnio panie po raz kolejny oświadczyły w telewizji i prasie, że kobiety w Polsce są dyskryminowane, że potrzebny jest specjalny urząd rzecznika ds. kobiet, mający tej dyskryminacji zapobiegać, i że panie będą dążyć do wprowadzenia w Polsce ustawy o „równym statusie kobiet i mężczyzn" – na wzór tej, jaką wywalczyły sobie kobiety w Skandynawii.

Dyskryminacja w prawach jest, moim zdaniem, rzeczą niesłuszną i całkowicie popieram każdego, kto dąży do jej zniesienia. Rzecz jednak w tym, że nie potrafię dostrzec w Polsce praw dyskryminujących kobiety (być może takie są, ale nie rzucają się w oczy). Jaskrawo widzę natomiast prawa dyskryminujące mężczyzn. Przykładem pierwszym z brzegu może być przymus zasadniczej służby wojskowej, naruszający prawo do wolności osobistej mężczyzn i tylko mężczyzn – kobiety mu nie podlegają, choć wolno służyć im w armii na ochotnika. Jest to jednak pomijane zupełnym milczeniem, podczas gdy lobby kobiece bezustannie przytacza na dowód dyskryminacji kobiet „sytuację na rynku pracy" i niewielką w porównaniu z mężczyznami liczbę kobiet w rządzie, parlamencie i kierownictwach partii politycznych.

To drugie jest prawdą, ale nie ma nic wspólnego z żadną dyskryminacją. Żadne prawa nie ograniczają kobietom swobody uczestnictwa w życiu politycznym. Większość wyborców to kobiety, bo kobiet w Polsce jest więcej niż mężczyzn (spotykane czasami używanie słowa „mniejszość" w stosunku do kobiet to nowomowa). To, że w parlamencie i rządzie są przeważnie mężczyźni, wynika po prostu ze statystycznie mniejszego zainteresowania kobiet karierą aktywisty partyjnego, posła czy ministra.

Jeśli chodzi o sytuację na rynku pracy, nie mam jej pełnego obrazu. Nie wydaje mi się, żeby liczba ofert pracy dla kobiet była rażąco niższa od liczby ofert pracy dla mężczyzn. Czytając ogłoszenia, np. w lokalnej prasie, widzę, że lwia część ofert nie wyróżnia żadnej konkretnej płci. Poszukuje się akwizytorów, ludzi z samochodami, księgowych, magistrów farmacji itd. Ba! – jest sporo ofert adresowanych wyraźnie dla kobiet (sekretarki, panie do pracy w maglu, panie do prowadzenia wypożyczalni kaset wideo). Myślę, że obecnie mężczyznom jest tak samo trudno o pracę jak kobietom. Jeżeli jednak ofert pracy dla kobiet jest rzeczywiście mniej, ponieważ np. pracodawcy-mężczyźni nie chcą przyjmować pań, i jeżeli występują przypadki, dajmy na to, płacenia kobietom „za tę samą pracę" niższych stawek niż mężczyznom – nie mam nic przeciwko temu, by kobiety, jeśli czują się pokrzywdzone, zakładały własne organizacje i walczyły w sposób pokojowy o sprawiedliwe z ich punktu widzenia warunki umów czy o zmianę stereotypu kobiety w oczach mężczyzn (i samych kobiet). Jeśli jednak takie zjawisko występuje, nie jest to wynik dyskryminacji w prawach – jest ono spowodowane prywatnymi upodobaniami prywatnych osób. Niezależnie od tego, jak ktoś takie upodobania ocenia, osoby te mają do nich prawo. Karanie za przejawianie takich, choćby i irracjonalnych postaw to naruszenie prawa do wolności.

I tu mamy drugie znaczenie słowa „dyskryminacja" – różne traktowanie różnych ludzi lub grup przez inne osoby lub grupy, nie wiążące się jednak ze stosowaniem przymusu i ograniczaniem w prawach. Mam wrażenie, że wielu feministkom chodzi właśnie o dyskryminację w tym sensie. Nie podoba się im, że niektórzy mężczyźni traktują przedstawicieli własnej płci lepiej niż kobiety. Mogę się z nimi zgodzić, choć nie będę szedł na noże z kimś, kto uważa inaczej. Nie mogę się jednak zgodzić z nimi w próbach zakazania takiej dyskryminacji. Prawo do wyłączającej przymus „prywatnej" dyskryminacji, do swobodnej współpracy lub odmowy współpracy, do wyrażania swoich poglądów, sympatii i antypatii jest fundamentalnym warunkiem wolności każdego człowieka. Każdy z nas kogoś dyskryminuje – jednych lubi, innych nie, jednych kocha, innych nienawidzi, z jednymi chce się zadawać, innych unika. Zabronienie prawa do „prywatnej" dyskryminacji oznaczałoby stoczenie się w totalitarny świat, żywcem wyjęty z noweli Ayn Rand „Hymn", gdzie wyróżnianie kogoś w uczuciach lub współpracy jest Wielkim Przestępstwem Upodobania.

Niestety wszystko wskazuje na to, że polskie lobby feministyczne postawiło sobie za cel właśnie to. Już propozycja ustanowienia spe-

cjalnego rzecznika ds. kobiet jest propozycją ustanowienia prawnej dyskryminacji w imię zwalczania przejawów dyskryminacji „prywatnej". Oto kobiety mają mieć specjalnego urzędnika (zapewne kobietę – kto wie, czy nie z mocy prawa), który za pieniądze całego społeczeństwa będzie bronił ich interesów w sądach (każdy przypadek przyznania dziecka ojcu po rozwodzie rodziców będzie już niemal na pewno traktowany jako dyskryminacja), w urzędach i w życiu prywatnym, a mężczyźni – nie.

Wypaczenie, jakie dotyka polski ruch kobiecy, najjaskrawiej wyraża się jednak w dążeniu do wprowadzenia w Polsce ustawy o „równym statusie" na wzór skandynawski. Czytałem tekst takiej ustawy, obowiązującej od 1976 roku w Norwegii. Jest to osobliwy akt prawny, świadczący o tym, że wolność człowieka jest w tym „wolnym, liberalnym" kraju w niewielkim poszanowaniu. Paragraf 3. wspomnianej ustawy zabrania odmiennego traktowania kobiet i mężczyzn dlatego, że są różnej płci. Dotyczy to nie tylko organów państwowych, ale i osób prywatnych. Obywatel Norwegii nie ma więc prawa odmówić z kimś współpracy dlatego, że ten jest mężczyzną bądź kobietą, czy też współpracować z nim na odmiennych zasadach (choćby za wzajemną zgodą) niż z przedstawicielem odmiennej płci (zakłada to obowiązek tłumaczenia się z motywów swego postępowania przed innymi ludźmi i państwem!). Ba! – obywatel Norwegii nie ma prawa nawet oferować tego rodzaju współpracy. Szczegółowo regulują to dalsze punkty ustawy. I tak paragraf 4. zabrania ogłaszania, że wolne miejsce pracy jest przeznaczone dla przedstawiciela jednej tylko płci. Ogłoszenie nie może stwarzać też wrażenia, że pracodawca spodziewa się lub preferuje kandydata określonej płci na to stanowisko. Paragraf 5. przewiduje obowiązek jednakowego wynagradzania kobiet i mężczyzn za pracę „jednakowej wartości". Oczywiście o tym, czy praca jest „jednakowej wartości", nie decyduje jej użytkownik – pracodawca – lecz specjalni urzędnicy, o których za chwilę. Dalej: ogłoszenia i reklamy nie mogą stać w sprzeczności z zasadą „parytetu płci" – jak widać, w Norwegii ważniejszą od praw człowieka i obywatela, w szczególności od wolności słowa i druku. Zgodnie z komentarzem oznacza to unikanie nazw zawodów określających płeć. Zamiast słowa „robotnik" należy stosować formę „robotnik-robotnica". Nie wiem, jak w języku norweskim, ale w polskim zdarzają się nazwy zawodów mające tylko jedną formę, męską albo żeńską – „górnik", „hutnik", „profesor", „sekretarka" (to nie to samo co „sekretarz"), „prostytutka" itp. Jeśli pójdziemy drogą Norwegii, zapewne będzie trzeba używać neologi-

zmów w rodzaju „górnica" lub długich omówień typu „osoba do prowadzenia biura".

Ustawa o równym statusie ingeruje również w wolność stowarzyszania się, postanawiając, że stowarzyszenia, w których członkostwo ma znaczenie „ze względu na możliwość pracy lub awansu zawodowego" lub których cele „mają zasadnicze znaczenie w przyczynianiu się do rozwiązywania ogólnych problemów społecznych" – co za pole popisu dla urzędników w decydowaniu, jakie to są stowarzyszenia! – mają być z mocy prawa otwarte na równych zasadach dla kobiet i mężczyzn. Obywatele Norwegii pragnący się stowarzyszyć nie mogą więc zrobić tego na takich zasadach, jakie się im podobają. Zasady ustala państwo, pilnujące „równego statusu". Nie wiem wprawdzie, czy w Norwegii działa oficjalnie masoneria (tradycyjnie otwarta tylko dla mężczyzn), ale w świetle tej ustawy powinna być tam instytucją nielegalną.

Na straży „równego statusu" stoją, rzecz jasna, specjalne organy państwowe – Rzecznik ds. Równego Statusu, Rada ds. Równego Statusu i Komisja Odwoławcza ds. Równego Statusu...

Norweska ustawa to idealny przykład, jak w imię określonej, wydumanej wizji „lepszego świata" (w którym stosunki międzyludzkie byłyby nawiązywane zgodnie z zasadą równości płci) gwałci się podstawowe prawa człowieka, daje pole do popisu biurokratom i wytwarza „politycznie poprawną" nowomowę.

Nr 7/1993

TOMASZ KRZYSZTOF SOMMER *(ur. 16 października 1972 r. w Puławach) – dziennikarz i wydawca, redaktor naczelny i współwłaściciel tygodnika konserwatywno-liberalnego „Najwyższy CZAS!”. Studia magisterskie odbył w Instytucie Dziennikarstwa Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, studia doktoranckie w Szkole Nauk Społecznych przy Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. W 2006 r. uzyskał w IFiS PAN doktorat z socjologii na podstawie rozprawy doktorskiej pod tytułem „Sposoby usprawiedliwiania podatków w świetle ideologii praw człowieka”. Jej promotorem była prof. Jadwiga Staniszkis, a recenzentami prof. Aniela Dylus i prof. Marcin Król.*

Pracę dziennikarską rozpoczął jeszcze przed podjęciem studiów – pisał wtedy dla działu stołecznego „Expressu Wieczornego”. Później pracował kolejno dla Tygodnika Akademickiego „Auditorium” oraz dzienników „Nowy Świat” i „Życie”. W 1995 r. związał się z Oficyną Konserwatystów i Liberałów Janusza Korwin-Mikkego. Zaczął pisać dla tygodników „Najwyższy CZAS!”, „Najwyższy CZAS!-bis” i „Lux”. Od 1996 r. był redaktorem naczelnym pisma „Lux”, które jednak w połowie tego roku przestało być wydawane. Od 1996 r. podjął stałą pracę w tygodniku „Najwyższy CZAS!”, pełniąc w nim funkcję zastępcy redaktora naczelnego (w latach 1996-1999 oraz 2004-2007) i redaktora naczelnego (1999-2003 oraz od 2007 r.). Równocześnie w latach 1996-2002 był reporterem działu zagranicznego w „Super Expressie”. W 2002 r. założył firmę 3S Media Sp. z o.o., która rozpoczęła wydawanie sportowego miesięcznika dla młodzieży „GIGA Sport”. W 2004 spółka rozpoczęła wydawanie edycji niemieckiej tego miesięcznika „GIGA Sport – Deustchland”. W 2007 r. Tomasz Sommer wraz ze wspólnikami przejął tygodnik „Najwyższy CZAS!”. Od 2005 r. jest wiceprezesem Instytutu Globalizacji, wolnorynkowego think-tanku z siedzibą w Gliwicach.

Tomasz Sommer jest także alpinistą: w latach 1993-2007 brał udział w wyprawach w różne pasma górskie, głównie Azji Środkowej. W 1995 r. dokonał pierwszego odnotowanego polskiego wejścia na najwyższy szczyt Syberii, Biełuchę (4506 m n.p.m.) – wraz z Piotrem Pangowskim, Dariuszem Fidosem i Sylwestrem Sommerem. W 2007 r. brał udział w nieudanej próbie pierwszego polskiego wejścia na Gongge’er Shan w paśmie Kun Lun (7719 m n.p.m.), będącej oficjalną ekspedycją Polskiego Związku Alpinizmu.

Mechanizm prywatyzacji

W ciągu pięciu minionych lat „sprywatyzowano" ponad połowę polskich przedsiębiorstw. Mechanizm tej prywatyzacji jest dla przeciętnego zjadacza chleba cokolwiek niejasny. Przecież jeśli przedsiębiorstwa zostały sprzedane, gdzieś powinny być pieniądze. Jeśli natomiast zostały rozdane – to powinny być jasne przepisy i zasady, na których podstawie rozdawnictwa dokonano. Tymczasem ani pieniędzy, ani jasnych zasad rozdawnictwa nie ma, za to właściciele są.

Istnieje także oficjalna nazwa procesu, który się dokonał – doszło mianowicie do „przekształceń własnościowych". Czym były te przekształcenia? To też ciężko jest jednoznacznie stwierdzić. Był to przecież proces niesłychanie złożony i konstruowany *ad hoc*. Poniżej spróbuję przedstawić kilka elementów tego procesu na przykładzie działalności jednego z większych polskich banków.

Jak założyć bank bez pieniędzy?

W 1990 roku pewna grupa osób postanowiła czynnie odpowiedzieć na to pytanie. Najpierw więc napisano statut, w którym zaznaczono, że podstawowym celem przyszłego banku będzie „wspomaganie rozwoju gospodarki polskiej poprzez prowadzenie działalności kredytowej i dokonywanie operacji finansowych".

Następnie Rada Ministrów wydała decyzję o utworzeniu Polskiego Banku Rozwoju i wykupiła akcje banku serii AA za jedyne 800 miliardów złotych. Na pozór powstał kolejny bank państwowy. Jednak zgodnie z ustawą o prawie bankowym, bank państwowy tworzony jest

w drodze rozporządzenia. Czyli PBR od początku nie był bankiem państwowym, choć na początku państwo posiadało 100% jego udziałów.

Bank rozpoczął działalność

Mając 800 miliardów złotych można już pozwolić sobie na prowadzenie operacji finansowych. Na operacjach jednak można zarobić albo stracić. Chyba że całą działalność zabezpieczy państwo – wówczas w razie jakiegoś potknięcia ono poniesie odpowiedzialność finansową. Mając powyższą świadomość, zarząd banku postanowił działać niejako wewnątrz systemu państwowego. Wykupiono więc za sporą sumę papiery wartościowe emitowane przez skarb państwa oraz obsłużono następujące kredyty gwarantowane przez rząd: 125 mln dolarów od Banku Światowego i 175 mln ECU od Europejskiego Banku Inwestycyjnego. Wzięto także udział w prywatyzacji oraz restrukturyzacji niektórych spółek skarbu państwa, z czasem wchodząc w posiadanie części ich udziałów – przykładowo bank objął 10% Stoczni Szczecińskiej.

Innym nie ryzykownym rodzajem działalności było kredytowanie silnych firm zagranicznych, takich jak Thomson, Fiat czy Pilkington Sandoglass. Bank chce także uczestniczyć w zarządzaniu spółkami objętymi programem Narodowych Funduszy Inwestycyjnych.

Czas na emancypację

Z uwagi na profil własnościowy Polski Bank Rozwoju podlegał koniunkturom politycznym. Po wyborach roku 1993 została zmieniona cała rada banku. By ową podatność na zmiany polityczne nieco osłabić, od początku zarząd szukał nowych inwestorów. I tak akcje serii BB wykupiła Agencja Rozwoju Przemysłu, a akcje następnych serii – zaprzyjaźnione banki zagraniczne. Na początku bieżącego roku doszło także do emisji publicznej akcji PBR na warszawskiej giełdzie. Gwarantem emisji był Citibank.

Dzięki kolejnym emisjom udział skarbu państwa w banku spadł ze 100% do około 60%. Przy odrobinie szczęścia oraz jeśli odpowiedni urzędnicy państwowi wyrażą zgodę, wkrótce bank całkowicie wyjdzie z orbity wpływów skarbu państwa.

Trochę matematyki

Stworzony za państwowe pieniądze Polski Bank Rozwoju najwięcej zarabia na odsetkach od bonów skarbowych oraz obligacji emito-

wanych przez państwo. Państwo z kolei pobiera od banku podatek i dywidendę za swoje udziały. Cały ten proces przypomina nieco przelewanie z pustego w próżne – choć prawdopodobnie coś przy okazji wylewa się na boki. Łączna wartość wynagrodzeń dla członków **trzyosobowego** zarządu wypłaconych **od 1 lipca do 30 września** 1994 roku wyniosła 532,8 mln złotych.

O co chodzi w prywatyzacji?

Podobnych do PBR „banków celowych" powstało kilkanaście. Nie są one państwowe, ale skarb państwa ma w nich decydujący procent udziałów. Banki te czynnie uczestniczą w procesie restrukturyzacji innych przedsiębiorstw. Z reguły wchodzą w posiadanie ich udziałów. Z reguły też bazują na różnych formach finansowania ze strony państwa (czasem otrzymują po prostu dotacje z budżetu – patrz słynny BGŻ). Wszystkie także – poprzez kolejne emisje akcji – dążą do wyzwolenia spod kontroli skarbu państwa.

Konkluzja jest więc dosyć smutna: obywatele dość aktywnie, choć mimowolnie partycypują w kreacji nowego systemu bankowego oraz w prywatyzowaniu niegdyś państwowych przedsiębiorstw; niestety ich partycypacja polega głównie na finansowaniu obu tych procesów.

Nr 25/1995

JADWIGA STANISZKIS *(ur. 26 kwietnia 1942 w Warszawie), polska socjolog, politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i członek Polskiej Akademii Nauk, publicystka; córka Witolda, wnuczka Witolda Teofila.*

W 1965 ukończyła studia w Sekcji Socjologicznej Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego. W 1971 obroniła doktorat (uznany w 1973 za najlepszą pracę doktorską roku[potrzebne źródło]), zaś w 1978 uzyskała stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w dziedzinie socjologii. Od 1991 jest profesorem.

Po ukończeniu studiów pracowała w Instytucie Socjologii UW. Należała do grona młodych asystentów (obok m.in. Waldemara Kuczyńskiego, Marcina Króla, Andrzeja Mencwela czy Aleksandra Smolara), którzy wspólnie z cenionymi profesorami (m.in. Zygmuntem Baumanem, Włodzimierzem Brusem, Leszkiem Kołakowskim, Tadeuszem Kotarbińskim czy Marią Ossowską) oraz aktywnymi politycznie studentami (tzw. „komandosami", m.in. Sewerynem Blumsztajnem, Teresą Bogucką, Janem Lityńskim, Adamem Michnikiem i Henrykiem Szlajferem) organizowali intelektualne życie polityczne na Uniwersytecie Warszawskim w postaci odbywających się często w warunkach konspiracyjnych spotkań dyskusyjnych i seminariów. W ramach tak zorganizowanego środowiska uczestniczyła w wydarzeniach marcowych w 1968. Za udział w protestach studenckich spotkały ją represje w postaci zwolnienia z pracy na Uniwersytecie oraz siedmiomiesięcznego aresztu.

Po zwolnieniu z pracy kontynuowała działalność naukową. Pracę doktorską zaczęła pisać jeszcze w czasie aresztowania, a obroniła ją pracując jako nauczycielka w szkole pielęgniarskiej. Do pracy w Instytucie Socjologii przywrócono ją dopiero w 1981. Wcześniej, w sierpniu 1980 została zaproszona przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Gdańsku do udziału w negocjacjach ze stroną rządową. Weszła w skład Komisji Ekspertów MKS. Po zawarciu porozumień sierpniowych i utworzeniu NSZZ „Solidarność" doradzała związkowcom.

Po 1989 pracowała na UW i w PAN-ie, oprócz tego jest komentatorką życia politycznego. Uchodziła za „matkę chrzestną AW»S«-u". Początkowo umiarkowanie krytyczna wobec jednoczenia z UE, obecnie zwolenniczka tego procesu.

Dostrzec ciągłość w sytuacji zmiany

Polska i inne kraje dawnego bloku komunistycznego wydają się funkcjonować w różnych czasach historycznych równocześnie. I nie chodzi tu tylko o to, iż dokonany niedawno skok ma wyraźne korzenie w przeszłości. Można na przykład w każdym z przypadków wykazać ścisły związek między trzema momentami w dziejach tych krajów: metodologią rewolucji komunistycznej; sposobem pierwszego podziału w komunistycznych elitach, reprodukującym się następnie w kolejnych – zużywających reżim – kryzysach; wreszcie – metodologią wychodzenia z komunizmu. Można też wykazać, że okoliczności towarzyszące rewolucji komunistycznej i dziś stanowią kluczowe czynniki, modyfkujące sposób wychodzenia z komunizmu. Mówiąc o okolicznościach rewolucji, mam na myśli kontekst kulturowy, stopień peryferalizacji w systemie światowym i priorytety (np. w Chinach – wzmocnienie państwa dla instytucjonalnej integracji społeczeństwa w naród, gdy w Rosji – modernizacja infrastruktury gospodarczej służącej ekspansji, traktowanej tam tradycyjnie jako sposób podtrzymywania tożsamości – mimo problemów wewnętrznych).

W sposób uderzający (zmuszający wręcz do postawienia tytułowego pytania) widać też powracanie pewnych mów wykraczających w przeszłość daleko poza cezurę rewolucji komunistycznej. Na przykład – pojawienie się hybrydowych form własności – *czyli* zdenacjonalizowanej własności państwowej, mającej charakter własności grupowo-organizacyjnej, z elementami własności prywatnej (ograniczona emisją akcji), stosowaniem zasady „k*rzyżowej własności"* (czyli – wzajemnego posiadania swoich udziałów), tworzeniem *„rodzinnych* banków komercyjnych oraz funduszy powierniczych wysysających

resztki kapitału z wegetującego sektora państwowego. Forma ta stanowi nie tylko skuteczne narzędzie mobilizacji kapitału, ale też – dzięki centralizacji, monopolizacji i rencie władzy (bliskie związki z dawną i obecną elitą) ułatwia tzw. „*eksternalizację"* kosztów – czyli – przerzucania ich części na inne podmioty i państwo. Owa mobilizacja z kolei i eksternalizacja kosztów zwiększa szansę owych hybryd w konkurencji z przedsiębiorstwami zagranicznymi w walce o krajowy rynek. W imię owej konkurencji hybrydy sięgają zarówno do dziedzictwa komunizmu (ścisłe związki gospodarki z polityką redystrybucja kosztów) jak i instytucji rynkowych wzorowanych na dojrzałym kapitalizmie (gwarancje eksportowe, ubezpieczanie ryzyka, banki informacji), do których zapewniają sobie wyłączny dostęp.

Owa dwoistość usytuowania hybryd już sama w sobie stanowi wyraz zawieszenia między dwiema epokami. Równocześnie jednak posiada też głębszą wymowę, łączącą się z tytułem niniejszego. Już bowiem w XVII wieku Europa Środkowa, stanowiąca – jak dziś – peryferie systemu światowego, znalazła się – znów jak dziś – w zasięgu logiki tego systemu: chodziło o wczesnokapitalistyczny handel zbożem. Wtedy też sięgnięcie do swoistości (i de facto cofnięcie się, pogłębienie odrębności i zablokowanie dalszego rozwoju – mimo doraźnych korzyści) miało służyć obniżeniu kosztów i zwiększeniu konkurencyjności polskich folwarków – mimo niższej wydajności. Wtedy chodziło o stosowanie przymusu jako środka produkcji *i* wtórną pańszczyznę; dziś – o powrót do komunistycznej filozofii eksternalizacji kosztów (choć już bez eksternalizacji korzyści), centralizacji i polityzacji gospodarki (a może raczej – korporyzacji państwa?).

Dziś, jak w XVII w. – znajdujemy się w punkcie zwrotnym. Czy nastąpi samoograniczenie hybryd, wyeliminowanie przerzucania kosztów na innych i otwarcie dostępu do instytucjonalnej infrastruktury rynku? A może – proces segmentacji gospodarki pogłębi się, zaś odpowiedzią na wzmacnianie się oligarchii handlowo–finansowej będzie nasilający się populizm drobnych, tradycyjnych prywatnych właścicieli? Czy hybrydy sięgną do ekonomicznych sposobów podnoszenia wydajności i zaczną inwestować czy też – dalej będą ulegały pokusom *kasynowego kapitalizmu* (i to bez ryzyka – bo w ramach wywalczonych przy pomocy renty władzy gwarancji państwowych)? Odpowiedź na to pytanie jest kluczowa dla naszego tytułowego pytania, a także – wyjściowej tezy o funkcjonowaniu krajów postkomunistycznych w wielu czasach historycznych równocześnie. Hybrydy muszą bowiem zarówno cofnąć się w czasie (i sięgnąć do ekonomicz-

nych rezerw wydajności jak to było we wczesnym kapitalizmie, a nie od razu – i wyłącznie – do rezerw instytucjonalnych (jak się to dzieje w kapitalizmie dojrzałym) jak i wybiec w czasie w przyszłość, czyli – oderwać się od komunistycznego dziedzictwa.

A oto przykład z innej dziedziny, też ilustrujący obecność w dwóch epokach równocześnie, a także powrót (choć w nowej formie) znanego już z historii mechanizmu. Obserwujemy obecnie rozpadanie się dwóch porządków: tego ukształtowanego po I wojnie światowej (Bałkany, Czechosłowacja) – i – porządku pojałtańskiego. Oba te procesy przebiegają równolegle, ale nie – równomiernie: każdy z nich zakłóca bowiem pozostały. Tak więc emocje ujawnione w czasie rozpadu porządku, granic, federacji ukształtowanych po 1918 roku spowalniają proces rozpadania się ładu post–jałtańskiego. Zachód, przerażony żywiołem (a także – ujawnioną impotencją własnych instytucji) zaczyna tęsknić do sfer wpływów i siły zdolnej do zdyscyplinowania *„wracającej do trybalizmu"* (jak to elegancko piszą w prasie zachodniej) Europy Wschodniej i Południowej. Zachód nie dostrzega przy tym, że te nowe nacjonalizmy, stanowiące instrument dezintegracji sztucznych tworów I wojny, pełnią podobną funkcję do nacjonalizmów XVIII i XIX-wiecznych, które na Zachodzie ukształtowały państwa narodowe jako formę ponadregionalnego rynku, pozwalającego na cyrkulację kapitału, ludzi i środków bez feudalnych barier. Wtedy nacjonalizm integrował – w imię upowszechniania i uniwersalizacji stosunków rynkowych. Dziś – rozbija wieloetniczne, wieloregionalne całości w imię samej logiki. Segreguje bowiem regiony (w zależności od poziomu rozwoju), aby umożliwić selektywną integrację do systemu (i rynku) światowego tylko niektórych *z* nich. Logika obniżania kosztów operacji rynkowych w obu wypadkach wyznaczała formę i skalę integracji.

Ten powrót – w nowym kostiumie (i rzadko analizowanej politycznej roli) *„niewidzialnej ręki"* rynku jest szczególnie wyraźny – o dziwo – w Rosji. Mimo jej chaosu i kryzysu. Po skrajnej centralizacji komunizmu nastąpiła tam faza decentralizacji – z ponad 80 samodzielnymi (i zatrzymującymi większość wypracowanych na swoim terenie środków finansowych) guberni. Powyższe nie tylko zagroziło funkcjom państwa (brak środków!) ale i – sprowadziło rynek kapitałowy (wyłaniający się dopiero) do ponad 80 lokalnych rynków małej skali. Tak małej – że ograniczyło to racjonalność (i opłacalność) allokacji w stopniu porównywalnym do nieracjonalności skrajnego centralizmu. I w tym miejscu sprzęgły się dwie siły: państwo z jego strategicz-

nymi interesami i środowiska bussinesu. Zaczęły one przełamywać to rozczłonkowanie. Ta pierwsza – m.in. via promowanie zamówień publicznych zmuszających gubernie do współpracy. Ta druga – via promowanie komercyjnych instytucji finansowych rozbijających granice gubernialnych partykularyzmów. W rezultacie tych oddziaływań zaczyna się stopniowo wyłaniać osiem tzw. grup regionalnych.

I w ten sposób forma państwa powstaje ze splotu strategicznego interesu moskiewskiej elity (w tym głównie wojska), i interesów związanych z formowaniem i cyrkulacją kapitału. Dążenie do optymalnej skali rynku (w kategoriach kosztów transakcji) zaczyna przy tym wyraźnie kolidować z imperialnymi tęsknotami. Reintegracja (np. w formie unii płatniczej) obszarów o wyższym wskaźniku inflacji kosztuje: patrz dyskusje przy okazji obecnego zbliżenia z Białorusią. Logika rynku radzi Rosji (i to już dotyczy nas), aby szukać amortyzatorów w instytucjach finansowych gospodarek bardziej stabilnych (a równocześnie mniej wymagających niż zachodnie). Czyli – w Polsce i na Węgrzech. Penetracja naszych instytucji finansowych (z wykorzystaniem rożnic oprocentowań, kursów, gwarancji rządowych) już się zaczęła, choć ostatnia bessa na giełdzie trochę wystraszyła kapitał rosyjski.

W zasygnalizowanym wyżej powrocie – przy okazji końca komunizmu – odwiecznego problemu centrum i peryferii, w owym splataniu interesów strategicznych z logiką rynku (i towarzyszących temu napięciach) można dostrzec echa ekonomii politycznej kolonizacji i dekolonizacji, suwerenności i zniewolenia. I jest to kolejny wymiar ciągłości wychodzącej z kąta w sytuacji zmiany.

Nr 22/1994

LECH STĘPNIEWSKI *(ur. 1957 w Warszawie). Jak sam pisze o sobie: „Nigdy nigdzie nie należał i nigdzie nie wyjeżdżał. Pisywał tu i tam. Czasem może głupio, ale nigdy według czyichkolwiek wskazówek – pomijając naturalnie asystencję Ducha Św. W latach 70. studiował filozofię, w latach 80. objął na wiele lat posadę stróża nocnego, jak dotąd jedyną. Zawsze też chętnie robił to, co robią metafizycy wedle znanej opinii Franca Fiszera. Obecnie prowadzi szczęśliwe życie jako kolekcjoner monet rzymskich, otoczony modlitewną opieką swej ukochanej żony Joanny". Oprócz tego jest jednym z najzdolniejszych publicystów, który – miejmy nadzieję, chwilowo – zawiesił pióro.*

NOP CZY BERLIN?

Uszy to za mało – Dziarscy chłopcy w oficynie na lewo – Chrześcijanie bez chrześcijan – Czy aby Michnik się nie nudzi?

„*Słuchacie pilnie, lecz bez zrozumienia”* - powiada prorok Izajasz a za nim zgodnie cała nasza „*klasa polityczna”*. Ale same uszy to stanowczo za mało! Ważna jest też tzw. *„dykcja”,* ponieważ polskie gry polityczne przypominają coraz bardziej grę w głuchy telefon, w którą bez starannego dyktowania grać po prostu nie sposób. Do jakich przykrych nieporozumień dochodzi, gdy zabraknie dyktatora, można się było niedawno przekonać. Podobno któryś z grających powiedział, żeby coś zrobić z wyborami prezydenckimi, ale nie bardzo wiadomo kto i nie bardzo wiadomo co, bo każdy usłyszał co innego i od kogo innego. Oczywiście, nie warto denerwować się na zapas. W końcu pewnie i tak okaże się, że nie chodziło o żadnego „*prezydenta za dwa lata”* jak *„bez zrozumienia”* usłyszeliśmy z głuchego telefonu, a jedynie o prezent dla Brata, o który owszem rozpytywano ambasadora Cioska, ale tylko dlatego, że jest najbliżej i zna gust. Całemu nieporozumieniu winien ten przeklęty brak dykcji u naszych polityków! Nie dotyczy to, rzecz jasna, prof. Geremka, który zawsze mówi nadzwyczaj wyraźnie, by nikt przypadkiem z jego słów nie uronił najmniejszej nawet dwuznaczności.

Pora wyborów chyba jednak nieubłaganie się zbliża, skoro miła prof. Geremkowi *Gazeta* zaczęła grzmocić z zapałem w hydrę *nacjonalizmu.* Walenie w hydrę jak w bęben robi wprawdzie dużo hałasu, a na miejscu jednego oberwanego łba wyrastają trzy nowe, ale może o to właśnie chodzi. Po pamiętnej rozkładówce *Gazety* dla Tejkow-

skiego jest to kolejny przypadek reklamy towaru znanego wcześniej jedynie koneserom. A za reklamy i inne *„artykuły sponsorowane”* redakcja, wiadomo, nie odpowiada.

Tymczasem razem, w numerze z 12-13 sierpnia, prezentują swój program dziarscy chłopcy z Narodowego Odrodzenia Polski, tj. mówią kogo będą bić, kiedy i za co, a także *„spokojnym głosem”* zapowiadają szubienice dla szczególnie niepoprawnych wrogów. Szczególnie niepoprawne są *„banki, komuniści, masoni, syjoniści, kapitaliści”,* co brzmi jak żywcem przepisane od wiadomego Adolfa. Nie podoba im się *„ani komunizm, ani kapitalizm”.* I żaden tam wolny rynek, bo nie uchodzi, żeby brunet zabierał pracę blondynowi! W sumie socjalizm (narodowy) jak się patrzy, ale w gazecie *„moralnych autorytetów”* socjalistyczna konkurencja tradycyjnie już *„robi za prawicę”.*

Gdzieś w tle pojawia się nawet UPR. Prawda - tylko dwa razy i dyskretnie. Ale czy można tak po prostu napisać, że UPR *nie lubi bankierów?* Jeszcze kilka podobnych artykułów i czytelnikowi samo się we łbie - jak sobace od Pawłowa - skojarzy: U*PR - prawica - szubienica.* A niech JKM ośmieli się teraz powiedzieć cokolwiek o *masonach,* czy choćby o tych *bankach* nieszczęsnych! Już tam każdemu *„człowiekowi rozumnemu”* od razu zarezonuje w rozumie: Oho! Korwin – *wieszadeł!* Niektórzy może nawet zaczną się ślinić.

Reklama przyniesie też i inne piękne efekty. Antoni Słonimski w jednej ze swych przedwojennych *Kronik* wspomina jak to „*przez pewien czas zjawiały się w prasie brukowej ostre i napastliwe wzmianki pod adresem policji i władz miejskich: «Jak długo jeszcze władze tolerować będą istnienie całą noc otwartego domu schadzek przy ulicy Kruczej czterdzieści dwa, mieszkania pięć, parter w oficynie w lewo?!»* Oczywiście - dodaje Słonimski - *po każdym takim artykuliku frekwencja piętnowanego lokalu podnosiła się znakomicie”.* Czy i teraz frekwencja podniesie się znakomicie? Na wszelki wypadek dla tych, którzy zapragnęliby pogawędzić o *„szubienicach”* z samym wodzem, jest i adresik: *„na warszawskich Jelonkach (...) na śmietniku pod blokiem wielkie litery – NOP”.* Szukajcie, a znajdziecie. W ostateczności można pójść i popytać w „*kościele na Zagórnej”.*

Po wzmocnieniu szeregów dziarscy chłopcy z pewnością wymalują w czynie rewolucyjnym dziesięć razy więcej napisów o *Żydach* i *gazie* niż dotąd. Wtedy będzie czas na snucie rozważań o *„prawicowym zagrożeniu”.* A kiedy w końcu przyleją jakiejś *mniejszości,* o!, to już ani chybi napisze o nich sama *„prasa światowa”.*

Na razie jednak zamiast głosów „prasy światowej" musi nam wystarczyć głos sir Izajasza Berlina („w*spółtwórcy nowoczesnego liberalizmu, fitozofa, historyka idei"),* z którym rozmowę - wydrukowaną przypadkiem w tym samym numerze *Gazety* – przeprowadził w Oxfordzie Adam Michnik.

Jak na Europejczyków przystało obaj panowie rozpoczęli od ustaleń rasowych. *„Jestem rosyjskim Żydem"* - powiada sir Izajasz - ignorując naiwne przekonanie, jakoby Żyda, który spędził w Anglii 70 lat, *„zangliczał"* i otrzymał tytuł brytyjskiego lorda, można było zwyczajnie uważać za Anglika. *„Jestem Żydem po prostu dlatego, że nie można przestać być Żydem".* Ba *„wszyscy wiedzą, że Żydzi to nie tylko synagoga. To jeszcze coś ponadto".* Wszyscy? Dotąd takie rzeczy słyszało się raczej od rozmaitych, skorych do bicia *dziarskich. I* co to jest to *„coś ponadto"* o czym *„wszyscy wiedzą"?* Oj, czy aby ktoś tu kogoś nie podpuszcza? Ale - jak zapewnia Adam Michnik – sir Izajasz *„mówi zawsze mądrze",* więc chyba trzeba się z tymi rasowymi rewelacjami jakoś pogodzić.

Już łatwiej nam będzie przyjąć inne mądre myśli nowoczesnego liberała (*Nb*. według Berlina nowoczesny liberalizm *„to to samo"* co lewica!).

Gdy za głupie osiemdziesiąt groszy (z wyjątkiem piątków i sobót) ma się dostęp do najświatlejszych autorytetów, to się wie nie od dziś, że *„fanatyczni katolicy, to straszni ludzie",* i że głównym zadaniem inteligencji jest *„bunt przeciw dominacji klerykalizmu w życiu publicznym".* Trochę bardziej oryginalnym wkładem sir Izajasza w historię idei jest jego odkrycie nieustannych zmagań, jakie *„od Ojców Kościoła"* toczą się między chrześcijaństwem a chrześcijanami. Zmagania te polegają na tym, że choć *„chrześcijaństwo nie pozwala zdeptać człowieka, jednak chrześcijanie wciąż próbują".* Zapewne – zdecydowanie lepsze byłoby chrześcijaństwo bez chrześcijan! Raz na zawsze wolne od *fanatyzmu, klerykalizmu,* a nawet od *„próbowania".*

W tym nowym chrześcijaństwie nie pętaliby się też oczywiście żadni antysemici. Wtedy, być może, dowiedzielibyśmy się od Izajasza Berlina więcej o literackich laureatach Nobla – Tomaszu Eliocie i Borysie Pasternaku. A tak muszą nas zadowolić charakterystyki wyjątkowo zwięzłe. *„Znałem Eliota osbiście. To był antysemita". „Pojechałem do niego [Pasternaka] na daczę do Pieredielkina i długo rozmawialiśmy. Pasternak był antysemitą".* O poezji tu akurat tyle, ile u przedwojennych *dziarskich,* gdy pisali o Leśmianie i Tuwimie.

Równie zwięzłe są diagnozy polityczne stawiane z Oxfordu. Na

przykład ta, że *„ludzie stają się konserwatystami, ponieważ to dla nich coś nowego”*. Głosują na partie konserwatywne bez żadnej racji, a raczej wbrew wszelkim słusznym racjom, skoro w Ameryce konserwatyści to *„polityczni chuligani”,* a w Anglii – *„straszni ludzie”*. Bardzo to ciekawa i głęboka analiza. Wygląda na to, że konserwatyzm bierze się dziś z trzpiotowatej pogoni za nowinkami i tylko rozumni, *nowocześni liberałowie* chcą, by wszystko zostało po staremu.

Nasze sześcioletnie *„stare”* trudno uznać za specjalnie pociągające, więc - uprzedza sir Izajasz – *„młodym Polakom nie może się spodobać to, co ja radze. Że mianowicie trzeba robić wszystko dla kompromisu. Tylko tyle, a tyle wolności i tylko tyle równości. Tylko tyle szczęścia i tylko tyle niezawisłości. Tyle demokracji i tyle tradycji. Trzeba zachować proporcje, bo inaczej to się nie utrzyma”*. Co racja to racja! Szczególnie teraz trzeba zadbać, aby się tylko *„utrzymało”*. Przecież gdyby chodziło o coś więcej niż o *„utrzymanie”,* to i kompromis byłby dla czegoś, a tak na okrągło *„trzeba robić wszystko dla kompromisu”,* bo tylko wtedy *„utrzymanie”* ma się zapewnione. Zaleca się nam też *„tylko tyle”* wolności, niezawisłości i innych przyjemności życiowych, ale nic mówi się konkretnie – ile, ani kto miałby to ustalić. Same zagadki. Wypadałoby chyba w końcu jasno powiedzieć ile wolności i niezawisłości musi nam wystarczyć, żeby *„zachować proporcje”*. Jeśli nawet w tę grę nie można wygrać, miło jest przynajmniej znać reguły.

Jeszcze lepiej znać od razu reguły wedle których toczy się cały ten światek. Trzeba przenikliwego umysłu nowoczesnego *liberała,* by pośród wielu przyczyn pozornych i wtórnych wyłowić te najważniejszą - zwykłą ludzką nudę! Bo „*nuda to najważniejszy powód, dla którego ludzie idą na wojnę albo robią rewolucję. Główna przyczyna wydarzeń roku 1968: studentom było nudno”*. Tako rzecze sir Izajasz Berlin, a przytomny temu Adam Michnik słucha – i nic. *„Chociaż była to myśl nowa, nie powiedział ani słowa”*. Więc to prawda? To wszystko z nudów, panie Adamie...? Miejmy nadzieję, że akurat teraz rozrywek panu nie brakuje...

Nr 34/1995

Spiskowa teoria sprawiedliwości

Jak wiadomo, ludzie biali uważają się za rasę wybraną i z pogardą odnoszą się do Kolorowych, a zwłaszcza Czarnych, których dzięki swej chytrości wykorzystują i oszukują na każdym kroku. Od dawna też rozpychają się wszędzie i stają się czynnikiem rozkładowym każdej kultury. Szatańska pazerność oraz żądza panowania nad światem zagnała ich niegdyś aż do Afryki, gdzie żyli sobie bożkobojni czarni ludzie - skromni i miłujący pokój. Biali, zgodnie ze swa zepsutą naturą, część tych poczciwców wymordowali, resztę zaś wywieźli do ziemi zwanej Ameryką, by tam Czarni pracowali na nich, podczas gdy oni będą oddawać się hulankom i rozpuście.

I tak też się stało: pracowici Czarni zmienili Amerykę w kwitnący kraj, a ponieważ byli wciąż potrzebni, więc z czasem Biali z wyrachowania przyznali im nawet jakieś „prawa". Najprzód znieśli niewolnictwo (dla niepoznaki trochę się między sobą wyrzynając), potem skasowali segregację rasową, a na koniec zaczęli, niby to z dobroci, rozdawać Czarnym rozmaite zasiłki, co oczywiście żadnym dobrodziejstwem nie jest, bo przecież Czarni już dosyć się na nich naharowali na plantacjach. Ostatnio niektórzy Biali starają się być dla Czarnych jeszcze milsi: pieniędzy dają coraz więcej, no i w końcu zauważyli, że nawet prosty Murzyn ma dość rozumu, by być profesorem uniwersytetu. Nazywają to, trochę bez sensu, „akcją afirmatywną".

Ale to wszystko jedynie pozory! W rzeczywistości Biali dalej nienawidzą Czarnych - szczególnie tych, którym udało się do czegoś dojść bez ich wsparcia. Gdy mogą takiemu Czarnemu zaszkodzić, po dawnemu zmawiają się między sobą, byle tylko rzucić na niego nawet najbardziej podłe oskarżenie.

Jeżeli dotąd o podobne poglądy podejrzewano wyłącznie murzyń-

skich idiotów i ekstremistów, to zakończony niedawno proces czarnego gwiazdora amerykańskiego futbolu O.J. Simpsona ostatecznie rozwiał te złudzenia. Ława przysięgłych, w skład której wchodziło dziewięcioro Czarnych (w tym osiem kobiet!), dwie białe kobiety i jeden Latynos, uniewinniła oskarżonego od zarzutu zamordowania swej byłej białej żony i jej białego przyjaciela, ponieważ obrona utrzymywała, że Mark Fuhrman, jeden z białych detektywów biorących udział w śledztwie, jest z przekonań rasistą. Obrońcy początkowo nawet sugerowali, jakoby Fuhrman spreparował i podrzucił istotny dowód obciążający Simpsona, ale po fiasku tej tezy, ostatecznie zadowolili się stwierdzeniem, że **mógł to zrobić**, albowiem obsesyjnie nienawidzi Czarnych. Niemniej ich cel został osiągnięty i kwestia rasizmu detektywa Fuhrmana – porównywanego na sali sądowej do Hitlera! – stała się niemal tak samo ważna, jak kwestia winy Simpsona. Pod koniec procesu linia obrony sprowadzała się wręcz do osobliwego sylogizmu: **jeśli Biały jest rasistą i uczestniczy w śledztwie przeciwko Murzynowi, to Murzyn ten jest na pewno niewinny**.

Przyjęcie takiego rozumowania rychło doprowadziło do jawnego głoszenia **spiskowej teorii sprawiedliwości**; zwłaszcza w sytuacji, gdy obronie nie udało się obalić żadnego z przedstawionych przez prokuraturę dowodów. Policja wykryła krew O.J. Simpsona – potwierdziły to badania DNA – na miejscu zbrodni, krew ofiar znaleziono w jego samochodzie, na podjeździe jego domu, a nawet na skarpetkach znalezionych w jego sypialni. W dodatku oskarżony nie miał alibi i, jak wynika z zeznań jednego ze świadków, w chwili morderstwa najprawdopodobniej nie było go w domu. Jeszcze przed zakończeniem procesu materiał ten oceniano jako wystarczający do skazania; w każdym razie niemożliwy do łatwego odrzucenia. A jednak ława przysięgłych nie miała problemu z zadziwiająco szybkim uzgodnieniem swojego uniewinniającego werdyktu, w sondażach zaś ponad połowa czarnych Amerykanów zdecydowanie opowiadała się za uniewinnieniem O.J. Simpsona. Innymi słowy, wszyscy oni – przysięgli i przechodnie - nie przywiązywali w tej sprawie zasadniczego znaczenia do dowodów, gdyż dopuszczali możliwość, że zostały one sfałszowane w wyniku **szeroko zakrojonego spisku Białych!**

Rzecz jasna, sam detektyw Fuhrman nie zdołałby naknuć tak wiele. W spisek musieli być więc zamieszani także inni detektywi, szeregowi policjanci, jak również fałszywi świadkowie, laboranci badający krew Simpsona, eksperci... Wprawdzie żadnych śladów takiej zmowy nie wykryto, ale tam, gdzie jest jeden biały rasista, mogą być również

inni, lepiej od niego zakonspirowani, a nawet współpracujący z nimi czarni renegaci. I żeby już nie owijać w bawełnę, w którą wsiąkły pot i krew czarnych niewolników: czyż Biali w istocie nie dzielą się na rasistów zdemaskowanych i (jeszcze) niezdemaskowanych? Czy nie są - jako rasa - winni zbrodni „Murzynobójstwa". Czy to nie Ku-Klux-Klan porywał młodych Murzynków, by ich potem rytualnie męczyć?

Postępowe ideologie rzeczy produkują liche, ludzi natomiast ogłupiają nadzwyczaj solidnie. Stal z sowieckich hut dawno już zeżarła rdza, ale zahartowany jak stal człowiek sowiecki dalej istnieje. Podobno komuniści znów wzięli Stalingrad... Również w Ameryce jedynym trwałym rezultatem postępowych programów socjalnych, „akcji afirmatywnych" i „politycznej poprawności" są jak na razie miliony dobrze ogłupionych ludzi. Najpierw wmówiono im - za cudze pieniądze - że ich własne życie nie od nich samych zależy, więc teraz szukają swoich prześladowców: kobiety – mężczyzn, dzieci – rodziców, Czarni – Białych. Jak powiada Jakób Thoulé: *„**Gdy zabiera się człowiekowi odpowiedzialność, wkrótce potem opuszcza go też rozum**"*.

Okazuje się, że do Białych mają już nawet pretensje ci Czarni, którzy w żadne rasistowskie spiski nie wierzą. Po zakończeniu procesu O.J. Simpsona pewna czarnoskóra prawniczka powiedziała korespondentowi „Gazety Wyborczej": „*Przyjdzie nam teraz słono zapłacić za to orzeczenie. Zapłacimy przede wszystkim my - Czarni. Ale współwinni są ci Biali, którzy w najlepszych oczywiście intencjach – doprowadzili do tego, że ta ława przysięgłych mogła postawić się ponad prawem*". Wychodzi na to, że jeśli Czarnemu źle się dzieje, to zawsze w końcu winien jest jakiś Biały.

Powszechność takich przekonań wśród czarnych Amerykanów wróży nowe kłopoty. **Ludzkie szaleństwa są zawsze groźne, ale szczególnie groźne są wtedy, gdy szaleją ludzie bez poczucia winy**. W dodatku Murzyni coraz rzadziej traktują Białych jako zbiorowość zupełnie jednolitą. Czarni postępowcy już dość dawno doszli do wniosku, że nie warto walczyć ze wszystkimi prześladowcami naraz, zwłaszcza że ktoś w końcu musi zarabiać na murzyńskie zasiłki. Może lepiej zacząć od niektórych. Jak podał ten sam korespondent „Gazety". „*Policja zamknęła dla publiczności plac przed gmachem sądu po tym, jak czarni demonstranci zaczęli wykrzykiwać «Żydzi do Izraela!»*".

Teraz pozostaje tylko czekać na wiadomość, że w Harlemie największym bestsellerem stało się nowe wydanie „Protokołów Mędrców Syjonu". Oczywiście w wersji komiksowej.

Nr 42/1995

W JAKI SPOSÓB FINANSOWAĆ ZOBOWIĄZANIA EMERYTALNE?

JANUSZ SZLĘZAK

Zagadanienie finansowania zobowiązań emerytalnych jest jedną z kluczowych kwestii reformy systemu podatkowego Od niej bowiem zależeć będzie kształt budżetu i co za tym idzie rodzaj i wielkość podatków. Składki ubezpieczeniowe są bowiem największym dzisiaj podatkiem, a świadczenia socjalne są największą pozycją w wydatkach publicznych. Obecnie funkcjonuje tzw. powszechny system ubezpieczeń społecznych. Fundamentem tego systemu jest to, że każdy pracujący musi do niego należeć i regularnie opłacać składki. Z tych to pieniędzy wypłacane są bieżące renty i emerytury. Wpłacający natomiast otrzymują jedynie gwarancję od państwa, że gdy sami osiągną wiek zasłużonego wypoczynku, to dostaną podobne świadczenia. Chciałbym z całym naciskiem podkreślić fakt, że ZUS pełni jedynie rolę agendy rządowej obsługującej cały ten skomplikowany przepływ pieniędzy z kieszeni jednych podatników do kieszeni drugich. Sam nie dysponuje żadnymi rezerwami finansowymi, nie przeprowadza żadnych operacji inwestycyjnych. Nie jest to zatem typowa agencja ubezpieczeniowa, ale raczej przybudówka budżetu.

Jeszcze pod koniec lat 60., niewiele zapowiadało nadciągający krach. Wszystko wydawało się być sprawne i dobrze pomyślane. Było tak, bo aż siedmiu pracujących składało się na jednego rencistę czy emeryta. Jednak z biegiem lat proporcje te zmieniły się, i to na niekorzyść pracujących. W dniu dzisiejszym już tylko dwóch zatrudnionych pracuje na jednego beneficjenta systemu. Tak gwałtowna i drastyczna zmiana proporcji w przeciągu niespełna trzydziestu lat musiała pociągnąć za sobą negatywne konsekwencje finansowe. Odczuwamy to osobiście, płacąc niezwykle wysoką składkę na owo ubez-

pieczenie, która w chwili obecnej wynosi 45% zarobków brutto. Ale to nie wszystko! Okazuje się, że pomimo tak wysokiego opodatkowania, Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie jest w stanie realizować i tak już relatywnie niskich zobowiązań. Od kilku lat systematycznie budżet państwa zasila Fundusz Ubezpieczeń Społecznych i Fundusz Emerytalno-Rentowy Rolników coraz to większymi kwotami. W roku bieżącym przewidziane są dotacje w wysokości blisko 150 bln starych złotych netto co stanowi ok. 35% budżetów wspomnianych funduszy. Można zatem rzec, że system utracił płynność finansową. Nie można go uzdrowić w obecnej postaci, gdyż zajmuje on czołową pozycję wydatków publicznych: ok. 40% wszystkich wydatków (!) i jest to ponad trzy razy większy od następnej pozycji.

Głównym winowajcą zaistniałej sytuacji jest przymus ubezpieczeń. To on, oferując złudne nadzieje na szczęśliwą starość pod opieką państwa, skutecznie zniszczył w społeczeństwie wzajemną zależność następujących po sobie pokoleń. System obiecywał beztroską i pogodną jesień życia bez względu na to, czy ktoś posiadał dzieci i czy potrafił wychować je tak, by stały się podporą na stare lata. Brak tego pierwotnego i naturalnego związku pomiędzy bezpieczną starością a posiadaniem dzieci spowodował, że rodziny posiadają ich coraz mniej. Mniej dzieci oznacza mniej rąk do pracy, a tym samym mniej osób płacących składki. Tymczasem, liczba pobierających świadczenia gwałtownie rośnie, wydłuża się okres emerytalny.

Warto uzmysłowić sobie, że trapiące nas problemy występują we wszystkich państwach opiekuńczych, gdzie mamy do czynienia z podobnymi do naszego systemami powszechnych ubezpieczeń. Zasoby kanadyjskiego funduszu emerytalnego *Canada Pension Plan* do roku 2015 spadną z obecnych 40 mld dolarów do zera. Przyczyną będzie wejście tzw. wyżu demograficznego w wiek emerytalny. Już dziś Kanada rozpoczyna reformę systemu - w pierwszym kroku przewiduje się podniesienie wieku emerytalnego do 70 lat! W Europie uczyniły to już Włochy, a Francja i Niemcy właśnie się do tego sposobią. W tych państwach, podobnie jak u nas, w coraz większym stopniu budżety dostają fundusze ubezpieczeń. I tak np. w Szwecji dopłaty wynoszą w przybliżeniu 25% wielkości funduszów, w Szwajcarii 20,5% , w Niemczech ok. 20%, w Belgii 12%. Taka polityka - życia ponad stan - doprowadziła większość z tych krajów nad krawędź bankructwa, łączne zadłużenie Kanady wynosiło blisko 720 mld dol. co stanowi ok. 92% PKB, zadłużenie Włoch jest jeszcze większe i szacuje się je na ok. 127% PKB, a Belgii aż na 150% PKB.

Wróćmy jednak do rodzinnych spraw. Obecna ekipa rządowa, śladem swoich poprzedników, podejmuje doraźne działania przynoszące krótkotrwałe korzyści polityczne. Daje się zaobserwować dwutorowość działań: z jednej strony obejmowanie coraz to nowych grup społecznych obowiązkiem ubezpieczeń, z drugiej zaś ograniczanie wysokości świadczeń. Za przykład pierwszego typu posunięć niech posłuży ustawa sejmowa z 18 listopada 1994 r. *„o ubezpieczeniu społecznym osób wykonujących pracę na rzecz jednostek gospodarki uspołecznionej na podstawie umowy agencyjnej lub umowy zlecenia"*. Składkę na ZUS muszą uiszczać osoby pracujące na umowę zlecenie zawartą na okres co najmniej 15 dni, poprzednio 30 dni. Jako ilustrację działań drugiego typu weźmy jeden z ostatnich aktów prawnych z dnia 3 lutego 1995 r. *„ustawa o zmianie ustawy o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczenia społecznego w razie choroby i macierzyństwa"*. Ustawa ta zmniejsza zasiłek chorobowy do 80% wynagrodzenia stanowiącego podstawę wymiaru zasiłku - poprzednio 100%.

Nie muszę chyba nadmieniać, że takie postępowanie przedłuża jedynie agonię systemu, choć już nikt nie kwestionuje potrzeby pilnych zmian. Opozycyjne siły polityczne biorą również czynny udział w publicznych debatach na temat przyszłego kształtu systemu ubezpieczeń. Ostatnio szeroka prezentacja stanowisk odbyła się w pierwszym programie telewizji 27 marca br. - w czasie programu FORUM. Przedstawione pomysły były bardzo zbieżne. Wszyscy uważali, że należy utrzymać obowiązek ubezpieczeń w dzisiejszym kształcie, jedynie nazwać go *„minimalnym świadczeniem gwarantowanym przez państwo"* i obok niego wprowadzić nowe dodatkowe ubezpieczenia, najlepiej resortowe, obowiązkowe i również gwarantowane przez państwo (!). Ta dyskusja, po raz kolejny, udowodniła celność słów Waltera Lippmanna: *„Gdzie wszyscy myślą tak samo, nikt nie myśli zbyt wiele"*.

Tylko Unia Polityki Realnej ma odwagę domagać się zniesienia przymusu ubezpieczeń. Bo to właśnie ów przymus - fundament obecnego systemu i monopol państwowy doprowadziły do tej dramatycznej sytuacji.

Rodzi się zatem pytanie jak przeprowadzić reformę systemu? Przede wszystkim należy znieść przymus ubezpieczeń i zaprzestać zaciągania nowych zobowiązań przez państwo. Oznacza to, że z dniem np. 1 stycznia 1996 r. – państwo nie zaciąga nowych zobowiązań, czyli nie przyjmuje składek ubezpieczeniowych. Od tej pory każdy zainteresowany będzie mógł ubezpieczyć się dobrowolnie w jednej z agencji ubezpieczeniowych - oczywiście prywatnych, bez żadnych gwarancji

skarbu państwa. Natomiast budżet państwa zajmie się jedynie obsługą już wypłacanych rent i emerytur i tych, które staną się wymagalne w najbliższej przyszłości. Z dniem wprowadzenia w/w zmian każdy uczestnik poprzedniego systemu otrzyma gwarancję świadczenia w wysokości proporcjonalnej do ilości lat przepracowanych w czasie obowiązywania starego systemu. Dla przykładu, jeśli przyjmiemy, że średni okres aktywności zawodowej wynosi 40 lat, to renciści i emeryci dostaną 100% ustalonej kwoty świadczenia, ci co przepracowali 30 lat - 75%, ci co 20 lat - 50%, ci co 10 lat 25% kwoty świadczenia. Są to oczywiście tylko przykłady, w rzeczywistości progi byłyby jednoroczne. Sam Zakład Ubezpieczeń Społecznych uległby likwidacji, lub przekształcony by został w agendę państwową do obsługi tych zobowiązań. Jak się łatwo domyśleć, proces ten zakończyłby się po około 40 latach z *„przyczyn biologicznych"*. Z biegiem czasu liczba zobowiązań będzie maleć, aż w końcu wygaśnie zupełnie.

Zaprezentowane przed chwilą rozwiązanie jest racjonalną drogą do zlikwidowania iluzji o bezpiecznej starości. Nadchodzące lata przyniosą dalsze pogarszanie się finansów ubezpieczeń społecznych. Nowe pokolenia dzisiejszych składkowiczów wkroczą w wiek emerytalny. Przy bardzo niskim obecnie wskaźniku urodzeń nastąpi dalsze pogłębienie się negatywnych proporcji liczby pracujących do liczby emerytów. Wywrze to ujemne skutki na gospodarce, która będzie miała coraz większe kłopoty z udźwignięciem wszystkich zobowiązań. Dlatego już dzisiaj musimy przeciąć ten węzeł gordyjski. Przyjmujemy na siebie moralny obowiązek zrealizowania zaciągniętych w przyszłości zobowiązań emerytalnych i gwarantujemy ich wypełnienie. Gwarancję tę składamy w naszym własnym imieniu. Elementarna uczciwość nakazuje nam uwolnić przyszłe pokolenia od ciężaru minionych obietnic. W żadnym wypadku nie można gwarantować czegokolwiek co ma się wydarzyć za kilkadziesiąt lat i to jeszcze na konto tych co po nas przyjdą.

Nr 22/1995

KONRAD KRZYSZTOF SZYMAŃSKI *(ur. 6 grudnia 1969 w Kaliszu) – polski polityk i prawnik i publicysta, od 2004 poseł do Parlamentu Europejskiego.*

W 1995 ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

W latach 1991–1993 kierował biurem poselskim Marcina Libickiego w Poznaniu, następnie przez rok pracował jako korespondent Agencji Prasowej Sis-Serwis. W latach 1993–1997 był ekspertem komisji samorządowej rady miasta Poznań. Od 1997 ponownie współpracował z Marcinem Libickim jako jego doradca ds. międzynarodowych. W latach 1997–1998 był pracownikiem Kancelarii Sejmu, a od 1999 do 2000 doradcą wicemarszałka Sejmu. W okresie 1999–2000 zasiadał w gabinecie politycznym ministra Kazimierza Marcinkiewicza (szefa gabinetu politycznego premiera Jerzego Buzka) w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Od 2000 do 2002 był redaktorem programowym TV Puls. W 2002 założył dwumiesięcznik Międzynarodowy Przegląd Polityczny, którego jest redaktorem naczelnym.

13 czerwca 2004 uzyskał mandat do Parlamentu Europejskiego z listy Prawa i Sprawiedliwości w województwie dolnośląskim. Należy do parlamentarnej grupy Unii na rzecz Europy Narodów, zasiada w Komisji Spraw Zagranicznych, Komisji Praw Kobiet i Równouprawnienia, a także należy do Delegacji ds. stosunków z Białorusią. W wyborach 2009 ubiega się o reelekcję w okręgu wielkopolskim.

Na początku lat 90. był wiceprezesem zarządu Młodzieży Wszechpolskiej. W latach 1989–2000 należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, od 1997 zasiadał w zarządzie tej partii. Działał w ruchach pro-life, m.in. od 1998 do 2002 był członkiem zarządu Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia. Zasiada w radzie Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

Tytoń a wolność

Kancelaria Sejmu rozesłała posłom projekt ustawy o „przeciwdziałaniu szkodliwości działania tytoniu". Uzasadnienie zaprzęgnięcia państwa w działalność antynikotynową projektodawcy czerpią z dobrze znanych czytelnikom „NCz!" „doświadczeń krajów skandynawskich", co po przeczytaniu projektu, o zgrozo, wydaje się prawdą.

Nie kwestionuję szkodliwości palenia papierosów, ale budzi mój głęboki sprzeciw proponowany sposób regulacji.

Palenie szkodzi!... Podobnie jak zbyt długie spanie, zbyt lekkie ubieranie się, kiedy wieje, zbyt ciepłe, kiedy grzeje, podobnie jak czytanie przy słabym świetle, przedawkowanie tabletek z krzyżykiem i milion innych rzeczy, z którymi każdy styka się milion razy dziennie. Styka się, a mimo to konkluduje na tyle rozsądnie, że wychodzi zazwyczaj obronną ręką, a nie z białą laską, przeziębieniem czy marskością. Zazwyczaj, choć nie zawsze – i nie ma sposobu, żeby wyeliminować u ludzi zachowania nieroztropne, które czasem ich gubią... Nawet na wieki!

Nie zgadzam się z indywidualistyczną wizją człowieka. Jestem katolikiem i sądzę, że ludzie powinni sobie pomagać, a czasem powinno to czynić także państwo – w końcu każdy z nas potrzebuje pomocy. Są nawet rzeczy, do których należy zmuszać, nawet siłą. Ale na pewno nie należy do funkcji państwa troska o palenie lub niepalenie papierosów. Z uwagi na służebny charakter szkoły względem rodziny można postulować uwzględnienie pomocniczej roli szkoły w tej kwestii. Na tym poziomie zakreśliłbym odpowiedzialność państwa za problem palenia – informacja o szkodliwości i przekaz wzorców kulturowych.

Kontrowersja pozostaje przy wyznaczaniu miejsc dla niepalących,

które ustawa rozmnoży niepomiernie. Rozumiem dążenia ludzi do przebywania w niezadymionym pomieszczeniu, ale nie może to być powodem zamykania palaczy w klatkach (są już takie uliczne palarnie w USA!) ani ulg podatkowych dla np. restauracji tylko dla niepalących (jest taka uchwala Rady Miejskiej Krakowa!).

Sądzę również, że w tej poniekąd obyczajowej sprawie prawo nie zastąpi upadku dobrych manier i kultury. Wręcz przeciwnie – może działać impregnująco na ten „niewłaściwy" stan rzeczy. Ludzie wyciągają np. w przedziale kolejowym papierosy bez zapytania, czy można –co się należy szczególnie kobietom. Dlaczego? Bo przedział jest dla palących! Skoro państwo swoją powagą rozstrzyga tak delikatnej natury problem obyczajowy, człowiek zaczyna się czuć zwolniony z odpowiedzialności osobistej. Nie mam pomysłu na rozwiązanie tej kwestii w sytuacji upadku obyczajów, ale wiem, że apartheid problemu nie rozwiązuje.

Wracając do zagadnień projektu, na uwagę zasługuje zastosowanie trzymiesięcznego *vacatio legis*. Dobrze, że ta instytucja prawa zyskuje swoje miejsce w polskim prawodawstwie. Zdecydowanym natomiast błędem jest założenie, że państwo powinno wpływać swoimi instrumentami, tzn. polityką finansową i restrykcjami natury karnej, na problem palenia papierosów. Restrykcje karne to ograniczenie miejsc swobodnego palenia oraz całkowity zakaz reklamy i „wszelkiej innej działalności mającej na celu promowanie wyrobów tytoniowych". Zawsze gdy państwo próbuje wkraczać w rejony dla niego nie przeznaczone, mnożą się absurdy. I tak senatorowie udzielili pozwolenia na swobodne reklamowanie papierosów gazetom w języku polskim, kolportowanym w Polsce jak każda inna gazeta, ale wydawanym... za granicą.

Piękny prezent dla zachodnich wydawnictw w postaci uzasadnionych podwyżek stawek za reklamę. I to bez zbędnych kosztów – są to pieniądze zabrane polskim wydawcom. Zabrania się również rozpowszechniania telewizyjnych audycji publicystycznych pochodzących od nadawców krajowych, które mogłyby bezpośrednio lub pośrednio propagować używanie tytoniu. Podobny prezent dla zagranicznych nadawców, a w dodatku niechlujstwo prawne, polegające na powtórzeniu zakazu szczegółowego zawartego już w ogólnym, wyrażonym linijkę wyżej słowami „wszelkiej działalności". Czemu nie wymieniono osobno radia czy publicystyki?

Co do zakazu reklamy, nie wiem, jak poradzą sobie wyznaczone do egzekucji ustawy władze samorządowe z umowami zawartymi przez

np. Miejskie Przedsiębiorstwa Komunikacyjne z firmami tytoniowymi z góry na trzy czy nawet pięć lat. Jeżeli zostaną unieważnione, ucierpi wiarygodność państwa i prawa. Jeżeli zostaną poszanowane, otworzą źródła korupcji, np. antydatowania umów o reklamę przeznaczonych do wykonania w przyszłości, a także nieuzasadnione zyski firm, które takie umowy zawarły.

Dodatkowo w ustawie zostały zakreślone górne granice zawartości szkodliwych substancji. W ten sposób tworzy się kolejny powód do istnienia instytucji typu Państwowa Inspekcja Sanitarna, która miałaby za zadanie nadzorować niedopuszczanie do sprzedaży papierosów o wyższej zawartości. W uzasadnieniu spotykamy się też z niebezpiecznym przeliczaniem zdrowia na pieniądze. Jest to zresztą konieczność w przypadku państwowych i obowiązkowych ubezpieczeń. Projektodawcy twierdzą, że obniżenie wpływów budżetowych z handlu tytoniem skompensowane zostanie przez „zmniejszenie liczby zachorowań, świadczeń z tytułu inwalidztwa oraz absencji w pracy". Niestety trzeba dodać, że polepszenie zdrowotności powoduje podniesienie średniego wieku umierania, co znacznie wydatniej wpływa na odpływ pieniędzy z ZUS.

Byłoby dobrze, gdyby państwo nie włączało tego – dla jednych mniej, dla drugich bardziej sterowalnego – czynnika ludzkiego do swych rozważań nad corocznym budżetem. Inaczej będziemy narażeni ze strony szczególnie „odpowiedzialnej za państwo i wrażliwej na sprawiedliwość społeczną" grupy posłów lub senatorów na np. ustawę emerytalno-eutanatyczną o „zapobieganiu szkodliwości długowieczności". Szkodliwości dla budżetu, oczywiście!

Projekt nadaje się do kosza. Jest zresztą takim absurdem, że jego upowszechnienie, nie mówiąc już o zastosowaniu, pośrednio propaguje używanie tytoniu!!!

Nr 37/1992

PIOTR WIERZBICKI *(ur. 1935 w Warszawie) – pisarz, felietonista i publicysta. Absolwent gimnazjum im. Tadeusza Reytana (1953). Ukończył studia na Wydziale Filologicznym UW (1957). Debiutował (1957) w piśmie „Współczesność" (felietony muzyczne i eseje o polskiej poezji). W tym samym roku rozpoczął dziesięcioletni okres pracy nauczycielskiej w szkole. Z doświadczeń tych wywodzi się jego pierwsza książka, literacki portret światka zamkniętego między klasą, pokojem nauczycielskim i gabinetem pani kierowniczki. W latach 1967-1972 pracował w tygodniku studenckim „Itd". Pisywał tam na temat szkoły i wyższych uczelni, prowadził poradnik dla młodzieży wybierającej się na studia, redagował naukową kolumnę „Człowiek".*

W roku 1972 dostał etat w tygodniku „Literatura". Tu też zaczęła się jego droga stałego felietonisty. Gdy w roku 1977 za karę, iż podpisał list w obronie aresztowanych członków KOR, przestano go drukować i zagrożono zwolnieniem, przeniósł swe felietony do „Tygodnika Powszechnego". Odtąd aż do roku 1989 jego praca pisarska przebiegała dwutorowo: felietony publikował w krakowskim tygodniku, teksty satyryczne i publicystyczne w pismach i wydawnictwa drugiego obiegu bądź na emigracji – w „Biuletynie Informacyjnym" humoreski z cyklu „Listy do najlepszych", w „Głosie" eseje i artykuły, w dziewiątym numerze „Zapisu" zamieścił „Traktat o gnidach", szkic biorący pod lupę intelektualnych obłudników wysługujących się reżimowi (wywołał szczególnie żywy oddźwięk, m.in. polemika Adama Michnika, replika Jarosława Kaczyńskiego). Książki wydawał głównie w Niezależnej Oficynie Wydawniczej i oficynie „Głos". Od 13.XII.1981 do 10.VII.1982 internowany (Białołęka, Jaworze, Darłówek).

Po zwolnieniu z obozu pisze książkę polemiczną dla antykomunistycznej opozycji i podziemnej „Solidarności" (wymyślić pilnie program gospodarczy na wypadek uzyskania przez Polskę niepodległości, bo inaczej, gdy ludzie się zniechęcą, możemy ją ponownie utracić). Zarazem kończy rozpoczęty już kilka lat wcześniej analityczny traktat poświęcony metodom i typom kłamstwa stosowanego przez aparat propagandy ZSRS i innych reżimów komunistycznych.

W publicystyce po upadku PRL (najpierw w „Tygodniku Solidarność", następnie w dzienniku „Nowy Świat", którego przez pół roku jest redaktorem, w końcu, od roku 1993, w kierowanej przez siebie „Gazecie Polskiej") broni podjęcia rozmów przy okrągłym stole, ale sprzeciwia się polityce grubej kreski; popiera Wałęsę w wyborach prezydenckich, a po jego wygranej krytykuje go (uważając, iż porzucił swych wyborców); popiera lustrację obejmującą członków parlamentu

i wysokich urzędników państwowych (publikuje „listę Macierewicza"), ale lustrację totalną, obejmującą pół miliona osób uważa za zbędną, również dlatego, że całkowicie zaniechano dekomunizacji i oprawcy śmieją się teraz ze swoich ofiar. Głosi ideę liberalizmu gospodarczego. Opowiada się na wejściem Polski do NATO i Unii Europejskiej jako związku suwerennych państw. Krytykuje postsolidarnościową lewicę za jej związki z postkomunistami, ale broni wcześniejszych dokonań niepodległościowej i antytotalitarnej opozycji, w szczególności atakowanego z prawa Komitetu Obrony Robotników. Potępia antyzachodni kurs środowisk narodowo-katolickich. Na początku lat 2000 całkowicie zmienia poglądy i po konflikcie z zespołem tygodnika „Gazeta Polska" odchodzi z niego. Odtąd publikuje tylko felietony muzyczne w „Gazecie Wyborczej", z której linią wcześniej zajadle walczył.

Aleksander Hall

Nikomu nie trzeba przedstawiać Pańskiej osoby. Zapewnił Pan sobie trwałe miejsce w historii jako jeden z największych innowatorów wszystkich czasów. Jest Pan architektem prawicy nowego typu – prawicy demokratycznej, w której postępowi konserwatyści działają ramię w ramię z internacjonalistycznymi narodowcami i chrześcijańskimi demokratami, uznającymi wyższość światopoglądu naukowego nad zabobonem.

Po niewybrednych ekscesach Dmowskich i Reaganów, odrzuconych przez całą postępową ludzkość, stworzył Pan formację, w której piękne przesłanie na temat poszanowania tradycyjnych świąt kościelnych oraz narodowych znajduje swe najpełniejsze urzeczywistnienie w uczestnictwie w Kongresie Zjednoczeniowym Unii Autokratycznej, czołowej siły demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego.

Największe autorytety moralne oraz intelektualne postępowego katolickiego tygodnika „Obłudnik Powszechny", stwierdzając w sławnej deklaracji krakowskiej, że jest Pan wolny od nacjonalizmu, szowinizmu i ksenofobii, postawiły Pana, obok Marcina Króla i Tomasza Wołka, w rzędzie zasłużonych obywateli naszego kraju. Pańskie zasługi na polu formowania się pełnego spektrum ugrupowań i kierunków politycznych pod wspólnym kierownictwem wysoko ocenił prof. Bronisław Geremek. Zwracam się do Pana właśnie teraz nie bez kozery. Jak donoszą nasze środki masowego przekazu, formacja prawicy demokratycznej osiągnęła ostatnio nowy, wyższy stopień świadomości, który pozwoli jej realizować zadania wyznaczone przez Radę Główną Unii Autokratycznej w nowej strukturze organizacyjnej.

Jak wiadomo, w gronie naszych czołowych autorytetów przyjęta została decyzja o wyjściu prawicy demokratycznej z Unii Autokra-

tycznej i utworzeniu, być może pod kierownictwem naszej pani premier Suchockiej, oddzielnej partii politycznej. Pragnę gorąco poprzeć ten zamiar.

Formuła wspólnej struktury organizacyjnej wyczerpała się. Jest ona źródłem – nie tylko w reakcyjnych środowiskach Ciemnogrodu, lecz również w mniej wyrobionych kręgach naszego społeczeństwa obywatelskiego – złośliwych pomówień, że Pańska formacja jest rzekomo „uzależniona" od Unii Autokratycznej. Gdy ci pożal się Boże „krytycy" dowiedzą się, że prawica demokratyczna posiada swój oddzielny zarząd, a nawet lokal, będą się mieli z pyszna.

Solidaryzujemy się z Pańskim działaniem tym mocniej, że świadczy ono niedwuznacznie o tym, iż przetrawił Pan głęboko doświadczenia postępowego nurtu naszych najnowszych dziejów.

Mam na myśli piękną kartę współdziałania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej ze Stronnictwem Demokratycznym, gdy przewodnia siła naszego narodu sama, z własnej inicjatywy, podjęła trud sprawowania swej kierowniczej roli wobec sojuszniczego stronnictwa na zasadzie obopólnego zaufania, pozostawiając mu pełną samodzielność w dziedzinie odznaczeń organizacyjnych, częstotliwości zebrań i wystroju wnętrz. Dzięki temu oszczerstwa na temat tzw. satelickiego charakteru Stronnictwa miały krótkie nogi.

Mam do Pana szczególną prośbę. Na przestrzeni dziejów zastępy filozofów oraz fizyków, próbując urzeczywistnić marzenia całej ludzkości, podejmowały daremne próby pogodzenia dialektycznych sprzeczności w otaczającej nas rzeczywistości. Nie udało się rozwiązać tego zagadnienia również klasykom marksizmu-leninizmu. W czego wyniku urzeczywistnienie takich stanów i sytuacji, jak zimne gorąco, gęsta rzadkość, głośna cisza, czarna biel czy bogata nędza pozostają w sferze utopii.

Ma Pan w ręku klucz do kopernikańskiego przewrotu: stworzył Pan lewicową prawicę. Niech Pan udostępni swą metodę naszym naukowcom, z prof. Kołakowskim na czele.

Nr 40/1992

Poseł Józefa Hennelowa

Zwracam się do Pani Poseł jako do jednej z najwybitniejszych przedstawicielek katolickiej lewicy laickiej, współtwórczyni wielkiego osiągnięcia krakowskiej elity intelektualnej, jakim było przekazanie pod wytrawne polityczne kierownictwo Adama Michnika postępowego katolickiego tygodnika „Obłudnik Powszechny". Po uwolnieniu się od przereklamowanego Kisiela, cynicznego apologety wilczych praw kapitalizmu, „Obłudnik Powszechny" wypełnia spokojnie i godnie swą misję zaznajamiania światowej opinii publicznej z prawdą o współodpowiedzialności Polaków za zbrodnie III Rzeszy.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że Pani Poseł, należąc do kierownictwa „Obłudnika Powszechnego" jeszcze w mrocznych czasach prymasa Wyszyńskiego, zdobyła podziw i uznanie naszego społeczeństwa obywatelskiego. Ale jest wśród źródeł olbrzymiego autorytetu, jakim cieszy się Pani w naszym kraju, jedno, na które nieodmiennie wskazują najpoważniejsi obserwatorzy polskiej sceny. Jest nim ogromna dyscyplina, z jaką wykonuje Pani wskazania, zalecenia i polecenia Adama Michnika. Dyscyplina ta ma charakter świadomy i opiera się na bezgranicznym zaufaniu do intelektualisty, który dla całego postępowego świata stał się autorytetem w sprawach religii i Kościoła. Zdarzenie z grudnia zeszłego roku – gdy Adam Michnik, zmożony całodziennym trudem obmyślania kolejnego dowodu na to, że lewica laicka nie ma nic wspólnego z żadną lewicą, na kartce Bożonarodzeniowej skreślonej do redakcji „Obłudnika Powszechnego" napisał omyłkowo „Wesołego Jajka", a Pani, traktując słowa pana Adama jako dyspozycję liturgiczną, bez wahania zdjęła przygotowany do druku wigilijny wstępniak red. Turowicza, zastąpiła go wielkanoc-

nymi rozważaniami Stefana Bratkowskiego i ustąpiła perswazjom kolegów dopiero po osobistym zapewnieniu prof. Geremka, że Adam się pomylił – pozostanie na zawsze w pamięci przyszłych pokoleń. Pani Poseł! Uważam, że postawa reprezentowana przez Panią powinna się stać wzorem dla całego społeczeństwa obywatelskiego. Przy rozwiązywaniu naszych polskich spraw natykamy się stale na sprzeczne ze sobą i wątpliwe „recepty". Dorobek postępowego katolickiego tygodnika „Obłudnik Powszechny" i Pani osobisty świadczą o tym, że wystarczy jedna recepta: pytać i słuchać Adama Michnika oraz prof. Geremka. Gdyby każdy poseł przed wygłoszeniem przemówienia, redaktor przed napisaniem artykułu, minister przed podjęciem decyzji, biskup przed wygłoszeniem homilii zwrócił się z prośbą o wyrażenie zgody do Adama Michnika lub prof. Geremka, kraj nie pogrążałby się w piekle niepotrzebnych polemik, w gazetach nie ukazywałyby się szkodliwe informacje na temat poczynań liderów centroprawicy, lekarz dokonywałby usunięcia płodu bez obawy, że stanie się ofiarą represji. W imieniu milionów obywateli, którzy chcą spokojnie żyć i pracować, zwracam się do Pani z prośbą o wystosowanie apelu do robotników, chłopów, inteligentów, kobiet, rzemieślników, studentów, górników, murarzy i duchownych o poprzedzanie ich wszelkich działań oraz wypowiedzi zdaniem będącym wyrażeniem akceptacji przez przynajmniej jeden z dwóch naszych największych autorytetów intelektualnych. Proszę Panią Poseł o zamieszczenie wyżej wymienionego apelu w jednym z najbliższych numerów „Obłudnika".

Nr 45/1992

Leszek Kołakowski

Panie Profesorze! Zwracam się do Pana jako do najwybitniejszego filozofa współczesnej doby, autora genialnej książki o marksizmie, w której dokonał Pan wielkiego odkrycia, iż materializm dialektyczny nie posiada nadprzyrodzonej cechy nieomylności, lecz zawiera kilka poważnych błędów i wypaczeń. Miliony uczciwych obywateli, uprawiających nadmierny i niepotrzebny już (wobec śmierci tow. Stalina) kult jednostki, mogły dzięki Pańskiemu dziełu wyzwolić się z dogmatycznych ograniczeń i oddać się pracy nad budowaniem socjalizmu z ludzką twarzą.

Panie Profesorze! Cały świat wie, że jest Pan jednym z fundamentów naszego społeczeństwa obywatelskiego. Ilekroć siłom Ciemnogrodu uda się zasiać w umysłach mniej wyrobionych obywateli ziarno wątpliwości, ilekroć centroprawicowej czarnej sotni uda się wywołać publiczną „dyskusję", w której w cyniczny sposób podaje się w wątpliwość racje naszych największych autorytetów intelektualnych i moralnych, tylekroć z dalekiego Oxfordu rozlega się Pański głos.

Panie Profesorze! Piszę do Pana, będąc pod wrażeniem pięknych i mądrych słów, jakie znalazłem w pańskim ostatnim liście na temat niesławnej pamięci tzw. afery teczek. Staje Pan w obronie niewinnych ludzi, którzy widzą w Panu wielkiego filozofa, bezinteresownie pochylonego nad troskami umęczonej ojczyzny, i po przeczytaniu Pańskiej wypowiedzi ich wątpliwości w sprawie słuszności stanowiska Adama Michnika znikają. Ludzie w Polsce wiedzą, że jest Pan wolny od jakichkolwiek uwikłań w przemijające koterie i swary i udowodnił Pan jeszcze raz, że prof. Geremek może liczyć na Pańskie poparcie w każdej sytuacji.

Panie Profesorze! Wyrażając swój bezgraniczny podziw dla Pana dyspozycyjności we wspieraniu ludzi przyzwoitych w naszym kraju,

pragnę podzielić się z Panem swym niepokojem zrodzonym na kanwie Pańskiej obywatelskiej aktywności. Bardziej świadoma część naszego społeczeństwa od dawna zadaje sobie pytanie, czy ogromne zaangażowanie Pana w pisanie oświadczeń popierających stanowisko Zarządu Głównego Unii Autokratycznej nie odciąga Pana od pracy koncepcyjnej. Walka z Ciemnogrodem może w Polsce trwać jeszcze kilkadziesiąt lat. Tymczasem my, Polacy, wciąż czekamy na zbiorowe wydanie Pańskich dzieł, zawierające Pana niesłusznie przemilczane wczesne rozprawy, w których odsłaniał Pan prawdziwe oblicze różnych przedwojennych reakcyjnych profesorów i smagał odważnie podstępne sidła klerykalnego zabobonu. Nie możemy pozwolić na to, by największy filozof XX wieku, który mógłby dokonać dalszych epokowych odkryć intelektualnych (na przykład że Hitler był socjalistą), tracił swój cenny czas na pisanie listów protestacyjnych w sprawie ohydnych prowokacji centroprawicy.

Panie Profesorze! Niech Pan prześle do kraju na ręce prof. Geremka 500 arkuszy papieru z podpisanym przez siebie tekstem o następującym brzmieniu:

„W związku z toczącą się w kraju kontrowersją w sprawie (...) ja, całkowicie bezstronny, bezinteresowny i znajdujący się ponad podziałami wielki filozof z Oxfordu, w imieniu Kanta, Hegla i Husserla opowiadam się za (...), natomiast przeciw (...)." Leszek Kołakowski.

Za każdym razem, gdy zajdzie taka potrzeba, prof. Geremek wypełni zamaskowane miejsca, roześle tekst do gazet i Polacy będą wiedzieli, co myśleć.

Nr 44/1992

Adam Michnik

Zwracam się do Pana zarówno jako do autora książki „Kościół, lewica, dialog", w której otrzymaliśmy pierwszą kompletną listę moralnych oraz intelektualnych autorytetów, jak i do ideowego przywódcy postępowej części naszego społeczeństwa, która maszeruje ku Europie na przekór obskurantyzmowi, Ciemnogrodowi i ksenofobii. Znosząc z godnością najbardziej fantastyczne pomówienia, iż ma Pan coś wspólnego z jakąś „lewicą", stworzył Pan, wespół z prof. Geremkiem, formację, której obcy jest jakikolwiek partyjny partykularyzm – formację po prostu ludzi przyzwoitych, żyjących ideami „Solidarności".

Po raz pierwszy w dziejach świata udało się w jednej potężnej organizacji, jaką jest Unia Autokratyczna, skupić – ponad partyjnymi podziałami i ponad nieaktualnymi już bałamutnymi pojęciami „lewica" i „prawica" – wszystkie w danym społeczeństwie jednostki wykształcone, światłe, gardzące nienawiścią i kierujące się w swym postępowaniu nie żądzą zdobycia stołków, lecz bezinteresowną troską o pomyślność kraju, Europy, ludzkości.

Znając od dawna olbrzymi autorytet, jakim cieszy się Pański ruch we wszystkich krajach świata, w których środki masowego przekazu nie publikują żadnych wiadomości o naszym kraju bez uprzedniego zasięgnięcia zawsze bezstronnej i głębokiej opinii prof. Geremka bądź też Pana, widząc jak na dłoni, że właśnie Pańska formacja, walcząca z szerzeniem zabobonu w szkołach i domagająca się – wciąż niestety bezskutecznie – by prymasa Polski mianował Jerzy Turowicz, realizujący najpełniej wartości chrześcijańskie, gdyż stanowi jedną wielką rodzinę, w której miejsce egoizmu zajęła solidarność jednostek pochłoniętych bez reszty wielkim dziełem przywracania odpowie-

dzialnych stanowisk w życiu politycznym, społecznym, kulturalnym ludziom kompetentnym, a więc członkom bądź sympatykom Unii Autokratycznej – pragnę zająć się dziś jednym tylko polem osiągnięć Pańskiego ruchu.

Nawet najbardziej zagorzali jego przeciwnicy nie są w stanie zaprzeczyć, że środowisko lewicy laickiej posiada szczególnie bogaty dorobek w dziedzinie tak cennej jednomyślności stanowisk we wszystkich nasuwających się kwestiach. Pańska formacja nie odczuwa destrukcyjnych skutków polskiego piekła szalejącego w obozie Ciemnogrodu, w którym wygłaszane są notorycznie poglądy nie uzgodnione z prof. Kołakowskim. Jak wiadomo, obok takich cech Pańskiego środowiska, jak bezgraniczne zaufanie jego szeregowych członków do największych moralnych oraz intelektualnych autorytetów oraz płynące z poszanowania europejskich wartości posłuszeństwo wobec Pana oraz prof. Geremka, niepoślednią rolę w wypracowaniu charakterystycznej dla Pańskiej formacji jedności w myśleniu, w ocenie zjawisk i ludzi odgrywa zastosowany tu, a będący dziełem naszych naukowców, pracujących pod kierunkiem prof. Findeisena, system kablowego i bezkablowego przekazywania informacji.

Już w okresie KOR i „Solidarności" w latach 1980-1981 uważni obserwatorzy naszej sceny byli pod wrażeniem niezawodności, precyzji i szybkości, z jaką przemyślenia prof. Geremka, Pana, Pana Jana Józefa Lipskiego i Jacka Kuronia docierały z Warszawy do Łodzi, Wałbrzycha, Tomaszowa Lubelskiego, Rabki i Szklarskiej Poręby. Gdy łódzki działacz Pańskiego ruchu, dr Papużka, wygłasza pierwsze zdanie swej sławnej pochwały prezydenta Wałęsy zaledwie w trzy sekundy po pojawieniu się w Pańskim umyśle poglądu, że Lech Wałęsa, który był dla Pana najpierw bohaterem, potem łotrem, potem Piłsudskim, a ostatnio ciemniakiem, prowadzi jednak bardzo pożyteczną politykę; gdy sympatyczka z Kurpiów, Hanna Sroczkowska, formułuje swój odważny sprzeciw wobec przesadnego kultu papieży w sekundę potem, jak Stefan Bratkowski podnosi się z kamiennej posadzki kościoła Św. Stanisława Kostki (gdzie był leżał krzyżem, by uczcić swe niedoszłe internowanie); gdy Jan Małpiewicz, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, wychowanek ideowy postępowego katolickiego tygodnika „Obłudnik Powszechny" wypowiada na zajęciach z etosu głośne „na zdrowie" w tej dosłownie chwili, gdy w odległej Warszawie prof. Geremek, zamyślony w swym gabinecie nad społeczeństwem, które nie dojrzało do demokracji, rzekł „a psik" – to są to fakty, których wadze nikt nie może zaprzeczyć.

Zwracam się do Pana z apelem w konkretnej sprawie. Nasza solidarnościowa pani premier Hanna Suchocka potrzebuje pilnie sukcesów, które przekonają do niej niedowiarków. Jak wiadomo, jest to utrudnione, ponieważ centroprawicowy rząd Olszewskiego i Macierewicza nie zadbał należycie o rozwój telefonów i zagraniczny menedżer, który w darze od naszego społeczeństwa otrzymał fabrykę Wedla, nie może podzielić się tą wiadomością z centralą w Nowym Jorku.

Proszę Pana, aby użył Pan swego wielkiego autorytetu i spowodował udostępnienie telekomunikacyjnej techniki kablowej oraz bezkablowej, opracowanej przez prof. Findeisena (a wykorzystywanej dotychczas wyłącznie do wewnętrznej komunikacji miedzy górą a dołem Unii Autokratycznej), Ministerstwu Przekształceń Własnościowych. Dzięki przyczynieniu się przez Pański ruch do sprawniejszego przekazania Polski Europie umocni się jeszcze bardziej jego autorytet w całym świecie.

Nr 37/1992

JAN WINIECKI *(ur. 1938 w Sopocie), ekonomista polski. Studiował na Wydziale Handlu Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Doktorat w 1971 r. i habilitację w 1978 r. uzyskał na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. 21 października 2001 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Laureat Nagrody Kisiela 1992. Jeden z założycieli Towarzystwa Ekonomistów Polskich (1995). Był członkiem Politycznego Komitetu Doradczego prezydenta Lecha Wałęsy oraz członkiem zespołu doradców premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego. Publikował w tygodniku „Wprost". Obecnie przedstawia stanowisko wolnorynkowe i monetarystyczne. W 2003 r. kandydował (z ramienia Platformy Obywatelskiej) do Rady Polityki Pieniężnej. W kwietniu 2006 r. otrzymał tytuł Członka Honorowego Stowarzyszenia KoLiber. Od 2007 r. związany ze stowarzyszeniem Forum Liberalne. Obecnie wykładowca Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie oraz Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie.*

„FABRYKI – ROBOTNIKOM", CZYLI MITOLOGIZACJA WŁASNOŚCI PRACOWNICZEJ

Jest to szczególna, polska mitologia. Własność pracownicza – czy precyzyjniej: akcjonariat pracowniczy – przedstawiana jest u nas przez pewne kręgi polityczne, a w szczególności przez związki zawodowe, jako alternatywa zarówno dla tradycyjnej prywatyzacji, jak i dla „drogi na skróty", jaką jest prywatyzacja obywatelska.

Mity, jakimi zdążył już obrosnąć akcjonariat pracowniczy, wynikają zarówno z ogólnej nieznajomości nowoczesnej teorii ekonomicznej, jak i z agresywnej i świadomie wprowadzającej w błąd propagandy o efektywności tej formy przekształceń własnościowych. W niniejszym artykule zajmę się obydwoma aspektami problemu, jak również aspektem moralnym tej koncepcji.

Skala i źródła poparcia dla własności pracowniczej

Interesująca ankieta przeprowadzona w szeregu krajów postkomunistycznych wykazała, że jeśli nie liczyć krajów postsowieckich (a i to nie wszystkich), ciągoty do własności pracowniczej zakorzenione są najsilniej właśnie w Polsce. Poza Litwą i Ukrainą Polska jest krajem, w którym największy procent ankietowanych opowiedział się za tą bolszewicką *de facto* opcją. Było to więcej nawet niż w Słowenii, gdzie wieloletnia indoktrynacja samorządności pracowniczej w czasach komunistycznych czyniła tę formę własności najbardziej zrozumiałą (47% kontra 40%).

Geneza popularności hasła ‚Fabryki – robotnikom" najłatwiej wytłumaczalna jest w kontekście właściwej interpretacji rewolucji solidarnościowej lat 1980-1981. Interpretacja ta prowadzi do tezy, że

system socjalistyczny został odrzucony na płaszczyźnie moralnej. Istniała natomiast uderzająca akceptacja poszczególnych komponentów (raczej teoretycznych niż stosowanych w praktyce) odrzuconego systemu, a więc egalitaryzmu państwa opiekuńczego, „sprawiedliwości", rozumianej w kategoriach interwencji w dystrybucję, a nie interwencji poprzez ustanawianie reguł gry (co różni właśnie socjalizm od liberalizmu) itd.

Znaczna część zwolenników „Solidarności" to byli ludzie, którzy mieli nadzieję, że „Solidarność" da im to, co socjalizm przyrzekał, a czego nie zrealizował. Inaczej mówiąc: uczestniczyli w próbach obalania systemu nie dlatego, że obiecywał przysłowiowe gruszki na wierzbie, ale dlatego że komunistom nie udało się owych gruszek wyhodować.

Ich obecny bunt przeciw transformacji systemowej wynika z dostrzeżenia faktu, iż gruszki nie rosną na wierzbie także w kapitalizmie. Wiara w utopijny socjalizm samorządowy – w kontekście prywatyzacji ulokowana we własności pracowniczej – stanowi kolejne poszukiwanie mitycznej drogi do dobrobytu. Drogi, która nie wymagałaby codziennej solidnej pracy i akceptacji takiej gospodarki, gdzie adaptacja do zmian jest postrzegana jako cena płacona za szansę coraz wyższego poziomu życia.

Wyższość własności kapitalistycznej

Natrętna niekiedy reklama robiona własności pracowniczej opiera się na dwóch filarach: zwykłej nieznajomości teorii ekonomii oraz zafałszowaniach rzeczywistości. Ignoruje się niemal całkowicie dorobek takich nurtów teoretycznych jak teoria praw własności czy teoria agencji, na których podstawie jednoznacznie określić można niski status efektywnościowy własności pracowniczej (i jeszcze niższy samorządu robotniczego).

Własność pracownicza w formie spółki będącej własnością akcjonariuszy-pracowników („akcjonariat") wypada gorzej niż inne formy „własności prywatnej z punktu widzenia wszystkich kryteriów". Kontrola nad firmą, w której udziałowcami są wszyscy pracownicy, jest trudniejsza niż nad firmą, w której dominuje posiadająca pakiet kontrolny nieliczna grupa właścicieli (nie mówiąc już o jednym właścicielu!).

Inne kryterium współwłasności również stawia własność pracowniczą na dalekim miejscu w hierarchii efektywności, ponieważ prze-

ważające interesy drobnych akcjonariuszy ograniczają typ przedsięwzięć sprzyjających wzrostowi rentowności firmy. Np. inwestycje pracooszczędne mogą zostać zablokowane w wyniku działań zagrożonych zwolnieniami pracowników-akcjonariuszy. W ten sposób interes pracownika (mierzony płacą) bierze górę nad interesem akcjonariusza (mierzonym zyskiem).

Dalej istnieje też problem zróżnicowania ryzyka. Jeśli pracownikom nie wolno sprzedać akcji spółki pracowniczej na rynku kapitałowym, problem ten pojawia się także w przypadku własności pracowniczej. Pracownicy koncentrują wówczas ryzyko jednoczesnej utraty dochodów pracy (płaca), dochodów z kapitału (akcje) w przypadku bankructwa ich przedsiębiorstwa. Bardziej logiczne z tego punktu widzenia byłoby pracowanie w jednym przedsiębiorstwie, ulokowanie posiadanego kapitału w innych przedsiębiorstwach (że nie wspomnę o mniej ryzykownych niż akcje papierach wartościowych).

Słabości jest zresztą więcej. Wymieniłem tylko niektóre spośród nich. Przechodząc od teorii do realiów, należy stwierdzić, że to, co się u nas pisze na ten temat – a piszą wyłącznie zwolennicy akcjonariatu pracowniczego – dalekie jest od rzetelności. Powołując się na statystyki, mówiące o rzekomo znakomitych wynikach ekonomicznych firm bazujących na własności pracowniczej, zwykle zapomina się dodać, że wrzuca się do jednego worka nieliczne spółki pracownicze, tj. firmy, w których udziały mają wszyscy pracownicy, oraz – nieporównanie liczniejsze – normalne firmy prywatne w branżach o szybko zmieniającej się technologii, gdzie istnieje ekonomicznie uzasadniona tradycja nagradzania najlepszych nie wysokimi premiami pieniężnymi, lecz udziałami w szybko rozwijającym się przedsiębiorstwie. W ten sposób środki pozostają w firmie i mogą zostać przeznaczone na badania łub inwestycje, a jednocześnie najlepsi zostają związani z firmą poprzez wyższą stawkę, jaką ma dla nich przyszły rozwój przedsiębiorstwa.

To właśnie te ostatnie firmy uzyskują na ogół doskonałe rezultaty i pozwalają stwarzać wrażenie sukcesów własności pracowniczej. Rozwiązanie to – tj. nagradzanie udziałami najlepszych – pozostaje jednak w ostrym konflikcie z egalitarystycznymi oczekiwaniami „antykomunistycznych bolszewików" i byłoby nie do przyjęcia na polskim gruncie.

Propaganda zwolenników „antykomunistycznych bolszewików" opiera się – w niewielkim uproszczeniu – na uzasadnieniu następującym: to naszym wysiłkiem zbudowano te fabryki, my w nich pra-

cowaliśmy za marne grosze (*implicite* w porównaniu z fabrykami tej samej branży na Zachodzie) i dlatego jakakolwiek prywatyzacja musi w pierwszej kolejności uwłaszczyć nas – pracowników tych fabryk.

Pogląd powyższy jest jednak z gruntu fałszywy. Po pierwsze – prywatyzacja pracownicza uprzywilejowuje pracowników przedsiębiorstw kapitałochłonnych kosztem pracowników przedsiębiorstw pracochłonnych. Lord Robbins podsumował to celną parafrazą hasła popularnego przez pewien czas w Wielkiej Brytanii: „Kopalnie – górnikom, śmiecie – pracownikom zakładów oczyszczania miasta".

Po drugie i ważniejsze – wkład pracowników zakładów przemysłowych, żądających przekształcenia ich przedsiębiorstw w spółki pracownicze, był średnio mniejszy, a nie większy niż innych zatrudnionych w gospodarce narodowej. Owi rzekomo pokrzywdzeni robotnicy byli w przeszłości subsydiowani podwójnie. Płace w przemyśle były w gospodarkach typu sowieckiego wyraźnie wyższe niż w innych działach gospodarki (niezależnie od niższych często kwalifikacji zatrudnionych w przemyśle). Ponadto relacje płac robotników do płac pracowników umysłowych były poważnie zniekształcone na niekorzyść tych ostatnich. Ujmując rzecz najprościej: to lekarz i nauczyciel subsydiowali w socjalizmie górnika i tokarza, a nie odwrotnie. A że płace i subsydiowanych, i subsydiujących były niskie to już inna sprawa, wynikająca z ogólnej niesprawności systemu.

Jak dalece bronić się przed własnością pracowniczą?

Moja odpowiedź na to pytanie jest oparta na ekonomii politycznej, nie zaś na ekonomii jako takiej, która wyraźnie traktuje tę formę własności jako mniej pożądaną z punktu widzenia efektywności. Najważniejsza dla trwałości postępów polskiej gospodarki jest jej prywatyzacja. Jeżeli alternatywą dla akcjonariatu pracowniczego jest coś w rodzaju obserwowanego obecnie pata, należy prywatyzować tę drugą, starając się jedynie, aby szkody z tego tytułu były jak najmniejsze. Tak więc należałoby jedynie zapewnie n-ansferalnojć akcji pracowniczych, niemożność ich sprzedaży potencjalnym nabywcom spoza przedsiębiorstwa. Reszty dokona rynek.

Sprywatyzowane spółki pracownicze najczęściej bardzo szybko popadną w kłopoty finansowe, bo np. pracownicy przejedzą zyski w postaci wypłacanej sobie dywidendy i zabraknie środków na rozwój. Wówczas pojawią się dwie możliwości. Pierwsza to pojawienie się strategicznego inwestora (lub inwestorów), który wykupi pakiet kon-

trolny akcji. Zjawi się autentyczny właściciel, a o to przecież chodzi w prywatyzacji. Drugą jest to, że spółka pracownicza zbankrutuje, bo jej sprawy zostaną tak zabagnione, że nie będzie nikogo chętnego do przejęcia tej schedy. Aktywa firmy zostaną sprzedane z licytacji i to, co jest w nich wartościowe, znajdzie właściciela. Czyli znów cele prywatyzacji zostaną osiągnięte.

Ktoś znający doświadczenia gospodarki kapitalistycznej może zaoponować, że prywatyzacja przez bankructwo jest mało efektywna, gdyż często firma jako całość przedstawia większą wartość niż poszczególne składniki jej majątku. To oczywiście prawda, ale jeszcze mniej efektywny jest stan niepewności. A poza tym będzie to cena zapłacona przede wszystkim przez tych, którzy sprzeciwiali się prywatyzacji, i będzie to niewątpliwie akt sprawiedliwości historycznej.

Nr 27/1993

MICHAŁ WOJCIECHOWSKI *(ur. 1953 w Warszawie), pierwszy katolik świecki w Polsce, który otrzymał tytuł naukowy profesora teologii; propagator idei wolnorynkowych. Studiował fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, a także teologię w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie oraz Instytucie Katolickim w Paryżu. Obecnie wykłada na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, gdzie jest kierownikiem katedry, oraz na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zajmuje się biblistyką, patrystyką, apokryfami i światem starożytnym epoki Nowego Testamentu. Jest ekspertem Centrum im. Adama Smitha i autorem wielu artykułów publicystycznych, także w prasie świeckiej. Członek Unii Polityki Realnej.*

Słowo przenicowane

Gdyby ktoś układał słownik dzisiejszej polszczyzny, zauważyłby szereg słów, które mają po dwa znaczenia nie tylko różne, ale wręcz przeciwstawne i konkurencyjne, zależnie od tego, kto ich używa. Na przykład - sumienie (niech się czytelnik nie boi, że trafił na czasopismo naukowe, chwila cierpliwości i o „Gazecie Wyborczej" też będzie).

Jedno znaczenie, dawniej jedyne, kryje się w zwrocie „wyrzuty sumienia". Ich istnienie suponuje w człowieku coś, co osądza jego czyny na podstawie obiektywnych zasad moralnych. Nazwę i opis tego zjawiska podali filozofowie greccy, mówiąc o „współwiedzy" moralnej umysłu ludzkiego z obiektywną, powszechną prawdą, z pojmowanym panteistycznie umysłem boskim. Samo słowo „sumienie" i po grecku (*syn-eidesis*) i po łacinie (*con-scientia*) i po polsku zresztą też oznacza etymologicznie właśnie współwiedzę („umieć z"). Żydzi i pierwsi chrześcijanie zmodyfikowali to w świetle swojej koncepcji człowieka (całość, nie sam umysł) i osobowego Boga. Sumienie to zdolność do takiej oceny moralnej swojego postępowania i takiego nim kierowania, które zgodne by były ze spojrzeniem Boga. Stąd z jednej strony obowiązek kształtowania sumienia zgodnie z prawem miłości i w ogóle wolą bożą, z drugiej wyższość sądu sumienia nad nakazami z zewnątrz czy cudzymi opiniami.

Tymczasem czytając i słysząc dzisiaj wzmianki o sumieniu, trudno oprzeć się wrażeniu, że wcale nie chodzi w nich o obiektywną samoocenę, lecz przeciwnie - o subiektywne samo-usprawiedliwienie i o prawo do robienia, co się uważa. Nie występuje tu bynajmniej obowiązek postępowania zgodnego z normami powszechnymi i obiektywnie słusznymi, lecz właśnie o prawo do ich łamania! Taka postawa została

w Biblii opisana nie w związku z sumieniem, lecz w symbolicznej narracji o grzechu Adama i Ewy. Jest to dobrze znane „zerwanie owocu z drzewa poznania dobra i zła". „Drzewo" oznacza pierwiastek, zasadę; natomiast „poznanie" to po hebrajsku nie wiedza teoretyczna, lecz poznanie doświadczalne i dominacja. Istotą zła w ludziach jest zatem próba zawładnięcia moralnością. Gdzie indziej Biblia mówi: „Biada wam, którzy nazywacie zło dobrem, a dobro złem (Izajasz)".

Najjaskrawszy przykład to oczywiście rzekome „sumienie", które ma zezwalać na krojenie na kawałki trzymiesięcznych dzieci nienarodzonych. Kodeks etyki lekarskiej ostatnio uchwalony, który tego zabrania (choć nie do końca konsekwentnie), już oskarżono o „łamanie sumień lekarzy".

Na koniec: gdy wyjaśniam moim studentom powyższą terminologię, wspominam, że to drugie rozumienie sumienia napotkać można w „Gazecie Wyborczej". Czemu się śmieją, zamiast stanąć w jej obronie?

Nr 6/1992

ANTONI ZAMBROWSKI *(ur. 27 stycznia 1934 r. w Warszawie). Dziennikarz, publicysta, społecznik, działacz opozycji politycznej w PRL.*

Po przyjeździe w maju 1945 r. wraz z rodziną do Warszawy Antoni Zambrowski, jeszcze w szkole podstawowej, wstąpił do komunistycznego Związku Walki Młodych (1947). Maturę uzyskał w roku 1951 w warszawskim Liceum im. Tadeusza Reytana. Był aktywistą ZMP. Wysłany na studia wyższe do Moskwy w latach 1951-1956 studiował ekonomię na Uniwersytecie Moskiewskim im. Łomonosowa, który ukończył z wyróżnieniem. Tam na wiosnę 1956 r. przyjęty do PZPR jako kandydat.

Po powrocie do kraju w lecie 1956 r. uczestniczył w wydarzeniach Polskiego Października w Warszawie, m.in. w wiecach studentów na Politechnice Warszawskiej. Zatrudnił się w Zakładach Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych na Kamionku, gdzie zorganizował grupę działania Rewolucyjnego Związku Młodzieży, powstającego na gruzach stalinowskiego ZMP. Jako I sekretarz Tymczasowego Komitetu Dzielnicowego RZM na Grochowie brał udział w wymuszonym przez władze partyjne zjeździe zjednoczeniowym RZM i Związku Młodzieży Robotniczej, na którym powołano Związek Młodzieży Socjalistycznej, początkowo względnie niezależny od władz. Wielu członków ZMS, w tym Antoni Zambrowski, czynnie protestowało przeciwko zamknięciu przez władze komunistyczne jesienią 1957 krytycznego wobec nich tygodnika „Po prostu".

W roku 1963, po dymisji ojca ze stanowiska członka Biura Politycznego KC PZPR oraz sekretarza KC, zawieszony przez ministra Aleksandra Burskiego w prawach wykładania w CODKK. Przeniósł się na Wydział Ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego (na etat starszego asystenta). W roku 1962 otworzył przewód doktorski u prof. Włodzimierza Brusa, zwolennika zastosowania mechanizmu rynkowego w komunistycznej gospodarce planowej.

W roku 1966, za krytykę polityki PZPR wobec Kościoła w związku z listem Episkopatu Polski do biskupów niemieckich w sprawie Millenium chrześcijaństwa (ze słynnymi słowami „przebaczamy i prosimy o przebaczenie"), wydalony z PZPR przez Warszawską Komisję Kontroli Partyjnej i w konsekwencji zwolniony z pracy na Uniwersytecie Warszawskim decyzją prorektora Zygmunta Rybickiego.

Bierze udział w pracach koła dyskusyjnego, grupującego pracowników naukowych i studentów Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Łódzkiego. Uczestników tych spotkań łączył krytyczny stosunek

do koncepcji Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego wobec PRL, przedstawionych w ich liście otwartym do członków partii. Zarzucali m.in. Kuroniowi i jego wychowankom z hufca „walterowskiego" ZHP lekceważenie spraw wolności religii oraz suwerenności Polski. Zambrowski zorganizował jednocześnie (w trybie samizdatu) przepisywanie tekstów nie dopuszczanych do rozpowszechniania przez komunistyczną cenzurę.

W marcu 1968 roku aresztowany przez SB pod fałszywym zarzutem organizowania wiecu studentów UW 8 marca. Faktycznym motywem była chęć powiązania uczestników protestów studenckich z rozgrywkami frakcyjnymi we władzach PZPR (poprzez powiązanie uczestników protestów – dzieci prominentnych działaczy PZPR dawnej frakcji „puławian"). W lutym 1969 r. skazany na dwa lata więzienia z art. 28 i 29 mkk. Uzasadnieniem wyroku było szkalowanie państwa polskiego (PRL) przez określenie polityki PZPR wobec Kościoła katolickiego jako Kulturkampfu i zupełnie groteskowy zarzut szkalowania narodu polskiego poprzez przypisanie Zambrowskiemu autorstwa fraszki Jana Kochanowskiego „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie głupi".

Po zwolnieniu z więzienia pracował w Centralnym Laboratorium Optyki. Od roku 1976 współpracownik Komitetu Obrony Robotników i Towarzystwa Kursów Naukowych. Po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do ojczystego kraju (1979) działał w akcji „Chrystus w środkach przekazu społecznego", zbierając podpisy wiernych pod apelem o transmisję Mszy świętej w Polskim Radiu i TVP.

Od września 1980 r. członek NSZZ „Solidarność". W stanie wojennym internowany w więzieniu w Białołęce. W 1985 i 1986 r. pikietuje sklepy monopolowe w ramach ogłaszanej przez podziemną „Solidarność" i Episkopat akcji Ruchu Otrzeźwienia Narodu, za co siedzi dwukrotnie w więzieniu na Służewcu. Współpracuje jako dziennikarz z prasą emigracyjną (londyński „Tydzień Polski") oraz podziemną (m.in. „Obóz" red. przez Andrzeja Ananicza).

W latach 1988-1989 pracował jako stróż na budowie metra warszawskiego. W czasie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu w roku 1989 został asystentem wyborczym Jarosława Kaczyńskiego, z którym w latach 1979-1980 zbierał podpisy pod apelem o mszę w radiu i TV. Nie przyjęty do pracy w „Gazecie Wyborczej", dzięki poparciu Jana Dworaka podjął pracę bibliotekarza w „Tygodniku Solidarność", kierowanym przez Tadeusza Mazowieckiego. Po mianowaniu przez Lecha Wałęsę redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność" Jaro-

sława Kaczyńskiego został dziennikarzem tego pisma. W „Tygodniku Solidarność" przez dwie kadencje był przewodniczącym redakcyjnej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność".

Po wybuchu I wojny czeczeńskiej członek-założyciel Komitetu Polska-Czeczenia.

Publicysta pism prawicowych: „Ład", „Nowy Świat", „Gazeta Polska", „Głos", „Najwyższy CZAS!" oraz „Nasza Polska". Członek Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

CZY WALCZYMY Z ŻYDOKOMUNĄ?

Wybitny publicysta, pan Piotr Wierzbicki, zamieścił na łamach redagowanej przez siebie „Gazety Polskiej" artykuł programowy zatytułowany „Czy nie lubimy Żydów?". Intencją artykułu jest odparowanie zarzutu wysuniętego przez dziennikarza „Gazety Wyborczej" o antysemityzmie polskiej prawicy w ogóle, a „Gazety Polskiej" w szczególności. Piotr Wierzbicki odrzuca to oskarżenie jako lewicową insynuację. Jest to wypowiedz nadzwyczaj ważna i godna poklasku ze względu na oblicze ideowe pisma wydawanego przez pana Piotra. „Gazeta Polska" i jej redaktor naczelny żywią bowiem niekłamany podziw dla dorobku Romana Dmowskiego i dawnego Obozu Narodowego.

W swym artykule pan Piotr wyraźnie deklaruje, że jego przeciwnikiem nie są Żydzi, lecz żydokomuna. Jest to ważne *novum*, gdyż pan Piotr zrywa tu z wiekową – rzekłbym – tradycją Obozu Narodowego, zwyczajowo zwalczającą żywioły żydowskie i ich zgubny wpływ na społeczeństwo polskie. Czyniąc wielki krok do przodu, modernizując program Obozu Narodowego, pan Piotr popełnia zarazem poważny błąd, gdyż mylnie określa swego przeciwnika ideowego. „Żydokomuna" w naszych czasach to zwyczajny anachronizm. Odwoływanie się do tego pojęcia świadczy o rozminięciu się z rzeczywistością. Można by podejrzewać, że pan Piotr, nie plamiąc się współpracą z komuną, nie grzeszy też ani wiedzą o niej, ani o jej protoplastach. By nie być gołosłownym, powiem, że uwagi pana Piotra o Karolu Marksie jako o twórcy żydokomuny, rozwiązującej problemy społeczności żydowskiej, wymiernie o tym świadczą. Przecież Karol Marks był niemieckim filozofem, wychowanym w rodzinie o żydowskich wprawdzie korzeniach, ale protestanckiej, a ze starozakonnymi miał mało

wspólnego, zaś w swych pracach rozwiązywał problemy nie światowego Żydostwa, lecz rewolucji światowej proletariatu. Gdy marksista wymawia nazwisko Marksa, to również jednym tchem wymienia bynajmniej nie nazwisko Lwa Trockiego, lecz Fryderyka Engelsa – przyjaciela, współpracownika i sponsora Karola Marksa. Lew Trocki to postać z innej epoki i jego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskiem Lenina.

Anachronizmem jest natomiast mówienie o żydokomunie jako o wciąż żywym zjawisku społecznym po rządach Stalina, który jeszcze przed wojną wymordował całą niemal starą gwardię bolszewicką (w tym wielu Żydów z pochodzenia), zaś po II wojnie światowej, a raczej po powstaniu Izraela, podjął wielką wojnę ze syjonizmem. Na polecenie Stalina wymordowano wtedy w ZSRR Żydowski Komitet Antyfaszystowski i uwięziono lekarzy z lecznicy kremlowskiej. Wtedy właśnie narodził się w Rosji nurt czerwonobrunatny, który dał o sobie znać również w PZPR w roku 1956 i w roku l968. Pan Piotr słusznie wymienia te daty jako dowód mądrości politycznej społeczeństwa polskiego, które nie dało się wtedy nabrać na antysemickie hasła. Rzecz jednak w tym, że na wysuwane wówczas żądania większej suwerenności PRL oraz PZPR wobec Kremla właśnie neostalinowcy odpowiadali hasłami rozliczenia żydowskiej części aparatu UB. Podobnie było w marcu 1968 roku, kiedy to intelektualiści i studenci polscy (a nie – jak pisze pan Piotr – frakcja w PZPR) domagali się zaprzestania „skandalicznej dyktatury ciemniaków nad kulturą polską", zaś czerwonobrunatni wykorzystywali swój monopol środków powszechnego przekazu, by wmówić społeczeństwu, iż cały patriotyczny ruch kontestacji jest sterowany przez żydowskich bankrutów politycznych spod znaku Berii. Cały ten wywód kończę zarzutem, że pan Piotr niepotrzebnie dał sobie wmówić, iż adresatem zarzutów o antysemityzm może być tylko prawica. Lewica grzeszyła antysemityzmem w tym samym stopniu co i prawica, a gdyby Stalin pożył kilka miesięcy dłużej, wyprawiłby Żydom *shoah* większy niż Adolf Hitler. Żyrinowski wszak nie urodził się na kamieniu.

Oczywiście nie ma nic wspólnego z żydokomuną współczesna nasza neokomuna, czyli SdRP, ani jej starsi bracia w Moskwie. Uważna lektura artykułu pana Piotra pozwala zresztą odkryć właściwy cel jego polemiki. Pan Piotr w swym artykule wojuje nie z komuną (czy żydokomuną), lecz ze zgrupowanymi wokół Unii Demokratycznej oraz „Gazety Wyborczej" środowiskami liberalno-demokratycznymi oraz socjaldemokratycznymi, odrzucającymi tradycyjne wartości chrze-

ścijańskie i narodowe. Adam Michnik określił niegdyś te środowiska jako „lewicę laicką", przeciwstawiając ją komunizmowi stalinowskiego typu. Środowiska te brały udział w działalności opozycji demokratycznej, lokując się na jej lewym skrzydle. Trafiali się tam dawni zbuntowani komuniści, niektórzy pochodzący ze spolonizowanych i zarazem zlaicyzowanych rodzin żydowskich. Stąd pana Piotra skojarzenie z żydokomuną.

Po ugodzie w Magdalence środowiska te broniły komunistów przed lustracją i wywłaszczeniem z majątku „sprywatyzowanego" prawem kaduka przez czerwonych nowobogackich. Jest to następny powód do kojarzenia ich przez pana Piotra z „komuną"! Niemniej „lewica laicka" stanowi odrębne zgrupowanie ideowo-polityczne i z neokomuną nie powinna być mylona. A już tym bardziej z „żydokomuną", która jest epitetem z dawno minionej epoki.

Następna moja uwaga dotyczy konfliktu o oświęcimski Karmel. Tu pan Piotr całkiem przeholował, pisząc o ustępstwach hierarchii kościelnej wobec nacisków żydowskich oraz o urażonej wskutek tego dumie narodowej. Rozumiem rozgoryczenie pana Piotra, że Kościół ustąpił w obliczu nacisków i zalecił zakonnicom przeprowadzkę. Niemniej jednak niedobrze się dzieje, gdy publicysta tej miary – w najlepszej nawet wierze – rozdziela w tej sprawie Kościół katolicki i naród. Niegdyś o znacznie istotniejsze ustępstwa wobec grożącej przemocą Jaruzelskiej junty mieli pretensje do hierarchii kościelnej oraz do księdza prymasa niektórzy działacze podziemnej „Solidarności". Pan Piotr bronił wtedy publicznie racji Kościoła i chwała mu za to. Dziś pan Piotr zdaje się rewidować zasadę, że naród i Kościół są nierozdzielne. A przecież ustępstwo kardynała Macharskiego nie było podyktowane słabością (i nie przynosi wobec tego ujmy na honorze), lecz roztropnością, wynikającą właśnie z poczucia siły i ofensywności ducha.

Na zakończenie artykułu pan Piotr zarzuca swoim adwersarzom, że nie dbają o interesy żydowskiej mniejszości narodowo-religijnej. Jest to zarzut przewrotny, gdyż tuż przedtem pan Piotr zarzucał im zdradę interesów narodowych w imię filosemityzmu. Jako przykład przytacza pan Piotr sprawę reprezentacji parlamentarnej Żydów polskich w Sejmie. Istotnie, w odróżnieniu od II Rzeczypospolitej, w dzisiejszej Polsce Żydzi takiej reprezentacji nie mają. Dzieje się tak zgodnie z obowiązującą ordynacją wyborczą, albowiem autentycznych Żydów w Polsce jest zbyt mało, by mogli wybrać sobie posłów. Nie stać na to również wielu innych mniejszości narodowych, nieraz liczniejszych od Żydów. By stworzyć takie możliwości, należałoby dać tym mniej-

szościom nadzwyczajne przywileje wyborcze kosztem ludności polskiej. Wątpię, by było to celowe.

Po upadku dyktatury komunistycznej w Polsce status Żydów oraz Polaków żydowskiego pochodzenia znacznie się poprawił w porównaniu z czasami PRL; sytuacja – rzekłbym – znormalizowała się i żadne ekstraordynaryjne środki nie są już potrzebne. Jeśli pan Piotr koniecznie chce dmuchać na zimne, to można by powołać stanowisko specjalnego urzędnika przy rzeczniku praw obywatelskich do śledzenia i sygnalizowania trudności wszystkich mniejszości narodowych i religijnych. Nie sądzę, by w III Rzeczypospolitej zachodziła taka konieczność, ale nie będę się upierał.

Ostatnia moja uwaga dotyczy nie artykułu pana Piotra, lecz dobranych do niego przez redakcję ilustracji. Na jednej jest światowej sławy polski pianista pochodzenia żydowskiego, Artur Rubinstein, na drugiej – anonimowy Żyd w chałacie, na trzeciej zaś – wieloletni szef NKWD, Wawrzyniec Beria. Ma on tyle wspólnego z Żydami, że jednych zatrudniał w swym resorcie, zaś drugich – coraz liczniejszych – mordował. Sam natomiast był Megrelem, czyli Gruzinem z Megrelii, i nie wiem, co miała ilustrować jego podobizna. Mnie pasowałaby bardziej fotografia pana Bolesława Piaseckiego – przywódcy przedwojennej ONR „Falangi" oraz powojennego „PAX". Ostatecznie i on był jednym z bohaterów artykułu pana Piotra.

Nr 3/1994

ANDRZEJ ZIĘBA *(ur. 1946 zm. 1998) dziennikarz i publicysta m.in. tygodnika Itd. W latach 90. XX w. był stałym felietonistą „Najwyższego CZAS!-u”.*

Chichot Lucyfera

Konserwatysta dąży do przedłużenia najlepszych cech przeszłości i dlatego lubi karmić swoje dzieci mlekiem matki zamiast sztucznymi odżywkami, albo zgoła kosmicznym pokarmem z tubki. Lubi też płodzić dzieci samodzielnie, a nie przez pośrednictwo probówki. Właśnie dlatego nie jest on należycie postępowy.

Wyręcza go w postępie dr Zbigniew Lew-Starowicz, od lat koncesjonowany, najmodniejszy *fachura* od spraw intymnych męsko-damskich. U schyłku lat 60. opracowywałem mu teksty do druku w prasie, bo grzeszyły nie tylko seksem, ale zwykłą nieporadnością stylistyczną i gramatyczną. Była to praca syzyfowa. Nikt nie zwraca uwagi na formę dzieł naszego Lwa, bo bardziej podniecająca jest treść. Uczony nasz informuje dzieci i młodzież - w swym najnowszym podręczniku dla szkół - że można *wsadzać* owcy lub innemu zwierzęciu. To się nazywa zoofllia. Uczony nasz mówi w telewizji, że nikt nie nabiera skłonności do stosunków ze zwierzętami *tylko pod wpływem lektury.*

Jednak życiowe doświadczenie mówi zgoła co innego. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że wiele zabójstw, dokonanych przez - głównie młodocianych - sprawców inspirowanych było przez media. Mordowano ludzi według scenariusza filmu. Gwałcono kobiety po to, by powielić scenkę sfotografowaną i opublikowaną w „świerszczykach". Przestępcze instynkty tkwią głównie w umysłach osób upośledzonych umysłowo, pozbawionych wyobraźni. One podświadomie są zaprogramowane na wykroczenie, czy wręcz zbrodnię - tylko nie potrafią sobie tego wyobrazić i zrealizować.

Nasz Lew znakomicie im ułatwia robotę. Podpowiada, że można *wsadzić* nie tylko dziewicy, ale i owcy. Że dla pań pies może być wier-

niejszym i bardziej satysfakcjonującym partnerem seksualnym niż jakikolwiek chłop (przede wszystkim pies nigdy nie jest pijany, za to stale wykazuje gotowość do dzieła).

Idiota ma zahamowania dopóty, dopóki nie dowie się, że MOŻNA, że tak robią *inni.* I że uważani są za *normalnych.* Że nawet pisze się o nich w podręcznikach. Wtedy cugle puszczają na całego. Panie biorą do ust psiego penisa, a nawet końskiego (!) - bo tak ponoć czyniła caryca Katarzyna II i było jej z tym dobrze, pokazują to *„świerszczyki" i* hard-porno filmy. Czemu by nie folgować wyobraźni i chuciom?

W 1990 roku Wiedeń doznał szoku. 22-letni Feliks Zehetner, owładnięty urokiem filmów z serii „Rambo", zapragnął się wcielić w jego postać. Podjął stosowne treningi siłowe (bo przecież nie myślowe). Było mu łatwo, bo z zawodu był rzeźnikiem. Potem dał sobie sprawdzian: 6 trupów i kilku rannych. Ostatnią kulkę przeznaczył dla siebie. Rzeczywiście, nawet Rambo przyznałby mu szacuneczek.

Pan (oczywiście profesor, ale nie wiem czego) Lew jest przekonany, że nasze dzieci trzeba poinformować o tym, że zamiast do kobiety da się pakować do kozy. Postęp jest postępem, ale przez całą wieczność wiedza ta nie była widocznie konieczna do zbawienia - bo miliardy i miliardy ludzi jakoś bez tej wiedzy żyło i przeżyło, a kiedy próbowało pójść w Sodomie i Gomorze za naukami Starowicza - Bóg zesłał ogień, całopalenie. Szkoda słów.

Osobną kwestią pozostaje istnienie tej książki jako podręcznika. Toż to raczej podnocnik? Niech sobie Starowicze chałturzą ile potrafią, niech sobie drukują, skoro inaczej nie potrafią zarobić dużych pieniędzy - tylko niech się odchromolą od moich dzieci. To nie może być podręcznik. Wielki widok cipy nie jest potrzebny mojemu synowi - w każdym razie ja, jako jego ojciec tak uważam - i wara ministerialnym urzędasom od mojej krwi, za moje pieniądze! Panie Waldemarze Łysiak, poprzyj swym bojowym piórem tak zbożną tezę!

Dyskutowany film angielski *„Ksiądz"* nie mówi nic o kapłaństwie, za to wiele o fallusie. Najwidoczniej reżyserka ma niezaspokojone potrzeby. Zamiast dobrać się do nich - wzięła na warsztat temat zastępczy, ale pokupny, bo na niczym dziś nie zbija się takiej forsy, jak na dokopywaniu religii chrześcijańskiej. Polska firma, która ten film sprowadziła, zyskała darmową reklamę - o to właśnie chodzi! Aby do przodu! Aby napływał grosz.

Krakowskie radio wysiliło się na plakat, na którym prymas Polski patrzy z uśmieszkiem na gołą pupę damską. Technika pozwala sporządzić wierny obraz Mahometa, kopulującego z wielbłądzicą, albo

wielbłądem, albo z reżyserem tego filmu, albo jego córciami naraz. Przecież wszystko wolno...

Naturalnie są od tego sądy. Ale czy są? Zawalone tonami akt, niedoinwestowane, niedoposażone - ledwo dyszą. Brakuje im mocy przerobowych. I co z tego, że ja, czy setki takich jak ja, wniesiemy pozew? Będzie rozpatrzony za rok, może dwa. A tym czasem DIABELSTWO uskutecznia wrażą robotę...

Nr 37/1995

RAFAŁ ALEKSANDER ZIEMKIEWICZ *(ur. 13 września 1964 r. w Piasecznie) – dziennikarz, publicysta, komentator polityczny i ekonomiczny, pisarz science-fiction i działacz fandomu. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Jako pisarz s-f debiutował opowiadaniem „Z palcem na spuście" w tygodniku „Odgłosy" (lipiec 1982 r.). W tym samym roku za „Cortex cerebri" zdobył nagrodę w konkursie na opowiadanie s-f organizowanym przez Naszą Księgarnię, „Młodego Technika", Młodzieżową Agencję Wydawniczą i klub SFAN oraz wyróżnienie za „Pilota". Trzykrotnie nagradzany prestiżową nagrodą im. Janusza A. Zajdla: za powieści „Pieprzony los Kataryniarza" (1995) i „Walc stulecia" (1998) oraz za opowiadanie „Śpiąca królewna" (1996). Dwukrotny laureat nagrody Śląskiego Klubu Fantastyki „Śląkfy" jako Twórca Roku (1990 i 1998). Był współzałożycielem Grupy Literackiej TRUST, aktywnym działaczem klubu SFAN, klubu PSMF SFERA oraz Klubu Twórców. Był redaktorem naczelnym magazynu „Fenix". Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.*

Karierę publicysty zaczynał jako felietonista tygodnika „Najwyższy CZAS!". Pracował też jako dziennikarz i publicysta m.in. w Radiu Wawa i PR IV. Związany z „Gazetą Polską" od początku jej istnienia, gdzie najpierw kierował działem „Cywilizacja", a następne działem publicystyki. Z redakcji odszedł w 1997 roku. Od tej pory jest niezależnym publicystą. Był gospodarzem programu publicystycznego Radia Tok FM. Został z radia zwolniony w 2004 r., kiedy na antenie wspomniał o swoim procesie z Adamem Michnikiem. Jego teksty ukazywały się w „Newsweeku Polska" (lata 2003-2007), tygodniku „Wprost" (2001-2003) i „Przewodniku Katolickim". Pojedyncze publikacje ukazywały się również w „Polityce". Współpracował z TV Biznes i Radiem Vox FM, w którym prowadził poranny przegląd prasy. Od września 2006 do lutego 2007 r. prowadził w TVP 1 cotygodniowy program kulturalny „Ring", wchodzący w skład pasma publicystycznego Jedynki „Nie ma przebacz". Aktualnie jego felietony publikuje „Rzeczpospolita". Laureat Nagrody Kisiela w 2001 roku. W latach 1993-1994 był rzecznikiem prasowym i członkiem Unii Polityki Realnej.

ATAK NA MÓZG

Ukazał się na naszym rynku parę miesięcy temu znakomity podręcznik do zrozumienia, czym jest propaganda. Przeciętnemu Polakowi kojarzy się to słowo z nachalnym, prymitywnym wmawianiem, że czarne to białe - które przez długie lata uprawiała „Trybuna Ludu". W istocie jednak manipulowanie psychiką człowieka i całych społeczności stanowi bardzo rozległą dziedzinę wiedzy, sięgając swymi korzeniami aż starożytności. Wspomnianą tu książkę otwiera fragment dzieła chińskiego stratega z piątego wieku przed naszą erą - dzieła wykładanego w akademiach KGB, instytucji, która zmasowane kłamstwo doprowadziła do doskonałości.

Mowa o „Dezinformacji" Vladimira Volkoffa, wydanej przez spółkę „Delikon". Książka ta jest antologią wypowiedzi najrozmaitszych autorów, na różne sposoby związanych ze sztuką kłamstwa i wpływania na ludzkie postępowanie. Mamy w niej zatem teksty pracowników wywiadu i kontrwywiadu, analizujące wojskowe techniki dezinformacji i intoksykacji, mamy wypowiedzi socjologów i psychologów, a wreszcie praktyków manipulacji. Możemy tu

także poznać dziesiątki stosowanych przez manipulatorów tricków i socjotechnik. Książce przyświeca bowiem motto zaczerpnięte z Lawrencc'a Durella: *„Dostrzec zło, to je egzorcyzmować"*.

Problem podstawowy polega na tym, na ile manipulacja jest gwałtem na osobie ludzkiej, na ile zaś spełnia zapotrzebowanie, ukryte i nie uświadamiane sobie - zwolnienia z odpowiedzialności za wolny wybór. Są filozofowie i psychologowie, którzy chcą w człowieku widzieć jednostkę z natury najwyżej ceniącą sobie wolność - gdyby tak jednak było, światu zostałby oszczędzony socjalizm i wiele innych

okropności. Inni z kolei, powodowani myślą behawiorystów, sprowadzają człowieka do roli chętnie oddającego się we władanie odruchów i nakazów zwierzęcia. Fakt, że cały świat nie zamienił się dotąd w jedną wielką Koreę Pomocną dowodzi jednak, że prawda tkwi gdzieś pośrodku, wolność - jak ostatnio nauczał Ojciec Święty - jest wartością zadaną, której trzeba się uczyć i której należy bezustannie bronić. Proporcje między bezmyślnym uleganiem stadności, powielaniem zachowań narzuconych różnymi metodami, a staraniem do zachowania niezależności sądu, w każdym z nas zmieszane są różnie. Propaganda opiera się na wykorzystywaniu zarówno jednego, jak i drugiego. Przypomina rozgrywkę szachową, w której przewiduje się ruchy przeciwnika na kilka kolejek naprzód (w tym wypadku chodzi o przewidzenie reakcji na taki lub inny bodziec propagandowy).

Rozgrywkę taką prowadzić jest bardzo trudno, mając przeciwko sobie całą rozbudowaną maszynerię kłamstwa. Jednym z głównych osiągnięć komunizmu było uczynienie z manipulacji potężnego systemu, zbudowanie ogromnego aparatu, wyposażonego w doskonałe zaplecze techniczne i naukowe, którego jedynym celem było i pozostaje pranie mózgów... Wychowywaniem „nowego człowieka" na terenach poddanych bezpośredniej władzy imperium zajmowały się obdarzone monopolem i poddane ścisłej kontroli mass-media. Wpływaniem na ideologicznego wroga - społeczeństwa demokratycznych krajów zachodu, a przez nie i na ich rządy - wyspecjalizowane agendy wywiadu, tworzące „Wydział A" KGB, obrośnięty służebnymi wobec niego wywiadami państw satelickich. Wojna psychologiczna stanowiła przez cały okres, odkąd Lenin przeskoczył ze Szwajcarii do Petersburga, jedną z podstawowych sfer działania Związku Sowieckiego. Była racją istnienia ogromnego kompleksu biurokratycznego i zarazem osią polityki zagranicznej. Dla Zachodu nazywało się to odprężeniem, dla Sowietów - czasem innych metod wojny przeciwko światowemu imperializmowi. Wojny prowadzonej z oszałamiającym rozmachem i wyjątkową perfidią.

Widać gołym okiem, że o ile na swoim podwórku ponieśli komuniści kieskę, to w starcia z demokracjami zachodnimi są pod każdym względem górą; dziś ostatnimi krajami, gdzie komunizm traktowany jest poważnie, a nawet chwalony, pozostają USA, Francja czy Włochy. Można ten stan rzeczy tłumaczyć mechanizmem psychologicznym, wskutek którego nieznane wydaje się lepsze niż to, co istnieje w rzeczywistości - ale to wyjaśnienie niewiele nam daje - równie często nieznane wzbudza instynktowny strach. Przyjdzie raczej uznać, że

rozgrywka o zachowanie ludzkiej niezależności jest znacznie trudniejsza do wygrania w kraju o demokratycznym ustroju i wolnym obiegu informacji zachodniego typu, niż w atakującym kłamstwem z każdej strony totalitaryzmie. Ponieważ znajdujemy się obecnie na drodze do stworzenia w Polsce takiego właśnie obiegu informacji, jakim doskonale nauczyli się posługiwać do swych celów komunistyczni agenci, nie od rzeczy będzie uświadomić sobie niesione przezeń zagrożenia. Miejscami będę tu korzystał z pracy Volkoffa (którą swoją drogą serdecznie wszystkim polecam), starając się jednak posługiwać możliwie aktualnymi, polskimi przykładami.

Perswazja i warunkowanie

Są dwie zasadnicze metody działania propagandy. Jeśli spotkacie Państwu człowieka twierdzącego, że nauka religii w szkole narusza jej neutralność światopoglądową, że kobieta ma prawo decydować o tym czy chce urodzić poczęte dziecko, albo że Polsce potrzebny jest szeroki sojusz sił reformatorskich, będziecie widzieli przykład propagandy perswazyjnej. Jej bronią jest komentarz. Nie podaje się danych wyjściowych, lecz od razu gotowe wnioski, w taki sposób, by manipulowany mógł je zapamiętać i przyswoić. Propaganda perswazyjna bazuje często na zwykłym umysłowym lenistwie odbiorców, którzy wolą mieć podany gotowy wniosek, niż wyciągać go samemu. Nierzadko posługuje się demagogią, naciąganiem przesłanek itp.

Z człowiekiem poddanym oddziaływaniu propagandy perswazyjnej można dyskutować. Wykazać na przykład, że chodzi o nauczanie w szkole każdej religii, co właśnie sprzyja wykształceniu u dzieci postaw tolerancji; że świadome macierzyństwo a zabijanie dzieci to zupełnie różne sprawy; że każda z sił reformatorskich proponuje inne reformy, więc ich sojusz byłby sztuczny, a w dodatku uniemożliwiłby społeczeństwu wypowiedzenie się, za którą drogą reform optuje.

Bywa, że komentarz propagandowy jest „wzmacniany" poprzez odpowiednie dobieranie komentowanych informacji. Mechanizmem tej manipulacji jest odwrócenie przyczyny i skutku - nie wnioski wynikają z faktów, lecz wybiera się tylko te spośród faktów, które z góry założone wnioski potwierdzą. Jest to jedna z wielu, bodaj jednak czy nie najbardziej charakterystyczna metoda działania „Gazety Wyborczej"; w piśmie tym, jak można zauważyć, działacze PC mówią tylko o rozliczaniu komunistów, a działacze ZChN jedynie o sex-shopach i walce z pornografią. Porównanie cytowanych we fragmentach wypo-

wiedzi z oryginałami pozwala prawie zawsze stwierdzić, że usunięto z nich to, co przeczy lub nie pasuje do założonego raz na zawsze „image'u" danego polityka w „Gazecie".

Propaganda perswazyjna jest częścią obecnego systemu informacji na świecie - systemu przekrzykiwania, stałego nadmiaru wiadomości, przytłaczających odbiorcę i uniemożliwiających mu dokonanie samodzielnej selekcji oraz oceny. Bardziej od rzeczywistej wagi argumentu liczy się sformułowanie np. stwierdzenie zwięzłe, dobitne i nieprawdziwe jest bardziej podchwytywane niż sformułowanie wyważone, niejednoznaczne oraz łatwość dostępu do niego odbiorcy (zasada: kłamstwo wielkimi literami na pierwszej stronie, a w czas jakiś później sprostowanie i przeprosiny petitem gdzieś w środku numeru. Nikt nie czyta gazety „od deski do deski").

Dwudziestowieczna kultura nadmiaru informacji, przekrzyczenia, w której rację ma ten, kto przemawia głośniej i z większej ilości publikatorów, sprzyja także propagandzie drugiego rodzaju - emocjonalnej. Tu nikogo się nie przekonuje, nie podaje się nawet wniosków do zapamiętania, lecz oddziałuje się bezpośrednio na emocje. Zasadą jest powiązanie w świadomości odbiorcy konkretnego desygnatu - osoby, symbolu lub pojęcia - z zamierzoną przez manipulatorów reakcją. Stroskane oblicze Mazowieckiego miało się kojarzyć z głębokim przeżywaniem problemów kraju i powagą, Wałęsę zaś przedstawiano - przez odpowiedni dobór fotografii - w pozach buńczucznych, każących go podejrzewać o arogancję i zapędy dyktatorskie. W warunkach polskich ten typ propagandy zamienia się w zwyczajne szczucie. Dozwolone są wszystkie metody - łączenie bezpośrednio informacji o nędzy i biedzie z ceną „nowego mercedesa dla Wałęsy", obelgi bezpośrednie, bezczelne i bezwstydne peany etc. Równie silne, jak budzenie nienawiści - czy raczej tylko jej odpowiednie kierowanie, sama agresja społeczeństwa rodzi się z głębokiej frustracji - jest wyszydzanie i ośmieszanie, w czym celuje zwłaszcza „Nie". Z zasady propaganda emocjonalna jest kierowana na szerokie kręgi ludzi najprymitywniejszych, choć nierzadko można spotkać osoby wykształcone i z pozoru poważne, wiedzące o danym polityku tylko tyle, że *„to wariat"* albo *„świnia"*.

Krótki przegląd najpopularniejszych chwytów propagandowych

W skostniałej, nieruchawej i mało skutecznej propagandzie komunistycznej prawdziwego przełomu dokonał Jerzy Urban. Jego dzia-

łalność łamała schematy oficjalnego wpychania, że czarne to białe. Urban poszedł tropem manipulacji przeprowadzanych przez komunistów na Zachodzie - ich podstawowym prawem jest to, że nie można atakować odbiorców niczym, co zanadto odbiega od ich przekonań. Człowiek ma naturalną skłonność do odrzucania rzeczy przeczących jego utartym mniemaniom, toteż by manipulować nim skutecznie, należy w zasadzie się z nim zgadzać. Nie wmawiać, że czarne to białe, lecz że czarne, ale jakby spłowiałe. Stąd też, Urban z miejsca dał sobie spokój z wybielaniem siebie czy innych czerwonych oficjeli w oczach poddanych. Przeciwnie - powszechne przekonane, co są warci komuniści, umiał zręcznie potwierdzać („rząd się wyżywi") i wykorzystywać do swego zasadniczego celu – oczerniania opozycji. „Oni tą tacy sami jak my" – taka mniej więcej była i pozostała zasada urbanowej gry, którą później podchwycili inni.

Do gry tej doskonale nadał się chwyt, nazywany pracz teoretyków dezinformacji *„fałszywą symetrią",* który stał się ulubionym i najczęstszym zabiegiem obecnej propagandy. Polega on na stawianiu znaku równości pomiędzy np. aresztowaniem na wiele lat niewinnej osoby przez UB w latach stalinowskich, a aresztowaniem za ten czyn dzisiaj winnego mu ubeka (pomijam, że to się dotąd nie zdarzyło – chodzi o przykład). Pewnym wariantem *„fałszywej symetrii"* jest metoda *„umiarkowania"*, bazująca na wspominanej już niechęci przeciętnego człowieka do czegoś, co drastycznie odbiega od jego przyzwyczajeń. Zatem: oczywiście religia to rzecz w porządku, ale uczenie jej to przesada. Albo: aborcja jest rzeczą złą, ale nie przesadzajmy, zakazując tego (w domyśle tyle lat było dozwolone...).

Bardzo ważne w propagandzie jest rozgrywanie... braku wiary w propagandę. Wiążę się z powszechnym, a odziedziczonym po komunizmie zwyczajem odwracania przez Polaków wszystkich oficjalnych wykładni o 180º. Propaganda najskuteczniejsza bywa więc wtedy, gdy nie jest za taką postrzegana. Doskonałym przykładem służą tu szmatławce-brukowce w rodzaju „Skandali", „Cats" i innych tego typu *„apolitycznych"* wydawnictw. Zasada brzmi: 5% propagandy, 95% – sensacyjek, golizny, etc. W tego typu bardzo szeroko odbieranych wydawnictwach, nie przedstawia się konkretnych poglądów ani nie przekonuje czytelników do jakichś aktualnych spraw - byłoby to zbyt wyraźne. Chodzi jedynie o swoiste punktowanie czytelnika pewnymi, powiedzmy, „wątpliwościami". O bezustanne i lekkie, niezbyt nachalne (pamiętajmy o jednej z wyłożonych wcześniej zasad) podważanie autorytetów, podrywanie zaufania, kwestionowania wiarygodności.

Nie prowadzi się tutaj ataków frontalnych. „Książa mówią głupstwa", lecz rozbija je na drobniejsze szpile: „co ksiądz może wiedzieć o seksie?" (dalej - rodzinie, macierzyństwie etc).

Szczególne nastawienie naszego społeczeństwa do massmediów spowodowało wykształcenie się u nas bardzo specyficznej metody wpływania na nastroje. Otóż, przeciętny rodak mało czyta, niewiele więcej ogląda w TV, a w jedno i drugie niezbyt wierzy. Kto jest zatem dla niego autorytetem? Badania wykazują, że bardzo często - koledzy, sąsiedzi i znajomi. Także nieznajomi. Zdanie zasłyszane w kolejce jest bardziej brane pod uwagę od zdania wyrażonego przez dyskutanta w telewizyjnym programie

Żywiołowy obieg informacji kolejkowo-podwórkowej rządzi się swoimi prawami, można jednak „wrzucać" w ten obieg pewne pożądane opinie. Jedną z dróg są rubryki listów do redakcji popularnych pism (nie tych politycznych) czy telefony „zwykłych słuchaczy" do programów radiowych. Metodę tę na szerszą skalę zaczęła stosować SB w stanie wojennym. Komu się chce, może wziąć w bibliotece plik czasopism z okresu po nagrodzeniu Wałęsy Noblem i znaleźć kolejne fale lisów zawierających bardzo podobne do siebie myśli i sformułowania.

Sformułowanie jest do takiej pracy rzeczą szalenie ważną. Idzie o skonstruowanie pewnej „pigułki" słownej, liczmanu, który ma szansę zadomowić się w ulicznych dysputach. Takimi pigułkami mogą być stwierdzenia w rodzaju „nie stać nas na wizytę papieża" (tu akurat manipulatorzy źle ocenili nastroje, mimo wielokrotnych starań, nie chwyciło), wspomniany już mercedes zakupiony dla BOR, czy teza, że na Wałęsę głosowano tylko z uwagi na „zagrożenie Tymińskim", więc jakby się to nie liczy. Dopiero wymyśliwszy stosowne „złote myśli" można przystąpić do ich rozpowszechniania. Osobiście najczęściej natrafimy na podejrzanie skrzące się kolejkowymi aforyzmami teksty w pismach kobiecych, co ma zresztą swoją logikę - z dawien dawna wiadomo, że kobiety na wszelką propagandę i reklamę są znacznie podatniejsze od mężczyzn.

Pewnym wariantem powyższej metody jest stosowane przez „Gazetę Wyborczą" publikowanie telefonów do redakcji; tu sama redakcja brać może udział w podrzucaniu „piguł". Jak zwykle jednak, redaktorzy tego dziennika zawiedli pragnąc upiec zbyt wiele pieczeni na raz - anonimowe i całkowicie bezkarne wypowiedzi bywają nazbyt monotematycznie, co zmniejsza ich wiarygodność w oczach przeciętnego odbiorcy.

Rozpowszechnianie płotek, kawałów itp. wchodzi już w zakres propagandy emocjonalnej. Trudno też kogokolwiek chwycić tu za

rękę. Wiadomo jednak, że w SB były odpowiednie, specjalizowane w takich działaniach komórki. Co się dzieje z ich pracownikami, autorami „listów od społeczeństwa" do redakcji gazet, z ludźmi opracowującymi swego czasu kampanie wpływania na publiczne nastroje - nie mam możliwości ustalić. Być może pracują gdzieś prywatnie.

Jak się bronić?

Dochodzimy do sprawy najważniejszej. W świetle tego, co pisałem powyżej, dojść można do wniosku, że właściwie nikomu i w nic wierzyć nie wolno. Tymczasem, przecież powodem sięgania po gazetę lub oglądania telewizji była chęć zasięgnięcia opinii osób, uważanych przez nas za lepiej się znający na rzeczy. Odmawiając zaufania wszystkim w czambuł, sami siebie sprowadzalibyśmy do młodocianego punka.

Wydaje się, że wystarczy okazać jedynie pewne minimum czujności. Manipulatorzy nie są wszechobecni, nastawiają się na odbiorców bezkrytycznych. Bazują na umysłowym lenistwie lub rozumowaniu utartymi schematami; często wykorzystywanym jest np. ten, jakoby prawda miała zawsze leżeć pośrodku, co każe przedstawiać prawdę skrajnie odmienną od słusznej. Co do propagandy emocjonalnej wystarczy jedynie zachować podejrzliwość wobec wszelkich niesprawdzonych pogłosek, jak najczęściej – zanim przyswoimy sobie podsuwaną skądś opinię - zadawać pytanie „dlaczego". Wypatrzenie propagandy perswazyjnej i uodpornienie się na nią wymaga niewiele więcej: starannego przyjrzenia się osobom wygłaszającym komentarze polityczne.

Nieomylnym znakiem ostrzegawczym jest tzw. *„zygzakowata równoległość"*. Jeżeli wypowiedzi danego komentatora nie są konsekwentne, należy sprawdzić czy przypadkiem nie zmienił on zdania jednocześnie z którąś z zaangażowanych w rozgrywki polityczne grup. Gdy zatem ktoś, kto wcześniej twierdził, że specjalne pełnomocnictwa dla rządu są pomysłem absurdalnym, teraz nagle uznaje je za pożyteczne, możemy być pewni, że choćby występował on w dowolnych barwach, mamy do czynienia z rezonerem Unii Demokratycznej.

Jeżeli zaś wobec którejś z wypowiadających się osób, pisma lub ośrodka opiniotwórczego, mamy podejrzenia czy przypadkiem nie grają one dla któregoś z ośrodków dyspozycyjnych, wystarczy skorzystać ze sposobu proponowanego przez amerykańskiego publicystę Jamesa Tysona. Po prostu sporządzamy tabelkę „winien-ma" i przez

pewien czas śledząc wypowiedzi sprawdzanych osób wpisujemy po stronie „winien" to, co zgadza się z linią przypuszczalnych dysponentów i działa na ich korzyść, zaś po stronie „ma" to, co im przeczy. Po jakimś czasie wystarczy rzut oka na tabelkę, by przekonać się, z kim mamy do czynienia.

Może warto zabawić się w ten sposób i nieco znieczulić przed mającym nam się rychło zwalić na głowy żywiołem pozyskiwania za wszelką cenę i wszelkimi sposobami głosów wyborców.

Nr 37/1991

Echa Manifestu PKWN

Tygodnik „Ład" zamieścił w numerze 4/1994 tekst „Zasad gospodarczych i społecznych trójporozumienia PC-PL-ZChN". Nie podano przy tym jakiejkolwiek informacji, kto dokumenty przygotował i jakie gremium je przyjęło. Próbowałem uzyskać te informacje od członków podpisanych pod „zasadami partii", lecz bez większych skutków; być może nie trafiałem na właściwe osoby. Nieoficjalnie zdołałem się dowiedzieć, że tekst jest prawdopodobnie dziełem powołanej przy porozumieniu (nie ustaliłem, kiedy i przez kogo) Komisji Ekonomicznej; jak się zdaje, jest to ciało doradcze, co daje pewną nadzieję. Jeszcze bardziej nieoficjalnie powiedziano mi w jednej z partii, że na dobrą sprawę komisja owa ogranicza swą działalność do podpisywania autorskich projektów p. Kropiwnickiego z ZChN, a to dlatego, że był on niegdyś szefem CUP, ma tytuł doktora i siłą rzeczy uchodzi w swoim środowisku za znawcę zagadnień ekonomicznych. A poza tym – jak przyznał z rozbrajającą szczerością jeden z moich rozmówców – „u nas nikt nie ma do takich spraw głowy".

Co fakt, to fakt. Nie ma jej także p. Kropiwnicki, czy kto tam „Zasady" opracowywał. Dokument składa się z 11 punktów. Dziesięć pierwszych to krańcowo niemądre i zdarte frazesy, na których podstawie można by wnosić, że autor swą ekonomiczną wiedzę czerpał ze starego podręcznika ekonomii politycznej socjalizmu. Pewną otuchę daje tylko punkt ostatni, o którym jednak później.

Już na samym początku dowiadujemy się, że „doświadczenie wielu krajów dowodzi, iż drobna przedsiębiorczość dla swojego rozwoju wymaga preferencji w polityce kredytowej, zarówno poprzez subsydiowanie ceny kredytu, jak i tworzenie systemu gwarancji kredyto-

wych i instytucji ich udzielających oraz budowy infrastruktury wspierającej ten sektor w dziedzinie doradztwa i promocji". Jest to, trzeba powiedzieć otwarcie, stek bzdur; jedyne, czego przedsiębiorczość potrzebuje, to niskie podatki i stabilność pieniądza (która automatycznie oznacza potanienie kredytu). Doświadczenie wszystkich krajów dowodzi natomiast, że śrubowanie podatków przy jednoczesnych próbach przeciwdziałania jego negatywnym skutkom ekonomicznymi protezami – jak tego żądają autorzy „Zasad" – w krajach rozwiniętych (Francja, RFN) kończy się wyhamowaniem tempa wzrostu, a w krajach ubogich (Ameryka Łacińska) – katastrofalną w skutkach stagflacją. Tworzenie przez państwo banków (bo chyba to są „instytucje udzielające kredytu"?) powoduje, że kredytami zarządzają urzędnicy, nie ponoszący osobistej odpowiedzialności za szkodliwe dla gospodarki decyzje, których skutki przerzucane są na podatników. To – wraz z „systemem gwarancji kredytowych" i „infrastrukturą w dziedzinie doradztwa i promocji" – sprzyja gigantycznym nadużyciom i nie mniejszemu marnotrawstwu. Jednak prawdziwym eldorado dla złodziei jest „subsydiowanie cen kredytu" – by przypomnieć tylko tajemnicze zniknięcie preferencyjnie oprocentowanych bilionów przeznaczonych dla rolników. Raj ów mógłby być zresztą większy, gdyby zdołano rozwiązać jeden zasadniczy problem: skąd na owo „dofinansowanie" brać pieniądze w kraju ograbionym już do szczętu.

Co ciekawe, w „Zasadach" zabrakło postulatu oczyszczenia banków z komunistycznej nomenklatury – co może dowodzić raczej ZChN-owskiej niż PC-towskiej proweniencji tekstu. Trzeba jednak podkreślić, iż bez zmiany systemu bankowego komunistyczną nomenklaturę w bankach można tylko wymienić na inną, np. swoją własną. W systemie postulowanym przez autorów „Zasad" jakaś nomenklatura będzie systemem bankowym rządzić zawsze, gdyż jej istnienie jest po prostu nieodłącznym skutkiem takiego właśnie systemu.

Dalej autorzy „Zasad" wyliczają przeróżne cele, których wspieranie za pomocą pełnej gamy środków – od polityki kursowej, przez zwolnienia podatkowe, preferencje kredytowe oraz działania dyplomatyczne, a także za pomocą „subsydiów, zwolnień podatkowych i celnych" – stanowi, ich zdaniem, obowiązek państwa. Należą do nich: „badania podstawowe w poszczególnych dziedzinach, jak i wdrożenia nowych rozwiązań do produkcji", „placówki oświaty i studiów oraz uczniowie i studenci", „producent i produkt krajowy", „eksport polskich produktów i usług", „produkcja eksportowa", „inwestycje w regionach szczególnie zagrożonych bezrobociem", „program budo-

wy autostrad", „program kształcenia bezrobotnej młodzieży w wieku 16-23", „zapewnienie obywatelom mieszkań przy uwzględnieniu ich możliwości finansowych" (a co z możliwościami finansowymi samego państwa?), „zapewnienie godnego życia pracownikowi a wraz zasiłkami – również jego rodzinie" i nieco spraw drobniejszych. Państwo powinno także wspierać „rozwój ubezpieczeń prywatnych", zarazem jednak utrzymując „powszechne obowiązkowe ubezpieczenie zdrowotne"; ma również wspierać rodzinę, ale poprzez „utrzymanie zasiłków rodzinnych jako instytucji powszechnej, obejmującej wszystkie rodziny z nieletnimi dziećmi i pracującymi w domu, wychowującymi dzieci matkami".

Dodajmy do tego jeszcze stwierdzenie, że państwo ma zapewnić emerytom i rencistom należne im świadczenia. Oczywiście to, że odpowiednią instytucją do ich zapewnienia byłyby ubezpieczenia, nie przyszło autorom do głowy. Nie przyszło im też do głów wymienienie wśród obowiązków państwa tego, co rzeczywiście do jego podstawowych obowiązków należy: zagwarantowania stabilności pieniądza. Ani słowa o bezpieczeństwie wewnętrznym i zewnętrznym. No i zupełny drobiazg: ani słowa o tym, skąd na to wszystko ma państwo brać.

Dokument powstał wyraźnie na kolanie: zapomniano w nim o zagwarantowaniu przez państwo subwencji dla twórców kultury, o opiece nad zabytkami i przyrodą, o zapewnieniu obywatelom atrakcyjnego wypoczynku po pracy, jak również zdrowia, urody, dobrej pogody i pół litra do obiadu – co czyni ów „centroprawicowy" dokument uboższym wobec tego, który głosiła i realizowała z poświęceniem nieboszczka PZPR. O postulowanym systemie podatkowym dowiadujemy się, że powinien „sprzyjać inwestowaniu w stopniu wystarczającym do zahamowania przyrostu bezrobocia w roku 1994 i zmniejszenia go o co najmniej 1milion osób w roku 1995". Jeżeli nie chodzi tu o fizyczną likwidację bezrobotnych, to zdanie powyższe oznacza, iż stopa opodatkowania musi spaść do, najbardziej optymistycznie licząc, jakichś 10 procent. Sam Pan Bóg, gdyby miał to pogodzić z przedstawioną wyżej litanią, rozłożyłby ręce i rzekł: „*Sorry*, aż takim cudotwórcą to ja nie jestem".

Byłoby jednak błędem widzieć w streszczonych powyżej tezach jedynie demagogiczną listę nierealizowalnych obietnic. Jest jeszcze gorzej: to po prostu niedokładnie przepisany manifest PKWN, a niektóre jego zwroty wręcz stawiają włosy na głowie. Żeby ograniczyć się do jednego tylko przykładu: zdania o zasiłkach rodzinnych wynikają w prostej linii z bolszewickiej zasady „każdemu według potrzeb" – wszak o wysokości zarobków wyraźnie miałyby decydować nie ja-

kość i ilość wykonywanej pracy, lecz ilość posiadanego potomstwa. Wyszukiwanie innych reminiscencji z dzieł Lenina Wiecznie Żywego pozostawiam, dla oszczędności miejsca, czytelnikom.

Wspomnijmy jeszcze tylko, że całość okraszona jest stwierdzeniami, które traktować można wyłącznie jako żarty, np. „Nakłady na naukę oraz oświatę powinny być traktowane jak inwestycje kapitałowe". Idąc za tym światłym wskazaniem, postanowiłem potraktować jako inwestycję kapitałową zakup samochodu. Nie pomogło – nadal jeżdżę autobusem. Zresztą na kpinę największą zakrawa otwierające tekst zdanie: „Kluczowym warunkiem realizacji godziwych celów narodowych, społecznych i osobistych Polaków jest silna, rozwijająca się gospodarka. Jej formowaniu sprzyjać musi właściwa polityka państwa". Znaczy się – ta wyżej streszczona.

A co z zapowiedzianą na wstępie odrobiną otuchy, jaką daje ostatni, jedenasty punkt „Zasad"? Otóż brzmi on: „Bieżąca polityka społeczna powinna za swój główny cel uznawać **zmniejszanie dotkliwości niepomyślnego rozwoju sytuacji gospodarczej** (podkr. moje), a zwłaszcza skutków bezrobocia oraz inflacyjnego wzrostu kosztów utrzymania". Skoro autorzy zdają sobie sprawę, że ich program prowadzi do niepomyślnego rozwoju sytuacji gospodarczej, bezrobocia i inflacji, to widać, jakieś pojęcie o ekonomii mają. Pytanie, skąd wiara, że pod hasłami tymi zdołają wygrać wybory.

Tygodnik „Ład", nie wymawiając, wychodzi na podłym papierze. Jednak i tak jest ten papier wart więcej niż wydrukowane na nim „Zasady gospodarcze i społeczne". Ich autorzy nie zauważyli nawet, że piszą program, który realizowany był w Polsce od roku 1945 – z widocznym skutkiem – i którego wiele elementów realizowanych jest nadal od roku 1989 – również z widocznym skutkiem. Deklaracja ta stanowi po prostu całkowitą kompromitację dla firmujących ją partii. Gdyby istotnie została przez nie przyjęta jako podstawa do działania, to należałoby umieścić te partie na politycznej mapie gdzieś w okolicach Samoobrony Leppera i modlić się, aby Pan Bóg nigdy nie doświadczył naszego narodu rządami podobnych szaleńców. Pozostaje nadzieja, że jest to incydentalny wyskok grupy nieoświeconych działaczy. Ale nawet w takim wypadku fakt tolerowania go jest szaleństwem. Podaje w wątpliwość wiarygodność centroprawicy i każe myśleć z niepokojem o jej zdolności do reformowania Polski i perspektywach współdziałania pomiędzy nią a partiami prawicy gospodarczej.

Nr 7/1994

Podszepty

Teologia uczy, że Szatan nie może nic stworzyć – potrafi jedynie małpować dzieła boskie, kopiować je i przepoczwarzać. Jeśli więc ktoś wierzy w istnienie Szatana – a taka wiara na pewno nie jest bardziej śmieszna niż wiara w istnienie Boga – to za typową dla niego robotę uznać musi socjalizm, będący przecież niczym innym niż przepoczwarzeniem chrześcijaństwa. Każde z haseł socjalistów, każda głoszona mądrość i zastrzeżona przez nich idea wydają się zaczerpnięte z Ewangelii – i wszystkie różnią się od tego wzorca w jakimś szczególe, z pozoru drobnym, a w istocie zmieniającym dobro w zło. Ewangelia błogosławi ubogich, ostrzega bogaczy, że trudno im będzie – jako nazbyt przywiązanym do swego dobytku – wejść do Królestwa Niebieskiego. Zaleca zatem bycie „ubogim w duchu" i udzielanie jałmużny. Pominąwszy warstwę metafizyczną i kwestię nagrody w życiu pozagrobowym, socjaliści mówią z grubsza to samo, idą tylko odrobinę dalej: przyznają ubogim prawo, by jałmużnę wzięli sobie sami – jeśli się nie da inaczej, to i siłą.

Piszę tu „socjalizm" i „socjaliści", ale w gruncie rzeczy sprawa dotyczy wielu orientacji ideowych, w mniejszym lub większym stopniu czerpiących z myśli lewicy. Stosunek do problemu ubóstwa wydaje się identyczny także u chadeków czy różnej maści pseudokonserwatystów w rodzaju lewego skrzydła amerykańskich republikanów albo naszej prawicy od Halla i Syryjczyka. Różnice pomiędzy nimi nie dotyczą zasadniczych założeń, a jedynie stopnia radykalizmu w ich egzekwowaniu. Komuniści twierdzili, że biedni powinni bogatych własnoręcznie pozarzynać i podzielić ich dobro pomiędzy siebie; socjaliści – że wystarczy im wybrać swoich przedstawicieli do parlamentu, a ci już ustalą tak mordercze podatki, przeznaczone na tak

szerokie subwencje, że po pewnym czasie nikt nie będzie bogatszy od bliźniego swego. Zdaniem chadeków, owo zabieranie bogatym należy ograniczyć, a wspierać tylko naprawdę biednych (ale jakich kryteriów użyć? – amerykański biedak jest wszak w oczach Etiopczyka Krezusem!), zaś postępowi socliberałowie skłonni bywają zorganizowaną „redystrybucję dochodów" motywować potrzebą stabilizowania gospodarki. W sumie jednak za każdym razem chodzi o to samo – o uczynienie ewangelicznej zasady miłości bliźniego przymusem. Proszę zwrócić uwagę, że wszelkiej maści lewacy niczego nigdy nie nienawidzili tak bardzo jak... dobroczynności. Filantropia dziewiętnastowiecznych mieszczan mierziła i ojców-założycieli bolszewii, i poetów pokroju Jakuba Brela. Fakt, że ktoś, kto dorobił się majątku, z własnej woli wspiera biednego, doprowadza lewicowców do furii. Jałmużna, ich zdaniem, tego, kto ją bierze, upokarza, a wszak w istocie po prostu się ona ubogiemu należy!

U podstaw wszystkich tych ideologii legło identyczne założenie jak to, które zrodziło naukę – uczynić świat lepszym. Zdefiniować trapiące go zło nie jest oczywiście trudno, znaleźć środki zaradcze – z pozoru jeszcze łatwiej. Świat byłby rajem, gdyby ludzie nie czynili zła, lecz dobro (prawda, jakie to proste). Spójrzmy teraz, jak niewiele różni naukę chrześcijańską od poprawiania świata metodami świeckimi. Otóż chrześcijaństwo każe po pierwsze – czynić dobro samemu, po drugie zaś – namawiać innych, by je czynili. Od czasów oświecenia natomiast cywilizacja europejska zaczęła skłaniać się ku rozwiązaniu z pozoru skuteczniejszemu: czynienie dobra należy po prostu nakazać. Zmusić tych cholernych bogaczy, by się dzielili z ubogimi swoim dostatkiem, a który by nie chciał, to go w łeb!

Ów sposób myślenia dotyczy zresztą nie tytko kwestii ubóstwa i przymusowej jałmużny. Przecież i bez nędzy świat jest pełen cierpienia. Jakże szlachetną rzeczą wydaje się mu zapobiec! A jeśli owo cierpienie jest skutkiem popełnionego błędu? Ano – niech mi kto powie, że nie jest to szatańskim podszeptem! – należy uniemożliwić ludziom popełnianie błędów. Dla ich własnego dobra.

Nie jest to niczym innym niż odbieraniem człowiekowi wolnego wyboru – a więc najbardziej podstawowego z praw, jakimi go Stwórca obdarzył, i fundamentu jego wolności. Rzeczywiście, gdyby nie ów wolny wybór, nie byłoby przecież zbrodni, wojen i wszelkich innych plag ludzkości (nawiasem mówiąc, jest to chyba główny zarzut stawiany Bogu przez ateistów – że dopuszcza do zła, zamiast stworzyć ludzkość złożoną z dobrotliwych kukieł). Wszystkie społeczeństwa od

czasów pogańskich starały się uniemożliwić człowiekowi wyrządzanie krzywdy innym – ale uniemożliwić mu wyrządzanie zła samemu sobie stało się dopiero hasłem czasów najnowszych.

Tkwimy stale w konkretach, w codziennym użeraniu się z lewicowymi publicystami i politykami, w ripostowaniu na rozmaite ich zagrywki. Czasem – sądzę – warto się od tego oderwać i przypomnieć sobie, dlaczego właściwie swoją pracę wykonujemy. Nawet jeśli ma to być praca beznadziejna – nie taję, że czasem taka się wydaje – wykonywać ją trzeba, bo wynika z wiary w sprawy najważniejsze, wiary, bez której żyć można, ale nie warto. Świat roi się od facetów pragnących poprawić spaprane, ich zdaniem, dzieło Stwórcy. Jesteśmy od nich znacznie skromniejsi, a zarazem odważniejsi – pragniemy wyłącznie, aby wszystko wyglądało tak, jak sobie tego Stwórca zażyczył. Ze wszystkimi konsekwencjami – również tymi przykrymi.

Nr 2/1993

A

Albrecht J. 146
Allen W. 149
Alster A. 146, 147, 151
Antall J. 166
Arendarski A. 30
Arystydes 18

B

Balcerowicz L. 110, 111, 116, 154
Barańczak S. 104
Barański J. 27
Barceló C. R. 116
Barres M. 21
Bauman Z. 219
Beria W. 267, 269
Berlin I. 228, 229
Berman J. 146, 151
Bernardin J. L. 122
Bielecki J. K. 30, 92, 103, 134, 153, 154, 155, 196, 253
Bieńkowski Z. 104
Bierut B. 137, 146
Blumsztajn S. 219
Bocheński J. M. 195, 130
Bogucka T. 219
Bokassa B. J. 78
Bratkowski S. 246, 250
Brel J. 289
Breżniew L. 50
Brittan L. 137
Brus W. 219, 263
Bugaj R. 73, 93, 198
Bujak Z. 104
Burski A. 263
Bush G. 93, 190, 192
Buzek J. 27

C

Celiński A. 73
Chalotais L-R. C. 68
Chruszczow N. 146, 147
Churchill W. 45
Cimoszewicz W. 93
Ciosek S. 226
Clinton B. 93, 191
Curie-Skłodowska M. 133
Czaadajew P. J. 66
Czartoryski A. 22
Cook S. 122
Coolidge J. C. 115
Czuma A. 161
Czuma B. 161

D

Danton G. 41
Delors J. 68, 69, 79
Deschodt 21, 22, 23
Deutscher I. 144
Diatłowicki T. 151
Długosz J. 165
Dłuski O. 146
Dmowski R. 28, 243, 266
Dylus A. 215
Durell L. 276
Durkheim E. 15
Duś M. 120
Dworak J. 264
Dziurowicz M. 27

E

Eisenhower D. 191
Eliot T. S. 228
Engels F. 267
Erhardt L. 191

F

Fejgin A. 146, 151
Fidos D. 215
Findeisen W. 250
Fiszer F. 225
Franciszek Józef I 167
Frasyniuk W. 93
Friedman M. 53
Fuhrma M. 231
Fukuyama F. 18, 47

G

Galińska H. 27
Gambetta L. 19
Gasset O. 95
Gawronik A. 163

Gdula M. 104
Gehlen A. 103
Geremek B. 68, 92, 95, 101, 103, 150, 196, 198, 226, 243, 246, 248, 249, 250
Gierek E. 137
Gilder G. 113, 114, 115, 117
Glapiński A. 30
Głódź L.S. 59
Gocłowski T. 59
Gołębiewski M. 161
Goma P. 101
Gomułka W. 137, 146, 147
Gordijewski O. 9
Gordon R. 114
Grabska R. 84
Green J. 106
Gromyko A. 50
Groński R. 73
Guéhenno J-M. 156

H

Hajdo T. 170
Hall A. 13, 243, 288
Haushofer K. 128
Hayek F. 29
Hegel G. W. F. 248
Heldbaum M. 88, 89
Hennelowa J. 245
Heraklit 66
Hezjod 17
Himmler H. 68
Hitler A. 40, 41, 42, 63, 172, 231, 248, 267
Hodysz A. 90
Hoover J. E. 190
Horthy M. 166, 171-176
Husserl E. 248

I

Iwan Groźny 106
Izajasz 226, 261

J

Jankowski S. 162
Jan Paweł II 20, 25, 62, 70, 124, 264
Jasiukowicz S. 162
Jaroszewicz P. 49
Jaruga S. 83
Jaruzelski W. 13, 91, 104, 151, 198
Jastrun T. 150
Jaszuński S. 144
Jaures J. 19
Jefferson T. 29
Jezus Chrystus 70, 102, 264
Joanna d'Arc 164
Jouvenel B. 15
Jóźwiak F. 146
Jurek M. 161

K

Kaczyński J. 9, 90, 93, 94, 163, 241, 264, 265
Kaczyński L. 120
Kadafi M. 86
Kallay M. 174
Kania S. 137
Kant I. 22, 248
Kasman L. 144, 146
Katarzyna II Wielka 67, 86, 273
Kautsky K. 89
Kąkol S. 151
Kennedy J. F. 93, 116
Kern M. 164
Keynes J. M. 29
Kimon 19
Kisielewski S. 75, 85, 133, 245, 253, 275
Kiszczak C. 91, 101, 104
Kłosiewicz W. 146, 151
Kochanowski J. 137, 264
Kohelet 96
Kołakowski L. 219, 244, 247, 248, 250
Komorowski B. 196
Konrád G. 166
Konwicki T. 104
Korwin-Klein O. 170
Korwin-Mikke J. R. 9, 10, 29, 101, 133, 215
Kosiński J. 149
Kotarbiński T. 219
Kowalski M. A. 83
Kraszewski Z. 119
Kropiwnicki J. 284
Król M. 215, 219, 243
Kruczek W. 146

Kuczyński W. 219
Kukliński R. 90
Kun B. 176
Kuroń J. 92, 103, 104, 119, 122, 125, 150, 151, 152, 250, 264
Kwaśniewski A. 27, 93, 150

L

Labuda B. 163
Laffer A. 98, 115, 114, 118
Lazarowicz A. 104
Lec S. J. 150
Lenin W. I. 41, 89, 150, 161, 277, 287
Leon XIII 19
Lepper A. 287
Leśmian B. 228
Lewandowski J. 30
Lew-Starowicz Z. 122, 124, 272, 273
Libicki M. 237
Lipski J. J. 250
Lityński J. 219
Locke J. 29
London J. 136
Lovell A. 114
Ludwik XIV 51

Ł

Łętowska E. 198
Łomonosow M. 190
Łopuszański J. 161
Łysiak W. 273

M

Macartney A. 175
Macierewicz A. 75, 93, 198, 251
Mackiewicz S. 13, 73
Mackinder H. J. 128
Mahan A. T. 128
Mahomet 273
Malisiewicz-Gąsior I. 164
Małachowski A. 103, 104, 198
Małpiewicz J. 250
Mandalian A. 150
Mandelsztam O. 66
Marcinkiewicz K. 237
Markiewicz M. 136
Marks K. 18, 50, 82, 89, 266, 267
Masaryk T. 175
Matuszewski I. 129
Matwin W. 151
Maurras C. M. 21, 22, 23
Maziarski J. 163
Maziuk T. 27
Mazowiecki T. 20, 92, 103, 134, 196, 264, 279
Mażewski L.30
Melissa E. 84
Mencwel A. 219
Michalkiewicz S. 48, 49, 50, 51, 83, 84, 128, 129, 130, 143
Michnik A. 9, 21, 23, 29, 91, 100, 103, 104, 150, 151, 152, 198, 219, 228, 229, 245, 246, 247, 249, 268
Mijał K. 146, 151
Milczanowski A. 104
Miller L. 163
Miltiades 19
Minc H. 151
Minc P. 144
Miodowicz A. 105
Miszalski M. 23, 133
Moczar M. 147, 151
Moczulski L. 29
Modzelewski K. 264
Mojżesz 20
Montgomery J. 174
Morgiewicz E. 161
Mussolini B. 41
Myers R. 188
Myrdal G. 78

N

Napierski S. 144
Naszkowski M. 146
Nenning G. 103
Nissenbaum S. 64
Nixon R. 93, 190
Nowak Z. 146
Nowak-Jeziorański J. 237
Nowogródzki M. 144

O

Oks M. 146, 151

Okulicki L. 162
Oleksy J. 150
Oleszczuk S. 138, 141
Olszewski J. 90, 93, 195, 198, 251
Onyszkiewicz J. 196
Orwell G. 186
Osęka A.198
Ossowska M. 219
Ostaszewski L. J. 187

P

Palme O. 78
Pangowski P. 215
Parkinson C. N. 98, 112,116
Parowski M. 65
Pasternak B. 228
Paszczyk S. 27
Pawlak W. 90, 93
Pawłow I. 227
Perykles 19
Piasecki B. 269
Piechociński J. 198
Pietruszka A. 120
Poncjusz Piłat 103
Piłsudski J. 175, 250
Piotr I Wielki 86
Platon 68
Polch B. 65
Popiełuszko J. 119, 120
Prager D. 125
Prawin J. 151
Prokopiuk J. 124
Putrament J. 146, 147
Pużak K. 162

R

Rakowski M. F. 146
Rand A. 211
Rapacki A. 146
Ratzel F. 128
Rákosi M. 169, 176
Reagan R. 29, 186, 190, 191, 243
Regulski J. 69
Reiss L. 170
Reitlinger G. 175
Rej M. 100
Renan E. 62
Reytan T. 119, 241, 263
Roberts F. K. 173
Roberts P. C. 113
Robespierre M. 41
Rodek J. 65
Rokossowski K. 146
Rokita J. M. 136
Romaszewski Z. 161
Roosevelt F. D. 29, 45
Rousseau J. J. 17
Różański J. 146
Rubinstein A. 269
Rumiński B. 146, 151
Rulewski J. 161
Rybarski R. 28, 42
Rybicki Z. 263

S

Santorski J. 122, 125
Saul J. R. 67
Schaff A. 146, 147
Schobel B. 188
Sierow I. 162
Simpson O.J. 231
Singer I. B. 105
Skarga P. 177
Skórzewska-Łoś J. 54
Skubiszewski K. 78, 79, 80
Skuratow M. 106
Słonimski A. 227
Smith A. 31, 53, 259
Smolar A. 219
Sokrates 18
Solon 19
Sosnowski J. 198
Spykman N. 128
Sroczkowska H. 250
Stalin J. 150, 247
Staniszkis J. 215
Stefan Batory 119, 130
Stefo J. J. 123
Stolarz B. 161
Stryjkowski J. 149
Studnicki W. 72
Suchocka H. 137, 196, 199, 244, 251
Sommer S. 215
Syryjczyk T. 288

Szafraniec H. 82
Szczypiorski A. 103, 104, 198
Szlajfer H. 219
Stiller R. 124
Szmit A. 84
Szomburg J. 30
Sztójay D. 172
Szwonder R. 137

Ś

Św. Loyola I. 121
Św. Jakub 70
Św. Jan 96
Św. Kostka S. 250

T

Tanzi V. 114
Tatarkówna-Majkowska M. 146
Tejkowski B. 226
Teleki P. 172, 176
Temistokles 18
Theatcher M. 29
Thomas H. 93
Thoulé J. 232
Tischner J. 253
Tocqueville A. 29
Toeplitz K. T. 73
Tomaszewski J. 27
Tong G. C. 115
Traugutt R. 120
Trocki L. 41, 267
Turowicz J. 245, 249
Tusk D. 30, 196
Tuwim J. 228
Tymiński S. 281
Tyrmand L. 85, 103
Tyson J. 282

U

Urban J. 61, 91, 103, 104, 164, 279, 280

V

Vaugeois H. 22
Volkoff V. 276, 278
Vonnegut K. 65

W

Wałęsa L. 13, 30, 75, 90, 91, 94, 105, 106, 134, 195, 198, 250, 253, 279, 281
Warren H. 115
Wasiutyński B. 28
Watt A. 144
Ważyk A. 150
Wedel E. 54-56, 98, 251
Weiss A. 61
Werblan A. 146
Werfel R. 146, 151
Wielomski A. 13
Witaszewski K. 146
Wierzbicki P. 266
Wilson W. 45
Wiśniewski L. 83
Witaszewski K. 151
Władysław II Jagiełło 130
Wolter F-M. A. 19, 67, 68
Wołek T. 243
Woroszylski W. 150
Wyszkowski K. 19
Wyszyński S. 245, 259

Z

Zajdel A. J. 275
Zalewski J. 120
Zambrowski R. 146
Zamoyski J. 53
Zawadzki A. 146
Zawiślak A. 30
Zehetner F. 273
Zieliński T. 61
Ziółkowska W. 82
Zola E. 96
Zylber J. 77

Ż

Żółkiewski S. 130
Żyrinowski W. 267
Żyżyński J. 153

ISBN 83-7673-012-7

Jacek Bartyzel, Jacek Dębski, Krzysztof Dzierżawski, Jan Engelgard, Tomasz Gabiś, Robert Gwiazdowski, Ks. Henryk Jankowski, Lech Jęczmyk, Janusz Korwin-Mikke, Waldemar Łysiak, Andrzej Machnik, Ks. Stanisław Małkowski, Andrzej Maśnica, Stanisław Michalkiewicz, Marian Miszalski, Stefan Niesiołowski, Jerzy Robert Nowak, Sławomir Olejniczak, Stefan Oleszczuk, Krzysztof Ostaszewski, Aleksander Rozenfeld, Jacek Sierpiński, Tomasz Sommer, Jadwiga Staniszkis, Lech Stępniewski, Piotr Wierzbicki, Jan Winiecki, Antoni Zambrowski, Rafał Ziemkiewicz

Te nazwiska mówią same za siebie. Jeśli chcesz się dowiedzieć co naprawdę myśli polska Prawica, czy jej diagnozy wobec rzeczywistości i recepty na Polskę sprawdziły się czy nie – po prostu musisz tę książkę przeczytać.

Najwyższy CZAS!
Tygodnik konserwatywno-liberalny
www.nczas.com